

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXII.

ROK VI.

TOM II.—ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1881.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 30 Kwietnia 1881 r.

KÓŁKA ROLNICZO-WŁOŚCIAŃSKIE

I ROZWÓJ PRACY OKOŁO ROLNICZÉJ OŚWIATY LUDOWÉJ

w W. Ks Poznańskiém i Prusach Zachodnich.

Czyliż się to zdarzyło kiedy w dziejach świata, aby cała masa ludu istotnie zasady dobra swego pojmowała?
Skarbek. Dzieje Ks. Warsz.

Włościanin wielkopolski (1) stoi dziś niewątpliwie na wyższym stopniu oświaty, niż kmieć któréjkolwiek innéj części kraju naszego. Przypisać to należy po części położeniu geograficznemu, zbliżonemu ku starszéj, wzorowéj cywilizacyi zachodu, daléj zewnętrznym okolicznościom prawodawczym, w przeważnéj jednak mierze jest to załugą *starszéj braci* tegoż włościanina a ostatecznie zasługą jego samego.

Oświata wyższa naszego włościanina nie tyle się objawia w bezpośrednich wynikach i następstwach, jak raczéj dopiéro w téj okoliczności, że po długiéj walce z ciemnotą i obojętnością, stał się kmieć nasz przystępnym dla nowożytnych *środków* cywilizacyjnych, a mianowicie, że chętnie i ze zrozumieniem poddaje się idei i prawu *stowarzyszenia.* Na obszarze W. Ks Poznańskiego istnieje obecnie już przeszło 100 towarzystw rolniczych, złożonych z samych włościan. Towarzystwa te nadzwyczaj błogo oddziaływają nie tylko na kulturę krajową, ale i na moralny stan włościan. Przysparzają mu one dobrobytu a budzą w nim samowiedzę i uspasabiają go do *samopomocy.*

---

(1) Włościanin wielkopolski i zachodnio-pruski jest właścicielem gospodarstwa począwszy od kilku do 300 morgów magdeb. W Księstwie nazywają ich *gospodarzami*, w Prusach *gburami* (Gebauer).

W małéj części towarzystw tych czyli *Kółek rolniczo-włościańskich*, nawet zarządy już się składają z włościan; w większéj części jednakże przewodnictwo spoczywać jeszcze musi w ręku *starszéj braci*, mianowicie duchownych, dzierżawców lub oficyalistów dworskich.

Towarzystwa te zostają pod opieką tak nazwanego Patrona, t. j. delegata Towarzystwa Centralnego Agronomicznego. Patron stara się o rozwój, ożywienie istniejących kółek, zakłada nowe, nadaje mu kierunek właściwy i kontroluje prawidłowe postępowanie.

Wszystkie kółka rządzą się jednym statutem czyli programem, którego osnowa najlepiéj objaśni czytelnika o celu i zakresie działania tych stowarzyszeń. Program (1) ten bardzo niedługi brzmi jak następuje:

§ I. Zebrania Kółek rolniczo-włościańskich odbywają się co miesiąc, w dniu przez pierwsze zebranie Kółka w ustawach oznaczonym.

§ II. Zadaniem Kółek jest, pouczać członków na zebraniach we wszystkich działach gospodarstwa wiejskiego, która to nauka, ażeby nieprzywykłe do niéj umysły zająć i uwagę ich przez dłuższy czas do przedmiotu przywiązać mogła, ma być w sposób jasny, zrozumiały udzielaną i podnosić się stopniowo. Początkowo wystarczy, jeżeli na posiedzeniach przypomną się członkom prace gospodarcze w porze zebrania przypadające i poda odpowiednie wskazówki do ch łatwiejszego i doskonalszego wykonania służące. I tak weźmy na przykład:

1. Podwórze.

a) jego urządzenie, aby każda rzecz miała oznaczone miejsce i pewne schronienie przed słońcem i słotą;
b) obejście się z mierzwą i podanie sposobu jéj przysparzania, przez utrzymanie porządku w podwórzu i usuwanie nieczystości zarażających powietrze;
c) utrzymanie zboża na śpichlerzu czy sypaniu, jego czyszczenie do siewu, na sprzedaż i t. p.

2. R o l a.

a) jéj uprawa;
b) różne rodzaje mierzwy i właściwe jéj użycie;
c) wszelkie rodzaje zbóż, traw pastewnych, okopowin, oraz ich zastosowanie do właściwego składu ziemi.

---

(1) Wypracowany przez patrona i komisyą, do któréj należeli p. p. marszałek S. Kurnatowski z Pożarowa, Henryk Krzyżanowski z Krotoszyna i dr. Zyg. Szuldrzyński z Lubasza.

3. Inwentarz.

a) rozmaite jego rasy;
b) żywienie latem i zimą;
c) sposób hodowania.

4. Gospodarstwo domowe.

a) urządzenie domowe;
b) wyrabianie nabiału;
c) drób w rozmaitych rodzajach.

5. Działy gospodarstwa dotąd zaniedbane.

a) pszczelnictwo;
b) sadownictwo i ogrodownictwo.

§ III. Daléj zadaniem Kółek jest obeznawać członków z ulepszonemi, a wypróbowanemi narzędziami rolniczemi i dawać praktyczne wskazówki co do zastosowania ich w wykonaniu.

§ IV. W zakres tegoż zadania wchodzi wyjaśnianie kwestyj ekonomicznych, a mianowicie dwóch najgłówniejsrych, p r a c y i o s z c z ę d n o ś c i, potém poznajamianie członków ze stosunkami handlowemi a mianowicie sprzedażą zboża podług wagi, czy to na kontrakt, czy też na targu, dalej z kwestyami kredytowemi, prawniczo-hypotecznemi o tyle, o ile znać je leży w interesie gospodarza.

§ V. Pożądaném jest zwracanie uwagi członków na drobne źródła dochodu, jako to: z nabiału, ogrodowin, maku i t. p.

§ VI. Dla nabycia dobrych wzorów i praktycznych poglądów, mają Kółka zwiedzać dobrze urządzone gospodarstwa posiedzicieli większych.

§ VII. Dla przekonania się o ile członkowie korzystają z udzielanych na zebraniach nauk, i starają się takowe w swych gospodarstwach zastosować, mają od czasu do czasu zwiedzać wybrane z grona Kółka komisye gospodarstwa członków, oraz mają być urządzane wystawy inwentarzy, płodów, narzędzi rolniczych, jako téż próby orki.

§ VIII. Kółka rolnicze mają nietylko oświecać członków nauką, ale i w każdym razie wspierać ich zdrową radą, czy to w urządzaniu gospodarstwa, zaprowadzaniu płodozmianu, w zabezpieczaniu od ognia i gradu, pozyskaniu kredytu, czy téż wreszcie w regulowaniu stosunków majątkowych.

§ IX. Przy końcu każdego zebrania oznajmia przewodniczący przedmioty, o jakich będzie mowa na przyszłém zebraniu.

§ X. Skrzynka w miejscu posiedzeń do składania pytań, poleca się, jako odpowiedni środek do zaspokojenia życzeń członków, nie usposobionych od wysłowienia się ustnie.

§ XI. W zakres programu wreszcie wchodzi, pośredniczenie w zakupnie dla członków wszelkich nasion i narzędzi gospodarczych, nawozów sztucznych, węgli, soli, żelaza, wszelkich zgoła przedmiotów dla gospodarza przydatnych.

§ XII. Lubo z natury rzeczy wynika, że na zebraniu Kółka rolniczego, tylko gospodarstwo wiejskie i zbliżone doń sprawy rozbierane być mogą, to jednakże dla tém wybitniejszego uwydatnienia celu, orzeka się wyraźnie, że sprawy kościelne i polityczne stoją po za obrębem Kółka i takowe na zebrania wprowadzać nie jest dozwoloném.

Nie trudno sobie wyobrazić, że przeszło 100 instytucyj, działających w rozproszeniu, ale w jednym kierunku, muszą wywierać stanowczy i błogosławiony wpływ na byt włościan. Przyznają to wszyscy, z bliska działaniu kółek się przypatrujący. Gospodarstwa członków kółek odznaczają się porządkiem, wzrastającym dobrobytem, a stolica nasza, do której corocznie raz zjeżdżają na walne zebranie delegaci kółek, w liczbie kilkuset włościan, wydziwić się nie może składnéj i poważnéj fizyonomii tych zebrań, w których nie wiedzieć co więcéj podziwiać: czy takt siermięgowych uczestników, czy ich zajęcie się owemi drobiazgowemi na pozór, a jednak w położeniu naszém tak żywotnemi, sprawami rolnictwa i gospodarstwa domowego.

Zkąd się wzięło, że u nas powstało naraz tyle włościańskich towarzystw rolniczych? Patrząc na fakt dokonany i okoliczności towarzyszące, zdawać by się mogło, że ruch ten społeczny jest owocem i wyłączną zasługą działań obywatelskich w ostatnich dwóch dziesiątkach lat; że daléj rezultat ruchu tego nie przedstawia *osobliwości* nadzwyczajnéj, gdyż towarzystwa podobne istnieją w Anglii i Niemczech, a nie przypisuje im się tamże tylko skromne znaczenie prostego narzędzia oświaty i postępu w kulturze rolniczéj.

I u nas zresztą nie inaczéj. Ale naszym towarzystwom włościańskim nadaje znaczenie, nie ich istota sama, lecz ogólne nasze okoliczności bytu, nie tylko nie sprzyjające, ale wręcz nieprzyjazne rolniczéj oświacie ludu. Społeczeństwa szczęśliwsze, korzystające swobodnie ze wszystkich czynników rodziméj oświaty, dawno używały z najlepszym powodzeniem téj właśnie formy szerzenia światła i nauki; myśmy po długiém błąkaniu się i wielu zboczeniach, dopiero w ostatnim czasie dobić mogli do takowéj. Dziś stoi ona przed nami jak owe jajo Kolumba, ale zajrzéć do historyi oświaty i rozwoju stosunków społecznych w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachod-

nich,—to nabierze się wyobrażenia, jak nieledwie od 100 lat, niesłychanie wiele trudów i przygotowań, społeczeństwo przebyło,—jak nieustannie, z stanowczością podziwienia godną, raz robiło postępy, to znów w ruchu zahamować i nieledwie cofać się musiało, jak idea oświaty ludu najrozliczniejszych szukała dróg i kształtów i jak wolnym krokiem zbliżyć się mogła do pierwszéj mety na drodze postępu, tj. do pobudzenia ludu, żeby samodzielnie najpotrzebniejszéj oświaty zapragnął, własnemi siłami jéj się dorabiał. A to właśnie ziszcza się obecnie w towarzystwach czyli kółkach rolniczo-włościańskich.

Kółka te nie są oderwanym objawem ducha czasu. Jak to poniżéj wykażemy, są one właśnie tylko tegoczesném ogniwem w *nieprzerwanym* łańcuchu obywatelskich działań ostatniego pół wieku, w którym inteligencya kraju nieustawała nigdy w usiłowaniach około oświecania ludu, mianowicie pod względem rolnictwa postępowego.

Jakkolwiek w ciągu czasu tego spółcześni nieustanne zawodzą żale na zbyt wolny postęp, zbyt leniwą dbałość o dobro i naukę ludu, historya, mniéj surowa w sądach, wyda niewątpliwie świadectwo świetne i chlubne, że inteligencya kraju w najtrudniejszych warunkach w pracy téj nie ustawała.

A praca ta padła na urodzajną glebę. Owoce jéj już dziś są widoczne, ale daleko obfitszych spodziewać się należy, skoro się zważy, że kmieć wielkopolski (1) w żyłach swych przechowuje krew owych przodków, którzy już przed wiekami stoczyli śmiertelną, chwalebną a zwycięzką walkę z żywiołami, wypierającemi go z niw ojczystych.

Wiadoma to rzecz, jak od niepamiętnych czasów, wślad za organizacyą kościelną, szerokim strumieniem lała się do Polski powódź obcych żywiołów. List arcybiskupa Jakuba w r. 1285 do kardynalskiego kolegium pisany (2), powiada nam, że „naród niemiecki nawiedził Polskę i miejscami szeroko ją zajął“ „tak rycerze jak wieśniacy (rustici) zajmują wsie, które *przedtem* Polacy dzierżyli“ „a różne nieszczęścia z przyjścia narodu tego rozmnożyły się, gdyż oni ród polski uciskają, gardzą nim, bójkami go trapią, wydzierają mu sła-

(1) Nie ustępuje mu w tym punkcie gbur zachodniopruski, którego przodkowie przetrwali kolonizacyjny system i ucisk krzyżacki.

(2) Kodeks Wielkopolski I. 25 574 i 5.

wetne ojczyzny prawa i obyczaje, w cichościach nocy z własnych jego użytków go wypędzają itd.“

Nawałnicy téj wskazało do Polski drogę chrześciaństwo, a prąd jéj przez kilka wieków utrzymywała w ruchu *chciwość gotowego grosza*, który z osad na prawie niemieckiém osiadłych i *niemieckich*, płynął do rąk dziedziców duchownych i świeckich, podczas gdy *wsie polskie*, wedle obyczaju dawały tylko zsepy i rozliczne posługi, roboty, daniny.

A gdzież się ostatetcznie podziała ta nawała obczyzny? Zapewne że jéj tamę poniekąd położyły patryotyczne idee i działalność takich mężów jak arcybiskup Jakub, Jan Ostroróg i i., ale idee te niemogłyby były znaleść gruntu i znaleść urzeczywistnienia, gdyby *kmieć wielkopolski* nie był podjął ekonomicznéj walki z obcym żywiołem napływowym i kolonizatorskim. Przywilej lokacyi niemieckiéj l linem rozsadzał całą organizacyą polskiego opola. Tak samo był on zabójczym i dla bytu jednostki włościańskiéj w „polskich“ wsiach gdyż stawił sąsiada niemieckiego, czynszownika, w nader korzystném obok polskiego kmiecia położeniu. Im więcéj było wsi niemieckich, tém duszniéj było w opolach kmieciowi polskiemu. W zmniejszonéj liczbie, musiał on te same co dawniéj ponosić ciężary. Ale kmieć polski nie uląkł się walki. Nie zasklepił się w przekazanym po ojcach sposobie życia i pracy. Już w 13 wieku widzimy, że i on ciśnie się do osad na prawie niemieckiém fundowanych. Osiadają w nich wspólnie *Theutonici et Polonicae gentis* ludzie, a kmieć polski zwolna zyskuje przewagę, wypiera Niemca albo go polszczy. W „Liber Beneficiorum“ Łaskiego, który po wsiach wymienia mnóstwo kmieci po nazwisku, zaledwie kilka spotyka się, które mają brzmienie wątpliwe, a więc *może* wskazują na pochodzenie niemieckie. Kmieć polski ze wsi i *małych* miasteczek wyparł obczyznę co do nogi.

Kmieć wielkopolski dumnym być może z dziejów swoich. On to, ujęty w przedziwnie ścisłą i organiczną spójnię polskiego opola, stanowił podwalinę potężnéj Polski Bolesławów, on w wiekach średnich pracą i znojem wyparł obczyznę z rodzinnego kraju. Intensywnie i ekstensywnie był silnym i rokował najlepsze nadzieje. Cóż tedy na całe wieki złamało jego wypróbowaną siłę?!

W rozwiązanie téj zagadki oczywiście tu wdawać się nie możemy. Stało się. Kmieć polski wieku XV, zamożny, pracowity, skrzętny, obowiązkowy, któremu dziedzice duchowni, obsadzając sołectwa swoje, tak chętnie dawali pierwszeństwo przed butną z karbów obowiązku wyłamującą się szlachtą, jakże korzystnie odbija od owego ledwie do człowieka podobnego jestestwa, które nam z ostatnich czasów Rzplitéj, ponuremi barwami, może trochę zbyt pessymi-

stycznie, maluje Garczyński w swéj Anatomii Królestwa Polskiego. Stało się—a mimo wszelką lepszą wolę, świtającą w konstytucyi 3 maja, mimo pewność całą, że normlnie się rozwijająca i odmładzająca Rzplta, byłaby nie zapomniała o kmieciu, faktem jest, że wieśniak odzyskał prawa *ludzkie* i samowiedzę, początek wszelkiéj oświaty, dopiéro w bieżącym wieku. W ciemnocie chłop już ani nie czuł ucisku, ani wiedział, że inaczéj żyć można, że istocie ludzkiéj *pracą* lepszego bytu dorabiać się należy.

„Chłopi jako poddani, powiada Skarbek, pozbawieni wyobrażenia własności osobistéj i rzeczowéj, nawykli do tego przekonania, że ich zamożność stanie się tylko ponętą dla większych wymagań panów lub tych, którzy nimi rządzili i że każdy niedostatek, zapomogą ze strony pana zastąpiony zostanie, gospodarzyli na danych sobie rolach tak, aby jaknajmniéj pracować i jaknajwięcéj marnotrawić... Ztąd gnuśność, marnotrawstwo i brak niepotrzebnéj w takich razach przezorności, wady przeciwne wszelkiemu przemysłowi, które nie dozwalały powstać i rozkrzewić się między chłopami polskimi téj rządnéj gospodarności i tym zabiegom gospodarskim, bez których rolnictwo kolebki swojéj opuścić nie mogło.“

Gdy historya wyrzekła brzemienne w następstwa słowo: własność, było ono dla chłopa polskiego niezrozumiałém. Źle zrozumiane stało się dla niego zatratą i upadku zupełnego przyczyną. Gdzie je lepiéj pojął, tam się bał tego zaczarowanego słowa i w uczuciu dziecęcéj zależności, odpychał od siebie. Uwłaszczenie i seperacya gospodarstwa w „kolebce“ jeszcze będącego, spowodowały klęskę materyalną dla nowych właścicieli.

Co się tyczy chłopa wielkopolskiego zresztą, nawet rząd pruski nie śpieszył się z odmianą stosunków. Rząd ten, powiada Skarbek, nie nadał z razu osobistéj wolności chłopom polskim, bo ten krok byłby dla niego niebezpiecznym i niepotrzebnym. Niebezpiecznym ponieważby zniechęcił i podburzył przeciw rządowi wszystkich właścicieli ziemi i utrudnił utrzymanie w karbach uległości chłopów, którzy przez wolność osobistą, nic innego rozumiéć nie mogli, jak uwolnienie od osobistych posług i od wszelkich obowiązków, do ówczesnego powołania rolnika przywiązanych. Zapewnia więc chłopom ogólną opiekę rządową (jaką przecięż już i konstytucya 3 maja poręczyła) i nie zmieniając zrazu w niczém ich stosunków z panami, zasłania ich tylko od samowolności i prześladowania tychże.“

Wszakże pierwsze ważniejsze prawo agraryjne pruskie, znoszące poddaństwo dziedziczne i nadające chłopom niemieckim *osobistą wolność*, wyszło dopiéro w czasie upokorzenia i trwogi, d. 9 paźdz. r. 1807, a więc w trzy miesiące po zawarciu pokoju tylżyckiego, kie-

dy nowa kreacya napoleońska nad Wisłą zagroziła Prusom, że przejmując ryczałtem nowe formy i instytucye francuskie, oskrzydli i ubiegnie je w opinii ze wschodu, jak się to równocześnie stało z zachodu w Królestwie Westfalskiém.

Obawa jednak była płonną. Edyktu pruskiego, choć noszącego na sobie wszelkie cechy pośpiechu, nie przewyższyła jednak potém konstytucya nadwiślańskiego księztwa. I ona tak samo tylko w ogólnych wyrazach orzekła: znosi się niewola, wszyscy obywatele równi są w obliczu prawa. Zaraz potém (21 grudnia 1807) wydany dekret królewski, tak samo ogólnikowo tylko przyniósł włościanom zupełną wolność opuszczania gleby a w razie sporu odesłał ich na drogę prawną, która dawniéj nie była dla nich dostępną. „Tym sposobem nadana wolność chłopom, którzy nie mieli żadnego pojęcia o tém, na czém wolność obywatelska zależy, zamieniła tysiące pracowitych, do roli i siedzib swoich przywiązanych rolników, w włóczęgów i tułaczy, których próżniactwo i nędza na drogę występku wiodły. Tym to sposobem, owa tyle upragniona wolność chłopów, stała się źródłem ich ubóstwa i demoralizacyi.“

Sąd ten (Skarbka) jednakże nie zupełnie jest sprawiedliwy. Nie wolność była przyczyną téj demoralizacyi, tylko ogólne stosunki efemerycznego księstwa, którego rząd, w owéj epoce ciągłych przewrotów europejskich, nie znalazł dosyć spokoju, żeby rozpoczęte dzieło usamowolnienia rozwijać i przeprowadzić tak organicznie jak to w czasie długoletniego pokoju uskuteczniono w Prusach.

W Prusiech już w r. 1811 (14 wrześ.) wyszedł był ów głośny *edykt* dla *kultury krajowéj*, który się stał następnie podstawą całego prawodawstwa agraryjnego pruskiego, podstawą usamowolnienia, uwłaszczenia i seperacyi gruntów. Prawie na pewne przypuszczać można, że opisane co tylko w agraryjnych stosunkach księstwa Warszawskiego zamieszanie, wynikłe z nieścisłości prawa, zamieszanie o którém rząd pruski mógł mieć najlepsze ralacye od pozostałych w księstwie byłych urzędników pruskich, wpłynęło tu właśnie na przyśpieszenie stanowczego edyktu. Jednakże i ten edykt orzekł tylko w pełnéj formie *uwłaszczenie* tj. nadanie *wolnéj* własności nieruchoméj poddanym rolnikom, ale zniesienie serwitutów i seperacyą pozostawił wolnemu działaniu osobno wydać się mających praw i organicznych instytucyj.

Gdy następnie po zawarciu pokoju wiedeńskiego, znaczna część Wielkopolski i Prus królewskich znów się dostała pod panowanie pruskie, a konkurencya na polu praw humanitarnych z sąsiadem wschodnim przestała wywierać nacisk moralny, rząd pruski nie śpie-

szył się już zbytnio z zastosowaniem nowego prawodawstwa swego agraryjnego do W. ks. Poznańskiego i innych krain zabranych.

Okupacya nastąpiła w maju r. 1815 a wydane w Prusach w r. 1817 (20 czerwca) rozporządzenie o organizacyi i porządku pracy instytucyj regulujących, czyli tn. Komisyj generalnych, nie odnosi się jeszcze do nowonabytych krajów. Dopiéro 8 kwietnia r. 1823 wydano prawo (1) organizujące takąż komisyą dla W. ks. Poznańskiego, okręgu miasta Torunia i Gdańska.

Komisya ta pracowała odtąd nieprzerwanie i ukończyła regulacyą dopiéro w r. 1845 (2).

Umyślnie podałem cały szereg prawodawczych faktów, żeby wykazać: ile to czasu potrzebowało potężne państwo, żeby się załatwić w sposób normalny z elementarnemi podstawami uwłaszczonego stanu włościańskiego. Nie można się zatém dziwić, jeśli społeczeństwo, w najniekorzystniejszych warunkach się znajdujące, drugie tyle potrzebowało czasu, żeby z uwłaszczonego chłopa zrobić oświeconego, światłego włościanina.

Wspomnieliśmy już, że położenie uwłaszczonego kmiecia polskiego było arcy-smutne. Kraziewicz, ów patron ludu, którego późniéj poznamy, powiedział na sejmiku toruńskim r. 1868: „uwłaszczenie i seperacya przyczyniły się najniewątpliwiéj do wzrostu i wzmoc-

---

(1) Zwłoka spowodowaną była głównie tém, że rząd pruski w nowonabytych krajach przedewszystkiem pragnął zatrzéć wszelkie ślady prawodawstwa francuzkiego i instytucyj z czasów ks. Warszawskiego. W tym celu rozkaz gabinetowy z 20 czerwca 1816 rozporządził przetłumaczenie praw pruskich na język polski a patent z 29 listopada r. 1816 orzekł następnie, że ogólny Landrecht pruski od daty patentu obowiązuje w W. ks. Poznańskiém. Patent ten nie zapomina wprawdzie o sprawie uregulowania stosunków włościańskich, ale zamiast pospieszać, zastrzega sobie tylko na późniéj objaśnienie edyktu z 14 września r. 1811 odnośnie do stosunków W. ks. Pozn. Rozporządzenie z 9 lutego r. 1817 zaprowadziło tamże pruską ordynacyą sądową, patent z 23 kwiet. r. 1818 takąż ordynacyą hipoteczną. Zdaje się, że zwłoka regulacyi stosunków włościańskich, naprowadziła wielu dziedziców na myśl wyzyskania jéj na korzyść swą. Pod ladajakim pozorem spędzali włościan z gruntów, żeby tém mniéj stracić obszaru, skoro chwila separacyi nadejdzie. W ten sposób bowiem chyba tłómaczy się rozkaz gabinetowy z d 6 maja r. 1818, który właścicielom zakazuje spędzać z gruntów włościan za prostem wypowiedzeniem miejsca. Jeśli rozkaz ten wydany był widocznie zarówno w interesie państwa i włościan, to z drugiéj strony i interes właścicieli doznał poparcia ze strony rządu, bo nie czekając seperacyi, wydał król rozkaz gabinetowy z 15 i 27 grudnia 1821, ustanawiający (stare) ziemstwo kredytowe dla W. ks. Pozn.

(2) Jako ostateczne ukończenie regulacyi uważać można dopiéro założenie *banków rentowych* wedle prawa z 2 marca r. 1850.

nienia przybyłego skąd *inąd* włościaństwa a niesłychanie osłabiły włościaństwo nasze... Włościanin nasz pracował od wieków pod komendą, pod komendą też i dziś umie pracować lepiéj od włościan innych narodów, lecz *na swojém* i dla siebie gdy przyszło mu pracować, pokazało się, że pracować nie potrafił. I jakże miał umiéć pracować dla siebie, nie otrzymawszy do tego żadnéj wskazówki, żadnego pouczenia... Zdaje się jakoby włościanie nasi, przeczuwali swoję klęskę, jaką im seperacya sprawić miała i dla tego też się jéj wykonaniu *opierali* jak mogli.“ Obdarzeni mimo woli, w najlepszym razie popadali obok odzyskanych praw ludzkich, w jeszcze bardziéj nieludzką nędzę. Nieradni a śmielsi z natury, wyprzedawali łany swoje przybyszom za psie pieniądze.

Włościanin niemiecki usamowolniony, a zatém równocześnie pozbawiony patryarchalnéj opieki pana, oraz korzyści z używania własności pańskiéj (lasy i pastwiska), znajdował za to opiekę w państwie, w jego ogólném prawodawstwie i instytucyach, zastosowanych do nowego stanu rzeczy. Toż samo państwo nie wykluczało wprawdzie zasadniczo i bezwzględnie polskiego kmiecia od tych korzyści i dobrodziejstw, ale już sama różnica języka i obyczajów i brak serdecznéj spójni uniemożebnił korzystanie z nich.

Jeden z matadorów rolniczych niemieckich, oberamtman Koppe z Walup (w żuławach nadodrzańskich) zwiedzał w r. 1844, a więc już na ukończeniu seperacyi, całe nasze Księztwo w celu poznania kultury krajowéj. W sprawozdaniu swém przyznaje się sumiennie, że uwłaszczenie samo przez się chłopa wielkopolskiego niepodniosło (1). Chłop ten, mówi on, nawet wyobrażenia nie ma o tém, że nadanie własności powołało go do nowego i lepszego bytu. Kłamliwemi są urzędowe sprawozdania o jego wdzięczności za uzyskaną własność, a wszelkie z urzędu podejmowane usiłowania, żeby go nauczyć lepszéj gospodarki i pobudzić w nim potrzebę wygodnego życia, porządku i oszczędności, spełznąć muszą na niczém, bo chłop nie ufa naukom i przykładom ludzi, ktorych języka nie zna, którzy innéj są wiary i innych obyczajów. Włościanin polski dopiéro wtedy robić będzie sam postępy w gospodarstwie, skoro *polacy właściciele* większych gospodarstw i téj saméj co chłop wiary, jaśnieć będą gęstszemi przykładami poprawnych gospodarstw.

Istotnie gospodarstw wzorowych polskich było w r. 1844 jeszcze bardzo mało w W. ks. Poznańskiém. Ziemianie nie mogli przy-

---

(1) Twierdzenie to Koppego spowodowało ostrą polemikę między nim a dyrektorem generalnéj komisyi seperacyjnéj, Klebsem.

kładem ani słowem pouczać włościan, bo samym rolnictwo postępowe, w zastosowaniu do zmienionych stosunków roboczych, było jeszcze obce, a górował przesąd, że do rolnictwa nie potrzeba nauki i myślenia, że ziemianin nie do pracy przeznaczony, lecz do odegrywania roli pana.

Tak tedy stwierdza się że ludność polska, zaraz po dokonanéj seperacyi, znalazła się w opłakanym stanie. Lichwa, korzystająca z wszelkiéj biedy, czepiła się nieporadnych i secinami dusiła ofiary. Sposoby zaradcze, których się chwytać mogła ludność niemiecka, dla chłopa polskiego nie istniały, lub były dlań niedostępne. Rząd późniéj wprawdzie niż gdzieindziéj, lecz i u nas popierał zakładanie *towarzystw rolniczych*, już w edykcie z r. 1811 zalecanych, lecz zakładał towarzystwa niemieckie. Zakładał téż tu *gospodarstwa wzorowe* (1), *szkoły włodarskie* (2), ale wszystko to bez skutku dla włościan polskich. Na ziemi malborskiéj np. już po r. 1823 włościanie polscy należeli do zakładanych tamże z urzędu towarzystw rolniczych, ale z powodu że rozprawy odbywać się musiały w niezrozumiałym języku, powystępowali wnet i tylko w wystawach udział brali. Dawano tam także zadatki na nasiona okopowizn i traw. Tak samo i w W. ks. Poznańskiem, naczelny prezes na tenże cel dawał zapomogi— towarzystwu niemieckiemu (1852).

Mieli téż podczas trwania seperacyi, porozsadzeni po powiatach komisarze specyalni, dawać instrukcye prywatnie zgłaszającym się włościanom, jak i o ile w nowych warunkach należy odmienić sposób gospodarowania, ale rozporządzenie odnośne z powodów, przez Koppego wyłuszczonych, żadnego nie odniosły skutku.

A jeżeli w takiém położeniu rzeczy wielkopolskie włościaństwo nie upadło ryczałtem i chociaż zdziesiątkowane dotychczas się trzyma, komuż przypisać należy zasługę?

Po prostu *samopomocy* społeczeństwa naszego. Klasa wykształceńsza, duchowieństwo, szlachta i inteligencya, widząc to opuszczenie młodszego brata, choć słabą własną podała mu dłoń pomocną, usiłowała i po dziś dzień usiluje wszelkiemi sposobami pobudzać ducha włościan do samodzielności, wyrabiać w nim potrzebę oświaty i postępu—a mianowicie w sprawach rolnictwa i gospodarstwa domowego.

---

(1) W r. 1857 w Mogilnickiém.

(2) W Wielowsi i Wielnie pod Bydgoszczą, w Chrustowie pod Żninem, Konarzewie pod Rawiczem u p. Rothe r. 1850. Dziś jeszcze jest taka szkoła w Polskiéj wsi pod Pobiedziskami (od r. 1860). Ale to były i są kursa praktyczne dla Niemców.

Chcąc rodzaje samopomocy téj społecznéj bliżéj skeślić, wypadłoby nam powiedzieć, że w pierwszym rzędzie przyczyniła się do oświecenia włościaństwa naszego *prasa polska ludowa i literatura*, następnie *towarzystwa* i wybitniéj w nich działające osobistości, a nareszcie przyznać trzeba, że i *włościanie sami*, zbudziwszy się z letargu, przyczynili się niejednokrotnie energicznèm żądaniem i pragnieniem, że starsi bracia, ociągający się, przyśpieszyć musieli kroku w niesieniu pomocy.

Wedle tych wytycznych, należałoby nam może teraz bliżéj rozpatrzyć sprawę. Ale ponieważ wszystkie czynniki te ściśle za sobą skojarzone, ponieważ nadto sprawa oświaty ludu w W. ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich nie zawsze równym rozwijała się krokiem, owszem, raz tu, raz tam, główne znajdowała tętno, dla uniknienia przytém powtarzań, musimy się trzymać kolei czasu, a nie różnych działania sposobów.

Pierwszym *organem prasowym* (1) dla oświaty ludu w naszych krainach, była *Szkółka Niedzielna*. Pisemko to wychodziło w Lesznie, nakładem wydawcy *Przyjaciela ludu*, zasłużonego Ernesta Günthera, od r. 1837 począwszy, pod redakcyą ks. Borowicza, potém (1849) J. Koteckiego w Kościanie, a z główuym współudziałem ks. Tomickiego. Pismo to z razu wyłącznie poświęcone pouczaniu w rzeczach religii, gospodarstwa rolnego i domowego, od r. 1848 miało krótki peryod, w którym z powodu współzawodnictwa z ciekawszemi ludowemi pismami politycznemi (2), zwracało uwagę swą na sprawę szkół, wypadki polityczne, agitacyą wyborczą. Ale już od połowy r. 1849, z powodu ściśnienia praw prasowych, wróciło do dawnego zadania, skarżąc się, że nie może pisać o wszystkiem, jakby chciało, bo nie może złożyć kaucyi 1 000 talarów. Szczegół ten dowodzi, że ruch literacki, na korzyść oświaty ludowéj działający, jeszcze się wtedy w W. Księstwie nie cieszył takiém jak dziś uznaniem, jeśli w potrzebie nie znalazł odpowiedniéj zapomogi materyalnéj. Szczu-

---

(1) Literatury specyalnéj dotkniemy zaledwie mimochodem, bo wyczerpujące zajęcie się tym przedmiotem zanadto by rozszerzyło zakres téj rozprawy.

(2) Wychodzący w Toruniu *Biedaczek*, wylicza następujące pisma polskie po r. 1848 założone: *Szkółka narodowa* w Chełmnie (red. ks. Knast † r. 1852); *Wielkopolanin* w Poznaniu (późniéj jeszcze *Wiarus*), *Biedaczek* w Toruniu (red. Preyss); *Dziennik Górnoszlązki* w Bytomiu na Szlązku (red. Łepkowski, potém Smolka, Lompa i Mierowski); *Tygodnik Maryański* w Niem. Piekarach na Szlązku; *Tygodnik Polski* w Oleśnie na Szlązku; *Gazeta Wiejska* w Opolu; *Orędownik Ludu* w Ełku na starych Prusach; *Kurek Mazurski* tamże; *Tygodnik Nadodrzański*. Spotkałem się także jeszcze z wzmianką o *Tygodniku Trzemeszyńskim*. Na starych Prusach wychodził jeszcze ks. Gizewiusza *Przyjaciel Ludu* Łecki.

płym był także szereg współpracowników. Już na początku VI rocznika ks. redaktor życzy *wszystkim*, których zachęcał do współpracownictwa, „aby więcéj mieli czasu.“ A przecięż cała *Szkółka Niedzielna* wychodziła w małym półarkusiku. W braku oryginalnego materyalu, uciekać się musiała do przedruków i wyciągów z kalendarzy, podręczników weterynarskich, z wydawnictw ludowych, jak *Pielgrzym* z *Dobromila*, *Franciszek Nowak* zaradny wieśniak (Głogów 1840), z *Tygodnika Trzemeszyńskiego*, z leszczyńskiego *Przyjaciela Ludu*, do tłómaczeń z *Dorfzeitung* a późniéj do przedruków z *Ziemianina*. Umieszczała też dla zapełnienia i zaciekawienia pstrą mieszaninę rozmaitości i anegdot, zręcznie niekiedy dobieranych z dziejów krajowych.

Pomimo takiéj dorywczości i niesystematyczności w materyale, pismo to zdobyło sobie i znaczenie i wielką zasługę. Ono przygotowało grunt, uprawiło umysły włościan, obudziło w nich pierwszą potrzebę *oświaty dla pracy*. Od czasu do czasu zamieszczane w *Szkółce* znakomite gawędy moralizujące i pouczające z życia domowego i o gospodarstwie, jak niemniéj i o wznioślejszych uczuciach w stosunku rolnika do gleby odziedziczonéj po przodkach, wywierały wpływ prawdziwie ożywczy i użyźniający umysły. Z gawęd tych, pochodzących prawdopodobnie bez wyjątku z pod klasycznego pióra ks. Tomickiego, złożył się następnie ów włościański Pan Podstoli, ów *Mądry Wach*, przedstawiający rozumnego, doświadczonego i poczciwego wieśniaka. Książka ta po dziś dzień jest główną perłą naszéj literatury ludowéj.

Chociaż w urywkach i bez systematycznego wykładu, sprawa postępowego gospodarstwa, znalazła już w *Szkółce* wyraz rozgłośny. W najrozmaitszych sposobach i przy najrozmaitszych okolicznościach powtarzają się tu nawoływania do lepszego obchodzenia się z mierzwą, poprawniejszéj uprawy roli, urządzenia płodozmianu, poprawy inwentarza, hodowania traw, koniczyn i okopowizny, do uprawy łąk, ogrodnictwa, pszczelnictwa. Znajdujemy już nawet w dawniejszych rocznikach wzmianki o sztucznych nawozach. Wszakże i dziś kółka włościańskie temi samemi postulatami rolniczemi się zajmują, tyle że skuteczniéj, bo przez żywe słowo i praktyczną naukę w „towarzystwie.“ Idea asocyacyi, choćby tylko dla pouczania, jeszcze w téj pierwszéj epoce *Szkółki*, społeczeństwu naszemu w praktyce była obojętną. *Szkółka* nie objawia jéj rychléj aż dopiéro w czasie Ligi (1849), owego wielkiego zespolenia całego społeczeństwa, w celach organicznéj pracy ufundowanego.

Zanim postąpimy w przeglądzie dalszéj działalności naszéj pracy ludowéj, musimy dorzucić kilka słów o owéj *Lidze*, która wtedy owładnęła wszystkie objawy życia społecznego, a zatém i pracę ludową.

Liga ta jest zaiste fenomenalnym objawem. Obmyślana wprawdzie już rychléj, powstała jednak dopiéro po wypadkach, cierpieniach i klęskach r. 1848. Wypadki tak nieszczęśliwe zwykły pogrążać spolecezeństwa na czas dłuższy w zastój i apatyą. Tu przeciwnie się stało. Duch społeczny nie złamany klęskami i zawodami, natychmiast skupia się do nowego wysiłku. Ruch nie ustaje, owszem potęguje się a przytem robi zwrot, *stanowiący epokę w dziejach naszych*, naznacza nowy kierunek wyzwalający społeczność z pod panowania dawnych, już niewczesnych doktryn i praktyk. Kierunek ten miał się odtąd stać panującym w całym kraju, a skoro nić jego przerwano raz jeszcze, wracając do zasad dawniejszych, najokropniéj się to przeniewierzenie zasadom Ligi zemściło, na losach całego kraju.

Wówczas więc, ledwo że społeczeństwo poznańskie przypieczętowało tak nieszczęśliwie, narzucone mu zresztą, wypadki z roku 1848, a już plejada myślących jego przewodników, postanowiła odtąd krajowe żywioły i zasoby organiczne rozwijać *na drodze pokoju* i zawiązała wedle prospektu hr. *Augusta Cieszkowskiego*, stowarzyszenie, co do treści, celu i *ściśle prawnego zakresu*, podobne do O'Connellowéj agitacyi, a w organizmie i sposobie postępowania urządzone na wzór Ligi zbożowéj Cobdena, od któréj i nazwę wzięła.

Liga ta, zawiązana w Berlinie (25 czerwca 1848), niebawem z wielkim zapałem w całym kraju przyjęta, rozpowszechniła się na całe W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie. Władze uznały ją za stowarzyszenie chwalebne, a minister oświadczył deputacyi, że w niczém mu nie będą przeszkadzały, póki na drodze prawa postępować będzie. Z drogi téj rzeczywiście Liga nigdy nie zeszła a upadku jéj, spowodowanego z zewnątrz, szukać należy w ścieśnieniu prawodawstwa i swobód administracyjnych po r. 1849.

Nie tu miejsce skreślać obraz tego wielkiego stowarzyszenia. Pomysł jego i krótki żywot przyrównać można do wspaniałéj uwertury, która zawiera i potrąca o wszystkie motywa całości muzycznego dzieła. Tak i Liga zapowiada, zaznacza wszystko, cokolwiek odtąd u nas zrobiono na polu legalnego rozwoju, na polu *organicznéj pracy*. Liga rzuciła pierwszy siew; co dziś się robi, jest wykonaniem jéj pomysłów i wskazówek—zużytkowaniem jéj spuścizny.

Wykażemy to po krótce na sprawie, która nas tu szczegółowo zajmuje, na kierunku sprawy włościańskiéj, odnoszącym się do ludowéj oświaty rolniczéj.

Od samego początku miała Liga, pomiędzy pięcioma dyrektorami, dyrektora *rolnictwa i interesów włościańskich*, ale wydział ten z razu nie umiał zupełnie trafić na właściwy kierunek działania. Brano na uwagę ostateczne uregulowanie stosunków ludu roboczego, a mianowicie czynszów, ale czując, że to sprawa raczéj prawodawstwa państwowego, niźli stowarzyszenia krajowego, zawieszono działalność. W roku następnym jednak już Liga doskonale zrozumiala, w jakim kierunku sprawę włościaństwa podjąć należy.

W zmienionych przez uwłaszczenie i seperacyą stosunkach rolniczych, gospodarze mniejsi—jak już powyżéj zaznaczyliśmy—narażeni byli prędzéj lub późniéj na niechybną ruinę, skoroby odpowiednio do okoliczności nie starali się urządzić swych gospodarstw. Trzeba tam było myśléć, pracować racyonalnie, robić nakłady i oszczędności zarazem, a tego wszystkiego nauczyć mógł tylko ogólny postęp oświaty, a specyalnie kształcenie się w rzeczach rolniczych. Otóż punkt wyjścia w dalszych działaniach Ligi w tym kierunku.

Z polecenia dyrekcyi napisał E. Estkowski obszerny program pracy około oświaty i podniesienia dobrobytu ludu. Dotąd nad to, co w programie tym zawarte, mało nowego wymyślono i zrobiono. Nasze kółka rolnicze w zasadzie i w zarodzie, objęte już były w tym programie Ligi.

Aby podnieść *wiejskie* rolnictwo, powiada Estkowski, niechaj dyrektorowie Lig udzielają ludowi praktycznych rad rolniczych np. jak najlepiéj hodować inwentarz, jak pomnażać mierzwę, rozmnażać trawy pastewne, jak korzystać z koniczyny, jak się obchodzić ze słomą, którą tak lekkomyślnie niejeden sprzedaje, odbierając tym sposobem inwentarzowi i roli potrzebny pokarm i siły, jak najlepiéj spieniężyć zboże i tym podobne rzeczy, znane mieszkańcom wsi a bezpośrednio ludu tyczące. *Na posiedzeniach Ligi powinny dyrekcye podobne kwestye poruszać jako przedmioty ogólnéj dyskusyi i narady.* Daléj zaleca Estkowcki, żeby zachęcać żony włościańskie do gospodarności i do porządku, podejmuje sprawę obudzenia przemysłu domowego, pszczelnictwa, ogrodnictwa, wstrzemięźliwości, spółek pożyczkowych, kramów polskich po miasteczkach i gościńcach, spółek produkcyjnych i konsumcyjnych, radzi dyrekcyom lokalnym odbywać jak najczęstsze zebrania i rozbierać na nich te i tym podobne kwestye z dziedziny pracy organicznéj.

Próby praktyczne w téj mierze podejmowane, przyniosły niejakie rezultaty zachęcające. Sprawozdania z powiatowych zebrań Ligi, wkrótce zapowiadać zaczęly założenie albo opisywały istnienie różnych *specyalnych stowarzyszeń*. Najwięcéj powstało — z powodu

częstego pomoru—stowarzyszeń zabezpieczenia krów włościańskich, kilka kas oszczędności, a powiat *brodnicki* w Prusach Zachodnich, pod wpływem Ignacego Łyskowskiego, pierwszy założył (1849) *Towarzystwo w celu zaprowadzenia ulepszeń w gospodarstwie i płodozmianu u pomniejszych gospodarzy.*

Na podstawie tych doświadczeń podał wydział rolniczy do głównéj dyrekcyi Ligi projekt zakładania *Towarzystw rolniczych włościańskich.*

W motywach do projektu tego odwołał się wydział nie tylko na przykład Niemiec i Anglii, gdzie mali dzierżawcy i gospodarze celują wzorowem gospodarstwem jedynie dzięki zaprowadzeniu towarzystw rolniczych *w małych okręgach*, ale też głównie na przykład Prus Zachodnich, gdzie (a więc już przed r. 1849) Towarzystwa włościańskie (niemieckie) znacznie byt małych właścicieli poprawiły. „Wieśniak wszędzie chce przez własne dyskusye lub naoczne przekonanie być nauczanym. *Ustna* nauka, w któréj wątpliwość jego natychmiast przykładem zostaje zbita, więcéj skutkuje, jak wszelkie uczone dedukcye i dzieła, a dopiéro przy *ustnym wykładzie pisma skutek wywierają.*“

Projekt ten jednakże nie uzyskał na razie zatwierdzenia dyrekcyi. Zalecała ona, prawdę powiedziawszy trochę w interesie własnym, żeby *zebrania powiatowéj ligi zapełniać* sprawami i obradami rolniczemi, a nie radziła zakładać nowych specyalnych stowarzyszeń rolniczych, bo już i bez tego w społeczeństwie dawał się uczuć *„przesyt towarzystw.“*

Wkrótce jednakże zmieniła dyrekcya zdanie. Zmiana ta wynikła z twardéj konieczności, która sprowadziła rozwiązanie głównéj dyrekcyi Ligi, pozostawiając tylko stowarzyszenia powiatowe i miejscowe, bez centralnego organu kierującego. Przed samém rozwiązaniem wydała dyrekcya orędzie, w którém złożyła niejako wyraz ostatniéj woli swéj. W orędziu tém naznacza ona i zaleca dziatwie swéj tj. ligom powiatowym, trzy kierunki pracy, a na czele kładzie zawiązywanie *stowarzyszeń rolniczych*, daléj towarzystw przemysłowych, a nareszcie pielęgnowanie oświaty ludu przez zakładanie *czytelni.* Rozwiązując się wyraziła dyrekcya nadzieję, że rzekomy ten krok *wstecz* w pracach organicznych, wyjdzie na dobre, bo *lokalne stowarzyszenia* lepiéj mogą ocenić stosunki i potrzeby, oraz sprostać takowym. Każdy członek Ligi wstępować powinien do specyalnych towarzystw, które mając wyraźnie wytknięte i *ściśle ograniczone* cele, lepiéj udawać się będą.

Nie rychło jednak ziściły się życzenia i nadzieje upadającéj Ligi. Jéj grzechem pierworodnym był zakrój zbyt wielki na nasze

stosunki. Zakrój ten był grzechem, ale bez grzechu tego nie byłaby Liga tém, czem była i jest, owoż gwiazdą przewodnią dla wszystkich, ku prawdziwemu szczęściu kraju skierowanych usiłowań. Tak sympatyczna rzeczy istota, tylko w wielkim zakroju znaleść mogła odpowiednią formę; ale stąd poszło, że sympatyą dla treści i istoty, społeczeństwo przeniosło i na ową wdrożoną formę wielkiego zakroju, gdy już z powodu upadku Ligi innych form szukać trzeba było. Trudno, nader trudno było społeczeństwu naszemu wybrnąć z zaklętego koła ligowych pojęć o sposobie działania i jego kształtach. To téż, zwłaszcza przy innych jeszcze przeszkodach zewnętrznych, długo, bardzo długo trafić ono nie mogło na właściwą drogę i błędne i daremne robiło usiłowania w przeprowadzeniu spuścizny Ligi. Zamiast rozpocząć od dołu, od organizowania atomów, żywiołów, materyałów, silono się ciągle na odnowienie wielkiéj, symetrycznie zbudowanéj organizacyi rolniczéj, któréj wprawdzie istniała potrzeba, ale nie było składników. Obłęd ów bardzo trafnie charakteryzuje w r. 1851 umieszczony w *Ziemianinie* artykuł Teodora Mańkowskiego: „O rolniczych i parafialnych stowarzyszeniach.“ Autor potępia tam manią zakładania towarzystw rolniczych *na wielką skalę* i wykazuje, że żadne usiłowania w téj mierze się nie powiodą, póki nie utworzą się powiatowe i *parafialne* towarzystwa, któreby członków dla wielkiego stowarzyszenia wyrobiły i przygotowały.

Jakże można było spodziewać się skutecznéj czynności towarzystw rolniczych w społeczeństwie, którego oświata rolnicza, nie tylko u włościan ale i u ziemian, stała na bardzo niskim jeszcze stopniu. Jakże „starsi bracia“ mieli włościan i lud pouczać i prowadzić przykładem i przez naukę do dobrobytu, kiedy nauka ta była zgoła jeszcze nie rozpowszechnioną a stan ziemiaństwa nie oznaczał jeszcze bynajmniéj *rolników oświeconych*, prowadzących *proceder rolniczy*, lecz panów przeżywających kapitał odziedziczony po ojcach, w formie *roli*.

To téż dużo jeszcze wody upłynąć musiało, zanim Księstwo na seryo podjąć mogło systematyczną pracę około podniesienia rolniczéj oświaty ludu. Lud potrzebował się także przygotować na jéj przyjęcie, klasa oświecona musiała się usposobić i przygotować do roli nauczyciela.

Że i jak te przygotowania się prowadziły bez przerwy i wytchnienia zobaczymy poniżéj. Teraz wypada nam zwrócić się najprzód w tę stronę, gdzie po upadku Ligi, nie przestało bić głośniéj tętno pracy organicznéj, tj. do *Prus Zachodnich*.

Z upadkiem Ligi, upadły równocześnie i jéj organa ludowe: w W. Księstwie *Wielkopolanin* i *Wiarus*, w Prusach Zachodnich: *Szkólka Narodowa* w Chełmnie a *Biedaczek* w Toruniu i Chełmży. Pisma te mało wprawdzie uwzględniały ekonomiczną i rolniczą stronę oświaty, owszem przeważnie trudniły się politycznem kształceniem ludu. Ale i ten kierunek miał właśnie wielkie znaczenie propedeutyczne, gdyż rozciekawiając lud, przyzwyczajał go do czytania. Kierunek ten był odpowiedni czasowi i rozbudzonym namiętnościom publicznego życia. Miał wprawdzie to złe, że odwodził w ludzie skupienie myśli od codziennych spraw bytu, do obojętnych lub odległych dla jego interesów, ale ciekawych spraw świata, które jednak daleko więcéj nęciły lud, jak poważne, suche, nudne wywody ekonomiczno-rolnicze. To téż *Szkólka Niedzielna* i po upadku *Wielkopolanina* i *Wiarusa*, nie mogła się utrzymać z swym programem religijno-gospodarskim. Charakterystyczną jest w téj mierze apostrofa *Biedaczka*, do czytelników wystósowana po zakończeniu wojny węgierskiéj. „Skoro się wojna węgierska skończyła, to też zaraz i chęć do czytania gazet i pisemek ostygła. Ztąd wynika, żeście gotowi do wojny i że sobie bardziéj wojny życzycie, niż że się oświecać chcecie i *pracować na drodze pokoju*.“

Z upadkiem Ligi i jéj organów ludowych, praca około oświaty ludu w W. Księstwie, w *dotychczasowéj* formie zahamowała się na niejakiś czas bądź dla przeszkód politycznych, bądź z przeszkód wewnętrznego usposobienia społeczeństwa, o którém mówiliśmy wyżéj. W Prusach Zachodnich tymczasem praca ta, spuścizną Ligi przekazana, szła swoim torem. Praktyczny i pracowitszy umysł obywatelstwa zachodnio-pruskiego, od razu pochwycił w skrzętne ręce ową sprawę *towarzystw rolniczych*, dla narodu rolniczego najżywotniejszą. Podczas gdy w W. Księstwie subtelnie debatowano, czy zakładać towarzystwa rolnicze, czy téż sprawami rolniczemi zaprzątać ligi miejscowe, oni zakładali nie tylko dla gospodarzy większych posiadłości, ale i dla *włościan* stowarzyszenia w Brodnicy, Chełmnie, Chełmży i t. d. Podczas gdy prasa *ludowa* wielkopolska z upadkiem *Wielkopolanina* i *Wiarusa* na dziesiątki lat zamilkła (1), upadający w Toruniu *Biedaczek*, zapowiadał już wydawnictwo *Dobrego Gospodarza*, a zatém pisma czysto-rolniczego, wyzwolonego

---

(1) Po upadku pism tych, utrzymała się jeszcze niejakiś czas dawna *Szkólka Niedzielna*, a nowo powstały: *Wieści Poznańskie* (1851), pismo poświęcone sprawom *komunalnym*, nowiniarstwu i belletrystyce. Ale pisma te pozbawione polityki, w której czytelnik ludowy zasmakował, nie mogły odzyskać i zdobyć wpływu. *Szkólka Niedzielna* odżyła później jeszcze raz (1860—1863).

z polityki, która wszystkim pismom naszym zgon zgotowała. „Gospodarz“ ten wprawdzie nie wyszedł, ale jeszcze przed ostatecznym upadkiem pism powyższych, pojawił się był w Chełmnie (r. 1849—1870 z przerwami krótkiemi) *Nadwiślanin*. On jeden przetrwał burzę i jest niejako ogniwem łącznem między epoką Ligi a następną drugą epoką organicznéj pracy, znajdującą źródło podniety, wzór i popęd ruchu w *Towarzystwie Rolniczém Warszawskiém*.

Redaktorem pierwszym *Nadwiślanina* był znany autor rolniczy Ignacy Łyskowski (Z Mileszew w Prusach Zachodnich). Jako czynny członek Ligi, a człowiek łączący z nauką i umysłem skierowanym do poważnych zadań życia, zmysł praktyczny i zrozumienie realnych podstaw bytu, potrafił on w piśmie swém przechować z puścizny Ligi to, co wobec reakcyi politycznéj przechować było można, tj. kierunek dbałości o materyalne dobro, o podniesienie krajowego rolnictwa, mianowicie u włościan. To téż najważniejszą częścią wydawnictwa jego, był właściwie dodatek do *Nadwiślanina*, pod tytułem: *Gospodarz*.

Już w r. 1851 I. Łyskowski zmuszony był złożyć redakcyą „Nadwiślanina,“ a chociaż pismo to (pod redakcyą J. Gółkowskiego), idąc za gustem czytelnika, a nie bez ofiar pieniężnych obywatelstwa na kaucye, przedziergnęło się zupełnie na pismo polityczne, choć *Gospodarz* przestał wychodzić (musiał ze względu na nowo powstałego *Ziemianina*), I. Łyskowski nie przestawał nadal w *Nadwiślaninie* pielęgnować tradycyj ligowych w kierunku rolniczo-ekonomicznym. W r. 1852 pisze on (Nr. 84): „istotną zamożność i siłę narodową w Prusach Zachodnich, tworzy mnoga klasa pomniejszych właścicieli i gburów, która niestety upada. Upadkowi temu trzeba zapobiedz a zapobiedz można jedynie tylko przez *naukę*. Nauczmy naszych pomniejszych właścicieli rolniczych, jakie są postępy w rolnictwie, mocą których dochód z roli w dwójnasób powiększonym być może, a tym sposobem wzbudzimy w nich ciekawość w doświadczaniu, chęć zarobkowania, zamiłowanie pracy i własności, a następnie lenistwo, nierząd i pijaństwo musi ustąpić. Nauczmy ich, jak się obchodzić z inwentarzem, jak go hodować, jak zaradzić w razie potrzeby, oddalmy od nich mocą nauki liczne w tym względzie przesądy i zabobony, a zabezpieczym ich od tysiącznych strat. Zapoznajmy ich z pszczelnictwem, z ogrodnictwem i z tém wszystkiem co w małém gospodarstwie przez przemysł i pracę zysk przynosi.“

Jak w owém orędziu Ligi, spisaném przez Estkowskiego, tak tu po raz wtóry spotykamy jasny program dzisiejszych naszych kółek włościańskich. W idei rzecz dawno się objawiała, w praktyce przeczekać musiała do lepszych czasów, pomnożenia zastępu wiernych

krzewicieli. I. Łyskowski już wprawdzie sam zakładał wtedy towarzystwa rolnicze z *udziałem włościan*, ale i on nie znalazł w społeczeństwie szerszego poparcia a u ludu dostatecznie przygotowanego gruntu. Widząc, jak się rzecz i o to rozbija, że i najchętniejsi nie wiedzą, jakiéj metody chwycić się w pouczaniu ludu, jak nauki *formułować*, postanowił zaradzić niedostatkowi podręcznika. W tym celu napisał i wydał (1852 u Koehlera w Brodnicy) swego sławnego na cały kraj *Gospodarza*, dzieło podręczne, zawierające całą naukę rolniczą. Dzieło swe poddał poprzednio światłéj krytyce ówczesnego współredaktora *Ziemianina* Wojciecha Lipskiego z Lewkowa. Jest to dowód wymowny, że ówcześni myśliciele obydwóch prowincyj, jak za czasów Ligi tak i teraz jeszcze działali w porozumieniu i wzajemnie się wspierali. Ig. Łyskowski jak i T. Donimirski z Buchwałdu, byli współpracownikami *Ziemianina*, w r. 1850 założonego pod redakcyą W. Walniewicza i W. Lipskiego. (Leszno u Günthera).

Tu wrócić nam wypada do ruchu umysłowego w W. Ks. Poznańskiém, gdzie po upadku Ligi, rozpoczęła się w pierwszym rzędzie systematyczna praca około rozpowszechnienia oświaty rolniczéj między klasą wykształconą, między *ziemiaństwem*. Organem pracy téj był właśnie świeżo założony *Ziemianin*. On to zarazem miał przygotować grunt dla *towarzystw rolniczych* (1), których upadająca Liga wskrzesić nie potrafiła.

Świeżym tradycyom Ligi i naciskowi obywatelstwa zachodnio-pruskiego przypisać należy, że *Ziemianin* zaraz od samego początku nie zaniedbał także sprawy gospodarstwa włościańskiego. Już w pierwszym roczniku znajdujemy tam kilka rozpraw, badających opłakany stan wieśniaków i sposoby podniesienia gospodarstwa włościańskiego. Wyżéj już potrąciliśmy o umieszczony tamże sumienny referat o kulturze krajowéj takiéj powagi jak Koppe z Wolup. Spotykamy daléj praktyczne wskazówki, jak urządzać płodozmian włościański, nawoływanie pism ludowych, żeby zamieszczały więcéj

---

(1) Już przed r. 1846 istniały w Księstwie towarzystwa rolnicze, albo mówiąc ściśléj *towarzystwa rolników*. W r. 1844 i 1845 nieledwie w każdym powiecie istniało takie towarzystwo. Na walném zebraniu w Poznaniu wybrano nawet dyrekcyą centralną. Dyrekcya ta jednakże nie uzyskała zatwierdzenia rządu, a towarzystwa upadły z braku sił i zapału do pracy a po części i z powodu pomięszania polityki ze sprawami rolnictwa. Organem tych pierwszych stowarzyszeń był „Przewodnik rolniczo-przemysłowy“ wychodzący w Lesznie. Upadł i on razem z towarzystwami, z których pozostało tylko kilka pracujących wyłącznie w języku niemieckim.

artykułów o rolnictwie, wskazówki na błogą działalność od $^1/_4$ wieku już w Prusach Zachodnich istniejących towarzystw rolniczych (niemieckich) i na świeżo 27 lutego 1849 r. zawiązane pierwsze towarzystwo rolnicze *polskie* w Brodnicy, które w § 1 ustawy swéj, jako główny cel postawiło sobie, obok rozszerzania zasad poprawnego gospodarstwa w ogóle, w szczególności polepszenie bytu włościan. Zaraz téż ożywia się w Księstwie interes dla towarzystw rolniczych. Zaczęto dawniejsze odnawiać a nowe zakładać. W r. 1851 zakładają: E. hr. Poniński, W. Walniewicz, T. Mańkowski i M. Jackowski towarzystwo rolnicze *wrzesińsko-średzkie*, W. Lipski zakłada w Ostrowie tow. odolanowsko-pleszewsko-ostrzeszowskie. Obadwa towarzystwa prześcigają się w dobrych zamiarach dla gospodarstwa włościańskiego. W towarzystwie *ostrowskiem* odzywa się myśl zajęcia się *głównie* właścicielami małych gospodarstw aż do 150 morgów. W myśl powyżéj przytoczonego artykułu T. Mańkowskiego, dyrekcya objawia zamiar utworzenia po miastach i znaczniejszych wsiach *towarzystw mniejszych* (parafialnych), któremi mianowani z poręki towarzystwa delegaci zarządzać mieli. Delegowani ci pouczać mają włościan o wszystkich ulepszeniach gospodarskich, kierować gospodarstwami *wzorowemi* i zdawać ze wszystkiego sprawę. W. Lipski otworzył u siebie kurs nauki pszczelnictwa podług systemu Dzierżona, a nawet ogłoszono już statut *zbiorowéj szkoły rolniczéj*, któraby u zawołanych w powiecie specyalistów, nastręczała włościanom kursa gospodarskie, jakie tu i owdzie rząd urządzał po lepszych gospodarstwach niemieckich. Towarzystwo wrzesińsko-średzkie znów, naśladując także usiłowania rządowe, ze znacznym nakładem pieniężnym, urządziło kilka gospodarstw wzorowych (1). Towarzystwo krobsko-śremsko-wschowskie, wyznaczyło naprzód 50 a następnie 100 tal. nagrody, za napisanie książki elementarno-gospodarskiéj w języku polskim, nakształt dawnego *Nowaka*, ale z uwzględnieniem postępów od r. 1840 w nauce rolnictwa zrobionych. Późniéj trochę, bo w r. 1860 sprawę szkółek gospodarskich dla włościan, czyli kursów, podjął w towarzystwie szamotulsko-poznańskiém hr. J. Mycielski (2).

Zamiarów najlepszych spotykamy zatém i tu zasób niepospolity. Ale wszystkie zamiary, usiłowania i przykłady (3), na razie nie miały

---

(1) W Białem Piątkowie 60 morgów, w Pierzchnie 30 mórg.

(2) Wybrano w tym celu komisyą, do któréj należeli: J. hr. Mycielski, St. Łubieński, dr. Zyg. Szuldrzyński i F. Wize. Projekt wypracowany rozesłano wszystkim towarzystwom.

(3) W prasie współczesnéj znajdujemy ślady, że na umysły ziemian naszych już wtedy mocno oddziaływał przykład Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem.

praktycznego skutku. Niejednokrotnie czytamy też bowiem w *Ziemianinie* ubolewania, że wszystkie stowarzyszenia polskie chronieją i upadają, czém się sprawa towarzystw coraz bardziéj dyskredytuje. W. Walniewicz składając po śmierci W. Lipskiego (r. 1855) redakcyą „Ziemianina," ubolewa, że Towarzystwa rolnicze między Polakami albo wcale nie istnieją, albo zupełnie *nieczynne*, podczas gdy Niemcy mają towarzystwa czynne w 19 powiatach i jedno centralne nadnoteckie.

Skoro zaś polskie towarzystwa same w sobie nie okazywały żywotności więc i usiłowania ich około podniesienia bytu włościan, nie mogły odnieść pożądanego skutku. Nie znajdujemy śladu, żeby szkółki czyli kursa zaprowadzone w pleszewskiém a projektowane w szamotulskiém towarzystwie, jakkolwiek były zakwitły. Nawet konkurs na książkę rolniczą dla włościan, nie przyszedł do skutku, a Tow. wrzesińsko-średzkie, wydawszy na wzorowe gospodarstwo w Białém Piątkowie 200 tal. a nie osiągnąwszy żadnego skutku, zaprzestało dawać dalsze zapomogi. Jak nam już wiadomo, w tym kierunku i sam rząd nie wiele więcéj wskórał. Włościanie gdzieniegdzie, jak np. w mogilnickim powiecie, chętnie się zgłaszali po zapomogi na te *wzorowe gospodarstwa*, ale więcéj dbali o wzięcie pieniędzy, jak o utrzymanie wzorowych urządzeń.

Jeśli jednak i w tym czasie rolnictwo włościanskie niejakie zrobiło postępy, przypisać to należy: cicho działającym naukom resztek dawnéj i pierwocinom nowopowstającéj pracy ludowéj, oraz przykładom coraz lepiéj się urządzających gospodarstw dominialnych (1).

* * *

Sprawa towarzystw rolniczych, a z nią sprawa rolniczéj oświaty włościan, wstąpiła w nową fazę z r. 1861, kiedy prasa polska a mianowicie *Nadwiślanin*, rozpoczął gorącą agitacyą w kierunku prac organicznych. Pismo to już wtedy było „trybuną i mównicą dla życzeń, planów i projektów, mających na celu ulepszenie stanu naszego narodu." Z trybuny téj, otworem stojącéj w Prusach Zachodnich dla każdego człowieka dobréj woli, korzystały głównie młodsze i gorętsze siły z W. ks. Poznańskiego, które w ówczesnéj konwencyonalnéj pra-

---

(1) Bezstronność zaznaczyć nam każe, że np. w żyznych Kujawach wielkie zasługi około ulepszenia gospodarstw włościańskich położył Niemiec, Schwarz z Jordanowa, dawniéj mieszkający w kwidzyńskim powiecie. Jest on autorem broszury: Die baeuerlichen Musterwirthschaften (1852).

sie domowéj, nie znajdowały wyrazu. Początku zaś w ożywieniu tego ruchu umysłowego, szukać należy niezawodnie we wpływie, jaki na cały kraj wywierała błoga działalność, do ligi poznańskiéj zupełnie podobnego, Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiém. Wpływ ten już w r. 1858 zaznacza się w *Nadwiślaninie* i założonym w r. 1860 chełmińskim *Przyjacielu ludu* (1).

Ale i te nowe zapędy szlachetne byłyby niewątpliwie znów po niejakim czasie okazały się płonnemi i bezsilnemi, gdyby się właśnie wśród ludu samego nie była dokonała najważniejsza może reforma, bez któréj wszystkie usiłowania starszéj braci około podniesienia włościan, szły zawsze na marne.

Głównym nieprzyjacielem oświaty ludowéj i postępu w jego bycie, było niewątpliwie *pijaństwo*, płodzące tyle innych niecnót, podkopujących moralność i dobrobyt ludu. Niezmordowanéj pracy duchowieństwa i w tym celu umyślnie sprowadzonych oo. Misyonarzy, udało się straszliwemu nałogowi położyć skuteczną tamę przez zakładanie *bractw wstrzemięźliwości*. Reforma ta w tym właśnie czasie przeprowadzona zwycięzko, ku niepożytéj chwale kościoła i sług jego, spowodowała możność skuteczniejszéj pracy około dobra ludu na innych polach. A zaiste podziwiać należy organiczność, nieledwie powiedziałbym systematyczność w rozwoju stosunków naszych, skoro jakby w trop za zwycięzką działalnością misyi, żeby nie uronić korzyści z świeżo uprawionego gruntu, poszła wspomniana wyżéj agitacya na rzecz oświaty ludowéj. Kampanią rozpoczął w „Nadwiślaninie“ korespondent z Wielkopolski (1861), nawołując wymownym głosem do zakładania *różnych* towarzystw, albo jednego wielkiego na podobę Ligi. Za głosem tym posypały się projekta jak z rogu obfitości. Jedni utrzymywali, że dla oświaty ludu, wystarcza zakładać *Towarzystwa Wstrzemięźliwości* i *Towarzystwa św. Wincentego a Paulo*, inni chcieli zakładać Towarzystwo *św. Jana Ewangielisty*, inni znów jakiekolwiek towarzystwa, zastosowane do potrzeb miejscowych i czytelnie, Towarzystwo św. Wojciecha dla rozszerzania książek itp.

Ten kierunek pracy jednakże znalazł praktyczny rezultat dopiero w r. 1863, w niezrównanych zasług wydawnictwie *Tanich a pożytecznych książek* ks. *Bażyńskiego* (2). Za to ta właśnie agitacya dziennikarska pobudziła umysły i siły w innych kierunkach. Osobliwsza

---

(1) Już w r. 1857 Przyjaciel ludu wychodził w Poznaniu, jako pismo kościelno-szkolne pod redakcyą ks. ks. Fabisza i Korytkowskiego.

(2) Na temże polu wydawnictw ludowych pracował już w r. 1843, dodziś dnia gorliwy ks. Koszutski z Mielżyna.

rzecz, że ruch ten wychodzący właściwie z W. ks. Poznańskiego, ale wywołany przez pismo zachodnio-pruskie, różny też wywarł wpływ na obiedwie prowincye. W Prusach wywołał odrazu praktyczne objawy na polu pracy stowarzyszeń, w księstwie zaś tylko niejakie formalne zajęcie, bez zaufania i zamiłowania, nacechowane nawet lekkim pozorem niechęci.

Niechęć ta jednakże była tylko okolicznościową. W księstwie zamiłowaném od czasów Ligi zawsze w pomysłach wielkiego zakroju, założono świeżo (w r. 1858) *Towarzystwo Przyjaciół Nauk*, w r. 1861, idąc za wzorem domów zleceń w Królestwie Polskiém, przygotowywano *Tellusa*, w r. 1861 przyszło nareszcie do skutku, od wielu lat upragnione i jako źródło wszelkiego rozwoju i postępu uważane *Towarzystwo Agronomiczne Centralne*, nie dziwić się zatém, że społeczeństwo, którego uwaga w tyle stron była rozerwana a siły umysłowe i materyalne tak wielostronnie zajęte, mogło mieć nawet wstręt do nowych pomysłów i projektów, zwłaszcza jeśli one nie pochodziły od uznanych powag, lecz rodziły się bezimiennie.

Mimo to i tu nie odpychano dobréj a przez tradycyą już uświęconéj sprawy zajęcia się ludem. Centralne towarzystwo agronomiczne zaraz na pierwszém walném zebraniu r. 1862 miało na porządku dziennym m. i. i to zadanie: „Jakich chwycić się środków, aby lud nasz wiejski, *nie wyłączając gospodarzy*, uczynić produktywniejszym?“ Sprawa ludu, we wszelkiéj formie, nie schodziła także z porządku dziennego obrad wielu towarzystw filialnych; Towarzystwo krobsko-śremsko-wschowsko-kościańskie, w nowych statutach z r. 1861 zamieściło, że celem jego jest rozpowszechnianie pożytecznych wiadomości gospodarczych, *za pomocą pism i spostrzeżeń*, mianowicie pomiędzy gospodarzami wiejskimi. W zarządzie głównym w początku r. 1863, K. Buchowski powołany na referenta o środkach, któreby lud nasz mogły zrobić produktywniejszym, zalecał *dobry przykład* i *pisemka ludowe*, Nestor Koszutski zalecał budzenie przemysłu domowego, a na wniosek A. Kaczorowskiego stanęła rezolucya, żeby w téj mierze poruszyć poznańskie *Towarzystwo Przemysłowe* i za jego współudziałem krzewić tego rodzaju towarzystwa. Towarzystwo odolanowsko-ostrzeszowskie w r. 1863 wzywa ks. proboszczów ku działaniu na gospodarzy, żeby przy każdym chrzcie zasadzili drzewko owocowe. Średzko-wrzesińskie (r. 1865) wyznacza rocznie 80 tal. nagrody za napisanie najlepszych pism rolniczych dla ludu. Inowrocławskie postanawia (1865), żeby na każdém walném zebraniu był jeden traktat, dotyczący gospodarstw włościańskich, a w r. 1866 wyznacza konkurs, za napisanie broszury na temat: Jaki jest najkorzystniejszy sposób urządzenia gospodarstwa na 60 morgach; osta-

tecznie zaś w rzędzie prac swoich zwyczajnych stawia sprawę utworzenia w powiecie stowarzyszeń rolniczych okręgowych.

Tu dopiéro zaczęto i w księztwie wchodzić na praktyczną drogę bezpośredniego zbliżenia się do ludu i pracowania z nim wspólnie a działo się to już za przykładem Prus Zachodnich.

W Prusach Zachodnich, agitacyą *Nadwiślanina* w sprawie oświaty ludowéj w r. 1861 podniesioną, od razu na najpraktyczniejsze pole sprowadził znów Ig. Łyskowski, zakładając a raczéj odnawiając dawniejsze *rolnicze towarzystwo brodnickie*, czyli teraz *brodnicko-lubawskie*, które m. i. za główny cel sobie postawiło, pouczać w rolnictwie włościan, zaprowadzać u nich płodozmiany, dawać zapomogi (niepraktyczna reminiscencya Ligi), ulepszać byt ludu i podnosić jego moralność, popierać *towarzystwa wstrzemięźliwości*. Za Łyskowskim poszedł zaraz na Kaszubach X. Maryański. Założył on towarzystwo rolnicze w Salęczynie (1 paźdz. 1861). Następnie 21 lutego 1862 założono czyli odnowiono towarzystwo rolnicze *ziemi chełmińskiéj*, 17 marca towarzystwo dla powiatów kościerskiego i kartuzkiego (całych Kaszub), d. 9 kwiet. Tow. rolnicze ziemi pomorskiéj (powiat starogardzki), 2 czerwca takież towarzystwo dla ziemi południowo-pomorskiéj (powiat świecki, chojnicki, złotowski) a nareszcie w r. 1863 d. 20 stycznia zawiązało się towarzystwo rolnicze w Podstolinie dla ziemi malborskiéj, pod przewodnictwem T. Donimirskiego, który już od bardzo dawna był pośrednikiem, między włościańską ludnością polską w powiatach tamecznych a niemieckiemi towarzystwami rolniczemi i niejednę korzyść dla ludu z tego źródła sprowadził.

Wszystkie te nowe towarzystwa zachodnio-pruskie różniły się od dawniejszych tém, że już masami wciągały do koła swego zastępy włościan czyli gburów. Wszystkie téż w statutach swych, nieledwie za najgłówniejszy cel postawiły sobie oświecenie ludu w sprawach rolnictwa, a mianowicie rozpowszechnianie płodozmianu.

I tu pominąć nie możemy uwagi, że w sprawozdaniach z zebrań odbytych celem zawiązywania tych Towarzystw, zakładający wyraźnie się odwołują na przykład braci z za Drwęcy i Prosny, tj. na Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem, które, jak wiadomo, różnemi środkami starało się wpłynąć na zbliżenie się różnych warstw społeczeństwa. Słusznie tedy, jak sądzę, tę epokę w ruchu i działalności około szerzenia oświaty rolniczéj nazwaliśmy epoką Towarzystwa Rolniczego Warszawskiego. Następnie już tylko nosić może charakter i miano *włościańskiéj*.

Wobec dawniejszych usiłowań postęp też był bardzo znaczny. Włościanie, przez bractwa wstrzemięźliwości wyzwoleni z nałogu pijaństwa, już hurmem wstępowali do towarzystw rolniczych.

Ale i działalność tych *towarzystw mięszanych*, złożonych bowiem z większych i mniejszych właścicieli, nie doszła jeszcze ostatecznie do pewnego, stałego systemu. Uwaga w towarzystwach tych rozrywała się w dwie strony, na rzecz obydwóch interesantów, ziemian i włościan. Nie wiedziano jeszcze jak sobie poradzić, robiono ciągle przedwstępne doświadczenia. Towarzystwo chełmińskie, chcąc wygodniejszą drogą trafić do masy ludu, wystosowało do ks. ks. proboszczów odezwę, ażeby się starali nakłaniać lud rolniczy do zaprowadzenia płodozmianu i wyznaczyło komisyą, która na każde wezwanie zająć się miała pomiarami i ustanowieniem następstwa płodów, stosownie do miejscowości i rodzaju gleby. Tow. brodnickie obradowało nad tém, czy każdy członek na własną rękę ma oświecać włościan i pomocy im udzielać, czy też wyznaczyć się ma w tym celu osobna komisya. Przychylono się ku pierwszéj alternatywie, a Ig. Łyskowski jak dawniéj dla użytku powszechnego i towarzystw napisał „Gospodarza“, tak teraz dla użytku ochotniczych działaczy, napisał podręcznik swój: *O płodozmianie czyli wielopolowém gospodarstwie* (1862).

Jakkolwiek tedy działalność tych towarzystw na lud nie była jeszcze ujętą w pewien system, przekonujemy się ze sprawozdań po gazetach z owego czasu umieszczanych, że praca ich nie była bezowocną. Najlepiéj zaś świadczy o ich błogiéj działalności ugruntowana zamożność gburów w powiatach lubowskim, malborskim, chełmińskim i starogardzkim.

Ten właśnie ostatni powiat starogardzki, średnia część polskiego Pomorza, wyrzekł w całéj sprawie, o któréj piszemy, ostateczne i stanowcze słowo i wynalazł tak długo, z takim trudem i zachodem szukaną formę dla dawno żyjącéj i objawionéj idei *towarzystw rolniczych włościańskich.*

(d. n.)

Dr. Władysław Łebiński.

KOMETA.

POWIEŚĆ.

(*Ciąg dalszy*).

IX.

W pokoju gdzie wczoraj pan Protazy tak dziwną wyprawił awanturę—odbywał się także duet ale innego rodzaju.

Przed godziną był ten pokój bardzo spokojny. Teodor, ów amator-astronom, który wczoraj był powodem tak niefortunnéj ekstrawagancyi pana Protazego, ten sam młody brunet z pełnym na twarzy zarostem, o bladéj zmatowanéj cerze a czarném, błyszczącém oku, siedział spokojnie przy dużym stole i z wielką uwagą robił jakiś rachunek. Przed nim leżały karty wyobrażające sklepienie niebios, błyszczały instrumenta z polerowanego mosiędzu, i czerniły się stosy papieru, zapisanego samemi cyframi.

Młody astronom pisał i teraz także same cyfry. Już dwie olbrzymie kolumny ustawił koło siebie, już trzecią miał na ukończeniu, gdy nagle drzwi pokoju otworzyły się z pewnym bezwględnym łoskotem, który zapowiada osobę wyższego stanowiska.

Teodor podniósł blade, długą pracą zmęczone czoło. Nie wporę wszedł mu gość do pokoju. Jeszcze godzinę rachunku—jak sobie myślał—a byłby przyszedł do rezultatu, do jakiego wzdycha po całych nocach bezsennych.

Tymczasem z nieba trzeba było wrócić na ziemię. Do pokoju wtoczył się właśnie niski grubawy człowieczek, z twarzą nad miarę zarumienioną. Ubiór miał wytworny co do gatunku, chociaż krój jego był nie szczególny.

— Dorku! zawołał od progu—myślałem, że śpisz jeszcze, tak okna jakąś bibułą pozasłaniałeś!... Ale co widzę... resztki jakiejś biesiady! No—widać, że korzystasz z moich rad! Wesoły wieczorek z ko-

legami, to więcéj niżeli książka!... Wyrabiają się stosunki, człowiek uczy się pożycia towarzyskiego, ogładza się, a gdy do tego przyjdą jeszcze i kobiéty—edukacya skończona! Przy książkach staję się garbatym, mrukiem w towarzystwie, bez konceptu [na razie i ot karyera skończona! Ale cóż to?.. Znowu cyfry i cyfry? Na to trzeba być chyba szaleńcem!

Tak mówił grubawy, ruchliwy choć szpakowaty już nieco człowieczek, wykręcając się na wysokim obcasie.

Teodor z uszanowaniem powitał człowieczka, wysłuchał jego słów potoczystych i z pewną powagą nad wiek swój przysunął mu jedno z całych jeszcze krzeseł kawalerskich.

— Niech stryj siada! ozwał się dźwięczącym głosem, w którym jednak czuć było pracę i znużenie.

Stryjaszek był człowiekiem z rangą i z właściwą téż swojéj randze powagą siadł na krześle z wyciągniętemi naprzód nogami. Był on starszym komisarzem od akcyzy, czyli tak zwanych dochodów skarbowych. Gorzelnie i browary całego powiatu należały do jego rewiru.

— Widzisz Dorku—mówił daléj szanowny komisarz, otrzymałem właśnie list od twojéj matki, która bardzo się obawia o twoję przyszłość. Już parę lat jak skończyłeś szkoły. Chciałeś być profesorem, a dotąd nawet o praktyce nie pomyślałeś. Wlazła ci do głowy ta głupia astronomia, jakby na nieszczęście pojawiła się kometa z ogonem... a tobie się zdaje, że uchwyciwszy się tego ogona, dostaniesz się wprost do nieba! Przyznam się, że ja wcalebym nie miał ochoty do takiéj wędrówki. Wolę moje tłuste kucyki, które dziesięć mil drogi ubiegną na dzień, za to nietylko dobrze zjedzą ale i mnie piękną dyetkę przynoszą!... Cóż ci tam z téj komety czy z tego komety, jak chcą niektórzy...

Młody astronom bez dyet uśmiechnął się owym śmiechem politowania, jakim zazwyczaj uśmiecha się młody świat, na zużyte frazesy starego świata. Nie uszedł uwagi stryjaszka ten uśmiech lekceważący.

— Jeszcze nic nie odpowiedziałeś—mówił daléj z energią, a już z uśmiechu twego wyczytałem, co myślisz!

— Ależ ja nic złego nie myślę, kochany stryjaszku—odpowiedział łagodnie Teodor—ja tylko uśmiechnąłem się do moich marzeń, które właśnie są bliskie urzeczywistnienia!

— Czy poznałeś jaką nieubogą dziewczynę?

— Sądzę, że pierwéj trzeba myślić o stanowisku!

— Różnie bywa, czasami ożenienie się pomaga do karyery. Czy znałeś tego głupiego Antosia?...

— Ależ ja nie chcę być głupim Antosiem...

— Tego niepowiadam, ale.... o jakiémże stanowisku marzysz?

— Chcę pierwéj coś zrobić, abym nie był zerem w społeczeństwie, abym jakoś stał się znacznym!

— Jakimże sposobem tego dokażesz?

— Przez naukę i pracę!

— Wszak ukończyłeś nauki i masz *absolutorium* w kieszeni!

— To nic—takich są setki! Ja chciałbym w nauce coś znaczyć!

— Chcesz być autorem?

— Jeżeli ten, co w nauce znajdzie nowe drogi i to potém drukiem ogłosi, autorem się nazywa, to nieprzeczę tego, że podobne mam intencye!

Starszy komisarz pokiwał poważnie głową.

— Taka droga—mówię ci, nieprowadzi prędko do chleba i żony. W najlepszym razie, chleb przyjdzie wtedy, gdy już włosów nie będzie na głowie!

Młody astronom westchnął.

— Praca, nauka—to także kochanki! rzekł z pewnym smutkiem...

— Kochanki, to prawda—odparł z uśmiechem nadziei, ale które wiecéj i prędzéj zrujnują człowieka niżeli baletnice i wodwilistki!..

Nastąpiło dłuższe milczenie. Starszy komisarz pogwizdywał sobie jakąś skoczną aryjkę, podczas gdy młody astronom ukradkiem, rozpoczęty rachunek astronomiczny na papierze, daléj prowadził.

— Powiedz mi teraz—zagadnął po chwili starszy komisarz—powiedz mi otwarcie, do czego właściwie zdążasz teraz? Czy chcesz zostać nowym Kopernikiem? Jeżeli tak jest, to wystaraj się naprzód o legalizowaną swoję metrykę, aby cię Niemcy potém jako swego nie zabrali!

Blada twarz młodego astronoma zafarbowała się lekkim rumieńcem.

— Kopernikowi nie chcę sławy odbierać—odparł z ożywieniem—ale przy Koperniku jest jeszcze wiele miejsc choćby podrzędniejszych. W astronomii zbyt wiele jest jeszcze hipotez niestwierdzonych, wiele nawet mniéj niżeli pobieżnych obliczeń, których różnice tak są od siebie oddalone jak słońce od naszéj ziemi!

— I ty chcesz jednę z tych hipotez stwierdzić lub obalić—ozwał się komisarz z pogardliwém wejrzeniem na cyfry—ty chcesz coś nowego wynaleźć w astronomii, nad którą tyle głów się wysuszyło prawie nadaremnie! Na to trzeba być marzycielem!

Zaiskrzyło się oko młodego astronoma.

— Od marzycielstwa poczyna się wszystko—odparł z niecierpliwością, a za niém postępuje nauka. Ja naprzykład ujrzawszy dzisiejszą kometę, nad którą wszyscy astronomowie najsławniejsi głowę sobie łamią, aby jéj bieg obliczyć, zamarzyłem zrazu o tém jakby to świetnie było dla mnie, gdybym to pierwszy zrobił, o czém tamci myślą. I od marzeń przyszedłem do suchych liczb, układam je dniem i nocą i... jestem już bliski świetnego rezultatu! Przynajmniéj dowiodę, że dotąd obliczanie elipsy było błędne!...

Starszy komisarz patrzał z pogardą na syna swego stryjecznego brata, który był archiwistą miejskim. Kiwał głową i prawą nogą, na któréj świecił się nowy but w całéj okazałości. Było-to prawdziwe arcydzieło szewskiego kunsztu, stworzone na to, aby człowiek mógł wygodnie i bezpiecznie po ziemi chodzić.

Uśmiechnął się wreszcie z pewnym smutkiem, jak się uśmiecha dojrzały człowiek na wspomnienie swoich cacek dziecinnych i rzekł do młodego Kopernika:

— Nie myśl kochany Teodorze, abyś wynalazł co nowego. Wszystko to już było i ciągle się powtarza. I ja byłem młody i w mojéj głowie paliły się różne rzeczy. Pamiętam było nas dziesięciu. Chcieliśmy świat pchnąć nowemi drogami. Wszystko co było, było złe w oczach naszych. Chcieliśmy zwalić to, i rozpoczęliśmy walkę, każdy z nas miał być herkulesem, każdy miał dusić centaury, każdy miał nowy zakon stworzyć. Tymczasem co się stało? Najzdolniejszy z nas został profesorem i mówi z katedry to, co przed nim inni mówili, a ja dzięki memu sprytowi i stosunkom dostałem się do akcyzy, gdzie mi jest bardzo dobrze! Otoż radzę i tobie nietracić czasu... zostaw elipsę komecie, a jeżeli do akcyzy masz wstręt wielkich ludzi, to idź na praktykę do izby obrachunkowéj lub wybierz sobie bakalarstwo!

— Nigdy, nigdy! zawołał z oburzeniem młody człowiek, a cóżby się stało z postępem nauk, wyobrażeń, gdyby wszyscy tak mówili jak kochany stryjaszek?...

— Hm, hm postęp... postęp—mruczał stryjaszek, temu przecież nikt nieprzeszkadza, a jeżeli wejdziesz do szeregu pracujących w jakimbądź zawodzie, to tém samém przyczyniasz się do postępu. Ale tak nagle nic nie zrobisz—nie zostaniesz nawet starszym komisarzem choćby tylko przy akcyzie!...

To rzekłszy powstał zacny komisarz, otrzepał starannie odzież z kurzu kawalerskiego, a wypowiedziawszy jeszcze przy drzwiach co na krześle wypowiedzieć zapomniał, podał młodemu uczonemu rękę i szybko zbiegł ze schodów.

Po wyjściu stryja usiadł Teodor na krześle z tą swobodą i z tym uśmiechem, jaki tylko pojawia się na ustach człowieka, uwolnionego od gniotącego ciężaru. Obecność i rozmowa z dygnitarzem akcyzy była dla młodego uczonego prawdziwym ciężarem. Już z góry wiedział co od niego usłyszy, i wiedział z góry, że na to się nie zgodzi, chociaż w słowach akcyźnika były także i ziarna prawdy. Prawdę i nieprawdę wyrzucił drugiem uchem jako balast niepotrzebny, a sam czémprędzéj umknął do komety, do niestałéj wietrznicy, któréj bieg chciał obliczyć i wykreślić!.. Zdawało mu się, że już zaszedł daleko, że brak mu tylko pewnéj drobnostki, pewnego ułamka, który się jeszcze gdzieś plątał. Z twarzą rozognioną, z okiem płonącém wziął się znowu do rachunku, któremu już był kilka dni i nocy bezsennych poświęcił.

I o dziwo!... Zaraz przy trzeciéj liczbie poznał, że cały rachunek był zły... że wszystkie te miliony i biliony, te *abc*, *acb*, *ade*, *aed* itd. były tylko jedną wielką omyłką!... Do wyrównania różnic było jeszcze tak daleko jak od Wenery do Marsa!...

Pot zimny wystąpił mu na czoło. Kochanka matematyka zawiodła go!.. Zdradziła go zimna zalotnica i śmiała się teraz z niego, że tak długo był w obłędzie!...

Straszne rozczarowanie! Tak bliskim był przed chwilą tryumfu... już widział laury na swojéj głowie... już widział w stolicy na Przedmieściu-Krakowskiem drugi spiżowy posąg... a tu wszystko prysło jak bańka mydlana! Można rozum stracić... można oszaléć... może serce pęknąć!

Zaprawdę, położenie młodego uczonego było okropne. Kto wie, ile marzeń wkłada się czasem w myśl pewną; kto wie jakto potém boli, jeżeli te marzenia i ta myśl zawiodą; ten pojmie boleść i rozpacz młodzieńca, który w téj chwili siedział nad swoją pracą jak Maryusz nad gruzami Kartaginy—siedział blady jak widmo, z gorejącém, zapadłem okiem i ciężkiem westchnieniem żegnał stracone marzenie swoje!...

Cóż teraz pocznie? Czem ukoi duszę swoję? Czém rozgrzeje serce, co tak słodko, tak długo marzyło i pragnęło!

Chciał wstać, ale nogi zlodowaciały—chciał pracę swoję poszarpać, ale ręce mu odmówiły posłuszeństwa!...

Siedział jak sparaliżowany, a w głębi piersi czuł ból wielki, ból piekielny!

W téj chwili... zaleciały do jego ucha ciche tony przytłumionego śpiewu kobiecego!...

Był-to jakiś cudowny duet, śpiewany przez dwóch jego aniołów stróżów, którzy przyszli do niego, aby serce jego zbolałe ukoić

i do słodkiego snu ukołysać!.. Zkądże się u jednego człowieka aż dwóch aniołów-stróżów wzięło, i gdzie nieunikniony dyabeł się podział, który właściwie do duetu należy, o tém nie myślał wcale w téj chwili młody astronom!

Po raz pierwszy odezwała się do niego ziemia, takim miłym głosem, po raz pierwszy pomyślał sobie, że na taki głos możnaby kometę porzucić i z nieba zlecić na padół ziemski!...

I odetchnął powoli jak człowiek, który boi się spłoszyć złotego ptaszka, i obrócił się jeszcze ostrożniéj, aby nie odstraszyć od siebie śpiewających aniołów...

Wstał z krzesła i zwolna szedł za tym głosem czarodziejskim, jak ślepy idzie za różowém światłem słońca, które się przez jego zamknięte powieki przedziera...

I tak zaszedł do okna. Okno było otwarte, ale z wczorajszéj obserwacyi astronomicznéj pozostało jeszcze prześcieradło, które widok zasłaniało. Pociągnął za sznurek, a przed jego oczyma odsłonił się widok, który jakieś słodkie na jego duszy sprawił wrażenie!

Oto w oknie przeciwległem, osłoniona w połowie zieloną girlandą oleandrów jakby Meluzyna, stała wysmukła blondynka, a otwarte usta i pierś falująca okazywały, że śpiewa. Druga starsza szatynka siedziała przy fortepianie.

Śpiew był cichy, pełen uczuciowéj wibracyi... zdawał się kołysać do snu, zdawał się goić wszystkie rany serca... a przytém rozbudzał pewne tak słodkie i przyjemne uczucie, że młody uczony przestał nagle oddychać, jakby chciał na tém miejscu w posąg się zamienić!...

Stał nieruchomy w oknie, jedną ręką trzymał sznur od zaimprowizowanéj rolety, a drugą odrzucał z czoła bujne włosy, co mu na oczy spadały.

Był on teraz podobny do człowieka, co poraz pierwszy patrzy na świat zupełnie mu obcy. Świat w którym żył dotąd, był zupełnie inny. Inne miał kształty, inne barwy, inne oświetlenie. Zmiana nagła sprawiła na nim tém silniejsze wrażenie, im większego doznał rozczarowania w świecie poprzednim. Jeszcze ból dojmujący zalatywał go z tamtego świata, jeszcze rana bolała go, jak boli każdy zawód,—a tu łagodny śpiew koi nagle ten ból, a widok dokonywa reszty! Jakoś w samę porę odsłonił mu się taki widok na ziemi, i to w chwili, w któréj niebo tak boleśnie go zawiodło!

Blondynka miała ładny profil, usta podnosiły się z wdziękiem niewysłowionym, który jest dowodem, że serce jéj w téj chwili przechodzi przez te same uczucia, jakie tekst pieśni wyraża. Ramiona jéj pochyliły się wdzięcznie, ku niewidomemu przedmiotowi, do któ-

rego pieśń była zwrócona, a który prawdopodobnie tylko w wyobraźni śpiewającéj istniał... Życzyła mu snów słodkich i różowych, wzywała anioła stróża, aby białem skrzydłem zasłonił go od burzy światowéj a tymczasem rozsunął obłoki niebios i okazał mu rozkosze wybranych!...

Taką mniéj więcéj była treść kołysanki śpiewanéj przez dwie siostry a zaadresowanéj do śpiącego dyrektora, który lekkiem chrapaniem brał udział w téj pieśni. Młody astronom nie wiedział o tym adresie, i wziął tę pieśń dla siebie jak jałmużnę nieba, jak spragniony kwiatek chwyta krople rosy, która może dla innéj trawki była przeznaczona...

Słuchał w ekstazie i wpatrywał się z rozkoszą w profil blondynki... gdy nagle z poza gałęzi oleandrów wynurzyła się jakaś dziwnie fantastyczna postać...

Był-to człowiek już niemłody, odziany niedbale w szlafrok popielaty z czerwoném naszyciem, z włosami najeżonemi a twarzą sromotnie surową. Na lewem jego uchu jak przezroczysty siny obłoczek wisiał szmat błękitnéj gazy, falującéj w kształty najrozmaitsze...

Dziwne było to zjawisko, a dziwniejszy jeszcze kontrast do spokojnych, posągowych postaci dwóch kobiét.

Mężczyzna nagłym ruchem przedarł się pomiędzy obie kobiéty, połamał jeden z oleandrów, i jak lew głodny szukający żeru, zbliżył się do otwartego okna..

Spojrzał naprzeciwko i obaczył piękną twarz młodego mężczyzny z czarnym zarostem...

Młody mężczyzna wychylił się z okna i z pewnym ożywionym wyrazem na twarzy chwytał śpiew kobiécy...

Zdawało się po całéj jego postawie, że to dla niego śpiewa się, że wdzięczny jest téj poetycznéj rozmowie dwojga serc, że nawet pojawienie się trzeciéj osoby nie każe mu uciekać od tak smacznych... owoców zakazanych!

Tego już zawiele było zacnemu dyrektorowi. Pomyślał najprzód o kiju, ale przestrzeń ulicy była za wielka—pomyślał potém o rewolwerze który miał w szafce, a dla którego ze względów bezpieczeństwa domowego, nie miał nabojów. Pomyślał wreszcie o krzyku, który mógłby młodego człowieka na pochyłéj drodze zatrzymać, ale wzgląd na publiczne swoje stanowisko niekazał mu użyć tego skutecznego niekiedy lekarstwa.

Poprzestał więc tym razem na okazaniu młodemu człowiekowi niezwykłéj swojéj energii, która przy danéj sposobności mogłaby się mu dać we znaki. A energia ta wyraziła się marsowem ściągnie-

niem brwi i przeszywającém na skroś spojrzeniem, jakiego tylko zwykł był używać dla niepoprawnych uczniów swoich.

Marsowe ściągnięcie brwi i przeszywające spojrzenie sprawiło na młodym astronomie tak niespodziane wrażenie, że mimowoli wysunął mu się sznur z ręki, a za improwizowana roleta naturalném prawem ciężkości upadła na dół potrąciwszy po drodze nos, który zwykle z twarzy ludzkiéj naprzód wystaje.

Młody astronom nie zdołał jeszcze nosa swego z bólu utulić, gdy do jego uszu zaleciał głośny trzask okna, które po drugiéj stronie ulicy zamykano z wielkim impetem.

X.

Do impetu miał dyrektor wszelkie prawo. Zdrzemnął sobie po niezwykłém wysileniu, po myślach tak niezwykłych, jakie w jego zacnéj głowie rozbudził złowrogi przyjaciel. Ale na ten odpoczynek zasłużył. Nie poszedł za fałszywemi poszlakami, wskazanemi mu przez niecnego sąsiada, ale *sine ira et studio* pracował głową własną dopóty, dopóki fałszywy alarm nie okazał się rzeczywiście fałszywym, dopóki nie nabrał niezbitego przekonania, że Elżbietka jest najzacniejszą kobiétą pod słońcem, i że kocha go przywiązaniem wyjątkowém, na jakie téż słusznie sobie zasłużył. Po takiém dokonaném dziele mógł sobie spocząć. Nie tylko odzyskał własny spokój, ale nawet krzywdy niepozwolił wyrządzić bliźniemu. To téż dobrze zasłużony sen zamknął słodko powieki zasłużonego męża.

Ale złe ziarno nie gi ie tak prędko. Słowa wyżółkłego kontrolera brzęczały w uszach śpiącego. Prawdopodobnie anioł stróż odpędzał je białem skrzydłem swojém, ale od czegoż dyabeł, aby temuż aniołowi nie robić na złość? To téż zaczął dmuchać i dmuchać jak kowal miechem, poprawiał, nakładał węgla i dolewał oleju, aż wreszcie płomień buchnął złowrogi i zacnemu mężowi zatruł sen jego zasłużony.

Dziwne koleje przechodził we śnie poczciwy dyrektor. Najprzód wystąpiła mitologia, którą w jednéj z klas swoich wykładał, z wszystkiemi swemi niedorzecznemi szykanami. Zdawało mu się, że widzi żonę swoję pomiędzy owemi najadami, które przy świetle księżyca zwykły się z boginią borów, Dyaną, kąpać w wodach przezroczystych. Biegnie więc do boru, aby się dowiedzieć, jak tam te najady z królową swoją się zabawiają, gdy zdala usłyszał śpiew wdzięczny, który podobny był do lutni Orfeusza. Gdy już był blisko, przekonał się, że mitologią dotąd fałszywie wykładał. Według mitologii miały te zabawy leśne odbywać się bez żadnego świadka,

którdyby do innéj płci należał. Gdy Akteon chciał to rozporządzenie przekroczyć, zamienił się w jelenia i własne psy pożarły go. Otóż to, co teraz widział, sprzeciwiało się dotychczasowéj nauce. Nie tylko że zabawa Dyany z towarzyszkami była podobna do naszego balu na cele dobroczynne, na który zazwyczaj kobiéty tak się z szat swoich obnażają, jakby do kąpieli wejść miały, ale nawet taki sam poczet wyfrakowanych facetów uwijał się przy Dyanie i Najadach, jak się to na naszych balach widzi. Zadziwia to dyrektora nie mało i byłby może na téj naukowéj korekcie dotychczasowego wykładu mitologii poprzestał, gdyby nagle poza świerkiem olbrzymim nie był ujrzał kryjącego się w cieniu Fauna, który słodko na harmonice przygrywał i jeszcze słodsze do Elżbietki robił oczy... Elżbietka była ubrana kuso jak baletnica, i tak hazardowne do ukrytego Fauna robiła skoki, że zacny mąż uznał za stosowne wejść z interwencyą na scenę. I według maksymy „*si vis pacem para bellum*", czyli że kto grozi interwencyą, wprzódy uzbroić się powinien, wyłamał już był sobie kij okazały, i właśnie z tym kijem pośpiesznym dążył krokiem—gdy nagle spostrzega, że nieszczęśliwy los biednego Akteona i na nim się spełnia. Wzywa bogów o litość, a tymczasem odbywa się w prędkich postępach fatalna metamorfoza!... Już czuje na sobie sierść zwierzęcą... już usta jego, dotąd tak wymowne, wydłużają się w pysk jeleni... już czuje na głowie niedorzeczny ornament, który śród zarośli ma mu zgotować śmierć męczeńską, jaką z tego świata zeszedł poczciwy strzelec Akteon, już jest bliski rozpaczy—gdy nagle silniejsze akordy kołysanki zbudziły go ze snu tak zabójczego.

Dyrektor porwał się na nogi i czemprędzéj musnął po głowie, czy tam co nieznajdzie. Nic nieznalazł na szczęście, bo płatek jedwabnéj woalki usunął się przed ręką, jak się usuwa dym lotny przed powiewem wiatru, i malowniczo zawisnął na lewym uchu.

Na głowie dyrektora nic więc nie było, ale za to w głowie był prawdziwy bazar. Była Dyana, były Najady, był Faun grający na harmonice i była Elżbietka słodko na Fauna patrząca. Wszystko to wystarczało, aby zasłużonego męża natchnąć energią niezwykłą, aby kroki jego tak poważne i stateczne przyśpieszyć, i głosowi jego, który do poważnego krasomówstwa bardzo się nadawał, dodać jeszcze więcéj powagi.

Do złudzenia, z jakiém był powstał z drzemki, przyczynił się jeszcze usłyszany śpiew z drugiego pokoju, który zupełnie podobny był do melodyi jaką Faun za świerkiem wygrywał. A gdy do tego domieszało się wspomnienie z odbytéj z kontrolerem rozmowy, gdy wszystkie szczegóły jego obaw i podejrzeń tą nieszczęsną rozmową

rozbudzonych do tego się dołączyły—miał więc dyrektor wszelkie prawo wpaść z impetem do pokoju, w którym właśnie ledwo dosłyszanym głosem konała melodya kołysanki w tém mniemaniu, że ten, dla którego się śpiewa, już drzemać zaczyna...

Tymczasem kołysanka inne na dyrektorze sprawiła wrażenie. Nie tylko nie spał daléj przy cichych jéj tonach, ale zbudził się z taką energią, jakby kto z działa strzelił mu nad uchem. A gdy jeszcze okno ujrzał otwarte—gdy z pozaliści oleandrowych wychyliła się do niego twarz młodego człowieka, który w pierwszéj chwili zupełnie był do Fauna podobny, gdy wreszcie na jego niebrzydkiéj twarzy ujrzał wyraz także dla tego otwartego okna wcale nieobojętny—wtedy, jak wyżéj powiedziano, miał wszelkie prawo spójrzyć sromotnie na nowego Akteona i z impetem okno przed nosem mu zamknąć.

Biedna Dyana siedziała przed fortepianem i niczego się nie domyślała. Uderzyło ją tylko tak nagłe przebudzenie się męża i chód niezwykły, jakim zbliżał się do otwartego okna.

— Nie przywitasz się nawet ze mną—rzekła zdejmując mu błękitną woalkę z ucha—i niepodziękujesz Femci za piękną bersezę, którą ci do snu śpiewała!

Dyrektor zmarszczył czoło i spójrzał groźnie jeszcze raz przez okno. Poza oknem już teraz nic nie ujrzał, bo prześcieradło zasłoniło ukrytego Akteona, ale za to w drugiem oknie ujrzał wyżółkłą twarz kontrolera, który jak Faun prawdziwy wystawił do niego połamane i pokrzywione zęby, kontroler miał dziwny uśmiech na twarzy.

— Nie wiedziałem nawet żeś wychodziła—odparł z udanym spokojem jak wytrawny dyplomata.

— Miałam interes—z Femcią robiłyśmy sprawunki. Cóż ten szlafrok w takiém zaniedbaniu?

— Tak... w nieobecności twojéj wzdychałem za tobą i przytém... pękł mi pasek!

— Dzisiaj jesteś nawet dowcipny... daj, zeszyję go.

— Cieszy mnie, że zaczynasz we mnie dobre przymioty odkrywać... lepiéj niżeli jakie złe przywary!

— Jesteś trochę podrażniony, że mnie tak długo nie było... pójdź, pocałuj mnie za to!

I podniosła głowę i podała mu czoło.

Dyrektor z zimną powagą pocałował je.

— A teraz pocałuj Femcię, która ci tak pięknie śpiewała.

Nawykły do posłuszeństwa małżonek chciał rozkaz pani Elżbiety wypełnić, ale Eufemia odwróciła głowę i wydłużone usta dyrektora dotknęły się tylko zgrabnie zakręconego uszka.

Po tych czynnościach, które koniecznie spełnić należało, nie wypowiedziawszy jeszcze wojny otwartéj, spoczął na chwilę zacny dyrektor. Włożył ręce do kieszeni szlafroka i rozkraczył nogi, dla wygodniejszéj pozycyi. Patrzał na żonę i siostrę żony okiem badawczém.

— Czy obawiałeś się przeciągu, żeś tak szybko okno zamykał? zapytała po chwili żona.

— Tak—mruknął przez zęby dyplomata—nie tyle obawiam się przeciągów jak pewnych pociągów...

— Cóż tam znowu?

— Nic... nic—dodał szybko—jak cię kocham, nic—ot słowo na wiatr rzucone!

I aby zajętą nieprzyjazną pozycyą zamaskować, a może i wyrzutom serca swego zadość uczynić, które teraz nagle się ozwały—przystąpił do żony, i skwapliwie w rękę ją pocałował. Pani Elżbieta odwdzięczyła się za to i na myślącém czole zasłużonego męża złożyła także pocałunek. Niezaniedbała także przytém przyprowadzić do porządku rozburzone podczas drzemki włosy, które z powagą dyrektorską dzisiaj się niezgadzały.

I na tém zakończyła się scena, która w pierwszéj chwili burzą domową groziła. Pani Elżbieta wzięła siostrę pod rękę i odeszła z nią do swego pokoju.

Dyrektor nie mógł się tak łatwo uspokoić. Patrzał śledczém okiem za odchodzącą i zdawało mu się, że jest z pewną pretensyą ubrana, jakiéj pierwéj na niéj nie spotrzegł. Kostium miał za wiele fałdów i falbanek, jak na poważną żonę dyrektora przystało. Bucik był tak obcisły i tak dziwnie błyszczał, że mimowolnie musiał oczy ściągać na siebie, co nie mniéj dla żony poważnego męża nie było właściwém. A gdy jeszcze na kok spojrzał i spostrzegł, że tenże co raz więcéj stosując się do głupiéj mody, na plecy się zniża a nawet już poza łopatkę dostaje—powziął ztąd podejrzenie ugruntowane, że to wszystko może się dziać dla trzeciéj osoby, o czém doświadczony kontroler tak wymównie przed godziną mówił.

Dmuchnął przed siebie, jakby podszepty złego ducha chciał odpędzić, zawinął się w szlafrok i zaczął chodzić po pokoju krokiem, który okazywał głębokie zamyślenie.

Chodząc po pokoju niezaniedbał nigdy zatrzymać się przy drzwiach, które prowadziły do pokoju żony i były na wpół otwarte Pani Elżbieta rozmawiała z siostrą.

Dyrektor słyszał teraz wyraźnie:

— Widziałaś go dobrze? pytała Elżbieta półgłosem.

— Widziałam, odszepnęła nieśmiało Eufemia.

— Prawda że przystojny?...

— Tak. . czy często widujesz go?

— Dosyć rzadko... oboje jesteśmy zatrudnieni. On pisze lub czyta po całych dniach, ja... jak widzisz, mam także nie mało zatrudnienia.

— Dzisiaj dobrze widziałam go.

— Bo też patrzał w okno, jakby chciał ze skóry wyskoczyć!

Po tych słowach słyszał dyrektor jakiś dziwny szelest sukni, jakiś oddech głębszy, podobny do westchnienia. Potém nastąpiły szepty, a nawet jedna z nich zaśmiała się dosyć wyraźnie. Cicho oddalił się odedrzwi.

Kroki jego plątały się i urywały co chwila. Zatrzymywał się każdym razem podedrzwiami i każdym razem zasłyszał jakieś słówko zagadkowe, jakiś śmiech ukryty lub jawne, głębokie westchnienie.

Przyszedł mu na myśl doświadczony kontroler. Wyobraźnia jego rozogniała się co raz więcéj. Przejrzał się w źwierciadle—był daleko starszy, niżeli dotąd sobie wyobrażał. A przed oczyma duszy mignęła mu Elźbietka w fałdzistym kostiumie, w bucikach ciasnych i błyszczących jak chciwa rozleglejszéj kniei sarneczka..... Posmutniał.

Nagle zbliżył się do dzwonka i zadzwonił.

Wszedł chłopak pokojowy.

— Zawołaj mi szewca! rzekł do chłopaka.

— Czy ma tutaj przyjść? zapytał chłopak.

— Nie—do mego gabinetu! odparł z marsem.

Za chwilę stał już szewc w gabinecie przed dyrektorem.

— Zrobisz mi pan buty—ozwał się dyrektor—ale takie, któreby wcale nic a nic nie skrzypiały!

— Dotąd lubiłeś pan dyrektor skrzypiące, odparł szewc z niejakiém zadziwieniem.

Prawda—ale okazały się niepraktyczne. Najprzód skrzyp razi nerwy mojéj żony, a potém ostrzega służbę i studentów moich, gdy jeszcze zdaleka jestem. A służba i młodzież powinna zawsze być w tém mniemaniu, że oko dyrektora na nią patrzy, że ucho jego słyszy, co robi. Rozumiesz pan?

— Rozumiem.

— Niech będą tak ciche jak pantofle.

— Dobrze panie dyrektorze.

Po wyjściu szewca zatarł ręce dyrektor. Zdawało mu się, że wpadł na myśl bardzo dobrą i właściwą i że tak postąpił sobie jak oględny minister państwa, który z państwem sąsiedniem jest w przy-

jaźni, ale mimo to buduje na granicy obronne twierdze na każdy wypadek.

Ciche buty drektora były już jedną taką twierdzą.

XI.

Miasto, w którém się te ciche, nikomu prawie nieznane sceny domowe odbywały, miało w najbliższém swojém otoczeniu kilka wil rozkosznych i z komfortem zbudowanych. Jedna z nich oddalona była od rogatki miejskiéj zaledwie parę tysięcy kroków. Schowana między grupą drzew wysokich miała zdala pozór świątyni, poświęconéj jakiemuś bóstwu mitologicznemu. Zwykły wędrowiec nie tak łatwo mógł się do niéj dostać. Cały park otaczał najprzód parkan dosyć wysoki. Bramą, która była zawsze zamkniętą, wchodziło się na drogę żwirową, która pomiędzy drzewa i klomby wężykiem prowadziła przed duże kamienne schody. Teraz odsłaniał się oku cały budynek. Był-to bardzo miły domek z jedném pięterkiem, ponad którém pięła się do góry mała gotycka wieżyczka. Okien na froncie było pięć, reszta wychodziła na drugą stronę. Przed oknami stały kwiaty egzotyczne w dużych wazonach a w koło nich rozrzucone krzaki róż w sposób malowniczy. Przez duże szklane podwoje wchodziło się do sieni, ubranéj w dywany i zwierciadła. Na prawo prowadziły drzwi do obszernego salonu o ścianach srebrno-szarych. Na środku stał puf z żółtego adamaszku—takiego samego koloru kanapa rozpierała się między oknami, a przy ścianach ulokowano fotele i taboreciki. Parę stołów palisandrowych i kilka dużych zwierciadeł uzupełniało to wykwintne urządzenie. Prócz tego, takiéj saméj materyi firanki i portyery strzegły światła i przeciągów.

Z tego pokoju wchodziło się do milutkiéj komnaty o ścianach fijołkowych i takiego samego odcieniu meblach. Był to salonik dla szczęśliwéj kobiéty. Wszystkie fraszki kunsztowne i drogie drobnostki były tu nagromadzone. Był i fortepian i wspaniała gotowalnia, i szeszlong i balzak i karłowate napoleonki. Na podłodze rozpościerał się olbrzymi dywan i tajemniczo ginął pod tureckiemi sofami bez drzewa. Marmurowy kominek ozdabiał jednę ze ścian, a po drugiéj stronie stały misternie z hebanu rzeźbione szafki z książkami.

Z tego pokoju, przez podniesioną portyerę z fiołkowego aksamitu, można było widziéć wykwintną sypialnię kobiecą z łóżkiem więcéj do tronu podobnym niżeli do sprzętu zwykłego wypoczynku. Łóżko stało na podwyższeniu trzystopniowém i nakryte było z wierzchu rodzajem baldachimu królewskiego, związanego w górze koroną królewską. Wszystko, co to łoże otaczało, godném go było.

Druga strona tego czarodziejskiego domku była przeznaczona dla mężkich mieszkańców. Mniéj tam aksamitu, atłasu i adamaszku. Panował więcéj komfort angielski. Były drogie angielskie skóry, była stal i żelazo, misternie bambus, mahoń i orzech naśladujące.

W niejakiém oddaleniu stały domki, w których mieściła się kuchnia i służba, a daléj za ścianą z bzów i akacyi stała schowana stajenka.

Wszystko to razem wyglądało strojnie i wonno jak apteczne pudełko, w którém rozsyła się na nowy rok kadzidło królewskie.

Właściciel budując to pudełeczko marzył zapewnie o wielkiém szczęściu. Chciał się oddzielić od świata, wyszedł z krzykliwego miasta za rogatki, i tu nad brzegiem bystrego potoku, w cieniu lip stuletnich i starszych jeszcze dębów, schował się w téj złotéj łupinie wraz z szczęściem swojém, chroniąc się od najlżejszego powiewu wiatru powszedniego. A szczęście to nienazywało się samotnością. Więcéj niżeli o siebie dbał o towarzyszkę życia, dla niéj sprowadził dywany, adamaszek i palisander i jéj pod stopy podścielił!..

Cóż się teraz z nim stało, co się stało z jego szczęściem, dla którego ten przybytek wydmuchał? Gdzież się podziała owa szczęśliwa kobiéta, dla któréj to wszystko powstało? Czy marzenie zawiodło ich, czy szczęście wymarzone ulotniło się, jak się ulatnia poranna rosa, gdy wiatr ją owinie?... Czy wszystkie rzeczy ludzkie taki koniec biorą?..

Właściciel i twórca tego przybytku wyprowadził się gdzieś może w inne strony, które mu marzeń jego nie przypominają... a może śmierć bezlitosna zajrzała do twierdzy jego szczęścia i zimną ręką wydarła mu ukochaną towarzyszkę życia... a może téż ta towarzyszka sama opuściła ten pałac zaczarowany niewoli i przymusu, którego mimo dywanów, aksamitów i adamaszków znieść nie mogła?..

Rozkoszny ten przybytek stał długi czas pustką...

Długi czas panowała tu cisza grobowa. Nigdzie nie było widać żywego ducha. Tylko stary sługa, który w oficynie mieszkał, otworzył czasem drzwi i okna, pościerał pył z mebli i posadzek i znowu wszystko wróciło do dawnéj martwoty. Księżyc tylko rozkoszował po cichych komnatach, przechadzając się zwolna jak cichy milczący świadek minionego szczęścia. Tylko muszki brzęczące wleciały czasem przez okno i goniły się swawolnie i rozkosznie. A czasem ku wielkiemu zmartwieniu starego sługi, wtargnął nietoperz i natłukłszy się o zwierciadlane szyby, wylatywał szybko z rozkosznéj lecz ciasnéj klatki na swobodne powietrze.

Pewnego dnia przyjechała dorożką młoda kobiéta w towarzystwie starszéj matrony, obejrzała wszystkie pokoje, zapytała o cenę najmu i zamieszkała.

Jest ona właśnie w liliowym pokoju. Stoi przed zwierciadłem i kończy toaletę. Jest słusznego wzrostu, ma kibić wysmukłą, ciemne włosy, ładny grecki profil i oczy piwne. Może liczyć lat dwadzieścia kilka. Na bladéj twarzy rysują się ślady przebytych wrażeń owiane pewnym smutkiem, pewną boleścią. Opromienia je uśmiech prawie dziecięcy, który jéj twarzy nadaje bardzo wiele wdzięku. Ubrana jest w czarną suknię, pod kształtną szyją otwiera się biały kołnierzyk odsłaniając lekkie zarysy alabastrowego biustu.

W buduarze nie ma nikogo. Służąca już odeszła, bo praca jéj skończona. Dalsze uzupełnienia tualetowe robią się już bez świadków. I to już skończone. Młoda kobiéta patrzy teraz z uśmiechem do zwierciadła. Zadowolnienie maluje się na jéj twarzy. Wkłada do włosów kwiatek i odchodzi kilka kroków w tył. Z kwiatkiem bardzo jej dobrze. Patrzy na zegar, zamyśla się i zaczyna powoli przechadzać się po dywanie. Suknia szeleści za nią rozkosznie,—woniejące warkocze roznoszą woń w około.

Przechadzka ta trwa czas niejaki. Kiedy niekiedy zatrzymuje się, patrzy na zegar i marszczy czoło. Patrzy w okna wychodzące na drogę a wyraz smutku okala jéj piękne usta.

Wreszcie bierze książkę w czerwony safian oprawną i siada na adamaszkowéj otomanie. Draperye sukni przyprowadza do należytego porządku, wychyla z pod falban bucik z materyi kaszmirowéj, opiéra go o podnóżek i zaczyna czytać.

Mija godzina jedna i druga. Cisza w pokojach, jakby wszystko wymarło. Tylko regularny stuk zegara odbija się o ściany, tylko regularne bicie serca porusza w takt książkę czerwoną. Na twarzy czytającéj kobiety przebiega od czasu do czasu jakieś drżenie nerwowe jakby wskazówka niepokoju wewnętrznego.

Wreszcie zaturkotały koła na drodze. Młoda kobieta spojrzała na zegar i uśmiechnęła się z pewnym smutkiem do jakiejś ukrytéj myśli. Postawy nie zmieniła – czytała daléj.

Z lekka otworzyły się drzwi.

— Czy pani przyjmie? zapytała z obojętną miną służąca.

Młoda kobieta zamyśliła się.

— Zaczekaj chwilę—odrzekła głosem dźwięcznym.

Służąca zamknęła drzwi za sobą.

– Daj wody tym kwiatkom—mówiła po chwili młoda kobiéta—tylko uważaj, ażeby żółta róża nie obleciała!

Służąca wypełniła rozkaz.

— Czy mam wyjść i zaprosić? zapytała znowu.

— Papużkom możesz także nalać wody! rozkazała pani.

I ten rozkaz wypełniono. Służąca czekała dalszych.

— Idź do salonu—były dalsze rozkazy—i policz ile kwiatów mają oleandry a ile pączków.

Posłuszna służąca wyszła do salonu. Uśmiech pewnego zadowolnienia okazał się na twarzy młodéj kobiéty.

Służąca wróciła z rezultatem.

— A teraz możesz iść i prosić — rzekła do niéj pani z ukrytym uśmiechem.

Po wyjściu służącej otworzyły się drzwi buduaru na rozcież i wszedł mężczyzna z pewną swobodą, która świadczyła, że należy do gości dobrze widzianych.

— Ma foi!—zawołał od progu—gdybyś pani jeszcze dłużéj kazała mi czekać w przedpokoju, musiałbym kazać zawołać mego balwierza, aby mnie ogolił.

— Widzę, że dla pana jest dzisiaj dzień szczęśliwy — odpowiedziała młoda kobiéta podając mu rękę—zaczynasz być dowcipnym!

— I bez dowcipu może urość broda stojąc tak długo pod drzwiami, a przecież jest regułą dobrego wychowania, aby być zawsze ogolonym!

Gość przyłożył tutaj do ust swoich drobną rączkę gospodyni, któréj oczy zamigotały w téj chwili jaśniéj.

Temi oczyma patrzała czas niejaki na niego.

Był-to mężczyzna tak zwanéj drugiéj młodości Co się stało z pierwszą, trudno odgadnąć. Czy kwitła ona rozkosznie i odkwitła jak każdy kwiat wiosenny, czy nie zaznawszy błogiego słońca i ukryta w zimnych cieniach, przewegetowała tylko czas wiosenny, aby dopiero na schyłku lata w barwy kwiatu się przyodziać?... Któż to może powiedziéć? Ludzie podobni są do niektórych roślin, które dopiero na początku jesieni zaczynają kwitnąć. Młodociane siły swoje i zasoby poświęcają wyższym marzeniom, pracom szlachetnym, a gdy te spełnione lub zawiedzione zostają, odzywa się wtedy milczące dotąd serce i wydobywa z siebie nowe siły i zasoby, aby sobie powetować to, czego mu dawniéj odmówiono.

Trudno poznać, do jakiéj kategoryi należał mężczyzna stojący w téj chwili przed młodą, piękną kobiétą. Czy należał on do tych, którzy pierwszą młodość swoję roztrwonili na łatwe zdobycze, a teraz z resztkami chcą jeszcze udawać młodych, czy téż był jednym z tych rzadszych ludzi, którzy walcząc i pracując w zaraniu życia nie mieli czasu roztrwaniać zasobów serca swego i nieuronione przenieśli je z pierwszéj młodości do drugiéj? I trudno by nawet powiedziéć, którąby z tych kategoryj wybrał ów mężczyzna, gdyby mu dano do wyboru. Jedna i druga nie ma szansy wielkiego szczęścia...

W téj chwili nie myślał o tem gość, jak się zdaje, dobrze widziany. Miał wąsiki z fantazyą do góry podkręcone, miał długie aż do ramion sięgające bakenbardy i bujne, ciemne włosy starannie na wierzchołku głowy przedzielone. Oczy jego patrzały z całą swobodą z poza binokli, od których z fantazyą spuszczał się czarny, jedwabny sznurek. Twarz była dosyć regularna i okazywała zdrowie i pewną swobodę umysłu. Wykwintny ubiór robił z niego jednę z owych przeciętnych figur przyzwoitych, które się spotyka w każdym większym salonie.

Młoda kobiéta patrzała na niego dłużéj niżeli zwykle. Po jéj piękném czole biegały jakieś utajone myśli, do których nieznacznie się uśmiechała.

Spostrzegł to gość.

— Widzę—ozwał się zdejmując binokle z nosa—widzę, że pani na seryo zaczynasz nie wierzyć słowom moim. Chcesz się przekonać, czy powiedziałem prawdę!

— Niestety — odparła młoda kobiéta z uśmiechem nieokreślonym—niestety, żałuję, że tego panu przyznać nie mogę!

— Zawsze jedno i to samo—ma foi—to w końcu na seryo może znudzić! A jednak już sam fakt, że danego słowa zawsze dotrzymuję, mógłby panią przekonać, że wcale się w atmosferze pani nie nudzę!

Piękna rączka podała gościowi torebkę z papierosami.

— To bardzo mało—odparła z kaprysem na pięknych ustach—zdaje mi się, że mam prawo więcéj żądać od pana!

Gość zapalił woskową zapałkę.

— Ależ pani! wszystkiego możesz żądać odemnie, byle tylko nie śmierci. Co do tego punktu jestem spokojny.

I podał młodéj kobiécie zapałkę płonącą, aby zapalić papierosik, ktory właśnie w białych paluszkach trzymała.

Zapaliła i kilka błękitnych obłoczków wydmuchnęła.

— Dziwnie wygodni jesteście dzisiaj — mówiła po chwili paląc daléj papierosik—dawniéj zwykł mawiać mężczyzna: zażądaj nawet śmierci mojéj, a skończę u nóg twoich!

— Bo dawniéj kochankowie okłamywali się wzajemnie i wierzyli kłamstwom swoim! Naczytałem się tego dosyć w starych romansach. Ona przysięga mu na każdéj karcie, że go kocha i że mu wierną do grobu zostanie — a on jéj znowu powiada, że się zabije, jeżeli tylko palcem poruszy!... Ręczę pani, że jedno i drugie było tylko frazesem retorycznym, który dzisiaj walor stracił. Czy słyszałaś pani, aby kochankowie dzisiaj tak mówili?

Młoda kobiéta puszczała błękitne kółka przed siebie.

— Czy sądzisz pan, że dzisiaj są szczersi kochankowie? — zapytała po chwili?

— Jeżeli nie dla siebie to po za sobą są szczersi. Dowiadują się jedno o drugiém, czego zazwyczaj od ludzi dowiedzieć się można.

Mężczyzna spojrzał z uwagą na mówiącą kobiétę. Jéj twarz była spokojna. Patrzała obojętnie przed siebie.

— I czegóż to naprzykład moglibyśmy się od ludzi dowiedzieć? Wszystkiego, o czem nawet nigdy nie marzyliśmy! Ja przyznam się, mam wstręt do owych śledczych zachcianek!... Wierzę w to, co widzę i słyszę — a resztę najłagodniéj nazywam plotką!

Młoda kobiéta zamyśliła się. Ciemne jéj oczy przesunęły się z pewnym niepokojem po twarzy gościa.

— Zapewne, ozwała się z uśmiechem, gdyby kto chciał wszystkim tym rzeczom wierzyć, które nasi bliźni o nas rozpowiadają na ucho, to chyba nicby innego niepozostało, jak pójść do klasztoru i tam się żywcem zakopać!... Ale jeżeli mi ktoś powie, że pan Jerzy był u pewnego prawnika...

Pan Jerzy szybko powstał z krzesła.

— Nie wypieram się tego — przerwał mówiącéj — ale widzi pani, już z tego zrobiono plotkę. Byłem u prawnika, bo on prowadzi interesa mego stryja, a że przy téj sposobności była mowa o pani, nic dziwnego, bo miasto nieduże, a moje kasztanki są w mieście przecież znane. Że usłużny prawnik chcąc się przypodobać mnie, poruszył pewien przedmiot, który był mu znany, w tém mniemaniu, że mi zrobi wielką przyjemność, cóż w tem dziwnego? I zaraz zrobiono z tego plotkę, ale zamilczano o mojéj odpowiedzi.

— Znam pańską odpowiedź—przerwała młoda kobiéta podając gościowi rączkę—i wdzięczną jestem panu za nią!

Pan Jerzy ukłonił się.

— Ale niewiem—mówiła daléj—czy mi się pan tak pięknie ukłonisz, jeżeli powiem, że biorąc odwet byłam wczoraj także u kogoś, i ten ktoś, również niepytany, powiedział mi, że onegdaj, gdyś pan miał być słabym, byłeś na wieczorku u pani...

— Najszczersza prawda! Byłem—ale dopiero o dziesiątéj, gdy migrena ustąpiła!

— I tam do błękitnych oczek panny Niny...

Rozśmiał się na całe gardło pan Jerzy i sięgnął po drobną rączkę młodéj kobiéty.

Młoda kobiéta wyglądała teraz zachwycająco. Blada jéj twarz ożywiła się, oczy roziskrzyły się i błyszczały jak dwa brylanty.

— Na co panu... téj ręki? — zapytała z pewną zachwycającą ironią—tego zachcenia nigdy niespostrzegłam u pana!

— Ale to, co ja spostrzegłem w téj chwili, wystarcza mi, abym był w humorze jak najlepszym. Pani Augusta utrzymuje, że od czasu moich częstszych przejażdżek za rogatki, straciłem wiele na humorze!

— Chciałabym, aby pani Augusta prawdę mówiła... ale coś pan spostrzegł?

— Spostrzegłem... spostrzegłem coś, coś... coś spostrzegłem, co rzeczywiście jest dla mnie bardzo przyjemném!

— Cóż to było?

— Spostrzegłem trochę... trochę... zazdrości! Nieprawdaż?

Jerzy sięgnął po rękę towarzyszki. Ręka oddaliła się od niego a nawet i twarz młodéj kobiéty zagrała na chwilę owém drżeniem nerwowém, które miało znamie jakiegoś bólu. Po tem drżeniu nastąpił przelotny, nieznaczny rumieniec.

— Zazdrość pan widziałeś?—ozwała się z przymuszonym uśmiechem—zazdrość pan widziałeś! O! to pan patrzysz przez jakieś szkła różowe! Zkądżeby się wzięła ta zazdrość?

— Nie odbieraj mi jéj pani—bo ona jest dla mnie rozkoszą.

I ucałował drobną rączkę. Wyraz nieukontentowania okazał się na twarzy kobiéty. Nie była z siebie zadowolniona. Wzięła książkę do ręki i zaczęła obojętnie przewracać kartki.

— Zarozumiałość jest połową szczęścia—rzekła po chwili—a jeszcze większem szczęściem jest brać złudzenie za prawdę! Żałuję, że ani jednego z tych przymiotów nie posiadam! W życiu mojém tak mnie srogo rozczarowano, że już o złudzeniu i mowy być nie może! W nic nie wierzę, chociaż téj wiary tak gorąco pragnę!

I podłużne oczy młodéj kobiéty zaszkliły się jasném marzeniem na chwilę i powróciły znowu do obojętności. Pan Jerzy dojrzał jednak tę chwilę marzenia i uśmiechnął się do siebie.

— Powiadasz pani, że w nic nie wierzysz—ozwał się biorąc ją za rękę—a jednak czuję po drżeniu téj ręki, po téj pulsacyi przyspieszonéj, że pani wierzysz i wierzysz słusznie!

Kobiéta wyjęła swoję rękę z dłoni pana Jerzego, wstała szybko i zbliżyła się do okna, przy którém stała klatka z papugami. W oczach jéj błyszczały łzy. Schowała się z niemi do framugi okna.

Pan Jerzy patrząc za nią podkręcał wąsik i rozczesywał palcami bujne faworyty.

Nagle zwróciła się do niego. Łzy wysączyły się właśnie z jéj oczu i błyszczały na bladéj twarzy jak dwa brylanty.

— Mówiłeś pan — ozwała się głosem, który drżał jak struna przestrojona—mówiłeś pan, że powinnam wierzyć, że wierzę słusznie... i że niedoznam żadnego rozczarowania?...

Pan Jerzy zatrzymał nagle rękę w faworytach jak Mojżesz Michała Anioła—w brodzie swojéj. Spojrzał na twarz bladą, ustrojoną w brylanty i spuścił oczy, jakby w taki majestat kobiécy nie mógł patrzéć.

— Któż mówi o rozczarowaniu—mówił wolnym głosem—przecież te rozczarowania, na które narzekają kobiéty nie wyrastają jak grzyby po deszczu! Rozczarowanie następuje tylko wtedy, jeśli zaszło jakie złudzenie z jednéj lub z drugiéj strony; jeżeli jedna z stron dała powód do takiego rozczarowania... jeżeli... gdybym chciał bez ogródki prawdę powiedziéć... jeżeli...

Szkoda było łez kobiecych na takie zimne rozumowania. Przerwała je szybkim ruchem posuwistéj sukni i odeszła ku papugom, które przyjęły ją z niekłamaną radością. Zaczęła się z niemi pieścić, a one odpowiadały krzykiem, który przeszkadzał daléj mówić panu Jerzemu. Czekał cierpliwie chwil kilka.

Kobiéta zwróciła się do niego. Na twarzy nie było już łez, ale była ona blada jak po długiéj chorobie. Tych chwil kilka wystarczyło zapewnie za dosyć długą chorobę.

— Zapomniałam panu powiedziéć — ozwała się — że zabieram się... do wyjazdu. Czuję się niezdrową... pojadę do wód, a potem... do cieplejszego klimatu!

Pan Jerzy patrzał na nią z uwagą. Usta jego drgały uśmiechem, którego jednak nie chciał okazać. Był on pewny, że te słowa, wymówione z pewną gorączką, nie były prawdziwe. Wiedział, że po za niemi kryło się całkiem co innego.

Rozczesał ręką faworyty, co oznaczało wewnętrzne zadowolnienie i poprawił kołnierzyk, który go gdzieś uciskał.

— Sądzę — ozwał się po chwili — że nie masz pani ugruntowanych powodów do nagłego wyjazdu. Powietrze służy pani, wyglądasz jeszcze piękniéj, aniżeli wtedy na balu, gdym miał to szczęście po raz pierwszy przetańczyć z panią kontredansa i tę piękną rączkę po raz pierwszy uścisnąć.

I sięgnął po rękę kobiéty. Nie broniła mu jéj.

— Ale zważ tylko pan—mówiła głosem drżącym—że to wcale na zdrowie mi wyjść nie może, jeżeli od pół roku siedzę w téj pięknéj klatce, a wszyscy ludzie ciekawie pytają, dlaczego tutaj pokutuję? Raz trzeba to słodkie uwięzienie zakończyć, bo inaczéj..

Usta pięknéj kobiéty drgały tutaj jak w konwulsyi, a oczy paliły się jak dwie pochodnie...

Zaniepokoiło to pana Jerzego.

— Ecoutez-moi!—przerwał mówiącéj—wiem, co pani chcesz powiedziéć, i wierzaj mi pani, że często sam o tém myślę. Trzeba

jednak wziąć na uwagę moje położenie. Mam dwa tuziny krewnych a dwa razy tyle powinowatych. Wszyscy prawie zajmują wyższe w towarzystwie stanowiska i zę wszystkimi muszę się liczyć. Gdybym był zwykły dorobkiewicz, który nagle jak grzyb wyrósł i o swojéj parenteli nagle zapomniał, tobym nie wahał się ani chwili, nie oglądałbym się na nikogo.. ale tak comme vous le savez bien, muszę jakoś wszystkich najprzód przygotować na to, co uczynić zamyślam. Przecież na wyspę odludną nie wyjedziemy jak Robinson!

Młoda kobiéta zamyśliła się.

— Cóż oni mówią o tem?—zapytała z niepokojem.

— Dotąd nic jeszcze nie mówią, ale już jest wiele, że się czegoś domyślają. Powoli wszystko się wyrówna!

— Ja właśnie sądzę, że to „powoli" może nam bardzo wiele zaszkodzić!

— Dlaczego?

— Jeżeli ze strony krewnych pana rzeczywiście jaka niechęć przeciw mnie istnieje, to przez czas może ona zebrać jeszcze więcéj materyału dla siebie, do czego także i mój tak zagadkowy pobyt w tém ustroniu posłuży! Jedna byłaby tylko tu rada, działać szybko. Jestem na to przygotowana, że zrazu byłoby może trochę nieukontentowania, ale z czasem... panie Jerzy, tak zwane „czyny spełnione" nie tylko w sferze tronów mają powodzenie, ale i w tych, które są im bliskie!

— Tak... ale byłoby to rzeczą wielce ryzykowną...

— Znam przecież człowieka, który był po prostu najwstrętniejszą figurą pod słońcem, a że pewna dobrze urodzona dama rękę mu swoję oddała... chodzicie teraz z nim pod boki i w białych krawatach spijacie u niego herbatki!

Pan Jerzy poprawił się na fotelu.

— Przecież co do mnie—mówiła daléj w zapale—nie można mi nic innego zarzucić, oprócz niezwykłéj może kolei życia, co już dzisiaj wcale do niezwykłości nie należy! Rozwodzą się i u was, a jeżeli tego nie robią, to tem gorzéj dla nich! Ja wolałam otwarcie rozerwać więzy, niżeli kłamać przez całe życie!

Młoda kobiéta wyprostowała się tutaj i dumnym krokiem przeszła się po pokoju.

Wyglądała jak królowa. Pan Jerzy patrzał na nią z przypodobaniem, kręcił wąsy i rozczesywał faworyty.

Zatrzymała się przed nim. Twarz jéj grała niecierpliwością. Wszystkie fibry drgały.

— I cóż pan na to odpowiesz?—zapytała.

Jerzy sięgnął po jéj rękę, aby ją ucałować. Cofnęła rękę.

— Czekam na odpowiedź — powtórzyła.

— Odpowiedź... odpowiedź moja — mówił z wolna Jerzy—jest w mojém sercu. Tam jéj najbezpieczniéj, wierzaj mi pani, gdzieindziéj... byłoby jéj może gorzéj!

Zęby młodéj kobiéty zgrzytnęły nieznacznie. Stała chwilę nieruchoma jak statua. Tymczasem Jerzy zajął się zapalaniem świeżego papierosa. Zaczął z pewném zadowolnieniem przypatrywać się błękitnym kółkom dymu. .

Wybuch głośnego śmiechu przeszkodził téj niewinnéj zabawie. Spojrzał na młodą kobiétę, która teraz śmiała się serdecznie i szczerze. Twarz jéj zmieniła się zupełnie. Nie było ani śladu dawnego, dramatycznego nastroju. Za to był pewien urok niewysłowiony, jakiś wdzięk rozkoszny, nieujęty, podobny do tych wdzięków, jakiemi nas czaruje genialna artystka... jakiém w przepaść za sobą prowadzi psotna rusałka!

— Cóż ten śmiech znaczy? — zapytał Jerzy wpatrując się w te oczy roskosznie zmrożone.

— Ten śmiech znaczy—odpowiedziała rusałka — żeśmy oboje odegrali wyborną komedyą!

— Komedyą?

— Tak jest, komedyą. Teraz, gdy się ona udała, mogę się przyznać. Są pewne serca, które mają czasem niepotrzebne skrupuły. Otóż ja mam nieszczęśliwe serce. Zdaje mi się, że trzeba dotrzymywać tego, co się raz uczuło, co się wyszeptało lub wyrzekło.. choćby to serce gdzieś w inną stronę...

— W inną stronę?

— Tak jest... w inną stronę zwrócić się chciało!

— Ma foi, to już daleko zabawniéj niżeli przedtém było!

— Czy tak?... Bardzo się cieszę, że pana takim widzę. Skrupuły moje upadają zupełnie... chociaż i potém, com usłyszała od pana, już miejsca mieć nie mogą!

— Nie sądzę, aby tak źle ze mną było!

— Nie mam bynajmniéj zamiaru przekonywać pana o tem. Najlepiéj, gdy się samemu do tego przekonania przychodzi.

Jerzy z uśmiechem spojrzał na mówiącą. Zdawało mu się, że mimo mistrzowskiéj roli dojrzał coś w jéj twarzy, co mu powyższym słowom niekoniecznie wierzyć kazało. Słowa te jednak były dobrym powodem, zakończenia wizyty, która i tak przeciągnęła się nad program dzisiejszy.

Powstał z fotelu. Młoda kobiéta podała mu rękę.

— Pozostaje mi jeszcze na zakończenie... być trochę niegrzeczną—rzekła z czarującym uśmiechem — muszę pana pożegnać, gdyż mam ważne listy do pisania...

— Przeciwnie—odparł również z uśmiechem Jerzy—nie tylko nie widzę w tem żadnéj niegrzeczności, ale owszem dziękuję pani za przypomnienie, że i na mnie podobne obowiązki czekają! Więc do widzenia się... w lepszym humorze!

— Jestem prawie pewna... tego humoru!

— Cieszę się już naprzód z tego!

— Adieu!

— Adieu!

Podali sobie ręce i drzwi rozłączyły ich.

Jerzy schodząc po schodach nucił sobie jakąś wesołą piosenkę, a młoda kobiéta stanęła przy oknie i zasłonięta kwiatami patrzała za odchodzącym z zapartym oddechem...

Jerzy nie obejrzał się. Odwróciła się szybko i zadzwoniła na służącą.

— Gdzie jest ten list od pani Euzebii?—zapytała.

— Leży na biurku — odpowiedziała służąca.

— Dobrze... niech Michał się zbierze, poniesie odpowiedź!

I siadła przy biurku.

XII.

Między młodą kobiétą a naszym młodym astronomem było w téj chwili pewne pokrewieństwo. Miała właśnie rozstać się z marzeniem swojém, a może na zawsze je pożegnać. Młody astronom czuł właśnie podobne bóle rozstania się z swoją mrzonką, którą tak długo karmił serdeczną krwią swoją. Miała ona tyle uroku dla niego, a nieubłagany komisarz od akcyzy zrobił pierwsze pchnięcie, po którém siedmiobarwna bańka mydlana rozprysła się i znikła! Zaraz po jego wyjściu, jakby nieszczęście z sobą przywiózł, znalazł pomyłkę w rachunku, któremu tyle dni i nocy bezsennych poświęcił. Pomyłka ta była drobna, nieznaczna nawet, ale w progresyi rachunkowéj wydała miliony i biliony, na których właśnie swoje nowe odkrycie gruntował. Wionęło wszystko jak marzenie na fałszywéj podstawie osnute! Mała, drobna pomyłka przy téj podstawie—a miliony następnie z téj pomyłki wysnute, biliony i tryliony okazały się fałszem!...

On tyle budował na tych milionach bezpodstawnych, czuł w sobie siłę herkulesową do obalenia całéj nauki niebieskiéj, widział drugi pomnik nowego Kopernika, a teraz wszystko rozwiało się, jak się rozwiewa mgła wiosenna!

Do tego jeszcze dzień dzisiejszy był dniem licznych innych rozczarowań. Z poczty przyniesiono mu listy i pisma. Listem odpowiedziała mu pewna znakomitość naukowa, że myśli i hipotezy,

z któremi się zwierzył, nie mogą mieć w nauce żadnéj przyszłości, gdyż nie są wynikiem ścisłego rachunku ale fantazyą młodéj głowy. Podobne słowa wyczytał w piśmie, któremu przesłał swoje obserwacye nad biegiem komet. Zachęcano go do dalszéj pracy, ale na to tylko, aby się przekonał o swoich pomyłkach i niemożności schwycenia ręką tego, co jest i pozostanie tajemnicą stworzenia.

Zgoła—na każdym punkcie przegrana! A gdy do tego jeszcze dodał srogie spojrzenie dyrektora i bolesne uszkodzenie nosa, który śród tych smutnych myśli ciągle mu się przypominał—musiał prostą drogą dojść do przekonania, że jest najnieszczęśliwszym człowiekiem.

Jakoż takim był w téj chwili rzeczywiście. Siedział na kulawém krześle i patrzał na stosy papieru, które na stole leżały. Te stosy to jego marzenia stracone!

Miał już ochotę zapłakać, ale w téj chwili przed oczyma mignęło mu coś jasnego. Był-to profil owéj śpiewającéj blondynki, którą przez okno widział. Pamięć jego oddała mu wiernie cały obraz. Najprzód były zielone gałęzie oleandru, za niemi siedziała szatynka przy fortepianie, a przy niéj stała wysmukła blondynka z otworzonemi ustami jak kielich kwiatu spragniony rosy niebieskiej.

Przypomnienie to zajmowało coraz więcéj jego uwagę. Boleść z marzeń zawiedzionych zaczęła przycichać... w sercu odbywał się pewien ruch, który mu sprawiał wielką przyjemność, jakiéj pierwéj nigdy nie doznawał.

I już tak samo jak w astronomii, na pierwszéj lepszéj liczbie, która mogła być także pomyłką, chciał zbudować miliony i biliony... marzeń serdecznych—gdy nagle z poza śpiewającéj blondynki wychyliła się sroga twarz dyrektora z błękitną szmatką na uchu, która przypominała ową historyczną czapkę frygijską tylko innego koloru.

Gdy ten obraz z kolei stanął mu przed oczyma, poczuł pewną trwogę i już zaczął mazać zaczęty nowych marzeń rachunek, gdy nagle do drzwi zapukano.

Młody astronom był pewny, że ujrzy teraz najprzód ostrą halebardę, potem ściągnięte brwi groźnego dyrektora, a w końcu ową zagadkową flagę błękitną, która tak groźnie wisiała na lewem uchu... Tymczasem i tu nastąpiło rozczarowanie.

Do pokoju wszedł niski, gładko ogolony człowiek z okazałą na głowie łysinką. Na twarzy pełnéj miał uśmiech serdeczny i wiele słodyczy w małych zmrużonych oczach.

Młody człowiek pobiegł na przywitanie znakomitego gościa, rzuciwszy pierwéj rozpaczliwe spojrzenie na niektóre defekta kawalerskiego mieszkania.

— A... wielmożny pan dobrodziej Filemon!—zawołał jak mógł najserdeczniéj, aby przynajmniéj gorącym afektem odciągnąć uwagę gościa od wypłowiałéj sofy i kulawego fotelu.—Jakże się cieszę... jakże wielce jestem obowiązany... jakże mi miło...

— Mnie to mnie należy, nie takiemi słowy... zacny panie!—odpowiedział pan Filemon ściskając rękę młodego człowieka — kto tak trafnie umiał opisać obrót dwóch księżyców Marsa... kto z taką zręcznością umiał rozwiązać mglistą przepaskę Wenery i słoneczne jéj oblicze odsłonić... kto wymierzył i ułożył pokłady chmur i obliczył ich wzajemny do siebie stosunek... ten, mój zacny panie...

— Proszę... zbyt wiele łaski! — przerwał mówiącemu młody astronom i zarumienił się po uszy.

Rumieniec był zasłużony może, bo artykuły wyżéj wymienione nie były jego własną pracą, ale pochodziły z różnych książek, których pan Filemon nie znał.

— Skromność zdobi największego mędrca! — mówił daléj niezachwiany pan Filemon — ale nam profanom wolno cenić ludzi inaczéj. Zresztą, mój zacny panie, cóż nam dzisiaj w naszém wyjątkowém położeniu pozostaje? Nauka i sztuka! To téż na tém polu powinien się skupić duch społeczeństwa i wydać owoce, po których mógłby o naszéj egzystencyi świat się dowiedziéć! Dlatego każde, choćby najmniejsze usiłowania na tem polu powinny nas obchodzić, a ludzi oddających się takim usiłowaniom powinniśmy znać i szanować!

Słowa te poczciwego pana Filemona wprawiły młodego człowieka w niemały kłopot. Poczciwy mecenas sztuki i nauki spóźnił się o kilka godzin. Wtedy byłby jeszcze zastał dumnego astronoma, który o laurach naukowych marzył, w téj chwili jednak miał przed sobą człowieka złamanego, zwątpiałego, który właśnie co z wyżyn swoich marzeń spadł na ziemię. To téż ironią prawie wydały mu się słowa powyższe. Patrzał czas niejaki w poczciwe oblicze niezwykłego gościa i nie mógł sobie wcale zdać sprawy z tego, co słyszał.

Gość tymczasem ustawił kulawy fotel do równowagi i prawił daléj:

— My starsi po niewczasie poznajemy, żeśmy szli drogą niewłaściwą. Czekaliśmy jakiegoś jutra z założonemi rękami, a do tego jutra w niczém nie chcieliśmy się przyczynić. Dzięki Bogu, że dzisiaj jaśniéj przed nami. Uczyć się i pracować—oto nasze jutro. Ale znowu nowe licho nas nachodzi. Ciżbą ciśniemy się do téj pracy i do nauk i—potrącamy i depczemy siebie wzajem. Ztąd powstają kłótnie, zabijatyki—a że każdy chce mieć słuszność, to téż każdy

wymyśla jakąś chorągiew i wywiesza jako sztandar bojowy! Pfe, mój panie!

— Walka rodzi postęp i vice versa!—zauważył młody człowiek.

Pan Filemon zachwiał się na fotelu.

— To są wszystko frazesy — odrzekł opierając kulawy fotel o stół—można pracować w zbitym szeregu i nikogo nie trącić! Tak robią mrówki i wielkich w swoim rodzaju dokazują rzeczy! Czy widziałeś kiedy rozburzone złośliwą nogą mrowisko? Co tam za krzątanie do odbudowania napowrót tego, co złośliwa noga rozdeptała? Jak cicho i porządnie odbywa się restauracya? Tylko wy...

— Pozwolisz pan jedno słowo tutaj wtrącić. Owad pracuje cicho i bez kłótni, bo każdemu z nich już sam instynkt każe tak a nieinaczéj pracować. Człowiek zaś musi dopiéro sam wynaleść sposób pracowania i na ten sposób i środki muszą się wszyscy zgodzić! Ztąd to pozorna niezgoda w rzeczach ludzkich, która jednak daje świadectwo o samodzielności człowieka, podczas gdy owad podlega jakimś tajemnym, ale stale działającym sprężynom!

Pan Filemon znowu zawahał się na fotelu.

— Tak... — ozwał się po chwili — to bardzo ładnie, ale zgody trzeba do każdego większego dzieła! To téż moje hasło jest: zgoda! Mój dom jest domem dla wszystkich, którzy zacnie i poczciwie myślą i czują. Otóż abym niezapomniał, bo tak ważny przedmiot poruszyliśmy... bądź tak łaskaw mój zacny panie i nawiedź dzisiaj dom nasz wieczorkiem. Będzie małe gronko ludzi, a radbym, aby to grono nie ograniczało się na zasłużonych emerytach, ale aby i młodsza latorośl godnie była przedstawioną!

— W takim razie wybór padł niefortunnie...

— Daj pokój, zacny panie—wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi! Moja żona wyraźnie napisała mi ciebie na karteluszu... ot patrz i czytaj!

Teodor spojrzał na rozwinięty papier i rzeczywiście wyczytał tam swoje nazwisko, a obok niego w nawiasie pseudonim, jakiego zwykł w dziennikach używać.

— Za prawdę nie umiem sobie wytłómaczyć tego zaszczytu... nawet nie wiem, czy nie zaszła jaka pomyłka...

— Uchowaj Boże! Wyraźnie stoi... Teodor.

Pan Filemon posunął rękę, aby Teodor mógł dobrze swoje nazwisko wyczytać wraz z pseudonimem. Teodor wyczytał więcéj... bo wyczytał nazwisko dyrektora i to zaraz nad sobą. Uczuł nagle, jakby ogromny ciężar go przywalił. Tchu mu zabrakło. Nazwisko dyrektora było wypisane grubszemi literami. Przypomniało mu się to zacne oblicze publicznego męża i sam niewiedział, dlaczego ogar-

nął go jakiś niewytłómaczony niepokój... Ale niepokój ten przybrał charakter bardzo przyjemnego wzruszenia, gdy przy nazwisku groźnego dyrektora ujrzał przypisek z żoną i z siostrą żony, która ładnie śpiewa.

Uśmiechnął się wyczytawszy te słowa. Pan Filemon wziął ten uśmiech za odpowiedź pomyślną, a powstawszy ostrożnie z kulawego fotelu uściskał swego przyszłego gościa.

— Więc przyjdziesz! dobrze, do widzenia się!—zawołał.

Zwrócił się nagle od drzwi.

— Zapomniałem jeszcze powiedzieć—dodał—że to właściwie moja żona cię zaprasza... w takim razie... jak zwykle... biały krawat! Lepiéj naprzód wiedzieć, niżeli potém być krukiem między białemi gołębiami... Gdybym ja zapraszał... to na takie głupstwa nigdybym nie zważał, ale kobiéty... a zresztą kobiétom to się należy. Więc do widzenia!

I zacny pan Filemon zniknął za drzwiami.

XIII.

Po wyjściu pana Filemona stał Teodor czas niejaki na środku pokoju, jakby to co zaszło, chciał w głowie swojéj porządkować. I rzeczywiście był tam właśnie nie mały nieporządek. Stosy rachunkami zapisanego papieru—marzenia stracone o drugim w stolicy pomniku wielkiego astronoma, komisarz od akcyzy i profil blondynki z otwartemi ustami, groźne oblicze dyrektora i słodki uśmiech pana Filemona... wszystko to leżało jeszcze w wielkim nieporządku. Ale była w témjednak pewna myśl przewodnia—była, jak mówią niektórzy: logika faktów.

Po rozczarowaniach astronomicznych był profil śpiewającéj blondynki pierwszym logicznym faktem, bo wszedł w próżnią zostawioną przez zdradę astronomii. Drugim takim faktem była wizyta pana Filemona i zaproszenie na wieczorek, bez którego byłby ów profil śpiewający długi czas tylko pobożném marzeniem. Wszystko więc składało się, aby boléść za tém, co utracił, trwała jak najkrócéj, a pociecha, jaka mu płynęła, stała się szybko rzeczywistością.

Już sam wieczór u pana Filemona, czy raczéj u pani Euzebii, zacnéj małżonki pana Filemona, wystarczał sam dla siebie bez żadnych dodatków. Mógł on z urodzonego mizantropa zrobić choćby na chwilę roskosznego optymistę. Całowano się i kochano na tym wieczorku co niemiara, a toasty przy kolacyi były tak misternie formułowane, że nie obrażały nikogo, że wszystkim przypadały do serca.

Zacny-bo téż był dom pana Filemona czy raczéj pani Euzebii, jak urzędownie go nazywano.

Pan Filemon był to karmazyn czystéj krwi. Miał dawniéj dosyć okazałą fortunkę na stokach Karpat, ale sprzedał ją i osiadł w mieście. O powodach tego przesiedlenia różnie mówiono. Utrzymywano, że jejmość na wsi się nudziła, aby jednak zmianę stanu czemś upowodować, wmówiła w męża, że ma pewną missyą opatrznościową, którą dla dobra publicznego spełnić powinien. Miał on charakter łagodny, przekonania przeciętne i umiejętność raczenia gości, co dawało mu patent do odegrania wyższéj roli. W kraju bowiem zaczęły między opiniami tworzyć się coraz większe dyferencye, podzielono się na koła i na kółka i w końcu każde ognisko zrobiło się tak małém, jak w łańcuszku weneckim. Pochwycić to ogniwo, związać silną spójnią i zrobić z nich jeden wielki łańcuch społeczny — oto było zadanie, godne wielkiego człowieka.

Pan Filemon nie miał nigdy pretensyi do wielkości, ale pani Euzebia inaczéj myślała. Dojrzała stanowisko nie zajęte, a na bezrybiu—zwykła mawiać do męża—i rak rybą.

Sąsiadki pani Euzebii, które na wsi pozostały, śmiały się z nowego programu państwa Filemonów. Mówiły sobie do ucha, że pani Euzebia poprostu chce się bawić i że do tego zawsze miała ochotę. Ponieważ była już moda, aby wszystkiemu nadać cechę dobra publicznego; ponieważ była już fabryka narodowa wódek i rosolisów, piekarnia narodowa, drukarnia narodowa i młyn parowy narodowy, brakło jeszcze salonu narodowego.

Sąsiadki pani Euzebii nie myliły się wcale pod tym względem, salonu narodowego nie było. Były salony z szwajcarską francuzczyzną, były karykatury salonu paryskiego, ale swojskiego nie było.

Jakiekolwiek powody miała pani Euzebia do osiedlenia się w mieście, dajemy jéj zupełne rozgrzeszenie, *in magnis voluisse sat est!* Chciała liczniejsze towarzystwo zebrać w swoim domu, chciała pomieszać trochę różne warstwy, chciała znaleść spójnię dla wszystkich. Było-to może za trudne, może niestosownych używano do tego środków—może nawet i próżność odegrała w tém pewną rolę—wchodzić w to nie wypada. Rozumie się samo przez się, że aby ludzi więcéj do siebie zbliżyć, trzeba ich wzajemnie — podwyższyć. Z prostego grajka trzeba zrobić artystę – z młodego człowieka... przyszłego geniusza, z przybyłego od granicy... sławnego podróżnika—a z nieznanéj jejmości z kresów kraju... milionerkę. Wszystko to łączy i spaja ludzi, budzi pewną ciekawość wzajemną i... salon nabywa rozgłosu.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu—myślała sobie pani Euzebia i pełną dłonią rozdawała tytuły, ordery, laury a nawet... majątki. Umiała ona zawsze coś nowego podać gościom, czemś zaciekawić, a wrazie zupełnéj posuchy, mówiła bardzo wiele o jakimś nieznanym poecie, którego utwory potém, naturalnie z oklaskami, odczytywano.

Pan Filemon, za swoje pieniądze, miał wszelkie prawo do wiary, że spełnia misyą opatrznościową i drobnym kroczkiem dreptał do tych wszystkich znanych i nieznanych znakomitości, które mu pani Euzebia na papierze spisała.

Taki charakter miał dom, do którego młody astronom został dziś zaproszony. Był on tam już parę razy, ale wtedy był jeszcze wielkim i sławnym! Pani Euzebia położyła nacisk na jego przyszłą sławę, a on przyjął to, co mu się należało. Po jednym z takich wieczorków nosił przez kilka dni głowę tak wysoko, że nawet dawnym profesorom swoim nie chciał się kłaniać! Dopiéro jakaś trudność niespodziana w obliczaniu elipsy, zmusiła go do spuszczenia trochę głowy i do przeproszenia się z jakąś starą książką, która już była skazana na banicyą z jego biblioteczki.

Dzisiaj położenie się zmieniło. O swojéj przyszłéj sławie zwątpił, a bez niéj stał się człowiekiem powszednim. Jakże on wejdzie do salonu pani Euzebii? Gdy go gospodyni przedstawi komu i doda, co dodawać zwykła, czyż on nie zarumieni się? Czyż nie będzie on tam kontrabandą?

Takie myśli nachodziły sumiennego Teodora w téj chwili, ale wspomnienie śpiewającego profilu wszystko rozproszyło. A gdy jeszcze wieczór nadszedł, gdy w oknach dyrektora ujrzał kręcącą się panią Elżbietę, gdy późniéj nawet i profil się zjawił w towarzystwie służącéj, która na ramieniu mnóstwo gazy trzymała, Teodor wstał z kulawego fotelu i z pewną rozkoszną gorączką zaczął się ubierać.

Wcześniéj, niżeli sądził, był gotów. Poprawił biały krawat i podniósł firankę, aby się dowiedzieć, co się dzieje w domu dyrektora. Biedny—nie wiedział, że tam czyhała nań zdradliwa a tak przecież rozkoszna kochanka!

Na czystém szafirowém niebie pędziła naprzód z długim jak oblubienica ogonem. Gwiazdy pierwszego rzędu gasły przy jéj zbliżeniu, a blask ich był podobny do blasku świeczek łojowych przy elektrycznem świetle królowéj nocy!...

Teodor ujrzał ją teraz w całéj świetności. Nigdy taką dawniéj nie była! Nigdy nie miała takiego uroku, nigdy jéj mocniéj nie kochał jak w téj chwili!...

Mówią eksperci, że mężczyzna nigdy bardziéj i goręcéj nie kocha kobiéty jak wtedy, gdy go zdradza, gdy się staje wiarołomną i od niego się oddala!... Jeżeli to jest prawdą, to młody astronom był rzeczywiście w tém położeniu. On tyle nocy bezsennych poświęcił jéj, tyle marzeń serdecznych nawiązał do téj srebrnéj szaty, która w niewidomym uścisku przebiega w szale salon błękitny... on chciał jéj lotne kroki obliczyć, chciał wiedziéć, zkąd wyszła, dokąd dąży i gdzie spocznie... a ona tymczasem zmyliła jego rachunek, zdradziła serce kochające, potłukła jak cacka złote jego marzenia... a w téj chwili ulega jakiemuś nowemu pociągowi, zmienia pierwotną linię i biegnie w jakąś przepaść tajemną, aby tam zniknąć z przed oczu całego świata!...

Niewdzięczna! Okrutna!... Jak pięknie, jak uroczo w téj chwili wygląda! Zwoje promiennych warkoczy zarzuciła w około siebie i biegnie w nowe objęcia, nowych żądna uścisków i pieszczot... Żegnaj, kochanko snów gorących, nowy kochanek czeka na twoje urocze spojrzenia, na twój uścisk gorący, na twój płomienny pocałunek!... Czego jesteś tak piękną, tak uroczą, gdy mnie żegnasz na zawsze? Czemu oczy twoje błyszczą tak rozkosznie, czemu pierś twoja oddycha tak szybko, dlaczego oddech twój jest tak gorący jak lawa?... Okrutna! Niewdzięczna! Wszystko to już nie dla mnie, a jam cię tak kochał!.. Żegnaj, żegnaj!...

Takich uczuć doznawał w téj chwili młody astronom patrząc na szafirowe niebo, na którém właśnie w całym majestacie toczyła się ukochana jego kometa... gdy nagle brzęk otwierającego się okna przebudził go z niebieskiéj kontemplacyi. Spojrzał przed siebie— a w oknie przeciwległéj kamienicy ujrzał nagle poważne oblicze dyrektora, starannie ogolone, z białą chustką pod szyją. Na tém obliczu była troska jakaś, a w oczach skryło się złowrogie światło. Dyrektor patrzał wprost na niego, jakby wzrokiem swoim chciał go zamagnetyzować. Przeszkadzały jednak temu dwie inne kobiéce postacie, które w głębi pokoju po za plecyma dyrektora przesuwały się jak cienie elizejskie. Jedna była w czarnéj sukni z ponsowém ubraniem—druga cała biała jak kometa z błękitną odmianą...

Teodor cofnął się, a w téj chwili zamknęło się z łoskotem okno w przeciwległéj kamienicy.

(C. d. n.). *Jan Zacharyasiewicz.*

Współczesna Powieść we Francyi.

GUSTAW FLAUBERT.

II.

Flaubert duszą należy do Wschodu. Dziełami drogiemi jego sercu, dziełami, które pisał bez znużenia pomimo olbrzymich poszukiwań, były z pewnością: *Salammbô* i *Pokusy Ś-go Antoniego*, wspaniała wycieczka liryka i kolorysty w kraj światła, odurzającéj woni, błyszczących kamieni i bogatych materyj. W *Pani Bovary* poeta ustąpił miejsca obserwatorowi, liryk szydercy. Potrzeba było nagromadzać szczegóły, zastanawiać się nad drobiazgami, rozpatrywać fakta ludzkiego życia i w końcu przekonać się, że ono jest nieskończenie małe, płaskie, głupie i marne. Potrzeba było tworzyć charaktery z małostek powszednich i będąc wyższym nad całą tę armią prowincyonalnych arogantów bez nauki, poczciwców bez inteligencyi, lub szalbierzy bez cienia nawet uczciwości, zachować swój umysł i serce na uboczu, gdzieś na końcu stronicy, za plecami jakiegoś głupca aptekarza albo aptekarskiego chłopca żółto-dzioba. Potrzeba było chodzić po ziemi jak bocian po bagnach i z pozbieranych płazów ludzkiéj głupoty budować gmach sztuki trwały pracą, cierpliwością i dokładnością w przystosowywaniu jednych cegiełek życia do drugich. Społeczeństwo znużone fantastycznemi bajkami romantyków zażądało prawdy: Flaubert mu ją dał, całą, nagą, bez żadnych illuzyj. Ale jak gdyby umyślnie za podcięcie skrzydeł odpłacił się społeczeństwu szyderstwem, które wciąż się unosi nad bagnem głupoty, przewrotności i małoduszności życia prowincyonalnego. Z każdéj stronnicy *Pani Bovary* przeziera złośliwy uśmiech satyryka przebranego w spokojne, poważne kształty spostrzegacza, któremu metoda nie pozwala wybuchnąć niekłamanym nawet liryzmem, a potrzeba sztuki stylistycznym zapałem. Mając orle skrzydła, zamiast

z góry rzucać się na łup, musiał on jak jéż tarzać się po łące życia, aby literacki głód i pragnienie zaspokoić małemi jabłkami ludzkiéj śmieszności, zadzierzgniętemi na końce kolców swojego nielitościwego sarkazmu, który dla niego był moralném zadowolnieniem, pewnego rodzaju pociechą za straconą możność poetyzowania ludzi w czynach lub nawet tylko w słowach. Metoda podcięła mu skrzydła, ramy życia wstrzymały lot, do którego pod niebem Normandyi „płaskiéj, nudnéj, powszedniéj i bez poezyi,“ brakło mu powietrza, brakło przestrzeni. Artysta potrzebował odetchnąć i czując się orłem minął przestrzeń, wstrzymał czas dwudziestu kilku wieków i zawisł nad epoką ciepłéj, dymiącéj krwi barbarzyńskich żołdaków, aby z jéj pary, przesłoniętéj gęstym kurzem zapomnienia, stworzyć poemat zwierzęcych instynktów. Kartagina ze swojemi obyczajami bez konwenansów, ze swojemi zwyczajami nie mającemi nic wspólnego z naszemi, ze swoją barwnością kolorów, przepychem, bogactwami, rozmaitością charakterów dzikich i nieokiełznanych, ze swoją religią potworną i barbarzyńskiém bohaterstwem, była rozszerzeniem piersi aż dotąd ściśniętych płytkiém i jednostajném życiem Normandyi. Poeta rzucił Europę, rzucił konwenanse cywilizacyi, dla poezyi dziewiczéj prawie jeszcze natury. Ale na jego skrzydłach ciążył balast nauki i metody. Zarówno chciał być poetycznym jak i ścisłym. Poeta archeologa popędzał do stawiania hipotez i odgadywania prawdy, a archeolog z nieba intuicyi ściągał poetę ku ziemi.

Aby jasno określić stanowisko, jakie *Salammbô* zajmuje w szeregu arcydzieł samego Flaubert'a i realnych powieści wogóle, przypatrzmy się bliżéj jego wyznaniu wiary, a po części i przyznaniu się do winy.

„Według wszelkiego prawdopodobieństwa i moich osobistych wrażeń—mówi on w swéj odpowiedzi na krytykę Sainte-Beuve'a—przypuszczam, żem zrobił coś, co jest podobném do Kartaginy. Lecz pytanie nie w tém leży. Drwię sobie z archeologii! Jeżeli kolor nie jest jednolity, jeżeli szczegóły rażą, jeżeli obyczaje nie wypływają z religii a czyny z namiętności, jeżeli charaktery nie są przeprowadzone, ubiory nie zastosowane do użytku a architektura do klimatu, słowem, jeżeli nie ma harmonii, jestem w błędzie. *Si non,—non.* Wszystko się trzyma.“

Jest-to najlepsza krytyka powieści, i nic jéj zarzucić nie można, ponieważ Flaubert wyraził w niéj nie tylko to, co z powieścią chciał zrobić ale i to, co zrobił. Przedewszystkiém, zatrzymajmy się nieco dłużéj nad jego lekceważącém odezwaniem się o archeologicznéj wartości powieści, która przez większość wielbicieli ściśle naukowe-

go talentu Flaubert'a uważaną jest za zupełnie historyczną monografią Kartaginy w danéj przynajmniéj epoce.

Flaubert „drwi sobie z archeologii!“ być może, ale po zupełném otrząśnięciu rąk z jéj pyłu. W odpowiedzi panu Fröhner, filologowi i archeologowi Wschodu, autor *Salammbô* dał prawdziwą lekcyą z samych źródłowych cytat, które pokazują jasno i od razu, jak potężnym materyałem posługiwał się przy budowaniu powieści i jak dalece posuwał swe archeologiczne studya, skoro wszystkie szczegóły oparte są na historyi, na kronikach, pomnikach, napisach, rzeźbach i osobistych wrażeniach własnemi oczyma widzianego kraju. *Salammbô* jest przedewszystkiém pracą archeologa, przez archeologią żyje i tak długo żyć będzie, dopóki nowy talent, ale tym razem czysto już tylko historyczny, miejsca jéj w literaturze nie zastąpi, dziełem poczętém przez miłość prawdy i dla téj prawdy ściśle, bez uwzględnienia artystycznych potrzeb, wykonaném. Flaubert bowiem zebrawszy dokumenty dla napisania epizodu z historyi, traktował je jako rzeźbiarską glinę do ulepienia artystycznego pomnika, nie zaś jako samoistne fakty, których oblicza w żadnym celu i to pod grozą zarzutu o fałszowanie historycznych wypadków, przekształcać nie można.

Według mojéj opinii *sekretnéj* — pisze Flaubert do Sainte-Beuve'a—wodociągu w Kartaginie, pomimo szczątków dziś istniejących jeszcze, nie było wcale. Dla tego téż starałem się uprzedzić wszystkie zarzuty przez obłudny frazes pod adresem archeologów, przypominając, że to był wynalazek rzymski, wtedy nowy i że wodociąg obecny został odbudowany ze starego. Wspomnienie Belizaryusza, który przeciął wodociąg rzymski z Kartaginy, prześladowało mnie, a przy tém było to tak piękne wejście dla Spendius'a i Mâtho. Wszystko jedno! Mój wodociąg jest podłością! *Confiteor*.

Tego przyznania się do winy istotnie było potrzeba dla honoru autora. Wodociąg bowiem za wielką rolę gra w powieści i w losach powieściowéj Kartaginy, aby Flaubert, wymyśliwszy jego istnienie w artystycznym celu, nie miał sam nazwać go prostym wymysłem, *podłością* wobec otoczenia czystéj, archeologicznéj prawdy innych szczegółów. Nie obniża to w niczém wartości saméj powieści: odejmuje jéj tylko znaczenie historycznéj monografii. Ponieważ jednak Flaubert „drwi sobie z archeologii,“ włóżmy więc jeszcze na jego potężne barki zarzut historycznéj ścisłości, abyśmy swobodni od traktowania jego dzieła ze strony badań naukowych, mogli się niém zająć ze stanowiska czysto-artystycznego.

„Przez zamiłowanie do jasności — odpowiada on Sainte-Beuve-owi — sfałszowałem historyą co do śmierci Hannon'a. Był on, co

prawda, ukrzyżowany przez najemników ale w Sardynii. Naczelnik ukrzyżowany w Tunisie, wobec Spendius'a, nazywał się Hannibal. Ale jaki by ztąd powstał zamęt dla czytelnika!... Bądź pan jednak pewien, żem nie stworzył Kartaginy fantastycznéj.“

Inne zarzuty, na które Flaubert odpowiedział, a ma on odpowiedzi na wszystko, nie są mniéj ważne od poprzednich. Flaubert w wielu miejscach z powodu braku materyałów rzeczywistych posługiwał się indukcyami, łudzącemi wprawdzie, ale zawsze indukcyami, teksty zaś nie mające jednakowéj historycznéj wartości przyjmował bez krytycznego zastrzeżenia i więcéj w tym razie kierował się potrzebą sztuki niż wymaganiami nauki. Jego lekceważenie archeologii więc, pomimo całéj sumienności w nagromadzeniu szczegółów, nie jest prostą przechwałką uczonego pod formą udanéj skromności, lecz szczerem wyznaniem artysty, który „wiedziony sympatyą dla religij i ludów zaginionych“ więcéj jeszcze w swém dziele chciał być pięknym niż ścisłym. Zrobiwszy to zastrzeżenie, przejdźmy do sztuki.

Salammbô jako powieść, jako dramat życia wysnuty z łona ludzi związanych z sobą w jedną całość, jest prześlicznym pomnikiem, który jednak stoi na tak wielkim piedestalu z archeologicznych i historycznych cegiełek, że jego drobne, choć silnie naznaczone kształty giną dla oka widzów z powodu braku odpowiedniego dostępu. Pojedyńczy aktorzy dramatu zacierają się w tłumie, w masach, któremi Flaubert porusza z genialną znajomością strategii literackiéj, i w otoczeniu natury, w opisach, które ich swym ciężarem przygniatają. Być może, że tym tylko sposobem bohaterowie czasów barbarzyńskich byli w stanie zachować pozór ludzi nie dzisiejszych, nowożytnych. Flaubert chcąc bliżéj określić i wytłómaczyć ich charaktery, mógłby był z łatwością popaść w błąd wszystkich historycznych powieściopisarzy i pociągnąć je pokostem francuzkiéj cywilizacyi. Tak jak są, zaledwie wydostający się z tła, pomimo wyraźnego rysunku konturów, noszą na sobie piętno barbarzyńców, minionego czasu i innego słońca. Dusza ludzka nie jest bynajmniéj wszędzie jednakową i Flaubert w *Salammbô* zrobił innych ludzi niż w *Pani Bovary*, ale... „Chciał utrwalić majak, zastosowywując metodę współczesnéj powieści do czasów starożytnych“ i dzieło z konieczności stało się utworem hybrydycznéj natury: otoczenie, warunki i wpływy są prawdziwe, charaktery zaś fantastyczne, tam realizm, tu indukcya w usługach poezyi. Gdzie nie mógł zastosować metody obserwacyi, posługiwał sie intuicyą i logicznėm odgadywaniem charakterystycznych rysów, któremi wypełniał luki. Ludzie nie prawdą, jak w *Pani Bovary*, ale zdumiewają siłą i koncentracyą zwierzęcych instynktów,

które z małemi wyjątkami są jedynemi pobudkami ich czynów. Nie są oni bynajmniéj widziani fałszywie. Flaubert za dobrze znał warunki życia, całość obyczajów i poziom cywilizacyi ówczesnéj Kartaginy, aby nie miał z ogólnego sądu o jéj fizycznym i moralnym stanie wyprowadzić wniosków o fizycznéj i moralnéj wartości pojedyńczych indywiduów. Nie mogąc jednak, podobnie jak w *Pani Bovary*, stworzyć ludzi takich, jacy są w rzeczywistości, ponieważ téj rzeczywistości nie miał przed oczyma, musiał ich *pomyśléć* takimi, jakimi przy znanych mu warunkach być-by mogli, a nawet być-by powinni, gdyby wszystkie przez niego przytoczone warunki i wpływy na to się złożyły, i tak jak on tego chce, działały. Kartagina jego nie jest bynajmniéj fantastyczna; pojedyńczy jednak ludzie, z wyjątkiem może Hamilkara, Hannona i Spendiusa, są to wspaniałe pomysły, łudzącéj prawdy, indukcye temperamentów i charakterów możliwych, ale nie rzeczywistość.

Salammbô jest wysiłkiem akrobaty, który na podstawie zręczności i pewności siebie, wyzywa prawa ciężkości: żadne niebezpieczeństwo nie grozi mu na przedstawieniu, ponieważ poznał je za wczasu i umie go przez to uniknąć. Nie mniéj jednak prawa ciężkości istnieją i jakkolwiek wielkim byłby wysiłek gimnastyka, granicy ich przekroczyć nie może bezkarnie. Dla tego téż w *Salammbô*, przy każdém niemal zjawieniu się pojedyńczych ludzi w akcyi, odczuwamy pewnego rodzaju niepokój i jakby z niedowierzaniem wsłuchujemy się w ich słowa lub wpatrujemy w czyny. Zdaje nam się ciągle, że oni są w powietrzu, i mimowolnie szukamy oczyma tych wszystkich lin, drążków, trapezów i masztów archeologii, które nas upewniają, że niebezpieczeństwo upadku nie grozi im lub przynajmniéj nie jest wielkie. Prawda i ilość nagromadzonych szczegółów dają im mocny grunt pod nogami; ciągłe przywoływanie na pamięć obyczajów, zwyczajów, religii i wpływów natury usprawiedliwiają ich duszę, choć jéj nie tłómaczą dostatecznie; przewaga zaś akcesoryów i mas nad indywiduami zaciera ich niepełność. Dokumenty historyczne pozwoliły Flaubert'owi odbudowywać Kartaginę w *Salammbô* według téj saméj metody, jaką się posługiwał przy malowaniu Normandyi w *Pani Bovary*. Pod tym względem obydwie powieści są do siebie podobne jak siostry rodzone. Tu zwierzęcość, tam mieszczańska głupota; tu wpływy strasznéj natury i straszniejszéj jeszcze religii, tam fałszywego wychowania, konwencyonalności i nudnego, powszedniego życia prowincyi; tu siła wyższa, wiara w przeznaczenie i niemoc w opieraniu się potrzebom i zwierzęcym instynktom, tam do czynu decydują ludzi drobne wypadki; tu na obraz składa się wiedza pośrednia, tam doświadczenie bezpośrednie; tu zmysł krytyczny uczo-

nego badacza pomników historyi, tam chłodny spokój pilnego obserwatora życia. Tyle co do podstawy, czy téż ram obydwu tych arcydzieł sztuki. Odkąd jednak z tła akcesoryów i mas wyłaniają się pojedyncze postacie, podobieństwo zmniejsza się. Na miejsce ludzi widzianych, wytłómaczonych wpływami i scharakteryzowanych czynami, podstawiają się ludzie pomyślani, dowodzący istnienia i działania wpływów, potrzebujący w myśl nałożonego na nich charakteru iść najprostszą, najszybszą drogą do celu, jaki im autor zawczasu nakreślił. Pod powałą tego olbrzymiego gmachu szczegółów odbudowywujących Kartaginę rzeczywistą, ci ludzie, których psychologią Flaubert oparł tylko na domyśle temperamentów i na przypuszczeniu urabiających je wpływów, maleją do miary istot żyjących życiem wyłącznem, odrębnem i jakby tylko sztucznem. Jest-to los każdéj powieści historycznéj, każdéj sztuki, która z grobów chce wydostać życie, zamarłą epokę odtworzyć. Będzie to w najgorszym razie teatr konwencyonalnych bohaterów, w najlepszym zaś ciężki obraz archeologicznéj prawdy i ludzi widzianych z jednéj tylko strony ich życia; nigdy jednak pełna, wielka, prawdziwa i nienaciągnięta do potrzeb nauki lub sztuki natura, co właśnie stało się z *Salammbô*, gdzie brak materyałów nie pozwolił zastosować metody z tą samą ścisłością do ludzi jak do ich martwego i żywego otoczenia. Osobistości nie mają samoistnego i pełnego życia, lecz cały charakter zapożyczają od swojego otoczenia, od *środka* w którym się poruszają, a którego twardym, surowym i tajemniczym charakterem tylko żyją. Zobaczmy najpierw, te warunki i wpływy.

Kartagina żyje pod słońcem, które wszystko przeradza w ogromy, prawie że potworne. Na miejsce pięknéj, słodkiéj i dobroczynnéj natury zachodu, przedstawia się tam niebo ciężkie, dymem gorąca przesłonięte; ziemia spieczona, granaty, palmy, sykomory, cyprysy, mirty i jawory zeschnięte, sztywne i „nieruchome jak liście z bronzu;“ zwierzęta dzikie i drapieżne, a ludzie albo rozmarzeni albo téż silni i krwiożerczemi instynktami przejęci. Ludowi temu brak poczucia piękna w sztuce a bezinteresowności w rzeczach moralnych. Architektura Kartaginy jest tylko masywna. Warunki klimatu wyłączyły z niéj wdzięk proporcyj. Pałace i świątynie to sześciany płaskie, ciężkie i ponure: zadaniem ich bowiem nie była przyjemność ale potrzeba ochronienia człowieka przed palącemi promieniami słońca. Ściany albo krzykliwie białe, albo téż inkrustowane błyszczącemi metalami. W zagięciach głębokie cienie, a na powierzchniach zwróconych do światła przykra, oczy rażąca jasność. Świątynia *Tanitu* to „zbiór budynków i ogrodów, podwórz i przejść, otoczony murem z kamieni

ułożonych na sucho.“ Pałac Hamilkara to labirynt domów i komnat, tak „uroczysty i nieprzeniknione jak twarz samego suffeta.“

Ubiory ich kapały złotem i drogiemi kamieniami, które nie mogły się wydostać z tła kolorowych, ciężkich materyj; a kadzidła z wonnych ziół obłokiem dymu otaczały ich głowy. Bogactwa ześrodkowane w rękach kilku możnych przerażały masą. Po wizycie Hamilkara w składach, gdzie mieściły się jego zapasy żywności, kosztowne materye, zwierzęta i niewolnicy, w głowie się kręci. „Religia jest tam kultem sił natury, pojmowanych więcéj jako straszne niż dobroczynne, i usobionych przez bóstwa okropne, które lubią krew ludzką; ten naród handlowy negocyuje z bogami i kupuje ich protekcyą za ciało swoich dzieci (1).“ Ofiara Molochowi daje wspaniały obraz kartagińskiéj duszy. Powietrze było przejęte dymem i zaduchem ciał spalonych. Kiedy liczba dzieci skazanych na ofiarę dobiegała końca, połowa rozjuszonéj tłuszczy wołała za oszczędzeniem pozostałych, druga zaś za przyprowadzeniem nowych. Wojny ich są barbarzyńskie, wyłączające wszelkie poczucie ludzkości. Wyuczone słonie rzucają się na ludzi i tratują ich ze wściekłością. Olbrzymie łomy kamienia spadają z wałów na głowy oblegających, a katapulty podsunięte aż pod same mury wrzucają do miasta rozpalone kawały żelaza. Ilość sił wprowadzonych i krwi rozlanéj w bitwie nadaje temu widokowi coś bajecznie potwornego. Kiedy śmierć wznosi się ku słońcu, słońce swemi zabójczo palącemi promieniami przychodzi śmierci w pomoc na ziemię. Bohaterstwo tu zastąpione jest dzikością, a odwaga rozjuszeniem. Obrona Kartaginy nie nosi na sobie cechy patryotyzmu. „W zabudowaniach Syssitów znajdowało się tysiąc dwieście niewolnic, przeznaczonych na prostytucyę Grecyi i Italii, których włosy, elastyczne wskutek używania maści, były wyborne do wojennych maszyn. Lecz strata późniéj byłaby zbyt znaczną. Postanowiono zatém wybrać najpiękniejsze włosy u żon plebejuszów. Bez najmniejszéj troski o potrzebę ojczyzny, krzyczały one rozpaczliwie, kiedy służba stu przyszła z nożycami położyć na nich rękę.“ Grupy obywateli Kartaginy mają coś wspólnego z naszém mieszczaństwem, arystokracyą i klerem. Bogaci kupcy, „trzy razy na miesiąc kazali wnosić swe łóżka na taras; i z dołu widziano ich w powietrzu u stołu bez koturnów i płaszczów, z dyamentami na palcach, które się zanurzały w mięso i ze złotemi wielkiemi kolczykami, ktore się spuszczały pomiędzy czary,—wszyscy silni i tłuści nawpół nadzy, śmieli się i jedli na pełnym błękicie, jak wielkie reki-

(1) Jules Lemaire—Studyum o Gustawie Flaubert.

ny, które swawolą w morzu.“ Obywatele starożytnego rodu „byli uczeni w religijnych ćwiczeniach, biegli w wojennych podstępach, nieubłagani i bogaci. Mieli wyraz twarzy zmęczony długiemi troskami. Oczy ich pełne płomienia patrzyły z niedowierzaniem, a przyzwyczajenie do podróży i kłamstwa, frymarczenia i rozkazywania dawało każdemu z nich pozór chytrości i gwałtu, rodzaj zwierzęcości dyskretnéj i konwulsyjnéj.“ Kapłani łączyli w sobie wszystkie wady stanu uprzywilejowanego. „Żywieni mięsem całopaleń, odziani w purpurę jak królowie, nosili trójpiętrowe korony.“ „Wszyscy bogowie byli słabi wobec Molocha-pożercy. Istnienie, ciało nawet ludzi należało do niego;—dla ocalenia ciała, kartagińczycy mieli zwyczaj ofiarowania mu porcyi, co uspokajało jego wściekłość. Przypalano dzieciom czoło i szyję wełnianym knotem; i tego rodzaju zadawalniania Baala, ponieważ kapłanom przynosiło wiele pieniędzy, nie zapominali oni polecać jako najłatwiejszego i najłagodniejszego.“ Kiedy Hamilkar został zwyciężony „kapłani mówili, że to było karą za jego długą bezbożność. Nie zaofiarował on bowiem całopalenia; odmówił wzięcia z sobą augurów; kolegia kapłańskie nie przebaczyły mu, że zabrał im skarb i żądały od Wielkiéj Rady aby go ukrzyżowano, jeżeli kiedykolwiek powróci.“ Barbarzyńcy nie wiele różnili się od kartagińczyków. „Wszystkie kulty jak wszystkie rasy spotykały się w wojskach barbarzyńców, i cudzych bogów szanowano, ponieważ przerażały także. Wielu do swojéj religii mieszało obce praktyki. Amulet nieznany, znaleziony przypadkiem w jakiemś niebezpieczeństwie, stawał się bóstwem; albo także było to imię, nic jak tylko imię, które powtarzano nie starając się nawet zrozumiéć, co ono mogło znaczyć. *Spendius* byłby napluł na obrazy olimpijskiego Jowisza; a jednak bał się mówić głośno w ciemnościach i nigdy nie zapomniał obuć najpierw prawéj nogi.“

Flaubert nie ma więcéj serca dla jednych jak dla drugich. Kartagińczycy czy barbarzyńcy, traktuje on ich z jednakowym spokojem i wstrzemięźliwością. Jedyną jego troską dać obraz wierny i malowniczy. Najemnicy zamknięci w wąwozie oczekiwali śmierci. „Wspólność życia wywołała pomiędzy tymi ludźmi głębokie przyjaźnie.“ Hamilkar przyrzekł darować życie najmocniejszym i kazał im się bić pomiędzy sobą. „Wszyscy chcieli ginąć a nikt uderzać. Widziano tu i owdzie młodego, ktory mówił do innego o siwéj brodzie: „Nie! nie, ty jesteś najmocniejszy! Ty nas pomścisz, zabij mnie!“ i tamten odpowiadał: „Mniéj mam lat do życia! Uderz w serce i nie myśl o téml“ Po wielekroć dwóch ludzi całkiem zakrwawionych zatrzymywało się; wtenczas padali sobie w objęcia nawzajem i umierali okrywając się pocałunkami. Nikt się nie cofał. Ich szał był tak wściekły, że Kar-

tagińczycy z daleka doznawali strachu...“ Kiedy człowiek wysłany przez Kartagińczyków przybył nad brzeg wąwozu, aby się dowiedzieć, czy pozostało co z barbarzyńców, zobaczył „na całym obszarze doliny lwów i trupów leżących razem... Lwy leżały na ziemi wyciągnąwszy dwie łapy i mrugały powiekami pod blaskiem światła powiększonego rewerberacyą białych skał. Inne siedząc na zadzie patrzyły nieruchomo przed siebie, a także nawpół zagubione w olbrzymich grzywach spały zwinięte w kłębek, i wszystkie wydawały się obżarte, zmęczone, znudzone... Nagle drobny zwir posypał się z góry. Słychać było szelest przyśpieszonych kroków, i od strony wejścia pokazały się śpiczaste mordki, proste uszy; płowe źrenice błyszczały. Były to szakale przybywające na jedzenie resztek.“

Podobnego rodzaju wspaniałemi obrazami *Salammbô* przepełnioną jest od pierwszéj do ostatniéj stronicy; wszystkie one jednak odnoszą się do mas, do ogólnéj charakterystyki Kartaginy i jéj nieprzyjaciół: indywidua szwankują na pełności. Flaubert już jeżeli nie barbarzyńców to przynajmniéj chciał zrobić ludzi dalekich od naszego moralnego poziomu. Zarówno brak materyału namacalnego, dającego się sprawdzić, jak i chęć przedstawienia ich ze strony pierwotnéj prostoty, zmusiły go do traktowania tych ludzi rysami ogólnemi, bez wchodzenia bliżéj w szczegóły uzasadniające ich dziwne charaktery. „Ponieważ nie można grzeszyć nigdy przez *za wiele*—pisze on do Sainte-Beuve'a—lecz przez *nie dosyć*, potrzebaby więc było stu stronic więcéj odnośnie do Salammbô.“ Dwieście, trzysta nie byłoby jeszcze nadto, i to nie tylko odnośnie do saméj Salammbô ale i do wielu innych postaci tego dramatu, w którym aktorzy, jak bohaterowie pseudo-klasycznéj tragedyi, wychodzą za zbyt jednostronnie. Wspólną im wszystkich cechą jest wyłączność. Myślą, mówią i działają tylko w tym kierunku, jaki im autor z góry zakreślił. Nie żyją oni dla siebie, życiem złożoném choć jednolitém, ale dla interesu powieści, życiem prostém, wyjątkowém. Świat zewnętrzny, okoliczności i wypadki jeżeli na nich działają, to tylko aby skrystalizować tém więcéj te strony ich duszy, pod jakiemi autor, barbarzyńców wogóle chciał nam przedstawić. Jest to wadliwa strona powieści i to tém ważniejsza, że metoda ścisłéj obserwacyi, metoda konstatowania wszystkich wypadków i objawów życia, jeżeli nie większe powinna mieć znaczenie przy stosowaniu jej do pojedyńczych ludzi, to przynajmniéj równe z otoczeniem. W *Salammbô* stało się inaczéj ale to było już nieuchronną koniecznością powieści historycznéj. Nie można mówić bezkarnie jak to było, jeżeli się tam na prawdę nie było samemu. I natura nawet talentu Flaubert'a uległa tutaj wyraź-

néj zmianie. Szyderstwo ustąpiło miejsca liryzmowi. Z za kołnierza każdéj, bezwarunkowo każdéj postaci *Pani Bovary* wyglądał autor z szatańskim uśmiechem na ustach. W *Salammbô*, Flaubert jeżeli szydzi, to nie ze słów, nie z czynów lub myśli indywiduum, lecz z mas całych i stanów, jak to widzieliśmy przy charakterystyce *Bogatych*, *Starożytnych* i *Kapłanów*. Tam mając całą prawdę w ręku, według dokumentów rzeczywistych, umiał pokazać stronę śmieszną, tu musiał się pozbawić swojéj broni, ponieważ materyału nie starczyło mu na to. Zresztą określając bliżéj ich charaktery, mógł z łatwością zrobić tych ludzi bardziéj ludzkimi, bardziéj podobnymi do nas nowożytnych. Tak jak są, jednolici ponieważ jednostronni, pierwotnie prości, noszą na sobie cechę ludzi od nas odmiennych, i jeżeli nie są barbarzyńcami prawdziwymi, z powodu niepełności materyału, to w każdym razie mają ich siłę, dzikość, zwierzęcość a częstokroć i dziecinną naiwność.

Salammbô, ten tajemniczy kwiat wschodu, któréj realizmu sam autor nie jest pewien, ponieważ „nikt ani z dawnych ani z dzisiejszych nie może znać wschodniéj kobiéty z powodu niepodobieństwa nawiedzania jéj,“ jest „manijaczką, rodzajem S-éj Teresy, która jakby przybita jedną stałą myślą“ wyłącza nie tylko wszystkie inne ze swojego życia, ale w dodatku jeszcze pozbawia się nawet swéj kobiecéj natury w zakresie zmysłów, nerwów, ciekawości i sprytu. Jéj poetyczność wypływa z bezcielesności: to nie kobiéta ale wymarzone widzenie lunatyka. Ma ona swe kształty ale tak powiewne, tak nieuchwytne jak jéj dusza. Każde jej wejście robi wrażenie promienia księżyca, który lekko, spokojnie, jasno i zwolna przesuwa się po nad czarném trzęsawiskiem zbrodni, wyuzdanych namiętności i krwiożerczych instynktów. Żyjąc w ascetyzmie i mistycznych marzeniach, wsłuchując się w niejasne objawienia kapłana-rzezańca, *Schahabarim*, wpatrzona w bladą twarz księżyca, oddana na uslugi bogini Tanitu, działa ona jak we śnie. Na zwięzłości i wstrzemięźliwości Flaubert'a postać ta cierpi najwięcéj. Salammbô przez całe swe życie ani razu nie poczuła się kobietą, pomimo warunków, które ją do tego fatalnie skłonić były powinny. Jest to kwiat egzotyczny i takim miał być; dlaczego jednak jéj naiwność zadziwia, jakkolwiek to mogłoby także przedstawiać jedną charakterystyczną stronę jéj duszy?...

Flaubert nie chcąc zrobić kobiéty nowożytnéj, tak egzotycznéj, powietrznéj, naiwnéj, chorobliwie sentymentalnéj i o umyśle rozwianym w mistycyzmie, jakby nią dziś jeszcze być mogła, pozbawił ją kobiecéj natury, wszelkiéj zmysłowości w ogóle, byle tylko dać jéj

pozór istoty od nas nieskończenie odległéj. I taką ona jest; ale jakim kosztem!

W jéj rękach znajduje się życie Kartaginy. Ma ocalić ojca, ojczyznę i honor bogini Tanitu. To nie posłannictwo Joanny d'Arc, ani nawet Karoliny Corday. Dość jéj pójść do namiotu Matho, oddać się mu i powrócić do miasta z zasłoną, *Zaïmph.*

„Często i to po kilka dni (po wykradzeniu *Zaïmph'u*) nie chciała przyjmować pożywienia. Przywoływała Schahabarima, a kiedy ten przyszedł, nie miała mu nic do powiedzenia.

„Nie mogła żyć bez pociechy w jego obecności. Lecz wewnętrznie burzyła się przeciwko téj władzy; odczuwała dla kapłana zarazem obawę, zazdrość, nienawiść jak i rodzaj miłości, *wywdzięczając się* za *szczególną rozkosz* jakiéj doznawała przy nim."

Pomału „pewność, że Schahabarim wyrażał wolę bogów, ugruntowała się w jéj umyśle. Pewnego rana zbudziła się zdecydowana i zapytała czego potrzeba, aby Matho oddał zasłonę.

Zażądać jéj—odpowiedział Schahabarim.

A jeżeli odmówi? odparła Salammbô.

Będziesz z nim sama.

A potém?

Sama w jego namiocie.

A wtedy?

Schahabarim gryzł sobie wargi, szukając jakiegoś frazesu, jakiegoś wykrętu: „Jeżeli musisz umrzeć, to stanie się późniéj, późniéj! nie obawiaj się niczego! i cokolwiekbądź by on przedsięwziął nie wołaj! nie przerażaj się! Będziesz pokorną, rozumiesz? i powolną jego życzeniu, które jest rozkazem niebios."

Potém następuje scena z wyuczonym wężem. „Najpierw *zawahała* się z przestrachu od zimna czy téż, być może, od *wstydu.* Przypominając sobie jednak polecenia Schahabarima, postąpiła naprzód; wąż przyłożył się do niéj i kładąc na jej szyi środek swego ciała zwiesił głowę i ogon, jak gdyby przerwany naszyjnik, którego dwa końce ciągną się po ziemi. Salammbô okręciła się nim około boków, pod pachami, pomiędzy nogami; potém *wziąwszy* go za szczękę, *przybliżyła* tę małą trójkątną mordkę aż do skraju swoich zębów, i zamykając na wpół oczy, padła na wznak przy świetle promieni księżyca. Pod tym ciężarem zbyt wielkim tchnęła; krzyż jéj giął się i czuła się umierającą; on zaś końcem ogona bił ją lekko po udzie; i następnie, kiedy muzyka zamilkła upadł."

Tak przygotowana do roli jaką wkrótce odegrać miała z Matho, Salammbô, w towarzystwie człowieka świadomego drogi, udała się do namiotu barbarzyńcy, i jakkolwiek miała widoczną świadomość

czynu,—ponieważ doznawała *szczególnéj rozkoszy* w towarzystwie kapłana i *wstydu* wskutek zetknięcia się z wężem którego głowę, *wziąwszy* go już sama za szczękę, *przybliżyła* własnowolnie do swoich ust,—nie przestała tu być istotą rządzoną przez siłę z zewnątrz, przez coś co nie było w niéj. To jeszcze jest do wytłómaczenia. Obłęd mistycznych nauk Schahabarinia, jakkolwiek nie dostatecznie usprawiedliwiony, może, a raczéj mógłby przy bliższém określeniu, przedstawić dostateczną wagę na szali wpływów, które ją tu przywiodły bez jej woli i wiedzy, a co najważniejsza bez uświadomienia jéj czynu. „Salammbô była opanowaną przez słabość, w któréj traciła świadomość siebie. Coś zarazem silniejszego i wyższego, rozkaz Bogów zmuszał ją do oddania się; obłoki ją unosiły i mdlejąc, padła na łóżko w sierść lwiéj skóry. Matho schwycił ją za stopy; złoty łańcuszek pękł i dwa jego końce, odlatując, uderzyły w zasłonę, jak dwie żmije, które nagle odskoczyły. Zaïmph upadł przykrywając ją, i wtedy spostrzegła postać Matho, który się giął na jéj piersi.“

— Molochu, ty mnie palisz!“

W kilka godzin po tém, Salammbô była już z Zaïmphem w obozie swojego ojca. „Hamilkar, nie mogąc mówić, dziękował jéj ruchami głowy. Oczy jego przenosiły się kolejno na zaïmph i na nią i zauważył że jéj łańcuszek był przerwany. Wtedy zadrżał zdjęty strasznėm podejrzeniem. Lecz odzyskawszy prędko spokój, spoglądał na Narr' Havas'a nie odwracając głowy.“ Po chwili zbliżył się do króla Numidów i rzekł z powagą: „W nagrodę usług jakieś mi wyświadczył, Narr'Havas'ie, oddaję ci moję córkę. Bądź moim synem i broń twego ojca.“ Salammbô spokojna jak posąg zdawała się nie rozumiéć. Jeszcze nie?... Jest to właśnie wadą téj postaci, że umysł jej zachowuje ciągle swoję równowagę pomimo gwałtownych przejść i że ona ani razu nie otrząsa się ze swojego somnambulizmu, ani razu nie przychodzi do samowiedzy. Okrutna śmierć Matho zabija ją. Umiera na wspomnienie pocałunków, które ją paliły. Umiera śmiercią człowieka, którego nie kochała, a co więcéj, którego nie widziała ani przed ani po nocy w namiocie. Bezwątpienia, owe „sto stronic“ wystarczyłoby zupełnie do wyjaśnienia jéj temperamentu, charakteru i umysłu; ale ich nie ma i psychologia głównéj postaci powieści cierpi na tém niezmiernie. Przejścia są za gwałtowne: potrzebaby je połączyć, wyjaśnić i usprawiedliwić nie tylko religią, ale i całém życiem Salammbô, którego w powieści brak.

Matho robi wrażenie potężne; miłość jego i śmierć wywołują w czytelniku sympatyą, na którą zasługuje ogromem wyekspensowanego uczucia. Nie jest to człowiek dzisiejszy, a tém mniéj galant, uwodziciel kobiet. W każdym jednak razie nie jest również barba-

rzyńcą, uosobieniem swojego obozu. Kiedy najemnicy palą, niszczą mordują i wiodą rozpustne życie, on chodzi koło Kartaginy jak błędny i marzy. Miłość jego jest fizycznėm pożądaniem, chorobą, szałem i gorączką krwi. Potęga to zmysłów, i Matho, również jednostronnie przedstawiony, jak Salammbô, łatwiėj jednak daje się usprawiedliwić samą tylko zmysłowością niż ona samą tylko religijnością.

Narr'Havas ledwie że ujdzie. Nie ma on ani wyraźnych kształtów ani wyraźnych rysów. Kocha Salammbô, ale może jéj także nie kochać wcale. Brak mu zmysłów i energii. Wskutek tego ginie w masie i plącze się pomiędzy liniami zmuszony potrzebą kompozycyi.

Spendius bezzaprzeczenia jest postacią najcharakterystyczniejszą i narysowaną najwyraźniėj ze wszystkich. Nosi on wprawdzie na sobie to samo znamię wyłączności co i inni, ale w swém dążeniu do zemsty nad Kartaginą, nie przestaje być człowiekiem urobionym przez wpływy realne. Czuć w nim Greka, syna mówcy i heleńskiéj prostytutki, który był żołnierzem, handlarzem kobiét, kolejno zwycięzcą i zwyciężonym. Umysł jego jest jasny, a natura chytra, podstępna i niesłychanie zdemoralizowana przez dolę i niedolę losu. W chwili dobierania się wraz z Matho do świątyni Tanitu, nie zapomina on o sobie jak inni działacze dramatu. Było to dzieło jego przebiegłości i myśli zwróconéj w kierunku zemsty nad Kartaginą. Nie przeszkodziło mu to jednak, dostrzegłszy wśród nocnéj ciszy kapłanki śpiące zewnątrz celek świątyni, obliczać „jaką sumę pieniędzy byłby kiedyś zarobił na sprzedaży tych kobiét i na oko ważył ich naszyjniki.“ Tchórz w otwartém polu, śmiały do podstępów, pragnący śmierć oddalić, Spendius umiera ze spokojem filozofa. Na krzyżu „przyszła mu dziwna odwaga; pogardzał teraz życiem przez pewność wyswobodzenia się prawie natychmiastowego i wiecznego i czekał śmierci ze spokojem.“

Hamilkar nie ma w sobie nic bohaterskiego, jak gdyby Corneille, Racine lub Wiktor Hugo nie istnieli nigdy. Posiada on wszystkie wady i zalety swego kraju, jest wcieleniem geniuszu Kartaginy, nie wyrzekając się bynajmniéj natury człowieka. Po Spendiuszu postać to najbardziéj prawdziwa, wypukła i równa. Charakter jego nie jest dedukowany z saméj tylko religijności jak u Salammbô, lub ze zmysłowości jak u Matho, lecz nosi na sobie znamię życia. Realnych materyałów historyi do zbudowania téj postaci wystarczyło Flaubert'owi zupełnie. Hamilkar się rusza, działa, myśli i czuje we wszystkich kierunkach. Brak mu naiwności barbarzyńskich bohaterów; ale to już wina kraju i epoki, których jest przedstawicielem. Broni

ojczyzny wszelkiemi siłami: to nie patryotyzm, lecz instynkt zachowawczy, a jeżeli przyjął na powrót dowództwo nad wojskiem kartagińskiém, to przez obrażoną dumę suffeta, nie zaś dla dobra Rzeczypospolitéj, która jest poniżéj jego miłości własnéj. Straty materyalne dotykają go więcéj niż moralne niepowodzenia. Hańba córki nie wzrusza go wcale i na przycinki Rady odpowiada: „Stu Rady Kartaginy, skłamaliście oskarżając moję córkę! I ja, Hamilkar Barka, suffet morza, Głowa Bogatych i Władca ludu, przed Molochem o łbie byka, przysięgam:“ Oczekiwano czegoś strasznego, lecz on podjął głosem wyższym i spokojniejszym: „Że nawet nie powiem jéj o tém wcale!“ Za to w składach swoich Hamilkar w miarę odkrywania nowych nieporządków i strat unosi się i zapomina. Rozdrażnienie jego wzrasta, a słowa źle tłumionego gniewu wybuchają co chwila ze stopniowaném natężeniem. Hamilkar jednak nie deklamuje: przemowy jego, jakkolwiek pełne apostrof i przenośni są suche, szorstkie i ciągle obraźliwe. Lekceważy nie tylko Radę i kapłanów ale nawet samego Molocha, którego oszukuje przez podstawienie mu w ofierze syna niewolnika na miejsce Hannibala. Miłość ojca manifestuje się bez śladu nawet teatralności. Ukrywa Hannibala i sam myje syna niewolnika, oburzając się na myśl, że ktoś mógłby wziąć to dziecko za jego własne. „Trzymał je za rękę silnie, jakgdyby obawiał się je stracić. Z pod drzewa palmy podniósł się głos, głos żałośny i błagający, który szemrał: „Panie! ah! Panie!—Czego chcesz?—Jestem jego ojcem!“

Hamilkar szedł ciągle! tamten postępował za nim... i nareszcie końcem palca ośmielił się dotknąć jego łokcia, lekko: „Czy chcesz go?...“ Nie miał siły dokończyć i Hamilkar zatrzymał się zdumiony tą boleścią.“ Dziecko jednak poszło na ofiarę Molochowi. Hamilkar tknięty litością kazał niewolnikowi wydać najlepsze kąski ze swojéj kuchni. „Niewolnik, który nie jadł już oddawna, rzucił się na nie; łzy padały mu w potrawy“... „Hamilkar (w nocy) macając mury na około siebie powrócił pocichu; i przybył do sali, gdzie światło księżyca wpadało przez jednę ze szczelin kopuły; na środku, niewolnik obżarty spał rozciągnąwszy się na marmurowych taflach. Przypatrywał mu się i został poruszony rodzajem litości. Końcem koturna podsunął mu dywan pod głowę. Potém wzniósł oczy i patrzył się w Tanit, którego wązki sierp błyszczał na niebie, i czuł się mocniejszym niż Baale i pełnym pogardy dla nich.“ Ta scena przeraża prostotą i wstrzemięźliwością Flaubert'a, który, wydostawszy na wierzch najgłębsze uczucia człowieka, sam nie daje się im opanować. Hamilkar tu nie pozuje, a niewolnik nie wybucha pijanym liryzmem romantyków. Jeden i drugi jednak robią wrażenie potężne i to ogromem

uczucia. I tak samo jest z całą powieścią. Nie ma tu bohaterów teatralnych; a jeżeli oni przykrojeni do miary ludzi, nie wszędzie i nie wszyscy utrzymują postać człowieka rzeczywistego, wskutek posiłkowania się bądź to zbyt pośpiesznemi indukcyami bądź téż zbyt jednostronnemi dedukcyami, to w każdym razie, pomimo nie kompletnego zastosowania metody, „barwa powieści jest jednolita; żaden szczegół nie razi; obyczaje wypływają z religii, a czyny z namiętności; charaktery są przeprowadzone, ubiory zastosowane do użytku, a architektura do klimatu, czyli jedném słowem wszędzie panuje harmonia.“

III.

Wychowanie sentymentalne, co za nieszczęśliwy tytuł! Flaubert, chrzcząc swe największe rozmiarami dzieło nazwą przypominającą naukowe rozprawy, zabił je własnowolnie w oczach publiczności, która przeciąga się z nudów na sam widok okładki, jako pozornéj wskazówki czegoś, co dla niéj nie będzie pewnie zabawném. Powieść pierwotnie miała nosić tytuł: *les Fruits secs*, następnie dopiéro przeobraziła się w *Wychowanie Sentymentalne* (r. 1869), aby pod tą nazwą, odbierającą jéj możność zaciekawienia, pleśnić na półkach księgarskich i pokrywać się kurzem zapomnienia, i nieuznania. Nikt, a przynajmniéj (oprócz kilku wiernych) mało kto, odważa się dziś zajrzéć do niéj i poznać nową fazę powieści realnéj. Talent tak wielki jak Flaubert'a nie powtarza się. Wszyscy spodziewali się dalszego ciągu *Pani Bovary*, a on dał im coś nowego. Dwie te powieści różnią się od siebie zarówno przedmiotem jak i formą. W *Pani Bovary* powieść miała kształty przedmiotu. Na tle niezmierzonych krajobrazów sylwetki ludzi rysowały się wyraźnie, jasno i widocznie na pierwszy rzut oka. Kompozycya przedstawiała się łatwo, ponieważ jéj postacie, o charakterach zdecydowanych od razu, szły do celu prosto i jak gdyby bez uprzedniego wahania się, bez namysłu. Dramat, jakkolwiek uginający się pod ciężarem szczegółów, rozwijał się szybko, bez przerw nagłych i długich, bez wybiegania z toru, bez zmiany gruntu. Wieś ze swojém życiem ograniczoném do małych środków, ze swoim zamkniętym i wyłączającym resztę świata widnokręgiem, odcisnęła na powieści wyraźne piętno obrazu o nielicznych elementach, a ściśle nawet biorąc, o jednym: kobiéta niezwykła w otoczeniu ludzi powszednich, była przedmiotem i osią powieści. Wskutek tego, Pani Bovary do pewnego jeszcze stopnia miała formę obrazu wykrojonego z życia, kiedy *Wychowanie Sentymentalne* jest życiem oprawioném w ramy powieści. Tam prawda

krystalizowała się w artyzmie, tu artyzm rozpływa się w prawdzie, i jak tam artysta, wybierając z natury to tylko co mu było potrzebném do stworzenia jednolitego dzieła sztuki, przeważał nad uczonym spostrzegaczem, tak tu, przeciwnie, pilny i bystry badacz obyczajów, historyi i psychologii, spożytkowywując ze ścisłością naturalisty wszelkie objawy życia, niezależnie od ich większéj lub mniejszéj wartości dla sztuki, pochłonął artystę. Przedmiotem *Wychowania Sentymentalnego* jest Paryż, ognisko cywilizacyi, wielkich myśli, wielkich czynów, wielkich cnót i wad, słowem życie o horyzoncie otwartym, nie tylko mogącym pomieścić wszystko, co w głowie człowieka pod wrażeniem zamętu i waru tego życia powstać może, ale nawet do pomieszczenia tego zmuszającym go poniekąd. Powieść przybrała inne kształty. Nikt tu nie idzie prosto do celu. Życie rozprasza się na tysiące drobiazgów, częstokroć nie mających z sobą żadnego związku. Nikt nie ma swobody ruchów. Na każdym kroku spotykamy się z nowymi ludźmi, na każdym zakręcie ulicy wymijamy przechodniów lub przejeżdżających z pośpiechem i przestrachem, aby kogoś nie rozbić lub samemu nie być rozbitym. Myśl tu narażona jest na ciągłą, ustawiczną zmianę kierunku, uczucie na wpływy co raz to nowych a zarazem sprzecznych podrażnień, działanie zaś na przeszkody gwałtowne lub niespodziewaną pomoc. Dramat, nie mogąc płynąć wązkiem choćby ale równém korytem, rozlewa się pomiędzy małe ujścia, i to się ukazuje na chwilę to znowu znika z przed oczu widza, w miarę jak jego aktorowie zmieniają miejsce swego działania, natężenie i kierunek uczuć, przekonania, charakter, lub stanowisko. O jedności miejsca, czasu i akcyi tylko na żart chyba możnaby tu mówić, tak forma powieści pod wpływem życia, którego jest obrazem, przeskoczyła na drugą stronę estetycznego dogmatu. Tu nie płyniemy już, jak w *Pani Bovary*, po wodzie wartkiéj rzeki o zajmujących choć ściśniętych brzegach, lecz żeglujemy po wielkiem morzu życia, które wznosi się i opada, przypływa i odpływa, burzy się i uspakaja, niesie zniszczenie lub szczęście, rozbija lub ocala i to stosownie do przypadku lub okoliczności. I jak na morzu, jak wobec wielkiéj natury, człowiek tu jest mały, śmieszny w swych zapałach, zasmucający bezsilnością i ustawicznėm ronieniem niedonoszonych płodów. To już nie głupota jakiéjś grupy ludzi prowincyonalnych, jakiegoś towarzyskiego kółka; ale moralna nędza całego społeczeństwa, całego jednego pokolenia, wyrażającego się słowami i czynami kilkudziesięciu na raz osób, które czynny biorąc udział w burzliwych wypadkach epoki pomiędzy 1840-ym a 1851-ym rokiem, odgrywają przed oczyma widza komedyą nietylko ich indywidualnego ale i społecznego życia. Jest to razem ro-

mans i historya; obydwie formy literackiéj twórczości traktowane według jednéj i téj saméj metody. Przypatrzmy się najpierw romansowi pobieżnie chociaż, gdyż analiza jego prawie jest niepodobną, tak wszystko tu się plącze, zaciera i wymyka wskutek pokręcenia wytycznych linij saméj kompozycyi.

Flaubert, jak dzisiejsi malarze *impresyoniści*, chciał wywołać obrazem ogólne wrażenie wielkiego miasta, i jak oni, odrzucił wszelką sztuczność z kompozycyi rysunku i koloru, posługując się natomiast efektami saméj natury z zupełnem wyłączeniem wszystkiego, co tradycya lub szkoła prawami sztuki nazwała. Ponieważ jesteśmy w mieście mającém dwa miliony ludności, którego życie jest chaosem myśli, czynów i uczuć, powieść więc, jako jego obraz, nie ma kształtów zdecydowanych: linie kompozycyjne są tu bynajmniéj umyślnie wyprostowane, lecz przeciwnie krzyżują się, łamią, kręcą, spotykają lub rozbiegają, byle oddać charakter tego życia. Bajki wysnutéj z łona ludzi związanych z sobą jakiemikolwiek bądź uczuciami nie ma wcale. Kilka postaci idzie przez życie i stykając się mimochodem, wzajemnie na siebie oddziaływa, o ile na to wypadki pozwolą lub do tego zmuszą, odgrywając jednak w powieści więcéj rolę komparsów niż bohaterów dramatu, jeżeli w niéj w ogóle dramatu dopatrzéć się można. Postać główna, to nasz dobry znajomy: każde społeczeństwo takich produkcyj wychowania sentymentalnego posiada tysiące. Fryderyk Moraeu — to ja, ty i on; wszyscy jak w lustrze możemy się w nim poznać; z naszych rysów nie brakuje mu żadnego. Jest-to natura słaba i niezdecydowana, inteligencya wrodzona i dość dobrze uprawna: brakuje mu charakteru; ma wielkie chęci a żadnéj woli. Ani jednego ze swoich wielkich pragnień urzeczywistnić nie może: zadowolnienie albo nie przychodzi wcale, albo téż odbywa się i w innym czasie i w inny sposób niż myślał i mieć je pragnął. Pierwotnie chciał pisać dramaty o średniowiecznych bohaterach; następnie i to stosownie do podmuchu miłości, miał zostać już to historykiem sztuki lub malarzem, już mówcą lub deputowanym. Wszystkie projekta pełzły na niczém: po kilku dniach entuzyazmu ręce mu opadały bezwładnie i wracał napowrót do swéj zwykłéj bezczynności. Aby zwrócić na siebie uwagę pani Arnoux, która rozmawiała z jakimś starcem na swym czwartkowym wieczorze, Fryderyk „byłby zdecydował się zostać głuchym, kaleką i brzydkim, byle miec coś, coby mu pozwoliło na podobną poufałość.“ Kochał tę kobiétę najgłębszą miłością, jaką tylko serce człowieka pomieścić jest w stanie. Ale ona była uczciwą żoną pana Arnoux, typowego mieszczanina z epoki Ludwika-Filipa. Kolejno kupiec obrazów, fabrykant porcelany, handlarz religijnych wyrobów i właściciel fermy

w Bretanii, ten gruby prowansalczyk, kłamał, rujnował swe dzieci na kobiéty, oszukiwał żonę, ale to wszystko w tak przyjemny sposób i z taką czułością, że nawet brzydzić się nim nie można. Fryderyk pomimo całéj swéj miłości, nie umiał wystawić sobie pani Arnoux inaczéj jak w objęciach męża. Kochał ją przez lata całe i uczucie swoje ośmielił się zdradzić zaledwie półsłówkiem. Ona go kochała także: dla zrealizowania uczuć, jeżeli nie dobréj woli, to zbrakło jéj odpowiednich okoliczności. Ale natura ma swoje prawa. Fryderyk łączy się z dziewczyną zwaną powszechnie *La Maréchale*, która ssie z niego pieniądze i męzką jego energią. To go nuży po kilku latach, i pragnąc się ustatkować, odnawia stosunki z towarzyszką swych lat dziecinnych Luizą Roque, z którą chce wejść w związki małżeńskie.

„Nostalgia bulwarów" zmusza go do opuszczenia wsi i téj dzikiéj wieśniaczki, która, jak i inne, nie umiała go utrzymać przy sobie. Wraca do Paryża i przez próżność daje się uwieść przekwitłym już wdziękom pani Dambreuse, żony bogatego finansisty, po którego śmierci miał zostać prawym spadkobiercą i wdowy i jego majątku. Pani Dambreuse wiedząc o miłości Fryderyka dla pani Arnoux, kupiła na licytacyi po niéj „pudełeczko do składania listów miłosnych." Był-to rodzaj kobiecéj zemsty. Fryderyk obrażony w swém głębokiém uczuciu, nie wrócił już do niéj wcale. „Był dumny za swoje pomszczenie pani Arnoux, poświęcając dla niéj fortunę; następnie jednak zdziwił się własnym postępkiem i opanowało go nieograniczone znużenie." Zaczął podróżować. Poznał melancholią *pakiebotów*, zimne przebudzenia się pod namiotem, odurzenia od krajobrazów i ruin, gorycz przerwanych sympatyj. Powrócił. Bywał w świecie i miał nowe miłostki, jeszcze. Lecz pod ustawiczném wspomnieniem pierwszéj miłości te były już niesmacznemi..." „Pod koniec marca 1867 roku, nad wieczorem, kiedy był sam w swoim gabinecie, weszła kobiéta." Była to pani Arnoux, która mu odnosiła pieniądze pożyczone przezeń kiedyś jéj mężowi. „Lampa, postawiona na konsolce, oświeciła jéj białe włosy. Był-to jakby cios w same piersi. Dla ukrycia tego zawodu usiadł na ziemi u jéj nóg i ująwszy ją za ręce, zaczął jéj mówić czułości." Po chwili pożądanie opanowało jego zmysły. „Jednakże poczuł w sobie coś niewytłómaczonego, odepchnięcie i jakby przestrach kazirodztwa. I przez roztropność, jak również aby nie obniżyć swego ideału, wykręcił się na piętach i zaczął robić papierosa. Oboje nie mieli sobie już nic więcéj do powiedzenia. „Bądź zdrów, mój przyjacielu, mój drogi przyjacielu! Nie zobaczę cię już nigdy! Był to moj ostatni krok. Moja dusza cię nie opuści. Niech wszystkie błogosławieństwa nieba będą dla ciebie!" I pocałowała go w czoło, jak matka. Lecz zdawała się cze-

goś szukać i zażądała nożyczek Rozplotła warkocz; wszystkie jéj białe włosy spadły na dół. Ucięła sobie brutalnie przy skórze długi kosmyk. Zachowaj je! Bądź zdrow.“ Kiedy wyszła, Fryderyk otworzył okno. Pani Arnoux, na trotuarze, dała znak dorożkarzowi, który przejeżdżał. Wsiadła. Powóz zniknął.

I na tem koniec.

W tém miejscu od smutku książka z rąk wypada. Wszyscyśmy może kochali tak głęboko, ale czy szczęśliwiéj?... Zapały młodości skalane w błocie, starość zaprawiona gorzkiem wspomnieniem rozczarowań. Życie Fryderyka Moreau, to historya każdego młodego człowieka, który przeszedłszy przez ogień czterech miłości: prawdziwéj, zmysłowéj, miłości przez próżność i instynktowéj, zasiada ze starym przyjacielem przed kominkiem i robi przegląd swego życia. Obydwa je zmarnowali i ten który marzył o miłości i ten który marzył o władzy. Jaka była tego przyczyna?

— Chyba brak linii prostéj—rzekł Fryderyk.

— Dla ciebie, może — odpowiedział tamten. Ja, przeciwnie, nie rachując się z tysiącem rzeczy drugorzędnych a silniejszych nad wszystko, grzeszyłem przez zbytek prosto-linijności. Miałem za dużo logiki a ty za dużo uczucia.

Następnie odgrzebując młodość i wciąż powtarzając: „czy przypominasz sobie?“ doszli aż do wspomnienia pierwszéj wycieczki do domu dziewczyn, kiedy to ze wstydu nie śmieli przestąpić jego progu. Widziano, jak wychodzili. To narobiło historyi, której nie zapomniano w trzy lata później. Opowiadali ją sobie szeroko, każdy dopełniając wspomnienia drugiego i kiedy skończyli:

— Ot, cośmy mieli najlepszego! — rzekł Fryderyk.

— Tak, być może. Ot, cośmy mieli najlepszego! — powiedział Deslauriers.

Na tych słowach brutalnego pessymizmu powieść się kończy. Marzenia, ideały, miłość i wszystkie rozkosze życia podniesionego wychowaniem, zostały zamknięte w żalu po straconych pragnieniach i wstydliwości szesnastego roku! Ale czy to nie prawda?... Wszyscy tam jesteśmy i nikt zaprzeczyć nie może, aby na jego wspomnieniach nie ciążył niesmak zupełnéj bezcelowości i bezużyteczności życia, jeżeli drobnych wypadków nie opromienia blaskiem przesadnego idealizmu, lub ich nie rozdyma wiatrem grubéj zarozumiałości. I to jest może największą zaletą *Wychowania Sentymentalnego*, że nie tylko stoi na ludziach rzeczywistych, ale i nie wybiega z granic zwyczajnéj powszedniości. Ani jedno zdarzenie, ani jeden charakter, ani jedna dusza, nie mają jakiegoś szczególniejszego znamienia. Spokojny, chłodny i trzeźwo na wypadki patrzący historyk nie

ustąpił miejsca namiętnemu panegiryście, a sumienny obserwator życia nie dał się owładnąć artyście odczuwającemu wszystko w powiększeniu. Ztąd obojętność publiczności dla dzieła, które nie przedstawia dla niéj uroku dramatycznie pomyślanéj bajki, teatralnych efektów, patetycznych scen, gwałtownych zmian psychologicznych, lub niespodziewanych rzutów wyobraźni. Szarość i jednostajność życia, odcisnąwszy się na powieści wyraźnie i z najzupełniejszą samowiedzą autora, zniechęciły publiczność, która lubuje się tylko w nadzwyczajności wypadków i w namiętności sztucznie skondensowanych uczuć. Prawda wypowiedziana jéj własnym językiem, życie odmalowane jego własnemi barwami, przeraziły ją i znudziły. Kobiéty nie mogły powieści doczytać do końca a mężczyźni nie znaleźli w niéj dosyć zmysłowych podrażnień. A jednak jest to dzieło, które Flaubert'a kosztowało najwięcéj pracy i które, będąc najgłębszém, jest zarazem najbardziéj artystycznie opracowaném.

Kompozycya tu pod względem zręczności przewyższa wszystkie inne. Sceny wiążą się z taką swobodą i tak naturalnie, że uważny tylko czytelnik jest w stanie dopatrzéć się téj sztucznéj nici, która je łączy i utrzymuje w całości. A przytém następstwo ich daje doskonałe wrażenie chaosu i zamętu wielkomiejskiego życia. Romans wije się ciągle pomiędzy epizodami, które pozornie nie mają z nim związku, tak są one wystudyowane i wykończone same dla siebie. Przez-to nietylko ogólny obraz życia zyskuje na pełności, ale i pojedyńcze postacie na charakterystyce. Każda z nich nosi na sobie silne odbicie epoki z jéj polityką, sztuką, zwyczajami, zabawami i moralnemi ranami i każda z nich w odmienny sposób manifestuje swoję indywidualną głupotę. Wieczory w wielkim świecie i zabawy pół-światka, przyjacielskie śniadanka i kolacyjki, wycieczka za miasto, pojedynek, przemowy w klubie z 1848 roku, barykady, walka na ulicy, wzięcie Tuileries, miłosna scena w lasku Fontainebleau i setki innych, krzyżują się z sobą i mieszają jak wiry niespokojnéj rzeki, która po dnie swego koryta toczy złoty piasek a wierzchem niesie brudne szumowiny, pianę i kał życia. A przytém Flaubert nie cofa się przed żadném niebezpieczeństwem, przed żadnemi trudnościami. Płaskość, pospolitość i głupota rozmów nie przerażają go wcale. Byle stworzyć człowieka całkowitego i pełnego, nie wykręca się opowieścią rzeczy mówionych, jak Pani Sand, filozoficzną analizą ludzkiéj głupoty, jak Balzac, ani téż podstawianiem własnéj swéj mistycznéj fantazyi na miejsce rzeczywistości, jak Wiktor Hugo. Jego ludzie podjęci są nietylko w najcharakterystyczniejszych chwilach ich psycho-fizyologicznego życia, co nadawałoby im wydatną wypukłość, ale także i w najpowszedniejszych stronach ich

codziennéj wegetacyi, co nadaje im pełność. Flaubert natur ludzkich nie chciał ani krystalizować ani zgęszczać w artyzmie. Przeglądają one z jego stylu w swéj własnéj formie i powieść dla tego ciągnie się powoli, rozwlekle, niejednostajnym ruchem i w rozlicznych kierunkach, że on dał jéj ich kształty: pozwolił naturom swobodnie błąkać się zanim dojdą do celu, wahać się, zanim coś postanowią, ulegać tysiącznym wpływom zanim nabiorą jakiegoś wyraźniejszego, zdecydowanego charakteru. Jego artyzm polega tylko na zaznaczaniu i szeregowaniu wypadków, na rozbieraniu charakterów na ich składowej części, na oświecaniu życia blaskiem swego szyderstwa, które tu większą jeszcze gra rolę niż gdzieindziéj, bo też i jego liryzm nie ucierpiał nigdzie więcéj jak tu. Zdaje się, że z pod pióra autora lada chwila przeciekną łzy rozrzewnienia; nie prawda! Idzie on przez życie, przez nieszczęścia i głupotę ludzką ze spokojem prokuratora, który oskarżając winnych z urzędu, stara się nie wzruszyć ale przekonać sędziów o istocie czynu. Publiczność czytająca powieść dla zawartéj w niéj namiętności odrzuciła *Wychowanie Sentymentalne*, jako długą, nudną, rozproszoną łataninę scen, którym brak nawet pięknych opisów i barwnych krajobrazów. Flaubert zrobił to umyślnie. Kiedy bowiem w *Salammbô* z po za gorących promieni słońca, białych murów, olbrzymich słoni, przerażających katapult lub tajemniczych blasków księżyca, bohaterom ledwie tylko głowy było widać, kiedy w *Pani Bovary* opisowość tyleż prawie zajmuje miejsca co i psychologiczny rozbiór dusz ludzkich, w *Wychowaniu Sentymentalném* jest ona tylko uzupełnieniem człowieka, scharakteryzowaniem jego otoczenia, miejscem, w którém się on porusza, szczegółem potrzebnym do zdecydowania jego natury, nie zaś samoistną częścią powieści, artystycznym wybrykiem poety, który chcąc się pocieszyć po smutku z powodu analizy ludzkiego serca, udaje malarza. Tu krajobraz jest tylko naznaczony: linia i kilka kolorów; szczegóły nie są opisywane: wyliczenie przedmiotów znajdujących się w domu mieszczanina, kokotki lub bankiera, wystarcza mu zupełnie do scharakteryzowania człowieka w jego smaku, upodobaniach, albo téż w braku gustu do rzeczy artystycznych,

Miłość jako fizyologiczny proces, na którym powieściopisarze francuzcy robią sobie sławę i pieniądze, nie istnieje tu dla niego inaczéj jak prosty fakt. I kiedy tamci otoczyli go aureolą poezyi, on w tém miejscu milczy lub co najwyżéj dla pełności obrazu rzuca słówko od niechcenia. Nie ma zresztą nic w tém dziwnego. Flaubert nie potępia, nie rozgrzesza, nie poetyzuje, lecz zebrawszy fakty, przedstawia je w taki sposób, aby książka robiła to samo wrażenie, co i życie. Powieść robi wrażenie raczéj dziennika, w którym współ-

pracownicy zapisują swe sprawozdania z sądowych, lekarskich, politycznych, socyalnych lub artystycznych posiedzeń, niż dzieła sztuki poczętéj pod wpływem jednéj jakiejś przewodnićj myśli. Flaubert chciał dać pełny obraz życia pewnego pokolenia i właśnie drogą zmodyfikowanéj sztuki dopiął celu. Jego dzieło nie tylko pokazuje szarość, nudę, niemoc i bezcelowość życia pojedyńczych indywiduów, ale i sentymentalną, chorobliwą egzystencyą całego społeczeństwa. Fryderyk po kilkadziesiąt razy idzie do Pani Arnoux, do Rozanetty lub Pani Dambreuse, po kilkadziesiąt razy, wracając, przyrzeka sobie nie powrócić tam więcéj i ostatecznie nie dochodzi do niczego. Jeżeli Fryderyk nie dopiął żadnego ze swych ambitnych celów, lub osiągnął niektóre z nich inaczéj niż zamierzał, to tylko dla tego, że jest wzięty z życia, nie zaś z fantastycznéj inwencyi autora, który prostuje ścieżki przed nogami swoich bohaterów.

Społeczeństwo się burzy, lud buntuje się przeciwko rządom Ludwika-Filipa: 1848 roku wybucha Rewolucya. Kto ją prowadzi i w jakim celu? Kto wie, o co się bije? Dlaczego ten i ów ginie śmiercią bohaterską, nie mając przedtém odwagi w sercu, ani myśli w głowie?... Nie łudźmy się naszém życiem i jego celem. „Nie znam książki — mówi Juliusz Lemaitre — któraby równie dokładnie dawała nam poczuć całą bezużyteczność istnienia, nicość ludzkiéj działalności, rząd przypadku, względne znaczenie cnót i wad, i mówiąc prawdę, miernotę naszego rodzaju.“

Ściśle biorąc, ten brak ideału choćby nawet fałszywego, ten brak bohaterów idących prostą drogą do celów choćby nawet szkodliwych, ten brak zresztą pozytywnego rozwiązania choćby jednéj tylko zagadki życia, wpływa na podniesienie wrażenia smutku, pod jakiém zostaje czytelnik zamknąwszy książkę. Ale czyja w tem wina? Czy życia, że jest smutne, nędzne i bezcelowe, czy powieściopisarza, że je przedstawia prawdziwie, czy téż publiczności, która lubiąc być okłamywaną nie może smakować w tym jednym ciągu ustawicznych rozczarowań i zawodów, w tém bezustannem kręceniu się w kółko. Ludzie widziani z bliska, życie roztrząśnięte w jego najdrobniejszych szczegółach, akcya oświetlona przyczynami i przeprowadzona przez wszystkie stadya jéj rozwoju, słowa objaśnione przez myśl ukrytą za ich obłudną osłoną, czyn przez jego pobudki, czyli, krótko mówiąc, cały człowiek, wzięty z rzeczywistości i prawdziwie przedstawiony w sztuce, nie wygląda tak bohatersko pięknie i jasno, jakby tego chcieli wielbiciele rycerskich romansów i to jest jedyną winą Flaubert'a. Przyznajmy jednak, że łatwo go nam będzie z tego rozgrzeszyć, ponieważ on nie artystyczne sylwetki wykrojone z życia, nie dramat wymyślonych uczuć, lecz odtworzył ludzi i prawdziwy ich

stosunek do siebie nawzajem, odtworzył życie własnemi rządzące się prawami, nie zaś artysty, i wierny metodzie, przyjął za pewne takie tylko rezultaty do jakich go sama nauka doprowadziła.

A jego metoda ścisłéj, przedmiotowéj obserwacyi najlepiéj pokazuje się w epizodzie traktującym o rewolucyi 1848 roku. Tu Flaubert jest historykiem i jak do badania życia i działalności pojedyńczego człowieka nie przystępował z gotowym uprzednio o nim sądem, tak samo przy badaniu życia całego społeczeństwa nie posługuje się przyjętą *a priori* teoryą lub systematem, któreby z konieczności zmuszały go do szukania w obserwacyi tego właśnie, coby tylko stwierdzało jego teoryą lub systemat, nie zaś dawało rezultat zgodny z prawdą i niezamącony wyobraźnią. Posługuje się on świadectwami wszelkiego pokroju i wprowadza na scenę wszystkie żywioły, niezależnie od ich natur i roli, jaką w tym krwawym dramacie odegrały. A przytém nie unosi się lirycznem deklamatorstwem jak Wiktor Hugo i jest właśnie obrazowym przez skromność w efektach i wstrzemięźliwość języka. „Strzelano ze wszystkich okien placu; kule świstały; woda z rozbitéj fontanny mieszała się z krwią, tworząc na ziemi kałuże; poślizgiwano się w błocie po ubiorach, czapkach i broni; Fryderyk poczuł pod nogą coś miękkiego; była to ręka sierżanta leżącego twarzą w rynsztoku. Nowe tłumy ludu przybywały ciągle, pchając walczących naprzód. Strzelanina stawała się coraz więcéj przyśpieszoną. Szynki były otwarte; od czasu do czasu wchodzono tam wypalić fajkę, wypić butelkę i potém wracano do walki. Zabłąkany pies wył i to pobudzało do śmiechu...“ „W królewskim pałacu spokojny tłum zadawalniał się przypatrywaniem. Ale od czasu do czasu jakiś łokieć z powodu ścisku wypychał szybę, lub téż jakiś wazon, statuetka spadała z konsoli na ziemię. Futrowania trzeszczały. Wszystkie twarze były czerwone, pot spływał szerokiemi kroplami; Hussonet zauważył, że bohaterowie pachną wcale nie dobrze.“ Na placach sadzono drzewa wolności. „Panowie duchowni brali udział w ceremonii, błogosławili Rzeczpospolitą, eskortowani przez służbę ze złotemi galonami, i tłumowi to się *bardzo podobało.* Najczęstszém widowiskiem były deputacye czegokolwiekbądź idące do ratusza z żądaniami, gdyż każdy zawód, każdy rodzaj przemysłu oczekiwał od Rządu stanowczego końca nędzy. Niektórzy, co prawda, udawali się tam z radami, lub powinszowaniami, lub téż po prostu dla złożenia małéj wizytki i zobaczenia jak ta maszyna funkcyonuje.“ Korporacya malarzy „żądała utworzenia Forum Sztuki, rodzaj giełdy, gdzieby rozstrząsano interesa Estetyki; powstałyby wspaniałe dzieła ponieważ pracownicy złożyliby wspólnie swój geniusz.“ Oswobodzenie proletaryatu, według panny la Vatnaz, było

możliwe przez oswobodzenie kobiéty. Chciała ona aby kobiéta była dopuszczoną do wszystkich urzędów; żądała poszukiwania ojcostwa, innego kodeksu, zniesienia lub przynajmniéj rozumniejszego uregulowania małżeństwa. Wtedy każda Francuzka będzie obowiązaną poślubić Francuza lub adoptować jakiegoś starca. Potrzeba, aby mamki i akuszerki były urzędnikami płatnemi przez Państwo.“ Arnoux, tak jak zresztą wszyscy, również oczekiwał czegoś od rządu. Żądanie jego jest w charakterze mieszczaństwa: bezwstyd i hipokryzya. „Fabryka nie szła; ogół jego interesów był w stanie tak opłakanym, że dla puszczenia ich w bieg myślał o założeniu *café chantant*, gdzieby nie wykonywano nic oprócz dzieł patryotycznych; gdyby minister przyznał mu subwencyą, taki zakład stałby się na raz ogniskiem propagandy i źródłem dochodów.“

Ostatni na barykadach zginął Dussardier, człowiek waleczny, poczciwy i ograniczony. Jakkolwiek robotnik, przez syntementalizm epoki, był dopuszczony do Towarzystwa Fryderyka i jego przyjaciół. Ile razy był im potrzebny, przywoływano go; niepotrzebnego odprawiano do domu... Są ludzie mający jako misyą służenie za pośrednika pomiędzy innymi; przechodzi się po nich jak przez mosty i idzie się daléj.“

A przytém trzeźwa krytyka wszystkich marzeń i utopij, wszystkich żądań na pozór słusznych a w gruncie rzeczy nielogicznych! Krzyczano: precz z Rządem i domagano się nowego! Tłum bił się za wolność, za władzę swoję i czekał nowego Rządu, któryby nim kierował, o losie jego stanowił i nowe przywileje nadawał! Zdaje się, że nikt logicznie myśléć nie umiał, nikt nie wiedział ściśle, czego żądał i za co swoję krew przelewał. Smutny obraz społeczeństwa, które nie wie, gdzie jest i dokąd idzie. „Niech żyje Reforma!“ wołano zewsząd i nie wiedziano co należało reformować. „Precz z Guizot'em!“ Krzyczano policyantom w uszy i naradzano się kogoby postawić na czele Rządu. Geniusz wolności jeszcze nie dojrzał. Społeczeństwo małoletnie wskutek przymusowéj i ciągłéj opieki, nie umiało ani myśléć ani działać konsekwentnie: zapłodnione chorobliwemi ideami, z konieczności musiało poronić fałszywy czyn, i dla tego to właśnie dzieło Flaubert'a robi tak straszne wrażenie, że pokazuje nago to błąkanie się myśli ludzkiéj, bezcelowość marzeń, bezowocność działania. A na miejsce kościołów dawnych nie stawia on nowych kapliczek. To nie Wiktor Hugo głoszący ludzkości zbawienie w religii przezeń wynalezionéj lub w jednym bratnim pocałunku! To nie Emil Zola przeciwstawiający jéj swój ideał mieszczanina w symetrycznie wyciętych i zabudowanych ulicach, w czysto wymytych sklepach rzeźników, w niedzielach spokojnie przepędzo-

nych po tygodniowéj pracy, w życiu uregulowaném według jednego dla wszystkich szematu. Flaubert nie przypuszcza ani na chwilę, aby człowiek mógł być innym niż jest, aby każdy wytwór jego myśli nie musiał uledz wpływowi czasu i nowych prądów filozofii; dlatego też, traktując z lekceważeniem jego obecne dogmaty społeczne, polityczne lub estetyczne, nie bawi się w miganie mu przed oczyma dogmatami nowemi i tym właśnie sposobem ocala swe dzieło od prędszéj lub późniejszéj śmieszności, czego o żadnym innym z dzisiejszych pisarzy-artystów powiedziéć nie można. Wszyscy oni czują się powołanymi nie tylko do rozbijania ideałów przeszłości ale i do odpowiadania za przyszłość. Każdy z nich opowiada nową ewangelią ludzkości i nie przypuszcza, aby proboszcz z sąsiedniéj parafii mógł tak dobrze śmiać się z téj, jak on z tamtéj.

IV.

Pokusy Ś-go Antoniego są ostatnim dziełem wydaném za życia Gustawa Flauberta. Dwadzieścia lat poszukiwań i pracy, nauki i talentu, sumienności i zapału, złożyło się na tę najświetniejszą barwami stylu może, ale téż i najdziwaczniejszą w pomyśle, księgę jego dumań nad niemocą umysłu ludzkiego. Po świecie konwenansów towarzyskich w *Bovary*, instynktów zwierzęcych w *Salammbô* i ustawicznego ronienia zamysłów w *Wychowaniu Sentymentalném*, nastąpił świat umysłowego szaleństwa—błąkanie się w próżni, niczém nienasycone pragnienia, kołowacizna i zupełna niemoc myśli. *Ś-ty Antoni* ze wszystkiemi swojemi pokusami, to ludzkość w pogoni za prawdą, za istotą rzeczy, to umysł człowieka szukający rozwiązania zagadek wszechbytu, a osiadający na mieliźnie dogmatu, pędzący za ideałem a rozpraszający się w mistycznie religijnym czy też filozoficznym, który wspina się na górę zwątpień, aby następnie sceptycyzm naukowy zażegnać wiarą w krzyż. Umysł człowieka nie jest w stanie poruszać się w próżni bezgranicznéj nieskończoności i jakkolwiek daleko by sięgnął, musi utknąć w opłotkach rozstawionych mu naokoło przez zmysły, których sforsować nie może bezkarnie pod groźbą rozpłynięcia się w jednym wielkim oceanie filozoficznego absurdu, lub rozbicia się na ciasnym i kruchym statku wiary.

Ś-ty Antoni znękany całym dniem pracy zasypia na progu swéj lepianki, u stóp góry w Tebaidzie, gdzie dyabeł, który nań czatuje, popycha go do nikczemnych marzeń. *Pokusy* rozpoczynają się pożądaniami zmysłów, pragnieniami nienasyconego zwierzęcia, które skarży się na chybiony los i szczęście. A trzeba przyznać, że Ś-ty Antoni do kraju szerokich wizyj wszedł przez bramę nie nazbyt wy-

brednych marzeń. Żałując straconéj młodości, tęskniąc za narzeczoną, piękną Ammonaryą, którą niegdyś kochał, pustelnik wycieńczony postami i wstrzemięźliwością marzy z początku jak człowiek, którego zmysły niedosyć jeszcze rozdrażnione trzymają przy ziemi. Więc czemuż nie został księdzem, bakałarzem, żołnierzem, poborcą myta przy jakim moście lub bogatym kupcem, który przypatruje się wołom depczącym trawę i żonie całującéj go z czułością i dzieciom igrającym na ziemi! Lecz zbytni post go osłabił. Ś-ty Antoni łaknie jedzenia. Ach! czerwonego mięsa... winnego grona, któreby można ugryźć!... zsiadłego mleka, które drży na misce! Ale co mi jest! Czuję, że serce moje wzdyma się jak morze przed burzą. Bezgraniczna niemoc przygniata mnie, a ciepłe powietrze zdaje mi się przynosić woń jakiegoś warkocza. Tymczasem żadna kobiéta nie przyszła!..." „I nagle, wśród powietrza przesuwają się: najpierw łacha wody, następnie prostytutka, zakątek świątyni, twarz żołnierza i wóz w parę białych koni, stających dęba." Ś-ty Antoni pada na ziemię. Przed jego oczyma zjawiają się kobiéty, stosy złota, stoły zastawione jedzeniem i czary pełne napojów. Zdaje mu się, że został powiernikiem Cesarza. „Konstantyn kładzie mu swój dyadem na głowę. Antoni zatrzymuje go i uważa ten zaszczyt za zupełnie prosty." Następnie znajduje się w pałacu Nabuchodonozora i przesycony zbytkiem, dla ukarania własnego umysłu „staje na stole na czterech łapach i ryczy jak byk." Zaledwie skończył się biczować dla odpędzenia wizyj, przed jego oczyma zjawia się królowa Saba w całéj swéj piękności i kusi go zarówno wdziękami ciała jak przepychem i obfitością, swoich wschodnich bogactw. Ś-ty Antoni oparł się pokusie ostatniéj ze zwierzęcych, zmysłowych i odtąd daje się powodować dyabłu, który wziąwszy na siebie postać jego ucznia Hilaryona wprowadza go w świat umysłowego sceptycyzmu. Ś-ty Antoni zatyka sobie uszy, kiedy dyabeł rozwija przed nim sprzeczności nowego testamentu. Pomimo to zwątpienie przenika do głębi jego duszy. Rozum wypowiada walkę wierze. Katolicyzm złapany na gorącym uczynku plagiatów i sprzeczności. Sto herezyj kłóci się o posiadanie Jezusa. Ze wszystkich stron słychać modlitwy i widać cuda Szatan, czyli nauka, wyjaśnia ich mechanizm i ośmiesza. Wszystkie religie i wszystkie bóstwa przesuwają się przed jego oczami, wysławiając swoję jedyną doskonałość. Buddha objawia swoje życie i doktrynę, a każdéj z jego myśli tak dobrze odpowiada jakiś wiersz ewangelii, że ostatecznie Jezus pokazuje się tylko sbladém odbiciem proroka indyjskiego, wszystkie zaś religie daremnemi egzaltacyami ludzkich pragnień. Ś-ty Antoni chwieje się: rozum zadał jego wierze zbyt głęboką ranę; nawet świat zewnętrzny wymyka mu się z przed

oczu, gdyż „rzeczy—jak mówi dyabeł—przychodzą do ciebie tylko za pośrednictwem twojego umysłu, który jak zwierciadło wklęsłe przekształca przedmioty; brakuje ci więc wszelkich środków sprawdzenia ich dokładności. Forma jest może błędem twoich zmysłów, substancya wytworem twojéj myśli. Ale czy jesteś pewien, że żyjesz? Być może, że nie ma nic!“ I dyabeł opuszcza Ś-tego Antoniego, który z wyżyn nieskończoności światów spada na ziemię i przysłuchuje się kłótniom lubieżności ze śmiercią, Sfinksa z Chimerą. Zjawiają się zwierzęce i ludzkie widziadła. Wszystkie brzydoty i wszystkie próżności podnoszą krzyk. Fantastyczne potwory biją nogami o ziemię, uciekają, zapadają się lub wzbijają w górę. Zwierzęta morskie zalegają scenę. Wszystko się rusza, hałasuje i miesza. Królestwa natury zacierają się w mroku jednéj mikroskopijnéj wizyi. Zawrót głowy nad bezgraniczną wielkością, zastąpiony został zawrotem głowy nad nieskończoną małością, po którym Ś-ty Antoni wyrzuca z głębi swéj piersi ostatni głos.

„O szczęście! szczęście! Widziałem rodzące się życie, widziałem rozpoczynający się ruch. Krew w moich żyłach bije tak silnie; że je rozerwie. Pragnąłbym latać, pływać, szczekać, ryczeć, wyć! Chciałbym mieć skrzydła, skorupę, łuskę, zionąć dymem, nosić trąbę, skręcać moje ciało, rozdzielić się wszędzie, być we wszystkiém, ulatniać się z woniami, rozwijać się jak rośliny, płynąć jak woda, drżéć jak dźwięk, błyszczeć jak światło, utulić się pod wszelkiemi formami, przeniknąć każdy atom, zejść aż do głębi materyi, być materyą!“

Na tém kończą się wizye, a raczéj hallucynacye człowieka przyprowadzonego przez ascetyzm do najwyższego stopnia rozdrażnienia zmysłów. Pożądania instynktów zwierzęcych i gorączka wiedzy, rozpraszają się przy pierwszych promieniach słońca. „Dzień nareszcie się pokazuje, i jak firanki cyboryum, które podnoszą się do góry, złote obłoki odkręcające się szerokiemi wolutami odkrywają niebo.

Po środku, w saméj tarczy słońca promienieje twarz Jezusa-Chrystusa.

Antoni robi znak krzyża i nanowo zabiera się do modlitw.“

Nigdzie Flaubert nie dosięgnął takiéj potęgi szyderstwa, jak w tych słowach niemego poddania się wierze, przeciwstawionych całemu potokowi buntujących się pragnień. Na jednéj szali błąkanie się myśli w pustyni najwyższych zagadek życia, na drugiéj krzyż; po jednéj stronie potrzeba dociekania istoty rzeczy, po drugiej zasłonięcie sobie oczu dogmatem; na początku szał za posiadaniem prawdy, na końcu tertulianowskie: „Módlcie się, pośćcie, płaczcie, umartwiaj-

cie się! Precz z filozofią! precz z książkami! od czasów Jezusa nauka jest już nie potrzebną!“ Oto równowaga ludzkiego umysłu, który w naturalnéj pogoni za absolutem z konieczności dopada formalnego dogmatu; oto filozofia książki, która każe „porzucić wszelką nadzieję tym, którzy wchodzą“ w podmiotowy świat człowieka.

Po szarém życiu materyalném Flaubert chciał pokazać tu bezowocność umysłowego. Czy zadania swego dopiął? nie nasza to rzecz w téj chwili. „Pokusy Ś-go Antoniego“ bowiem podpadają pod kategoryę tych prac, które należałoby oceniać ze stanowiska historyi rozwoju pojęć religijnych, nie zaś czysto estetycznych poglądów na dzisiejszą powieść francuzką, czém we właściwém znaczeniu tego wyrazu ostatnie dzieło Flaubert'a nie jest. Już sama forma książki pokazuje nam jasno, że autorowi więcéj tu chodziło o bogaty i dokładny obraz religijnych wierzeń i herezyj, filozoficznych dowodów istnienia Boga i jego nieistnienia, niż o odbudowanie człowieka w jego zewnętrznéj sylwetce i z jego charakterystyczną psychologią istoty, która przez otoczenie i wpływy, została doprowadzoną do stanu zmysłowéj i umysłowéj anomalii. Nie znaczy to bynajmniéj, aby postać Ś-go Antoniego miała być niepełną,—pobieżnie narysowaną i niedostatecznie wytłómaczoną,—lecz że gubi się i zaciera w masie widm, w tłoku fikcyjnych bóztw i bozkich fikcyj, w chaosie pojęć filozoficznych i religijnych, które jak na balu maskowym śmieszą, rozrzewniają, smucą, oślepiają, bawią przez chwilę, ale na końcu męczą, nużą i ogłupiają. Dziełu brak pewnego usystematyzowania obrazów, pewnego nacisku na to, co jest myślą autora, a co nią nie jest. Czytelnik gubi się pomiędzy słowami i błąka jak w bezdrożnym lesie. Gwałtowne skoki, szybkość i zbyteczna zwięzłość opowiadania, obfitość okrucieństw i głupstw, nagromadzone na kilku stronicach, przyprowadzają go do zawrotu głowy. Słowom brak powietrza, w któremby swobodnie mogły drzéć, brak wyraźnego zmierzania do jednego punktu, któryby od pierwszéj do ostatniéj stronicy, jak światło rzucone z góry na pomniki rzeźby, mógł im nadawać właściwy ton i potrzebną wypukłość. Ale przez to obrazy straciłyby z pewnością na swéj fantastyczności i ruchu, a cała halucynacya Ś-go Antoniego pozbawioną-by została charakteru tego chorobliwego zamętu myśli, jaki w głowie pustelnika pod wpływem fizycznego wycieńczenia i rozwijających się podówczas pojęć religijnych panuje. Forma tu jest koniecznym wynikiem treści i jak w *Wychowaniu Sentymentalném*, przez swą pewną rozwlekłość, stała się wyrazem nudy, szarości i bezcelowości życia, tak w *Pokusach Ś-go Antoniego* znowu przez niezmierne kupienie, zmienność i bezład obrazów, stała się wyrazem ruchliwości, zamętu i szału choréj myśli. Czuć tu cią-

głą gorączkę. Słowa pędzą tumanami, byle myślom nie dać uciec byle ująć je w obrazy. Wprowadzanie osobistości lub upostaciowanych idei, odbywa się sposobem czysto informacyjnym, według notatki autora dramatycznego, zapisanéj na marginesie drukowanego w książce dramatu lub komedyi, byle co prędzéj dobrać się do rzeczy, do istoty dzieła. Ztąd błąkanie się czytelnika w obrazach i myślach, które Flaubert z wiedzą i wolą pomieszał i pokręcił, w celu materyalnego, jeżeli tak się wolno wyrazić, przedstawienia zamętu w choréj głowie pustelnika i w dziwacznych a sprzecznych ze sobą religijno-filozoficznych pojęciach epoki ówczesnéj.

Ze wszystkich dzieł Flaubert'a, to jest najwięcéj może osobistém, żadne inne nie zaznacza tak wyraźnie ścisłego stosunku pomiędzy charakterem głównéj postaci a charakterem samego autora. Jezus, Antoni i Modlitwa to alegorya Sztuki, Flaubert'a i Pracy. Szał religijny jest tylko maską szału literackiego, a z pod osłony ascety z Tebaidy, tak widocznie przegląda ruchliwa postać samotnika z okolic Rouen'u, że współczując umysłowym cierpieniom Ś-go Antoniego nie możemy nie myśléć o jakiemś nieszczęściu z życia samego Flaubert'a, które niegdyś „było tak słodkie. Jakże bowiem moja matka była dobrą a narzeczona pociągającą! Ach! gdybym był został tam, przy nich!.. Lecz jestem sam, sam! Biada tym którzy są sami!“ Dość zestawić tylko ten krzyk pustelnika ze słowami prywatnego listu Flaubert'a: „Pracuję całemi nocami; *samotność* upaja mnie jak alkohol. Jestem wesoły bez przyczyny. Jedynie tylko literacki szał pomaga mi do wytrzymania życia.“

Pokusy Ś-go Antoniego więc to już nie tylko obraz pojęć religinych i przegląd bogów, ale i spowiedź zarazem autora z jego najtajniejszych myśli, z jego cierpień i pożądań, zapałów i zniechęceń. „Wiara, męczeństwo, nauka, rozum, materya nawet, wszystko to jest próżnością. Aby znieść życie, potrzeba zwaryować, zwaryować na literaturę, na religią, czy na cokolwiekbądź,“ gdyż inaczéj, jak mówi Hilaryon, istnienie wszechświata, a tém samém i człowieka „nie ma celu!“

Cała filozofia życia Flaubert'a zamyka się w dwóch słowach: *samotność* i *praca*: samotność jako motor myśli, praca jako sposób zapomnienia cierpień i niesmaku. Wszystko jednak, co miał do powiedzenia o sobie i o społeczeństwie, albo raczéj o sobie i swoim do społeczeństwa stosunku, wszystko to wypowiedział w czterech powyżéj przytoczonych dziełach. Pozostałe są już tylko nawyknieniem do *samotności* i *pracy*, koniecznością robienia, choćby się nawet nie było „zwaryowanym na literaturę, na religię, czy też na cokolwiekbądź,“ byle robić, byle się nie łudzić i nie rozczarowywać, byle nie

cierpieć na istnienie życia. Czuć w nich pewne wymęczenie i jakby tylko rutynę pisarza, którego umysł z szerokiego kręgu wszechświata zszedł do ciasnego maneżu mikrokosmu.

Proste serce jest manierą roboty *Pani Bovary*, a *Herodias* na inny grunt przeniesioną *Salammbô*. W pierwszéj nowelli Flaubert na motek naiwnéj, idyotycznéj dobroci służącéj, nawinął całą masę drobnych szczegółów z wiejskiego powszedniego i bezbarwnego życia, w drugiéj zaś tajemniczą i niewyraźnie narysowaną postać Salomei przygniótł, podobnie jak w *Salammbô*, górą otoczenia i barwnéj natury. Świat wschodni, świat grecki i łaciński, mięszanina tetrarchów i prokonsulów, faryzeuszów i żołnierzy rzymskich, słońca i kolorów, typów i kostiumów, obyczajów i umysłowości,—wszystko to się zaciera w jednéj błyskotliwéj pstrociźnie słów. Czuć tu wysiłek w szkodliwym dla jasności rzeczy lakonizmie i bezpotrzebne szarpanie języka, dla wydostania z niego dzikiéj barwności azyatyckiego świata.

Z trzech jego nowelli najwięcéj zajęcia przedstawia *Legenda o św. Julianie*. Przeziera z niéj cała dziwaczność średnich wieków, kiedy powietrze zarówno było wypełnione parą gorącéj krwi jak i szczerym tchem religijnych dusz, kiedy gwałtowność temperamentu doskonale licowała z najbardziéj wyrafinowanym mistycyzmem, i kiedy wreszcie będąc ojcobójcą można było jak Julian zostać świętym. Nie są-to jednak średnie wieki malowane szerokim pędzlem romantyków. Flaubert swéj powiastce nadał wyraz pewnéj oschłości i szorstkości zarazem, coś z malarstwa Dürera albo lepiéj jeszcze *Kolońskich Mistrzów*, gdzie kolory, po przez twarde linie konturów i mięśni, nie mogą zlać się w jednę łagodnie zmodulowaną harmonią jakiegoś ogólnego tonu, lecz, przeciwnie, w skutek naiwnéj prostoty środków, leżą obok siebie prawie niezależnie, sucho i z całą pierwotną, przykrą surowością żywych barw. Zresztą autor na końcu sam mówi, że chciał po prostu przenieść średniowieczne malarstwo ze szkła na papier, opracowywując „historyą ś-go Juliana tak mniéj więcéj, jak ona się znajduje na szybach kościoła w moich (Flaubert'a) stronach.“

. . . .

Dla pełności niniejszego szkicu pozostaje nam jeszcze wspomniéć o świeżo wydaném pośmiertném dziele Flaubert'a: *Bouvard i Pecuchet*. Dzieło to nieskończone. Brak mu ostatnich części, ostatniego słowa, któreby charakteryzowało całość, brak klucza do rozwiązania zagadki, jaką sobie autor postawił, pisząc rzecz tak wielką

rozmiarami, tak dziwną w treści i tak wyraźnie odskakującą od metody przyjętéj w poprzednich jego pracach.

Bouvard i Pecuchet to dwaj ludzie żyjący życiem wyjątkowém. Urzędnicy, mieszczuchy z krwi i kości, przyjaciele nie wiadomo dlaczego, wskutek spadku odziedziczonego przez jednego z nich, przenoszą się na wieś i wspólnie oddają pracy, o któréj dotąd nie mieli najmniejszego wyobrażenia. Dla kierowania się w labiryncie trudności, jakie się im przedstawiały na każdym kroku ich rolniczego zawodu, sprowadzili sobie cały ładunek traktatów agronomicznych. Naturalnie gospodarowanie ich z książek, bez żadnego doświadczenia i bez cienia nawet krytycznego zmysłu, stało się jednym ciągiem głupstw, które z konieczności rozpoczęły majątkową ruinę i przyśpieszyły zniechęcenie się ich do stanu rolniczego. Dla powetowania moralnych i materyalnych strat wzięli się do ogrodnictwa. Nowe traktaty i podręczniki, nowe mrzonki, nowe rozczarowania i nowe w następstwie porzucenie przedsięwzięcia! Przeświadczeni o swym braku zmysłu do rzeczy praktycznych, zapragnęli pracować dla sławy i dobra nauki. Sprowadzili podręczniki i oddali się z zapałem nauce geologii. Poszukiwania ich, rozkopywanie cmentarzów i gór i zbieranie kamieni po polach, uwieńczone zostały tym samym skutkiem co i przedsięwzięcia poprzednie. Nowe rozczarowanie, nowe pomysły! Rzucili się do studyowania fizyologii i tak daléj, i tak ciągle, aż przeszedłszy przez specyalne nauki astronomii, anatomii, higieny, archeologii, estetyki, i ekonomiki, zostali wychowawcami dwojga znalezionych na drodze dzieci, na których wykonali z najgorszym w świecie skutkiem eksperyment urabiania ludzi według recepty z książek. Tu kończy się dzieło: reszta jest tylko w szkicu zanotowanym pojedyńczemi słowami, z których wywnioskować nie można: ani jaki los ostateczny zapewnił autor swoim bohaterom, ani téż jaka była jego myśl w przedstawieniu ludzi, którzy aż dotąd nie mają w swoich naturach nic z rzeczywistości, nic z prawdy życia, nic z tego wszystkiego, co stanowi siłę i czar talentu Flaubert'a.

Ci ludzie przedewszystkiem nie są ludźmi, tak samo jak ich życie nie jest życiem. Są-to po prostu lalki, chodzące i mówiące na komendę autora, który je pooblepiał wyciągami z artystycznych i naukowych książek, nie troszcząc się wcale o prawdopodobieństwo nawet wspólnéj téj dla obu przyjaciół manii: szukania prawd absolutnych w podręcznikach i traktatach pierwszéj lepszéj specyalności, jaka im przyszła do głowy. To już nie konstatowanie wypadków życia, ani analiza duszy ludzkiéj, lecz krytyka dogmatów i teoryj, jakie współczesna (1830—1850) literatura przedstawiała we wszyst-

kich lub prawie we wszystkich gałęziach nauki. Forma powieści jest tu tylko pretekstem; istota książki leży w zestawieniach sprzeczności naukowych, które autor grupuje w pojedyńczych rozdziałach i rozkłada kolejno jak rękawicznik pudełka z różnokolorowemi rękawiczkami. Przez to kompozycya nie posiada żadnego wdzięku, a powieść nie interesuje. Bez zaprzeczenia uwagi jego nad stanem nauki, a głównie nad sprzecznościami w teoryach—są trafne i słuszne. Umysł Flauber'a był za nadto trzeźwy i wypracowany, aby mógł rzucić na papier bądź to banalne bądź też fałszywe uwagi nad umysłem innych. Nie przeszkadza to jednak aby książka nie miała być nudną i ciężką, nudną dlatego, że jéj kompozycya, polegająca na szufladkowém pokrajaniu całości na rozdziały, nie przedstawia żadnego artystycznego interesu, ciężką zaś dlatego, że w każdéj takiéj szufladce życie i ludzie duszą się pod nadmiernym ciężarem monotonnie zaetykietowanych wyciągów z książek. Zresztą najciekawsze spostrzeżenia nad socyalistycznemi i estetycznemi teoryami są rozszerzoném lub skróconém powtórzeniem tego, co w piękniejszy i złośliwszy sposób Flaubert powiedział już pierwéj w *Wychowaniu Sentymentalném* i *Pani Bovary*; wszystkie zaś grzeszą zwięzłością, która im nadaje ton apodyktycznych wyroków. A przytém język nie ma już téż świetności ani giętkości, jakie widzieliśmy w poprzednich pracach: brak mu dawnych metafor i muzycznego dźwięku. Myśl zaś trzymając się ściśle w granicach formalnéj krytyki, nie przynosi tu tych niespodziewanych razów szyderstwa, jakiemi Flaubert przedtém siekł z takiém powodzeniem wszelkie słabostki i głupotę ludzką. Nie tylko już w samym pomyśle tego dyalogowanego podręcznika społeczno-naukowo-artystycznych sprzeczności w teoryach, lecz i w robocie, w sposobie oświetlania i wydostawania na wierzch pewnych śmieszności natury ludzkiéj, czuć zmęczenie i brak inwencyi. Raz tylko zaledwie przez cały tom Flaubert tu błysnął swoim złośliwym dowcipem, którym w samo serce ugodził ducha pietyzmu eskamotującego wszystko na korzyść swoją. Kiedy bowiem obydwaj przyjaciele, zwaryowani na geologią, rozwijali przed zdumionym proboszczem tajemnice tworzenia się skorupy ziemskiéj, proboszcz usłyszawszy o „koprolitach, które są po prostu skamieniałemi odchodami zwierząt,“ powiedział:

„Po za tém wszystkiem, jeżeli ten fakt miał miejsce, byłby to jeszcze jeden więcéj powód, aby uwielbiać Opatrzność.“

Lecz ani ten dowcip, ani cały naukowy ładunek, jaki Flaubert włożył na barki swych manekinów, nie są w stanie ocalić powszedniości pomysłu, który jest powtórzeniem dawno już zużytych nauk

moralnych w formie dyalogu i nie są w stanie zapewnić długotrwałości książce, która nie może rościć prawa do nazwy i znaczenia ani powieści artystycznéj ani krytyki naukowéj. A Flaubert'owi właściwie mówiąc, więcéj chodziło tu o tę drugą niż o pierwszą. Szkoda tylko, że zmęczony pracą całego życia, nie mógł z taką samą świetnością w powieściowéj formie skrystalizować metody ścisłéj, podmiotowéj krytyki, z jaką skrystalizował metodę ścisłéj, podmiotowéj obserwacyi życia.

Nie zapominajmy jednak, że jedno dzielo słabsze nie może nachylić pomnika, jaki sobie dany autor postawił ze swoich arcydzieł. Jakakolwiek więc była by wartość artystyczna i naukowa *Bouvard'a i Pecuchet'a* nie zmniejszy to wcale sławy i znaczenia Flaubert'a we współczesnéj sztuce, która jemu zawdzięcza najbardziej artystyczne i najbardziéj naukowe dzieło dziewiętnastego wieku, pomimoże słońce jego talentu zjawiwszy się w pełném południu, bez powolnego wspinania się od poziomych, niepewnych i majaczejących promieni Wschodu, miało swój Zachód w ostatniéj pracy.

Co do formy, to w skutek ustawicznego kondensowania myśli w skutek ustawicznego nacisku na ważność słów, w skutek potrzeby wyrażania się krótko, zwięźle a silnie, Flaubert w swoich utworach zatracił cechę francuzkiego pisarza. Dziełu jego brak żwawości, lekkości i tej migotliwości słów, które, z najbardziéj nawet pustych fars, robią przyjemne do czytania powieści dla tego tylko, że pisane łatwo, łatwo się czytają, a łatwość, co prawda nie tylko we Francyi uważaną jest jeszcze za miarę i wykładnik pisarskiego talentu. Flaubert jéj nie miał i mieć nie chciał. Czuć w nim człowieka północy, potomka Normandów więcéj niż Gallów, więcéj człowieka potrzebującego myśléć niż mówić.

Antoni Sygietyński.

REZOLUCYA GALICYJSKA.

I.

Przypomnicie sobie zapewne, że w latach 1869—1871 wyraz *Rezolucya* nie schodził z porządku dziennego gazet galicyjskich, a nawet wiedeńskich, o ile się te trudniły sprawami galicyjskiemi; przypomnicie sobie, że rezolucya była przez długi czas sztandarem, na którym, tak zwana opinia publiczna w Galicyi wypisała swą politykę. Do dziś dnia nawet słowo to błąka się tu i owdzie po szpaltach dziennikarskich, jako niebieski kwiat marzeń galicyjskich, a nie dawno jeden z najwybitniejszych posłów, ks. Jerzy Czartoryski, podniósł na nowo sztandar rezolucyjny w swéj przemowie, do wyborców okręgu sanockiego, i powiewając nim, potrafił roznięcić słomiany ogień gorących uczuć niektórych wyborców.

Opowiemy pochodzenie tego sztandaru, kto go wywiesił i w jakich stosunkach, czy się warto było pod nim grupować, jakie przeszedł koleje i jak wpłynął na politykę galicyjską. Losy tego sztandaru mogą mieć wiele pouczającego, okazują bowiem, jak wogóle w polityce, niebezpiecznie sposobem agitacyi wyśrubowywać do wysokości politycznego *credo*, takie zasady i takie żądania, które ani wypływają z koniecznéj potrzeby, ani z powszechnych życzeń społeczeństwa, ale są tylko wynikiem chwilowych zapatrywań jakiegoś stronnictwa. Nie wykluczamy zupełnie agitacyi w rzeczach publicznych, owszem uważamy ją czasem za zbawienną, ale sądzimy, że zasada, w interesie któréj się ma agitować, powinna ściśle być rozważoną, powinna istotnie przyczyniać się do powszechnego dobra, gdyż w przeciwnym razie inicyatorowie owych zasad znajdą się niebawem w tém smutném położeniu, że będą musieli działać przeciw własnym wysileniom i prowadzić kontr-agitacyą.

Rezolucya galicyjska była jedném z tych nieudanych dzieł politycznych, którego się sami autorowie po części milcząco wyprzeć

musieli, i nie powiem, aby sztuczne utrzymywanie go na widowni nie wpływało chwilowo szkodliwie na rozwój w Galicyi stosunków politycznych. Że jednak jakiekolwiek było to dzieło, zajmie zawsze ważne miejsce w historyi Galicyi, przeto nie uważaliśmy za zbyteczne kilka kart mu poświęcić.

Rezolucya, była ścisłym wynikiem udziału Polaków w uchwaleniu po dziś dzień obowiązującéj konstytucyi austryackiéj, musimy zatém w naszém opowiadaniu sięgnąć do genezy téj konstytucyi.

Po ugodzie węgierskiéj najtrudniejszą kwestyą w wewnętrznéj polityce austryackiéj stawała się zawsze kwestya czeska. Załatwić ją ku zadowolnieniu tak Czechów, jak Niemców było niepodobieństwem; Beust więc jako Niemiec, niemyślący zresztą bynajmniéj o prowadzeniu polityki słowiańskiéj, wolał poświęcić Czechów, obejść się bez nich w rządzeniu monarchią, aniżeli zupełnie zerwać z Niemcami. Poświęcić jednak wszystkich Słowian austryackich nie mógł, bo nie byłoby kim rządzić w radzie państwa. Musiał się zatém zwrócić do Polaków.

Uchwała sejmu lwowskiego z dnia 2 marca 1867 sprowadziła delegatów galicyjskich do Wiednia, trzeba ich było tylko zatrzymać. Delegacya liczyła 38 członków; trzech, a mianowicie księdza Jana Gunalewicza, sędziego Jana Czaczkowskiego i włościanina Bazylego Makowicza trzeba było odliczyć, jako świętojurców idących bezwzględnie z centralistami, pozostawał zatém zastęp 35 delegatów, wprawdzie nie decydujący, ale zawsze dość poważny. Pierwszym krokiem ministerstwa, którém chciało okazać swą dobrą wolę wobec Polaków, było mianowanie dr. Ziemiałkowskiego drugim wiceprezydentem Izby. Prezydentem mianował cesarz dr. Giskrę, burmistrza z Berna, wziętego tam adwokata, człowieka znakomitych zdolności, ale posiadającego w wysokim stopniu wszystkie wady swego zawodu.

Rada państwa zebrała się dnia 20 maja 1867; sam cesarz otworzył ją mową tronową, która jako uchwalona już w myśl nowego kierunku polityki barona Beusta, zawierała pewne przygrywki centralistyczne, pomimo że się jeszcze nie wypierała dyplomu październikowego. Natomiast miał Giskra wstępną w izbie przemowę z bardzo już centralistycznym zakrojem. Na drugiém zaraz posiedzeniu rady państwa, podali centraliści myśl uchwalenia adresu do cesarza, któryby był odpowiedzią na mowę tronową, a zawierał ich program polityczny. Celem napisania adresu wybrano komisyą złożoną z 15 członków, pomiędzy którymi było trzech Polaków: Ziemiałkowski, Adam hr. Potocki i Kornel Krzeczunowicz.

Projekt adresu potępiał zawieszenie działalności ustawy zasadniczéj z 26 lutego 1861, zwalał wszystkie klęski ostatnich czasów na ten akt polityki wewnętrznéj, restytuował przeto nanowo ową szmerlingowską konstytucyą, zapowiadając w niéj tylko konieczne zmiany. Wobec gazowego światła, którém jaśniały centralistyczne zasady adresu zapalono i autonomiczną łojówkę, w ustępie, w którym zapewniano, "że rada państwa gotową będzie działać celem rozszerzenia autonomii królestw i krajów, w szlachetnéj myśli, wypowiedzianéj przez Najjaśniejszego Pana, która wszystkim usprawiedliwionym żądaniom chce zadość uczynić."

Panu Beustowi chodziło naturalnie o to, aby adres jak największą zyskał liczbę głosów, aby izba, w któréj i tak brakowało 14 posłów Czechów, o ile możności jednomyślnie poparła politykę stronnictwa u steru będącego. Dał więc poznać Polakom, że gotów jest ofiarować im pewne korzyści za głosowanie za adresem.

Koło delegacyi galicyjskiéj było już wtedy bardzo silnie zorganizowane, przyjąwszy za wzór swéj organizacyi regulamin, który dotąd służył Polakom zasiadającym w reichstagu berlińskim. W myśl téj organizacyi żaden poseł nie mógł, w ważniejszych sprawach, występować i przemawiać w izbie bez upoważnienia koła; każde wystąpienie delegacyi musiało być zatém dobrze obmyślane i solidarne. Postanowienia te okazały się wielce zbawiennemi i rzec można w znacznéj części przyczyniły się do znakomitego znaczenia jakie sobie delegacya w Wiedniu wywalczyła.

Na poufne wezwanie p. Beusta wybrało koło pp. Ziemiałkowskiego, Krzeczunowicza i Adama hr. Potockiego, aby z ministrem przeprowadzili układy. Panowie ci postawili dziesięć żądań, do których i to należało, aby cesarz udzielił swéj sankcyi ustawie przez sejm uchwalonéj o języku wykładowym w szkołach, aby w drodze administracyjnéj zaprowadzono radę szkolną krajową, tudzież, aby nadal zatrzymano wybory pośrednie do rady państwa, to jest, aby sejm wybierał delegatów, a nie sami wyborcy. Przy tym ostatnim sposobie wybierania miało się bowiem pewność, że sejm (w którym w każdym razie Polacy, i dobrze myślący Rusini większość mieć musieli) wybierze delegacyą życzliwą krajowi, podczas gdy przy wyborach bezpośrednich, oddawało się ich rezultat w znacznéj części na łaskę agitacyi wyborczéj, mogącéj bardzo łatwo ulegać presyi ministeryalnéj.

Układy te, które wszakże nie zostały stwierdzone jako obowiązujący pakt pomiędzy delegacyą a ministerstwem, napotkały w kole dość stanowczą i silną opozycyą. Zaraz po drugim marca widoczne były w delegacyi dwa wręcz sobie przeciwne prądy: jedni

z posłów zdawali się żałować powziętéj uchwały o wysłaniu delegacyi do Wiednia i nie mogli się oswoić z myślą pozostania w radzie państwa, a przeto i z myślą wchodzenia z ministerstwem w jakieś tajemne układy; do nich należeli: Adam hr. Potocki, Henryk i Ludwik hr. Wodziccy, Tarnowski, Chrzanowski, Fihauzer, Wyrobek i Krzeczunowicz; drudzy natomiast, stanowiący większość delegacyi, ulegali wpływom Ziemiałkowskiego i Gołuchowskiego, dążącym do pozostania w radzie państwa i zdobywania takich dla kraju koncesyj, jakie w danych stosunkach osięgnąć się dadzą.

Wobec panującéj w kole polskiém karności, te ostatnie wpływy były stanowcze, a pomimo że w łonie delegacyi bardzo silną i poważną spotkały opozycą, przecież na zewnątrz decydowały, ulegając tylko modyfikacyom wskutek téj wewnętrznéj opozycyi.

Większość delegacyi a zatém koło postanowiło głosować za adresem pomimo że tenże był centralistyczny, aby już od początku nie zrywać z Niemcami i pozostawić sobie możność wytargowania na nich koncesyi, o których była mowa. Taka ścisle utylitarna uchwała miała ten skutek, że udział Polaków w dyskusyi nad adresem stał się raczéj czczą formalnością aniżeli ważném wystąpieniem. Delegacya chciała o tyle tylko wmięszać się w debaty, aby módz sobie powiedzieć: *salvavi animam meam* wobec dziennikarstwa krajowego, które nie wiedząc, czem się rząd ma wywzajemnić krajowi za zachowanie się delegacyi, a kierując się tylko nieświadomemi siebie sentymentami i ideałami, rzucało się na nią z największém oburzeniem. Prym wiodły tutaj naturalnie *Gazeta narodowa* i *Dziennik lwowski* (organ tak zwanego stronnictwa demokratycznego), które nie miały dość obelżywych słów w swym brukowym dyalekcie, aby niemi nie napiętnować twórców polityki praktycznéj, jedynie możliwéj dla narodu, który ma z silniejszymi od siebie do czynienia. Chcąc, zaraz przy obradach nad adresem, inaugurować praktyczny kierunek, stawiali posłowie Ziemiałkowski i Krzeczunowicz poprawki do adresu, mające na celu zawarowanie praw autonomicznych krajów i królestw reprezentowanych w radzie państwa. Ostatni wyłuszczał w dość długiéj przemowie konieczność nadania Galicyi autonomii, i z tego względu sądził, że w adresie powinny być postawione odpowiednie żądania. Poprawki jednak naszych posłów upadły, centralistyczny adres w całéj rozciągłości został uchwalony. Przed samém głosowaniem oświadczył tylko Zyblikiewicz, że Polacy, pomimo nie przejścia stawianych przez nich poprawek, będą głosowali za adresem, aby uniknąć nawet pozoru, że co do głównéj rzeczy, co do ugody węgierskiéj, ktorą rada państwa uchwaleniem adresu ze swéj strony miała sankcyonować, stoją w opozycyi.

Głosowanie Polaków zaznaczyło wybitnie ich stanowisko, zgodne z uchwałą sejmową z 2 marca r. 1867.

Po adresie, przyszła kolej na uchwalenie ustaw zasadniczych: o reprezentacyi państwa, odpowiedzialności ministrów, delegacyach wspólnych do załatwjania spraw tyczących się całéj monarchii, o wolności stowarzyszeń, władzy sędziowskiéj, wolności osobistéj itd.

Niemcy, będący większością zgromadzenia, starali się przedewszystkiém oto, aby nową organizacyą oprzéć na nadzwyczaj wolnomyślnych zasadach. O ile ta wolnomyślność tyczyła się obywateli państwa jako jednostek, a więc ustawy o wolności osobistéj, o poszanowaniu domu, o prawie stowarzyszeń itd. niemieckie zasady nie pozostawiały nic do życzenia, gdzie jednak w grę wchodziła narodowość jako całość, a naturalnie narodowość inna a nie niemiecka, tam się już kończył liberalizm, centraliści nie chcieli pojąć, że narodowość ma takie same prawa wolnego rozwoju, jak jednostka. Stanowisko natomiast Polaków było inne, nie szło im może tyle o te wysokie tony liberalizmu, o te drobne odcienia wolności, osobliwie co do stosunku kościoła do państwa—które należały do najulubieńszych marzeń teoretyków, profesorów i adwokatów stanowiących najbardziéj wpływową część rady państwa,—ale raczéj o uszanowanie praw narodowości, zyskanie jak największéj autonomii dla poszczególnych krajów. W tym téż duchu działali Polacy po komisyach, i w téj myśli odzywali się zawsze w pełnéj izbie, zaznaczając to, że wolność i sprawiedliwość w państwie takiém jak Austrya, złożoném z różnych narodowości, nie może się ograniczać na wymierzeniu tego co się należy jednostce, ale musi także dążyć do postawienia na równi wszystkich narodowości w skład państwa wchodzących.

W debacie nad powszechnemi prawami obywateli państwa, świetnie w téj mierze przemawiał p. Zyblikiewicz, zaznaczając stanowisko Polaków, a Ziemiałkowski zaakcentował dobitnie, że żadna z narodowości wchodzących w skład monarchii austryackiéj nie chce być pochłoniętą w tym konglomeracie ras, który sobie centraliści za cel postawili, i że jedyną trwałą i naturalną organizacyą Austryi, może być tylko *związek narodów w celu wspólnéj obrony*.

Ziemiałkowski nie występował jednak z programem federacyjnym, ale z programem ściśle autonomistycznym, dającym krajom samorząd, któryby pozwalał na naturalny ich rozwój, nie uwłaczający w niczém jedności monarchii.

Im więcéj było uprzedzeń przeciw idei narodowościowéj po stronie centralistów, tém ostrożniéj musiała delegacya postępować.

Decyzya zatém: czy głosować za ustawami zasadniczemi, czy nie? była bardzo trudna. Głosować przeciw ustawom znaczyło dowieść, wobec tych wszystkich liberałów, że się jest przeciw kardynalnym zasadom wolności osobistéj. Praktycznie zaś nic się nie osiągało takiém głosowaniem, gdyż większość w izbie mieli centraliści. Wotować za ustawami znaczyło potwierdzać niemieckie dążenie. Całe stronnictwo przeciwne uchwale z 2 marca, konsekwentnie najprzeciwniejszém było głosowaniu za ustawami zasadniczemi. Posłowie tam należący mówili, iż „niepodobna, aby delegacya, któréj sejm jako wiatyk dał swój cofnięty adres, mogła głosować za taką konstytucyą, jaką opisały ustawy zasadnicze;“ przeciwnie całe stronnictwo utylitarne pragnęło, aby stosownie do zajętego od początku praktycznego stanowiska, nie zrażać sobie Niemców i ministerstwo, głosowaniem przeciw konstytucyi, która w każdym razie, nawet przeciw woli Polaków będzie uchwaloną.

Tym razem jednak stronnictwo utylitarne było w kole w mniejszości, zdania za głosowaniem przeciw ustawie o reprezentacyi państwa znacznie przeważały, a prezes koła p. Ziemiałkowski widząc, że rozbić się może delegacya, postanowił wraz z całém swém stronnictwem (utylitarném) przystąpić w ostatniéj chwili także do większości głosów, dla uratowania powagi i jednolitości koła na zewnątrz i również głosować *przeciw* konstytucyi.

Mimo to ustawa zasadnicza o reprezentacyi państwa otrzymała potrzebną większość—głosowało za nią 119, przeciw niéj 46 posłów, pomiędzy ostatnimi *wszyscy* obecni Polacy.

Pomimo, że uchwalona konstytucya nie była taką, jakiejby sobie Galicya życzyć mogła, przecież jesteśmy tego zdania, że była lepszą dla autonomistów aniżeli szmerlingowski patent z lutego, a centralistyczni pisarze uważają ją do pewnego stopnia za klęskę, jaką sobie zadało ich stronnictwo. Gdy bowiem szmerlingowski patent przekazywał kompetencyi rady państwa to wszystko, co statutami krajowemi nie było przyznane sejmom, to przeciwnie nowa konstytucya szczegółowo wymieniała te wszystkie agendy, które mają należéć do rady państwa, a przeciwnie oddawała sejmowi te sprawy, które w tych punktach *wyraźnie* nie były zastrzeżone radzie państwa. Był to zatém w każdym razie postęp na korzyść idei autonomicznéj. Zasługa w téj mierze należy się kilku członkom delegacyi, którzy głównie mając na względzie choćby najdrobniejsze korzyści, nie spuszczali z oka niemieckich wniosków w komisyach i rzec można krakowskim targiem osiągali to, co się w danych stosunkach osiągać dało.

Ważnym postępem idei autonomicznéj w nowéj konstytucyi było to, że deputowanych do delegacyj wspólnych nie miało wybierać *plenum* rady państwa, ale deputowani poszczególnych sejmów i tak np. delegaci sejmu czeskiego wybierali ze swego grona 10, delegaci galicyjscy 7 posłów do delegacyj wspólnych. Była to myśl ministra Brestla i przeszła mimo wielkiéj opozycyi centralistycznéj prasy, która widziała w tém postanowieniu pierwszy krok do rozbicia zcentralizowanéj Austryi na ciała autonomiczne.

Gdy konstytucya z roku 1867 cesarską otrzymała sankcyę, trzeba było poruczyć rządy odpowiedzialnemu, konstytucyjnemu gabinetowi. Powierzył téż cesarz p. Giskrze i księciu Auerspergowi utworzenie nowego ministerstwa, w którém chciano mieć jednego ministra Polaka. Posłowi Ziemiałkowskiemu proponowano przyjęcie teki ministerstwa handlu, z którą była wówczas połączona teka ministerstwa rolnictwa. P. Ziemiałkowski odmówił, nie zniósłszy się poprzednio z kołem, ofiarowanéj mu godności, z powodu, iż zdawało mu się, że nie może się stać wykonawcą konstytucyi przeciw któréj głosował. Zwrócono się wtedy do hr. Alfreda Potockiego, proponując mu przyjęcie teki ministra rolnictwa. Hr. Adam Potocki pośredniczył w téj mierze między swym krewnym a kołem polskim i wystąpił w kole z zapytaniem: jak sobie hr. Alfred ma postąpić. Koło oświadczyło się za wejściem hr. Alfreda do gabinetu, gdyż konstytycya była już uchwalona i zaakcyonowana, odmowa p. Potockiego zmienić jéj ani cofnąć nie mogła; gabinet się formował, koło więc sądziło, że lepiéj mieć jednego Polaka w radzie korony, któryby kolegów swoich pilnował i kraju bronił od ich zamachów, aniżeli nie obsadzać tak ważnego posterunku. Mówiono wtedy—i zupełnie słusznie—że Polak w ministerstwie, jest nogą w strzemieniu: kto ma nogę w strzemieniu, ten kiedyś może zdoła wskoczyć na siodło. Hr. Alfred Potocki głosował dnia 2 marca za wysłaniem do rady państwa, nie nadał sobie dotąd wybitnego charakteru politycznego, mógł więc bez wszelkiéj dla siebie niekonsekwencyi wejść w skład gabinetu.

Nowe ministerstwo objęło urzędowanie w dniu 30 grudnia 1867 roku. Było to w Austryi pierwsze ministerstwo odpowiedzialne przed reprezentacyą państwa. Prezydentem był ks. Karol Auersperg, który się odznaczył swemi ideałami ściśle centralistycznemi za ministerstwa Balerediego, przeciw któremu ciągle występował. Wobec hr. Beusta, bardzo się Auersperg zasłużył, gdyż głównie swym wpływem przeparł zwycięstwo Niemców, przy wyborach marcowych do rady państwa, w Czechach.

Liberalizm z r. 1848, a raczéj niemiecko-liberalne, profesorsko-adwokackie doktrynerstwo reprezentowali: Dr. Giskra, jako minister spraw wewnętrznych, Dr. Brestel finansów, Dr. Berger, bez teki, mający utrzymywać związki z dziennikarstwem i czuwać nad odpowiednią stylizacyą ustaw, które rada państwa będzie uchwalała, a wreszcie profesor filozofii prawa dr. Hasner, tak zwany *Deutsch-Böhme*, a więc najzaciętszy nieprzyjaciel narodowości czeskiéj.

Ciekawe to było w swym rodzaju ministerstwo. Giskra, polował tylko za synekurami w zarządach banków i kolei żelaznych, a najwybitniejszą cechą jego charakteru była *auri sacra fames*, tak, że jako adwokacki jeszcze koncypient znany był z szacherek pieniężnych; Dr. Berger publicznie nieraz żartował z przyszłości Austryi, nie wierząc w nią, a w testamencie zakazał synom lokować pieniądze w papierach publicznych państwa austryackiego, Dr. Brestel, najuczciwszy jeszcze z tych *Bürgeministrów*, nie wielki geniusz finansowy, pomimo że sekretarz jednego z wiedeńskich zakładów bankowych, był w całém tego słowa znaczeniu Wiedeńczykiem *voll Gemüthlichkeit*, przepędzającym całe życie w kawiarni Dauma. Hasner wreszcie, mówca z katedry, teoretyk, nienawidzący Czechów jak każdy Niemiec, który dłużéj w Pradze mieszka i przenoszący naturalnie tę nienawiść na wszystko co słowiańskie, a więc w znacznéj części i na Polaków. W tém gronie centralistów zasiadł jeden człowiek innych przekonań, innych tradycyj, innych nawet towarzyskich przyzwyczajeń. Hr. Alfred Potocki, któremu delegacya zbyt trudne postawiła zadanie, aby trzymając nogę w strzemieniu okiełznał twardego w pysku centralistycznego rumaka.

Wkrótce po instalowaniu się nowego ministerstwa została zamknięta rada państwa, a natomiast zaczęły poraz pierwszy obradować w Peszcie, delegacye wspólne (od 19 stycznia do 24 marca 1868 r.), których pierwsza sesya nie miała dla Galicyi większego znaczenia.

II.

Przeciwnie, sesya sejmu galicyjskiego z r. 1868 była jedną z najważniejszych, jakie się odbyły w sali gmachu skarbkowskiego we Lwowie. Poprzedziło ją wielkie roznamiętnienie publiczności lwowskiéj przeciw delegacyi polskiéj w Wiedniu, wywołane i podsycane przez świeżo zawiązane towarzystwo demokratyczne lwowskie pod egidą Smolki. Rzecz pożałowania godna, że człowiek, który tak piękną po sobie pozostawił pamięć z roku 1848, widząc obecnie, że kraj inną poszedł drogą aniżeli ta, którą on iść zalecał, to jest drogą usunięcia się od udziału w radzie państwa, postanowił bądź-co-bądź

swych sił popróbować, przeprzéć swoją wolę, a opierając się na niewykształconéj, krzykliwéj lwowskiéj ulicy, sterroryzować sejm i odwrócić go wraz z delegacyą z torów ściśle utylitarnych, na które tenże zeszedł. Pan Smolka sądził, że stojąc na czele tak zwanéj lwowskiéj tromtadracyi (wyraz p. Lama oznaczający krzykliwą, niewykształconą pseudodemokracyą), potrafi zupełny zwrot dać polityce austryackiéj i pomimo ugody węgierskiéj, zainaugurować politykę ściśle federacyjną. Było to co najmniéj nie obliczenie się z siłami, tembardziéj potępienia godne, że p. Smolka, nie mając innych sprzymierzeńców, wywoływał do walki przeciw legalnéj reprezentacyi kraju—tłumy uliczne. Nie mogąc swych kolegów w sejmie przekonać, chciał ich zastraszyć.

W dniu 22 sierpnia 1868 r. otworzył dawny marszałek, ks. Leon Sapieha posiedzenia sejmowe. W imieniu rządu powitał zgromadzonych hr. Gołuchowski, krótką ale treściwą przemową, ograniczającą się na podniesieniu tego, co się zdobyło i ukazującą, jaki materyał dla pracy organicznéj stoi do zużycia.

Zaledwie namiestnik skończył swą przemowę, podnosi się Smolka i po bardzo krótkiem zupełnie niedostatecznem motywowaniu stawia następujący wniosek:

„Sejm cofa uchwałę z drugiego marca względem obesłania rady państwa i wzywa delegatów do złożenia mandatów do rady państwa."

„Sejm wybierze komisyą z 15 złożoną członków do rozpatrzenia się w tym wniosku."

Wniosek ten w najściślejszéj utrzymywany przez p. Smolkę tajemnicy, zastał sejm zupełnie nań nieprzygotowanym i wywołał wielkie wzburzenie. Wielu posłów czuło konieczność, aby sejm w ten lub ów sposób objawił swą opinią o nowéj konstytucyi austryackiéj i o postępowaniu delegacyi podczas obrad w radzie państwa, rzecz to jednak była niezmiernéj wagi, i zanim publicznie, w sejmie z nią było można wystąpić, trzeba się było nad nią ściśle zastanowić. P. Smolka jednak nie chciał dopuścić do téj rozwagi, ale zamiarem jego było, zaskoczyć sejm swoim wnioskiem i taki dać obrót rzeczy, aby dla sejmu nie było innego wyjścia jak zniszczyć całą dotychczasową utylitarną politykę.

Zanim jednak Smolka doszedł w swéj przemowie do ostatecznego wniosku, już Zyblikiewicz przeczuwając, co się święci, prosił o głos i z wielką przytomnością umysłu i parlamentarnym taktem przemówił krótko po Smolce, że zgadza się z wnioskiem wybrania komisyi, ale stawia poprawkę „aby sejm wydał opinią o konstytucyi i o ustawach zasadniczych, i aby w tym celu wybrana była komisya, którahy przedłożyła sprawozdanie i stósowne do uchwały wnioski."

Różnica pomiędzy dwoma powyższemi wnioskami była wielka, pierwszy zrywał wszystkie mosty za sobą, nachodził z nienacka sejm i despotycznie nasuwał mu wolę dyktatora lwowskiéj ulicy, drugi godnie odpowiadał chwili. Że kraj, sejm potrzebował wyrazić swe zdanie o tak ważnym akcie politycznym, jakim była konstytucya, zwłaszcza, że Polacy przeciw niéj głosowali—to nie ulega wątpliwości. Kraj nie mógł przyjąć konstytucyi milczeniem, gdyż tém samém byłby uznał supremacyą rady państwa nad sobą. Wniosek Zyblikiewicza do tego zdążał, czynił zadość potrzebie. Izba odesłała obydwa wnioski do specyalnéj komisyi, które nadały sejmowi zaraz z góry charakter bardzo polityczny i zepchnęły na drugi plan wszelkie inne kwestye.

Galerya sejmowa, na któréj przewodziła klaka towarzystwa demokratycznego i *Dziennika lwowskiego*, organu p. Smolki, przyjęła naturalnie wniosek swego naczelnika burzliwemi oklaskami. Wieczorem wyprawiono marsz z pochodniami bohaterowi dnia, a chcąc tém większy na sejm wywrzéć nacisk, uchwaliło towarzystwo demokratyczne podać *monstre-petycyą* do sejmu, za wnioskiem Smolki. Kto tylko umiał podpisać swoje nazwisko a był pod wpływem ulicy, musiał iść do kantoru redakcyi Dziennika, gdzie była fabryka owych petycyjnych arkuszy. Tromtadracya sama siebie przeszła w namiętnych krzykach, nie wiedząc dobrze, o co chodzi i nie pojmując, do czego właściwie te krzyki zmierzają.

Nie dość na tém, p. Smolka zaczął przez swych popleczników uderzać w słabą stronę ambicyi delegatów, wywierając na każdego z osobna presyą, że nie godzi się zatrzymywać mandatu do rady państwa i tém samém opierać się woli *opinii publicznéj*, która chciała, aby delegaci poskładali mandaty. Złożyło téż rzeczywiście pięciu posłów swe mandaty, p. p. Krzeczunowicz, Wodziccy, Gross i Stanisław hr. Tarnowski, inni mniéj byli drażliwymi na krzyki uliczne i mieli pod tym względem racyą.

Komisya sejmowa, któréj wnioski p. p. Smolki i Zyblikiewicza były przekazane, miała bardzo trudne zadanie do rozwiązania: z jednéj bowiem strony należało otwarcie wypowiedziéć swe zdanie o konstytucyi, które nie mogło dla tejże wypaść przychylnie; z drugiéj zaś nie zerwać z rządem i nie sprowadzić na kraj nowych zawikłań swém nierozważném postępowaniem, tembardziéj, że takie zawikłania musiałyby, wobec kiełkującego dopiéro życia autonomicznego, działać bardzo szkodliwie.

Przedewszystkiém powstawało pytanie: w jakiéj formie ma sejm, na podstawie statutu krajowego, prawo wypowiedziéć zdanie swe o konstytucyi? Rozważyć tutaj trzeba było § 19 statutu krajo-

wego, który orzeka: „że sejm powołany jest do obradowania i czynienia wniosków w przedmiocie obwieszczonych powszechnych ustaw i urządzeń, pod względem ich szczególnego oddziaływania na dobro kraju, tudzież, aby wydawane były takie ustawy i urządzenia, jakich wymagają potrzeby i dobro kraju.“

Wnioski do rady państwa były zatém formą odpowiadającą statutowi, w któréj sejm mógł objawić swe zdanie o konstytucyi, tę formę przyjęła téż komisya jako najstósowniejszą obok adresu, który zresztą mógł się tyczyć tylko monarchy. Uchwaliła zatém adres i wniosek do rady państwa, a ten właśnie był podstawą owéj ważnéj uchwały, którą nazwano rezolucyą.

W Rezolucyi oświadczał sejm z góry: „że stworzony państwowemi ustawami zasadniczemi z dnia 21 grudnia r. 1867 ustrój monarchii, nie dając krajowi tyle ustawodawczéj i administracyjnéj samodzielności, ile mu się należy ze względu na jego historyczno-polityczną przeszłość, odrębną narodowość, stopień cywilizacyi i rozległość, nie odpowiada ani życzeniom, ani warunkom rozwoju narodowego, ani też rzeczywistym potrzebom kraju, a dłuższe trwanie tego stanu, wywołując powszechne niezadowolenie, musi zgubnie oddziaływać na pomyślność kraju i na dobro całego państwa.“

To była część negatywna uchwały, jakąż jednak komisya dawała radę, aby poprawić złe sprawione krajowi konstytucyą, a raczéj, aby stworzyć to, co było potrzebném.

Rad tych, dość kategorycznie postawionych było ośm. Zawierały one to, czego Galicya ma żądać, aby przechylne do rządu zająć stanowisko. Przedewszystkiém miałaby żądać wolności postanowienia, w jaki sposób sejm ma wybierać delegacyą do rady państwa i nie zarządzenia nigdy bezpośrednich wyborów. Delegacya sejmu miała brać udział w czynnościach rady państwa tylko co do spraw wspólnych z innemi częściami monarchii. Dla sejmu windykowano następujący zakres działania prawodawczego:

Urządzanie izb i organów handlowych, ustanawianie zasad nauczania w szkołach ludowych i gimnazyach, tudzież ustawodawstwo o uniwersytetach. Ustawodawstwo w przedmiotach prawa karnego i policyi karnéj, tudzież ustawodawstwo w przedmiotach prawa cywilnego i górniczego. Ustawodawstwo o głównych zarysach organizacyi władz sądowych i administracyjnych. Następnie o przeprowadzeniu zasadniczych ustaw państwa, o powszechnych prawach obywateli, o władzy sędziowskiéj i o władzy rządowéj. Ustawodawstwo o przedmiotach tyczących się obowiązków i stosunków poszczególnych krajów pomiędzy sobą. Na pokrycie wydatków administracyi, sądownictwa, wyznań, oświaty, bezpieczeństwa publiczne-

go i kultury krajowéj w królestwie Galicyi, miała być wydzielona z funduszów państwa, do rozporządzenia sejmu, suma odpowiednia rzeczywistym potrzebom kraju. Dobra krajowe zwane kameralnemi miały być przyłączone do funduszu krajowego, jako własność kraju. Zupy solne nie mogłyby być ani sprzedane, ani zamieniane, ani obciążane bez zezwolenia sejmu. Królestwo Galicyi miałoby w kraju swój własny sąd najwyższy i kasacyjny. Dla spraw administracyi, sprawiedliwości i wyznań, oświaty, bezpieczeństwa publicznego, kultury krajowéj i handlu otrzymałaby Galicya swój odrębny zarząd pod naczelnictwem kanclerza, czyli oddzielnego ministra przed sejmem odpowiedzialnego.

Nieszczęściem całego tego eleboratu było, że go ułożono pod naciskiem wielce szkodliwego wniosku p. Smolki, a powiedziawszy szczerze, pod obuchem towarzystwa demokratycznego, *Dziennika lwowskiego*, *Gazety narodowéj* i stojącéj po za nimi ulicy. Eleborat nie wytrzymywał głębszéj krytyki, musiał téż późniéj niefortunne przejść koleje.

Przedewszystkiém był w wysokim stopniu nie politycznym, bo zawierał w sobie na razie zbyteczne żądania, których ani sejm ani kraj bynajmniéj szczerze nie pragnął, a z drugiéj strony rzeczą było zupełnie pewną, że się tych żądań nie zrealizuje. Ze szkodą zatém kraju było stawiać wnioski, które się nie dały osiągnąć, a obok nich utracić rzeczy prawdziwie pożyteczne, i pobudzić niepotrzebnie Niemców do opozycyi przeciw żądaniom galicyjskim. Chciała np. rezolucya, aby ustawodawstwo o przedmiotach odnoszących się do obowiązków i stosunkó pojedyńczych krajów pomiędzy sobą należało do sejmu galicyjskiego, albo żądała zabezpieczenia, aby nie mogły być nigdy zaprowadzone bezpośrednie wybory do rady państwa, chociaż łatwo przewidzieć się dało, że takich koncesyj państwo nie udzieli. Również windykowanie dla sejmu ustawodawstwa cywilnego i karnego było najzupełuiéj zbytecznem, tłómaczył wprawdzie p. Zyblikiewicz imieniem komisyi, że wszystkie sprawy kultury krajowéj, ksiąg hipotecznych i rozliczne inne tak są ściśle związane z kodeksem cywilnym, że nie można w nich naprzód postąpić nie potrącając o postanowienia kodeksu, ale w takim razie trzeba było żądać prawa zaprowadzenia ksiąg gruntowych odpowiadających potrzebom kraju, trzeba było windykować dla siebie wyjątki wypływające z właściwości Galicyi, ale nie żądać prawa zaprowadzania kodeksów cywilnych i karnych, skoro się widziało, że ani kodeksy powszechne austryackie są tak dalece wadliwe, aby się obok nich miało nowe układać, ani téż sejm galicyjski nie miał tyle i takich sił, jakich potrzeba do dokonania tak wielkich dzieł, jakiemi są usta-

wy cywilne i karne. Zresztą dążeniem jest cywilizowanéj Europy, aby o ile możności zbliżać do siebie postanowienia prawne, które są kosmopolityczne, a nie wytwarzać prowincyonalne ustawodawstwa. Sama nawet forma wniosku komisyi wyliczającego żądania kategorycznie, była nader niezręczną, wykluczała bowiem możność modyfikacyi, kompromisu z radą państwa, a jak się to późniéj okazało, wykluczała nawet możność poprawienia dzieła, które w niejednym punkcie radykalnéj wymagało zmiany. Słusznie téż zaznaczano, że tak daleko idące wnioski powinny przenikać całą ludność, mieć jéj poparcie, gdy tymczasem wniosek komisyi ani był przetrawiony przez opinią publiczną, ani wynikał z potrzeb kraju, ani odpowiadał chwilowym tegoż siłom.

Z wnioskiem do rady państwa łączył się adres do Najj. Pana, który był powtórzeniem tych mniéj więcéj myśli, które sejm galicyjski podniósł już kilkakrotnie, w swych adresach do tronu, a wobec wielkiéj wagi samego wniosku komisyi, tracił na znaczeniu.

Wiadomość o tém, co sejm galicyjski uchwalić zamierza, najgorsze w Wiedniu zrobiła wrażenie i przyszła jak można najbardziéj nie w porę. Cesarstwo mieli właśnie wyjechać do Galicyi, aby dać sposobność zbliżenia się narodowi do tronu i aby swą podróżą pokryć na zawsze ten przedział, jaki przez blisko sto lat istniał pomiędzy koroną a najmłodszą prowincyą Austryi. W kraju wielką wagę przywiązywano do téj podróży i nie małe czyniono przygotowania, aby godnie przyjąć monarchę. Powozy cesarskie były już w Krakowie. Hr. Adam Potocki otworzył dla dostojnych gości podwoje pałacu „pod baranami“ a we Lwowie gmach Namiestnictwa był już urządzony dla cesarstwa.

Proponowana przez komisyą sejmową rezolucya, zachwiała projektem cesarskiéj podróży; obawiano się na wiedeńskim dworze, aby nie wystawić Cesarza na owacye, mające być zadatkiem koncesyj, których państwo przyznać Galicyi nie chciało, obawiano się nareszcie, aby demonstracye nie przybrały takich rozmiarów, któreby mogły pociągnąć za sobą dyplomatyczne zawikłania z państwem sąsiedniem.

Dziennikarstwo galicyjskie, chcąc z siebie późniéj zrzucić częściową winę nie przyjścia do skutku podróży cesarskiéj, starało się dowodzić, że nie uchwały sejmu ale interwencya zagraniczna stanęła na przeszkodzie wykonaniu dzieła, które w każdym razie byłoby dobre dla kraju przyniosło owoce. Tendencyjne to zapatrywanie było zupełnie fałszywém, interwencyi zagranicznéj w sprawie podróży cesarskiéj do Galicyi nie było żadnéj, a Austrya w każdym razie jest państwem dość potężném, aby przyjąć na siebie odpo-

wiedzialność za politykę wewnętrzną wtedy, kiedy ta polityka jest potrzebną dla dobra monarchii. Jeżeli przy zaniechaniu podróży cesarskiéj, obok względów na wewnętrzny ustrój państwa zachodziły względy na państwa ościenne, to tyczyły się tylko tego, że była obawa, by ludność galicyjska nie dała się porwać do takich owacyj, które przekraczając hołd i uczucia winne swemu monarsze, mogłyby bez potrzeby narażać dobre stosunki z państwami ościennemi i to w chwili, kiedy Austrya na zewnątrz zupełnego potrzebowała spokoju.

Wiadomość, że cesarz odstąpi od zamierzonéj podróży, jeżeli sejm poweźmie uchwały w myśl wniosków komisyi nadeszła do Lwowa przed rozpoczęciem ogólnéj rozprawy nad wnioskiem i adresem. Nadeszła ona za późno: cofnięcie rozdanych już pomiędzy członków sejmu wniosków, było rzeczą nader trudną i uchybiającą godności reprezentacyi kraju. Położenie téż sejmu wielce było przykrém: z jednéj strony zaniechanie podróży cesarskiéj, z drugiéj zaparcie się tego, co wczoraj za dobre było uważaném. Drugi marzec miał się powtórzyć.

Stronnictwo krakowskie wpadło jeszcze na myśl, osłabienia stawianemi poprawkami szkodliwéj doniosłości wniosku w ten sposób, aby honor sejmu formalnie był uratowany, a zarazem, aby z dyskusyi wyszła zmienioną uchwała, któraby nie mogła stać na zawadzie podróży cesarskiéj. Stawianiem tych poprawek zajął się hr. Adam Potocki i już na samym wstępie starał się odjąć wnioskowi tę cechę kategoryczną, szorstką, która nie dozwalała modyfikacyi. Szanowny poseł wnosił też, aby zamiast słów: „że Galicyi przyznany będzie samorząd narodowy w zakresie odpowiednim jéj potrzebom i odrębnéj narodowości,“ powiedzieć, że „kraj otrzyma przynajmniéj te warunki samorządu, które już dziś są mu niezbędnie potrzebne, a przedewszystkiém, oprócz przedmiotów, które już obecnie za sprawy krajowe są uważane całkowity samorząd we wszystkich sprawach wychowania publicznego, współudział sejmu w ustawodawstwie o podstawach organizacyi władz sądowych i administracyjnych, sąd najwyższy i kasacyjny w kraju, zarząd krajowy odpowiedzialny przed sejmem w sprawach administracyi wewnętrznéj, oświaty, bezpieczeństwa publicznego i kultury krajowéj, oraz ministra w radzie korony.“

Wniosek ten nie naprawiał wprawdzie tego, co się zepsuło ze względu na podróż cesarską, ale był rozważniejszy, pozwalał nad sobą dyskutować i mógł łatwiéj aniżeli wniosek komisyi do praktycznego doprowadzić rezultatu. Jak dalece położenie sejmu było trudne, jak dalece komisya skrajny mu nadała kierunek, to dość powiedzieć, że wniosek hr. Potockiego stawał się nawet dla *namiest-*

nika hr. Gołuchowskiego nader pożądanym, pomimo, że jeszcze na ówczesne stosunki szedł bardzo daleko. Za wnioskiem hr. Potockiego przemawiał hr. Ludwik Wodzicki, poseł Ludwik Skrzyński przechylał się do tego kierunku, ale niespodziewany, w skutkach bardzo dla kraju niepomyślny zwrót nadała dyskusyi mowa hr. Gołuchowskiego. Charakter całéj debaty był już od początku tak wybitny, tak mało dyplomatyczny ze względu na tych, którzy w nieprzyjaznym dla nas duchu tę debatę rozbierać mieli, że i hr. Gołuchowski dał się porwać podniesionéj temperaturze i powiedział mowę wielce znaczącą, ale w skutkach szkodliwą.

Mowa ta skierowaną była głównie przeciw Smolce, który tak był pewnym swego zwycięztwa, iż wyraził przekonanie, że gdyby sejm nie wysłał do rady państwa, to rząd aniby rozwiązał sejmu ani zarządził bezpośrednich wyborów do rady państwa. Gołuchowski, który jako namiestnik, lepiéj od p. Smolki był poinformowany o intencyach rządu, odpowiedział, że mu wprawdzie zazdrości takiego przekonania, ale go podzielać nie może, a w razie bezpośrednich wyborów obawia się szkodliwéj dla kraju agitacyi, która w tak ważnéj chwili, jak ówczesna, tém cięższe krajowi musiałaby zadać ciosy. Mówca zastrzegł, że nie zgadzał się na wszystko, co rada państwa uchwaliła, ale sądził, iż obecnie o federacyi, o któréj marzy p. Smolka, mowy być nie może. Po bitwie pod Sadową można było do niéj dążyć, dzisiaj jednak, po zapadłéj z Węgrami ugodzie, idee federalistyczne miałyby Węgrów przeciw sobie. Przestrzegał także bardzo rozumnie hr. Gołuchowski, aby nie winić o wszystko złe nieprzyjaciół, centralistów, ale aby także na siebie przyjąć część winy. „Narzekamy, panowie, na centralizm—mówił bardzo trafnie — alboż my sami byliśmy pod tegoż panowaniem? albożCzesi, Styryjczycy nie doznawali tego samego centralistycznego ucisku, a przecież jakiż odmienny jest stan ich społeczeństwa od naszego? *My nie umiemy* się liczyć ani z okolicznościami, ani z siłami, zrywamy się najczęściéj naprzód i w końcu nie doprowadzamy do niczego.“ Wreszcie zwrócił się mówca od wniosku komisyi do rezolucyi, wykazał niestósowność chwili do jéj uchwalenia, w wigilią przyjazdu cesarza i wzywał, aby oględnie i rozumnie opracować wniosek, zanim go się uchwali.

Gołuchowski stawiał się w całéj mowie na wysokości patryoty polskiego, wzywał sejm do rozwagi w imieniu przyszłości i posłannictwa narodu, w ogóle nacechował bardzo jasno swój wybitnie polski polityczny charakter, aby sejm tém łatwiéj przyjął jego sposób zapatrywania się, jako nie pochodzący od namiestnika austryackiego; ale od obywatela cały naród polski mającego na myśli.

Mowa ta, którąby zresztą każdy rozsądny, nieuprzedzony rząd przychylnie był przyjął, gdyż nawoływała do rozwagi, najgorsze w Wiedniu zrobiła wrażenie. Niechętni namiestnikowi centraliści podnieśli ją do wielkiego wypadku, a mianowicie podkreślali ustęp, w którym Gołuchowski stanął na stanowisku patryoty, Polaka, i w imię korzyści polskiego narodu, a nie w imię Galicyi przemawiał do sejmu. Niechęć ta przybrała w Wiedniu takie rozmiary, że Gołuchowski musiał się podać do dymisyi. Był to pierwszy zły skutek nieszczęsnéj agitacyi p. Smolki i towarzystwa demokratycznego, drugim skutkiem było naturalnie powstrzymanie podróży cesarskiéj.

Tymczasem uchwalono w sejmie rezolucyą punkt po punkcie, a komisarz rządowy wnosił swe zastrzeżenia przy każdym ustępie. Wśród debaty nadszedł już do namiestnictwa telegram, z którego można było wnieść, iż podróż cesarska zachwiana. Niektórzy posłowie sądzili, że na razie adres może być główną tego przyczyną, a mianowicie ustęp, w którym zbyt wyraźnie dotknięto sprawy polskiéj, w którym mówiono „że Polacy w Galicyi są organiczną częścią narodu, który spełniał kiedyś i spełniać może znakomite w dziejach posłannictwo, a chociaż byt polityczny utracił, żyje przecież pełném życiem w gronie narodów.“ Chcąc jeszcze w ostatniéj chwili złe naprawić, podjął się p. Ludwik Skrzyński wnieść inny adres, który właściwie w tym samym co poprzedni był napisany duchu, opuszczał tylko powyższy ustęp, i łagodził niektóre zbyt szorstkie i przykre przeciw ministrom i radzie państwa podniesione zarzuty.

Większość nie przyjęła tego zmodyfikowanego adresu, odpowiadając, że naród dyplomatyzować nie powinien; mówiono jeszcze na ten temat dużo, galerye bardzo były zadowolnione, towarzystwo demokratyczne tryumfowało, a wiceprezydent namiestnictwa p. Mosch, odczytał w izbie 30 września telegram, że podróż cesarska została odwołaną. Tego samego dnia pojechał Gołuchowski do Wiednia, aby się podać do dymisyi.

Do roznamiętnienia lwowskiéj ulicy i zwrócenia umysłów przeciw zdrowo patrzącéj części sejmu, przyczyniła się także nie mało pseudo-emigracya z hr. Platerem jako widomym, chociaż nie faktycznym, reprezentantem na czele, wpływając na krewkich, dziennikarzy i na ten liczny zastęp umieszczonéj przy różnych zajęciach we Lwowie i na prowincyi emigracyi, która nie znając jeszcze kraju, niepotrzebnie się z początku mieszała w wewnętrzne sprawy Galicyi.

Mimo uchwalenia rezolucyi sejm wybrał delegacyą do rady państwa *chcąc okazać cesarzowi*, że Polacy nie radzi występować prze-

ciw interesom monarchii, i utrudniać uchwalenie ustawy wojskowéj i budżetu na rok 1869.

III.

Trudnoby znaleść poselstwo podobne do delegacyi, któreby miało tak uciążliwy do przeprowadzenia, a zarazem tak niewdzięczny mandat jak rezolucya sejmu galicyjskiego. Nieprzeprowadzić go znaczyło wywołać przeciw sobie szkodliwą dla interesów kraju agitacyą dziennikarską działającą naturalnie na koła wyborcze, znaczyło pchać społeczeństwo galicyjskie w opozycyą nie mogącą w danych stosunkach doprowadzić do żadnych pozytywnych rezultatów, gdy przeciwnie przeprowadzenie owego nieszczęsnego mandatu, mogłobyło narazić kraj na wielkie klęski finansowe, wypływające z zanadto kosztownéj administracyi i mieć ten skutek, że z czasem własnego dzieła wypieraćby się potrzeba. Pomijając już jednak kwestye zasadnicze tego mandatu, mogące podlegać różnorodnym zapatrywaniom, ta uchwała sejmu galicyjskiego pod względem formalnym była tego rodzaju, że delegacya nie raz nie mało miała trudności aby jéj nadać ściśle logiczne znaczenie.

Stało się téż to, co się z takim mandatem stać musiało: nikt go nie brał na seryo; delegacya podnosiła go od czasu do czasu *ut aliquid fecisse videatur*, stronnictwo centralistyczne raczyło się zaś nim niekiedy zajmować, i to bynajmniéj nie przez wzgląd na samę uchwałę sejmową nie wytrzymującą krytyki parlamentarnéj, ale ze względu na poważne osobistości delegacyi polskiéj, albo ze względu na kraj, który chwilami kokietować chciała.

Po zebraniu się téż rady państwa mógł p. Grocholski dopiéro w trzy miesiące (19 stycznia 1869) wnieść do rządu interpelacyą zapytującą c. k. rząd, kiedy zamierza przedłożyć rezolucyą galicyjską izbie, do ustawodawczego traktowania. Ponieważ zaś ministerstwo nie chciało tego uczynić, i wnieść rezolucyi w formie przedłożenia rządowego, przeto na wniosek p. Ziemiałkowskiego sama izba przekazała uchwałę galicyjską komisyi ustawodawczéj do dalszego postąpienia. Ziemiałkowski wychodził z przypuszczenia, że sejm jest w możności na podstawie § 19, statutu krajowego, przedkładać swe wnioski radzie państwa, podczas gdy izba miała w téj mierze wątpliwości, i zwróciła całą rzecz komisyi do rozpatrzenia się, czy w ogóle o rezolucyi sejmu galicyjskiego w ten sposób wniesionéj rozprawiać można.

Rzecz zatém utonęła znów na kilka miesięcy w komisyi, a w dziennikarstwie galicyjskiem dawały się słyszeć głosy, że sama

delegacya postarała się u prezydenta izby, aby rzecz o rezolucyi galicyjskiéj nie przyszła na porządek dzienny. Delegacya była więc znów zmuszoną jeszcze po dwa razy (7 maja 1869. Grocholski, 13 maja hr. Adam Potocki) wyrzucać prezydyum izby przewlekanie téj sprawy, ale koniec końcem prezydent tłómaczył się koniecznością poprzedniego załatwienia innych ważnych ustaw i rezolucya nie przyszła na porządek dzienny.

Cała ta nieudana kampania miała nie mały wpływ na przebieg najbliższego sejmu galicyjskiego, w jesieni r. 1869, gdyż stronnictwo p. Smolki i całe dziennikarstwo lwowskie, używało niepowodzenia delegacyi w kwestyi rezolucyjnéj, jako tarana, którym uderzało w umiarkowane stronnictwo Ziemiałkowskiego i Gołuchowskiego. Krzyk dzienników i lwowskéj ulicy był tak wielki, niegodne obelgi na większość delegacyjną tak bezustanne, że pożyteczne to stronnictwo znacznie osłabło, albowiem trwożliwsze umysły go odstępowały. P. Smolka ponowił w sejmie swój wniosek o nieobsyłaniu rady państwa: wniosek wprawdzie upadł, ale tym razem już tylko 54 głosami przeciw 57. Wobec tak znacznéj mniejszości prawie połowa delegatów (17) do rady państwa złożyła w ręce sejmu mandaty, a wybrana na nowo małą większością delegacya nie chciała się podjąć trudnego zadania. Dopiéro gdy kierownik namiestnictwa p. Possinger, który po Gołuchowskim objął rządy, zagroził rozpisaniem wyborów bezpośrednich, w razie jeżeli sejm nie wybierze delegacyi, dopiéro wtedy i ci, którzy ulegali presyi skrajnego stronnictwa—poddali się woli większości. Trudny do przeprowadzenia mandat poprzedniéj sesyi rady państwa włożony im jednak został na nowo na barki, gdyż sejm tuż przed zamknięciem sesyi uchwalił powtórnie rezolucyą.

Rząd tymczasem starał się ułatwić zadanie stronnictwu umiarkowanemu, na wiosnę jeszcze zostało wydane rozporządzenie ministeryalne (24 maja) zaprowadzające język polski w urzędach, a już podczas sejmu nadszedł reskrypt ministeryalny o przywróceniu języka polskiego, jako wykładowego w uniwersytecie krakowskim i zaprowadzeniu na wszechnicy lwowskiéj obok katedr niemieckich także katedr polskich i ruskich.

Delegacya pojechała w r. 1870, do rady państwa, a stosując się do woli sejmu stawiała znów wnioski zmierzające do wyciągnięcia rezolucyi galicyjskiéj z zapylonych aktów parlamentu. Rezultatem tych zachodów była osobna komisya mająca obradować nad uchwałą sejmu galicyjskiego.

Tymczasem chwilowy zwrot jaki nastąpił w wewnętrznéj polityce Austryi, upadek ściśle centralistycznego gabinetu Hasnera (11

kwietn. r. 1870) a przyjście do steru gabinetu hr. Potockiego (12 kwietn. 1870) dopomógł nie powiem rezolucyi, ale w ogóle dążeniom ludności galicyjskiéj. Gołuchowski został na nowo mianowany namiestnikiem Galicyi (20 lipca 1870), a ponieważ zwyczajem jego było nie przyjeżdżać z Wiednia do kraju z próżnemi rękoma, więc i obecnie wchodził do biura namiestniczego z reskryptem ministeryalnym, znoszącym katedry niemieckie na uniwersytecie lwowskim. Stronnictwo umiarkowane w Galicyi uzyskało znów wielką podporę i na nowo odżywić się mogło.

Nowy gabinet ogłosił (15 kwietnia 1870 *Wiener Abendpost*) umiarkowany program, 21 maja rozwiązał radę państwa i 16 sejmów (wszystkie z wyjątkiem czeskiego), aby do całéj konstytucyjnéj machiny austryackiéj więcéj umiarkowane wprowadzić żywioły.

Ministerstwo hr. Potockiego nadało sprawie rezolucyi nowy kierunek. Prezydent gabinetu powołał do Wiednia ankietę złożoną z kilkunastu znakomitych obywateli, aby się z nimi porozumiéć, co rząd może zrobić dla Galicyi i w razie przyjścia do skutku tego porozumienia, zobowiązać ich, aby w myśl powziętych postanowień działali na opinią w Galicyi. Przybyli wtedy do Wiednia: ks. Leon Sapieha, ks. Jerzy Czartoryski, Zyblikiewicz, Krzeczunowicz, Ławrowski, Henryk i Ludwik hr. Wodziccy, Adam hr. Potocki, Ziemiałkowski, Gołuchowski i Smolka. Skład więc ankiety nic nie pozostawiał do życzenia.

Wiele punktów rezolucyi nie stanowiło żadnéj w porozumieniu trudności, Galicya mogła była zyskać wtedy nie mało. Hr. Alfred Potocki oświadczył delegatom, że rząd zgodziłby się na rozszerzenie kompetencyi sejmu, na wydzielenie budżetu krajowego (ale tylko co do podatków bezpośrednich) z budżetu państwa, ustanowienie odpowiedzialnego ministra dla Galicyi, rozszerzenie władzy namiestnika na niekorzyść ministerstwa, ale większość ankiety postanowiła nieodstępować od jednego z głównych punktów rezolucyi, a mianowicie od rządu krajowego odpowiedzialnego przed sejmem. Na to się rada ministrów nie zgodziła, minister br. Petrino, sąsiad Galicyi z Bukowiny najwymowniéj sprzeciwiał się temu żądaniu, sądząc że ustanowienie rządu odpowiedzialnego przed sejmem lwowskim nie da się pogodzić z ustawą o odpowiedzialności ministrów. Rząd galicyjski byłby rządem z rządzie, na który ministerstwo wiedeńskie nie miałoby żadnego wpływu.

Kilkoletnie roznamiętnianie opinii publicznéj w Galicyi i stawianie jéj *rezolucyi* za artykuł wiary, utrudniło nie mało położenie mężów zaufania w Wiedniu zebranych; kilku z nich mimo woli sta-

ło pod wpływem kraju, ulegając mu upierało się przy rezolucyi, podczas gdy zdrowa polityka nakazywała brać co było można, a późniéj targować się o więcéj.

Gabinet hr. Potockiego zanadto mało wybitną nosił cechę, zanadto chciał wszystkich zadowolnić, aby mógł długo istnieć z powodzeniem. Niespełna téż po roku (z początkiem lutego r. 1871) ustąpił hr. Potocki wraz z hr. Taafem, aby zrobić miejsce gabinetowi wybitnie autonomistycznemu, powiedzielibyśmy nawet federalistycznemu hr. Hohenwarta.

Rzecz naturalna że ministerstwo takiéj barwy zajęło się na seryo życzeniami Galicyi. Ponieważ jednak, jakeśmy to powiedzieli, rezolucya nie wytrzymała krytyki parlamentarnéj, a wniesienie jéj do izby byłoby tylko sprawę popsuło, przeto rząd wypracował osobny wniosek o zasadniczych postanowieniach tyczących się Galicyi, które jéj nadawały zupełnie wystarczającą autonomią z ministrem w radzie korony. Równocześnie z tym wnioskiem weszło do rady państwa przedłożenie rządowe o rozszerzeniu autonomii sejmów. Przedłożenie to nieprzychylnego doznało przyjęcia, a po przemówieniu sprawozdawcy, centralisty Dra Herbsta przeszła nad niem izba do porządku dziennego. W ten sposób przedłożenie hohenwartowskie o Galicyi nie miało najmniejszéj nadziei powodzenia i zagrzęzło téż w aktach rady państwa.

W obec takiéj reprezentacyi monarchii, która odrzucała wnioski rządowe, i w któréj rej wodzili centraliści, nie mogło się długo utrzymać ministerstwo z tak wybitnym jak Hohenwart autonomistą, po krótkim téż bezowocnym żywocie ustąpiło 26 października 1871.

Znów rezolucya stała się powodem wycieczek dziennikarstwa galicyjskiego przeciw delegacyi, znów utrudniała jéj stanowisko w Wiedniu. Obecnie jednak, już i bałamucona przez gazety opinia w kraju przychodziła powoli do przekonania, że rezolucya nie jest artykułem wiary patryotyzmu, i że tu i owdzie cośkolwiek w niéj zmienić można, bez sprzeniewierzenia się krajowi. Chociaż zupełnie nie w porę, bez jakiejkolwiek nadziei powodzenia, musiała delegacya ponawiać swe wnioski tyczące się rezolucyi (29 grudnia r. 1871). Tym razem można już było wszakże nie mówić o *saméj* rezolucyi, ale o zmianie ustaw zasadniczych państwa *w myśl* rezolucyi galicyjskiéj. Wiara w nieomylność *credo* sejmowego upadała.

Rada państwa wybrała wprawdzie *wydział rezolucyjny*, który się miał zająć rozpatrzeniem żądań galicyjskich, ale wydział ten odrzucił 9 przeciw 6 głosami żądania galicyjskie jako obecnie nie-

dopuszczalne, a natomiast rada państwa chcąc się zabezpieczyć przed brakiem kompletu, w razie gdyby sejmy swych delegatów wysyłać nie chciały, uchwaliła ustawę o wyborach bezpośrednich (o wyborach z konieczności), która dostateczną dla niéj w téj mierze stała się gwarancyą.

Przewidywana przez radę państwa, a nawet pożądana przez większość centralistyczną, ewentualność nadeszła. Polacy w połączeniu z federalistami: Słoweńcami z Krainy, Gorycyi, Istryi i z kilkoma Rumunami nie chcieli brać udziału w dalszych obradach rady państwa i na dniu 31 marca r. 1872 złożyli mandaty. Wystąpiło ogółem 42 deputowanych, tak, że zgromadzenie prawodawcze nominalnie liczyło już tylko 2o3, faktycznie zaś daleko mniéj członków. Na to tylko czekało nowe ministerstwo, aby zastosować zaraz uchwaloną ustawę o wyborach z konieczności i polecić prowincyonalnym rządom wybrać takich delegatów, którzyby byli powolniejsi rządowi od poprzednich.

Walka o rezolucyą skończyła się zatém najzupełniejszą przegraną dla Galicyi, kraj nie korzystał bowiem z nadarzającéj mu się kilkakrotnie sposobności otrzymania bardzo obszernéj autonomii, stojąc upornie przy słabo obmyślanéj uchwale sejmowéj i zamiast przeprowadzenia swych życzeń i żądań doczekał się wyborów bezpośrednich do rady państwa i gabinetu ks. Auersperga, który był przygotowany nie wypuszczać tak prędko rządów ze swych rąk centralistycznych. Galicya zażądając w danych stosunkach za wiele i żądając nie w porę, była w roku 1872 na łasce centralistów, zamieniła obiecujące stanowisko polityczne na daleko gorsze.

Ignotus.

SZKICE Z ANGLII.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Ciąg dalszy*).

Poważna mistres, któréj siwiejące loki, zachowane w jednéj formie mody przynajmniéj od lat dwudziestu, niedbale spływały po aksamitnéj mantyli, podniosła materyalną suknię, jak gdyby zamierzała brnąć po błocie i w téj pozycyi przeszła przez furtkę naszego ogródka od ulicy. Mistres bacznie obserwuje gazon, widocznie szukając śladów, wyjmuje lornetkę, opiera ją o wyciągnięty czerwonawy nosek, aby siwe oczy mogły dokładniéj obserwować. Mistres zapuszcza wzrok do jadalnego pokoju.

Racheli nie było w domu, a miss okazywała niepowściągliwą ciekawość. Schodzę na dół, otwieram drzwi.

Mistres ciągle w trakcie poszukiwania; nie odrywając oczu, przemawia:

— Tajna denuncyacya o dwóch...

— O dwóch?—zapytałem, robiąc duże oczy.

— Tak, o dwóch; jeden czarny a drugi siwy — odpowiada mistres, nie przerywając sobie zajęcia. — Same zostawione, bez opieki, narażone na głód i zimno.

— Narażone na głód i zimno?

— Mój panie, nie umieją pracować, jak to może pan potrafisz, i dlatego zasługują na naszą opiekę. Trzeba mieć serce, to się rozumie; ludzie bez serca nawet nie myślą o tém.

— Miej serce i patrz w serce—rzekłem z namaszczeniem.

— Ej mój panie, nie udawaj niewiniątka, bo możeś ich zjadł.

— Zjadłem czarnego i siwego?

— Zjadłeś, poznaję to po twoim akcencie, bo gdzieżby się podziały? Mi-mi-mi! — zaczęła mistres piskliwym głosem wołać. —

Zresztą, jeżeli masz czyste sumienie, pozwól mi ich w domu poszukać, może są na dachu.

— Proszę panią, gospodyni nie ma w domu, mimo to, będzie mi przyjemnie wyręczyć ją.

— Bardzo dobrze, pójdziemy naprzód na dach; słońce świeci, może tam spędzają smutne dni swoje. Mi-mi-mi!—zaczęła powtórnie mistres nawoływać na schodach.

Zrekognoskowaliśmy dach—nikogo!

Mistres zmęczona wstępuje do salonu, siada na fotelu, ciężko oddycha i wachluje się chustką od nosa.

— Czyś sir czasem nie polował na tygrysy?

— Nie, pani, dotąd jeszcze nie.

— I nie rób tego nigdy; wiedz, że to także nie podoba się Bogu.

— Wątpię, aby pan Bóg zajmował się podobnie subtelnemi szczegółami życia ludzkiego.

— Nie wierzysz? czytaj; oto jest list biednego kotka *(Poor Puss!)*.

— Do pana Boga?

— Ależ nie, do redaktora dziennika pod tytułem: „Świat zwierzęcy“ (*The Animal World*), a to drugi list do redaktora Times'a, a nareszcie wielka odezwa pod tytułem: *Cruelty to cats* (okrucieństwo względem kotów).

Mistres wyjmuje z torby paczki papieru zadrukowanego. Z jednéj wyciąga *Poor Pussa* do redaktorów, a z drugiéj wielkiemi literami oddrukowaną odezwę, wszystko razem wkłada do koperty z odbitym tytułem: „Poor Puss,“ i oddaje mi.

— Czy chcesz sir podobać się Bogu?

— Pragnę!

— Trzymaj się rad biednego kotka i nie bądź nigdy okrutnym.

— Czy czasem figlarna i przyjemna kotka nie jest autorką tych listów—zwróciłem uwagę, przeglądając druki.

— Nie, panie, nie — odpowiada dama, spuszczając oczy — to pan Syrkle, nasz sekretarz.

— Z towarzystwa ochrony zwierząt?

— Nie, nie, specyalnie z ochrony biednych kotków; ani psy, ani konie nie są naszą rzeczą. Nasza opieka nad temi jedynemi pocieszycielkami strapionych i samotnych.

— Pani także jesteś samotną?

Mistres wzdycha raz bardzo cicho, po przestanku wzdycha drugi raz głośniéj, rumieni się lekko i ledwie dosłyszanym głosem szepcze:

— Od lat dwunastu, sir.

— Od tak niedawna?

— A od sześciu lat jestem stałym i czynnym członkiem naszego society.

— Szanowne i zasłużone society.

— Siedmiu pastorów, dwóch wikarych, trzech emerytów z City, dziś właścicieli domów, jedenaście ladies, oto skład komitetu.

— Wielu society liczy członków?

— Przeszło ośmset! z kapitałem trzy tysiące sześćset funtów. I niezadługo będziemy mieli własny dom.

— Na posiedzenia?

— A to po co? Jeżeli mówię nasz dom, to znaczy dom przytułku.

— Dla biednych?

— Tak dla biednych pussów.

— Pół miliona ludzi w Londynie żyje w nędzy, niedostatku — zacząłem...

— Bo są pijacy, a kobiéty ich bezwstydne! — przerwała gwałtownie mistres.

— Bieda zwykle upadla...

— Niech nie piją, niech pracują i proszą Boga, to będą mieli— mówi rozgorączkowana lady. A zresztą mają workhauzy. Czy wiesz sir, wiele ja płacę z mojego domu na samych biednych? cztery funty na rok! Pussy nie umieją ani pracować, ani prosić, nie mają domu, ale będą go mieć. Pussy umierają z głodu!

— A wieleż ludzi umiera rocznie z głodu w Londynie!... czy nie lepiéj...

— A niech umierają pijaki, łotry, bezbożniki, niech się ziemia oczyszcza, a żer dla łaknącego piekła powiększa, jak słusznie i pięknie mówi pastor Plymle!

— Szlachetne zasady szanownego pastora Plymle!

— Jest-to najczynniejszy nasz członek. Niesłychanie energiczny. Może nie uwierzysz sir, ale to prawda, że pastor Plymle w tym roku własną ręką utopił 130 kotów w swoich własnych workach.

— Stotrzydzieści!

— Gdy ja zaledwie tylko dwadzieścia dwa, a nie jestem mniéj energiczną. Pastor Plymle ma szczególny dar postrzegawczy i na poszukiwania nie żałuje czasu.

— Teraz szanowna lady, nic nie rozumiem.

— Dlatego, że nie przeczytałeś całéj odezwy. Zaraz ci to wytłómaczę: Lepiéj, stokroć lepiéj kota otruć lub utopić, jak pozwolić mu pasować się ze śmiercią głodową.

— Bezwątpienia.

— W tym celu mamy stosownie przyrządzone worki. Pastor Plymle ma worki swego wynalazku, a mój system przyjęło society. Zaraz ci wytłómaczę różnicę.

Mistres szuka w swéj torbie i wyjmuje dwa perkalowe woreczki.

— Oto jest mój system — mówi daléj, rozkładając woreczek. Tu miejsce na łapki. Bierze się Pussa i wsuwa się go delikatnie, podwijając mu łapki tak i tak, woreczek się ściąga i zawiązuje przy szyjce, zabieram go z sobą do omnibusu i biedny puss myśli, że jedzie na bal. Przyjeżdżam nad Tamizę, koło ogonka jest miejsce i sznurki na przywiązanie kamienia; wyszukuję nad brzegiem ciężki, mocno go przymocowuję i idę sobie spokojnie. Na środku mostu, gdy mój puss niczego się nie domyśla, dostaje ostatni pocałunek i wlatuje, patrząc na świat, do wody.

— Wszystko roztropnie i z uczuciem obmyślane.

— Gdy tymczasem woreczki pastora Plymle są to prawie zwyczajne worki, w które puss i kamień wrzucają się razem. Puss zawiązany z głową w worku, ani oddychać swobodnie, ani patrzéć na świat nie może.

— I dlaczego pastor Plymle nie chce przyjąć metody pani?

— Uparty, choć go to dużo kosztuje. Chodzi on piechotą nad brzeg Tamizy i z brzegu rzuca, a kota w worku niesie w rękach.

Mistres zbliża się i szepce mi do ucha:

— Zresztą on tak jest rozpasyonowany do téj czynności, że posądzam go, nie mów nikomu, iż wiele kotów dobrze żywionych potopił.

— Czy to zajęcie jest w saméj rzeczy tak przyjemne?

— Spróbuj sir utopić dwóch, a przekonasz się, co to za zadowolnienie, że potém będziesz chciał tylko topić i topić.

Oczy mistres zabłyszczały ogniem.

— I dlatego lady przyszłaś tu po dwóch pussów z dwoma gotowymi woreczkami.

— Ten hultaj chłopiec zadenuncyował mi fałszywie, wyłudzając ode mnie ośm pennów. Zaledwo na pięć jego denuncyacyj jedna jest prawdziwą. Co mię to kosztuje!—dodała z westchnieniem.

— Pozwalasz się pani wyzyskiwać?

— A czy to miło sir, gdy na tygodniowém posiedzeniu wchodzi pastor Plymle i mówi skromnie spuszczając oczy: w tym tygodniu utopiłem tylko sześć kotów; a miss Rapp, podnosząc oczy w górę, dodaje: a ja tylko cztery. A potém następuje nędzne wyliczanie: jeden, jeden, jeden lub ani jednego. Powiedz, czyby ci się wtedy serce nie krajało?

— Z boleści, wstydu i upokorzenia!—zawołałem.

— Gorąco!—rzekła po chwili milczenia lady, ocierając czoło chustką.

To znaczy, że mistres, rozgorączkowana samą myślą współzawodnictwa, pragnie się ochłodzić. Biegnę więc do swego pokoju i na wszelki wypadek przynoszę butelkę mocnego wina hiszpańskiego, stawiam kieliszki i nalewam. Mistres zdejmuje kapelusz.

— Sir jesteś kawalerem?

— Niestety!

— Dobrześ powiedział — mówi mistres spuszczając oczy. Nie lubię kawalerów, bo nie wierzę w ich skromność.

— Ja zaś wierzę w skromność wdów.

— Bardzo naturalnie. My wdowy znamy się na wszelkiego rodzaju sidłach troszkę lepiéj, aniżeli młode, niedoświadczone gąski.

Pierwsze kieliszki skończone; nalewam drugie.

— Jeżeli mówisz sir niestety, to oznacza, że chciałbyś zmienić twój stan?

— O tem tylko marzę.

— Czy nie jesteś sir w stosunkach w téj materyi z redaktorem dziennika *Matrimonial News?* (Nowiny małżeńskie).

— Dotąd w żadnych.

— I niech cię Bóg broni. Nie chowa on tajemnicy, nie zna dokładnie stosunków, jest fałszywy, podstępny, bierze kubany...

— Jakim sposobem?

— Gdy mu dobrze zapłacisz, wtedy cię tylko objaśnia, stara się i szuka, a inaczéj szkodzi ci. Zresztą, jego małżeństwa są wszystkie bez wyjątku najnieszczęśliwsze. Bóg nie sprzyja łotrom i wyzyskiwaczom i karze ich wspólników.

— Dziękuję pani za przestrogę.

— Obmyśliłeś sir, jakim sposobem postanowiłeś ożenić się?

— Bardzo prostym: gdy znajdę miss albo wdowę, która mi się podoba, będę się o nią starał.

— Najgorszy sposób, najopłakańszy, najfatalniejszy!

— Przestraszasz mię pani.

— Wolę cię przestraszyć, aby cię tylko nawrócić na dobrą drogę.

— A tą jest?

— Oddać się w ręce osoby, która zna swoję rzecz, a tym sposobem uchronić cię od skandalów, zawodów, procesów, od utraty dobrego imienia, opublikowania w gazetach, straty kapitału i od więzienia.

Mistres kończy swój kieliszek.

— Czy być może?

— Dziwisz się, jak gdybyś nie mieszkał w Anglii, a przedewszystkiém w Londynie.

— Czyż tu niewolno się kochać?

— Wolno, ale niewolno szukać, niewolno poznawać i starać się—bezkarnie.

— Jestem innego zdania.

— Ha, jeżeli tak, sprobój, a przekonasz się, poznasz i ocenisz sam, siedząc za kratą.

— Ależ moja pani...

— Ależ mój panie, jesteś dziecko, bez zastanowienia.

Mistres kończy trzeci kieliszek i stawia go na stole z mocą.

— Tak—ciągnie daléj—jesteś dziecko, powtarzam, niebrzydkie dziecko—dodaje głaszcząc mię ręką po twarzy. Słuchaj, powiem ci otwarcie. Przypuszczam, że podoba ci się pewna miss, poznajesz się z nią, wchodzisz do domu, zaczynasz bywać i przy sposobności mówisz parę słów tkliwych; rzecz skończona... siedzisz w więzieniu, albo płacisz.

— A to za co?

— Za co? za nic, tak sobie, bo się tak podobało Bogu, prawu angielskiemu, miss, jéj matce, albo ciotce.

— Ja zaś sądziłem, że cała sprawa mogłaby się skończyć u stopni ołtarza.

— A gdy się przekonasz, że cię oszukiwano, że panna miała i ma wielbicieli, że nie ma posagu, chociaż o nim mówiono, że ma fałszywe zęby lub włosy?

— Wtedy mam prawo odejść.

— Już jesteś złapany, tego czekałam, bo miss lub jéj opiekunowie pozywają cię o czas stracony, o zawód, o zwichnięcie losu pannie, o złamanie karyery... pozwą cię niezwłocznie i proces wygrają.

— Jakież dowody?

— Niepotrzeba dowodów — rzecze mistres, kończąc czwarty kieliszek.—A zresztą, panna powie ci: mój panie, przynieś mi pierścionek na pamiątkę. Przynosisz, boś dżentlemen i właśnie idziesz za ten pierścionek do więzienia.

— Jakaż na to rada?

— Mnie słuchać i basta?

Mistres wypija duszkiem piąty kieliszek, wyjmuje z torby okulary, kładzie je z pośpiechem na nos, dobywa pugilares, przerzuca kartki, przysuwa się do mnie i czyta:

— Trzysta— u mnie najmniejsza cyfra—trzysta funtów, młode dziecko, blondynka; kłamstwo, aby była zyzowatą, ja to mówię, że

kłamstwo, przekonasz się, cicha i nieśmiała. Trzysta pięćdziesiąt, szatynka, dobrze zbudowana. Czterysta dwadzieścia, blondynka wysoka. Pięćset sześćdziesiąt, mała bruneteczka, gra, śpiewa, ładnie się ubiera, włosy długie.

Mistres po każdym ustępie spogląda na mnie, śledząc, jakie wrażenie zrobiła wygłoszona cyfra.

— Ośmset, słyszysz sir, ośmset funtów, biała jak mleko, a zęby, może troszeczkę za duże, ale jak porcelana; spokojna, dużo czyta i lubi teatr. Szatynka, niebieskie oczy, 18 lat, wysoka, kibić piękna, białe okrągłe ramiona... i... i 800 funtów renty!

— Aaa! — krzyknąłem przeraźliwie z bólu, podskoczywszy na stołku.

— Czyż ja cię aż szczypać muszę, aby wywołać twoje zdziwienie? Gdzieżeś był, gdym czytała. Czegóż więcéj sir chcesz? mów przecież, no odpowiadaj raz.

— Chciałbym widzieć, poznać i pokochać.

— Poznasz i pokochasz, jeżeli tak chcesz i jeżeli przystaniesz na moję propozycyą.

— Na jaką?

— Tamten z *Matrimonial News* bierze 15 do 20 procentów z góry przy podpisaniu kontraktu, a ja 5 do 8, a przy wybornym interesie 10.

— Któryż jest najwyborniejszy?

— Ostatni, za ostatni muszę wziąć 10 procentów, inaczéj nie wyszłabym na swojem. Chcesz ją zobaczyć? pozwolę ci, bo się nie boję, abyś bezemnie skończył. Możesz ją widzieć w teatrze, powiem ci numer krzesła, a wtedy zobaczysz i ramiona utoczone, okrągłe, białe, alabaster! Wiem ja, wiem, co wy lubicie; i ja byłam młoda i miałam białe i śliczne ramiona. Zobaczysz ją, ja się nie boję! I nie dziękujesz mi?

— Z całego serca.

— A Bogu dziękuj za fałszywą denuncyacyą tego urwisa. Daj mi swoję kartę; wezmę cię, gdy czas będzie do teatru. Miss nic nie będzie wiedziała, powiem jéj tylko: bądź piękną.

Dobrotliwa lady kończy ostatni kieliszek, butelka pusta, wdziewa kapelusz i chowa do torebki papiery.

— Dziękuj Bogu—mówi mi jeszcze na odchodném—żeś poznał Katarzynę Mac-Gill, bo ona daje ci szczęście.

Mistres Katarzyna Mac-Gill z rozczerwienionym noskiem i świecącemi oczkami wychodzi. Zaledwie jednakże uszła kilka kroków, wraca i stuka gwałtownie do drzwi.

— A pamiętaj sir, gdyby się znalazł jaki biedny puss do utopienia, daj mi natychmiast znać.

— W każdym razie dowiesz się pani wcześniéj od pastora Plymle—odpowiadam z okna.

— Nie trać czasu sir, pastor jest przebiegły i chciwy.

— Zapewniam panią, będziemy czuwać.

— Ufam sir i dlatego za tydzień będziesz w teatrze. Nie żałuj jaśminu, niech od ciebie bucha jaśmin, miss przepada za jaśminem; pierwsze wrażenie decyduje, przyjemny zapach odgrywa swoję rolę; Angielki lubią perfumy, wierzaj mi. A pamiętaj o kotach...

III.

— Mister Sewer trzy listy! niechaj one będą dla ciebie oliwną gałązką gołębicy!

Tak wołała na mnie Rachela, trzymając w swych pulchnych łapkach trzy ostęplowane koperty. Rozdzieram je ze spokojem wielkiego pana, a czytam po kolei z powagą ministra.

Dear Sir (drogi panie).

Po otrzymaniu tego pisma, nie zapomnij wysłać na moje imię trzydziestu szylingów poste-order, abym je mogła dziś o godzinie dwunastéj odebrać, a wtedy odwrotną pocztą odbierzesz numer krzesła w teatrze, które dla ciebie umyślnie zamówiłam.

R a c h u n e k.

Droga tam i napowrót.	5	szylingów.
Za stracony czas z matką i miss	10	„
Za specyalną rozmowę z miss, w któréj mówiłam o zamążpójściu i zapachu jaśminu, tylko.	5	„
Przekupienie służącej miss, aby mi dała znać, jaki zamówi numer krzeseł do teatru dla swych pań	5	„
Za napisanie listu do kasy teatralnéj w imieniu pańskiém	5	„

Razem: 1 funt 10 szylingów.

Listu który piszę, nie wciągnęłam do rachunku. Widzisz, *dear sir* jak nie jestem wymagającą; zresztą przejrzyj rachunki tego obrzydłego z *Matrimonial News*, a przekonasz się dostatecznie i naocznie.

Podług umowy nic nie mówiłam do małéj, oprócz jednéj uwagi w tych słowach: „Siedź zawsze w teatrze po prawéj stronie matki!“ Czujesz sir tę przezorność. Skończyłam.

Yours-truly
Mac-Gill.

P. S. Pamiętaj Sir o jaśminie i o kotach. O *pussach* zapomniałeś zupełnie, a pewno dużo ich na świecie głodnych, za to będziesz świadczył w sądzie, że ja tylko żyję poświęceniem dla tych nieszczęśliwych. Tak będziesz świadczył i przysięgał, jesteś na liście, przygotuj się—na liście trzecim świadkiem.

Nie zapomniałam o Tobie sir, a ponieważ jesteś dżentlemanem, dwa funty cię nie miną tem bardziéj, że sprawę wygram. Nawet ona już jest wygraną, a chciwość dorożkarza musi być ukaraną.

Wyobraź sobie sir, dają mi znać o jednym biednym, zostawionym od trzech dni w pustym domu. Czyż potrzebuję dodać, jak się musiał męczyć, jak moje biedne serce na tę wiadomość ścisnęło się, jak się spieszyłam, aby się nie dać wyprzedzić. Pastor Plumle ma szczególnego rodzaju węch. Wsiadam do jednokónki, każę się wieść do pustego domu na Westminster, przyjeżdżam i płacę dwa szylingi, a nienasycony dorożkarz śmie jeszcze żądać sześć pensów. Ho-ho! co nie, to nie, obdzierać się nie dam, tém więcéj, gdy ma czelność dowodzić, że wiózł mnie trzy mile angielskie. Kłamiesz — odpowiadam—on do policyanta — nie płacę — policyant bierze mój adres— brawo! Za trzy dni proces. Kiedy proces, to proces! Wzywają mnie przed kratki. Dorożkarz, świadkowie i biegli mówią, że trzy mile, a ja że nie i skazują mnie na dopłacenie sześciu pennów woźnicy i trzech funtów kosztów. Płacę i wychodzę, jadąc prosto na Westminster do domu, do którego zawiózł mnie skarżący. Od tego punktu idę piechotą ulicami któremi jechałam, rachując kroki aż do samego mieszkania. Nie ma trzech mil wołam na pana Trutle, pan Trutle uśmiechnął się, stawiam w zakład pięć szylingów, idziemy razem, rachujemy, wygrywam. Nie ma trzech mil, wracam prosto do sądu i wzywam, aby urzędowemi narzędziami na mój koszt odmierzono drogę. W parę dni odmierzają i brakuje do trzech mil pięćdziesiąt yardów (łokci). Żądam zadosyć uczynienia i powtórnego procesu, w którym chce okazać moje poświęcenie dla biednych kotów, a żądać zwrotu sześciu pennów i zagrabionych mi trzech funtów. Sędzia pieniądze oddał, mimo to wymagam: 1-o wynagrodzenia za stracony czas; 2-o wynagrodzenia za potwarz, kłamstwo i obelgę; 3 o wynagrodzenia za ubliżającą mi rozmowę z policyantem na ulicy; 4-o wynagrodzenia za stawanie w sądzie (co nie jest miłe); 5-o wynagrodzenia za zmartwienie i niesprawiedliwe upokorzenie;

6-o wynagrodzenia za trzymanie trzech funtów, które mogłabym użyć i miałam użyć na *business* spodziewając się z niego zysku sto funtów... Nie koniec na tém, mój przyjaciel Trutle, obiecał mi wynaleść jeszcze trzy powody do wynagrodzenia, a zna on prawo, jak własną kieszeń.

Przygotuj się więc Sir na świadka, a masz zarobione dwa funty; przysyłaj 3o szylingów, staraj się być grzecznym, ofiaruj swoję lunetę, uśmiechaj się... Zresztą wy mężczyzni lepiéj wiecie, jak nas słabe istoty uwodzić, chociaż pan Trutle innego jest zdania.

Pamiętaj o jaśminie i kotach, po teatrze będę.

Gill.

Drugi list brzmiał jak następuje:

Dear Sir.

Jutro jest dniem moich urodzin i pełnoletności. Chwila tak ważna w mém życiu, powinna być obchodzoną, jak utrzymuje mister Woodward, uroczyście, to ma znaczyć, że oprócz mego opiekuna, oczekujemy Ciebie Sir a mam przyrzeczenie od Lili i Lidyi.

Na uświetnienie uroczystości, odebrałam rozkaz wystąpić w białéj sukience.

Czyż Sir zostawisz nas same? Lili sympatyzuje z cudzoziemcami, a Lidya *beauteful.*

Yours truly—Dora Clifford.

Autorem trzeciego listu, był mój przyjaciel dżentleman.

Dear Sir!

O godzinie siódméj jestem u ciebie, jedziemy do teatru, chcę abyś płakał ze śmiechu w teatrze angielskim — i będziesz płakał. Chwała Anglii, wielkość Anglii—Szach perski i nasze klowny—co? Za dwa dni przysięga nowego lorda-majora. Pospolity to okularnik, znam go oddawna jeszcze wtedy, kiedy był biedakiem, kupiłem jednak okno na Fleet-street, za pięć funtów, aby wiedział, że mnie stać na to. Masz miejsce w mojém oknie i z niego chwałę Anglii zobaczysz. *Yours truly*

Gentleman.

Ledwiem ten list przeczytał, gdy wpada zadyszany autor listu wołając:

— Bałem się, abyś mi sir nie uciekł i dlatego umyślnie przyjechałem, tém bardziéj, że tylko dwa przedstawienia Szacha z klownami. Szach z klownami, co to za idea... Powiedz mi, czy słyszałeś o czemś podobném na kontynencie?

— Niemcy, kochany sir, szczególniéj w ostatnich czasach, odkąd zapanowała u nich *poza*, miewają także estetyczne koncepta.

— Daj mi pokój z Niemcami! oni okradają Francuzów, albo nas; parodyując, zlepiając w całość wady jednych i drugich, a z tego wszystkiego wychodzi niemieckie błazeństwo.

Chcąc przerwać dyskusyą.

— Kochany panie patrz—rzekłem z uśmiechem podając mu list pani Mac-Gill.

Dżentleman po uważném odczytaniu rzekł z powagą:

— I masz Sir odwagę wchodzić z tą topicielką kotów w stosunki?!

— Dlaczegóżby nie?

— Mając instytucyą utrwalonéj reputacyi, szukać pokątnych stosunków bez żadnego referensu.

— O jakiéj mówisz Sir instytucyi?

— O instytucyi znanéj i poważanéj, prawdziwie *respectable*, „Matrimonial News.“

— Wierzysz w nią?

— Najzupełniéj, bo mam na to dowody. Dwóch moich kolegów z businessu, nie mając czasu zajmować się osobistemi sprawami, pożeniło się, przez pośrednictwo redaktora Matrimonial News; są zadowolnieni i żyją szczęśliwie. Business businessem; w Matrimonial masz prawo zobaczyć, wybrać, rozmówić się, ułożyć i ożenić.

— Dlaczego sir nie korzystałeś z tego ułatwienia?

— Ej! bo widzisz—mówił komiczno-melancholijnie—czerwona krawatka i niebieska sukienka połamały mi szyki.

— Domyślam się; a cóż masz przeciwko zacnéj wdowie Mac-Gill.

— Pisałeś pan do niéj?

— Jeszcze nie.

— Twoje szczęście!

— Dlaczego?

— Dla bardzo naturalnéj przyczyny; nie będziesz miał procesu.

— Tak pan sądzisz?

— Co tam sądzę! jestem pewny, że Mac-Gill i szanowny jéj przyjaciel Trutle, to zawiązana spółka, do rozbijania ludzi za pomocą procesów. Jeden podpis Twój wystarczy, aby cię pozwać i w rezultacie obedrzéć. Przeczytaj tylko uważnie list, a przekonasz się z jaką namiętnością pisze: „Kiedy proces, to proces!“

— A więc cóż zrobić?

— Nie odpisywać i rzecz skończona. (Długi przestanek). A gdyby fortel na fortel—zawołał—nie napiszemy, aby nie dać im do rąk żadnego dowodu, ale pojedziemy wydobyć tajemnicę. Może to coś warto?

— A więc zdecydowana wizyta do Mac-Gill.

— Jedziemy natychmiast. *Cab* mój czeka. Zaryzykujemy trzydzieści szylingów i poznamy szanowną topicielkę kotów i jéj przyjaciela.

— Fulkham road—krzyknął dżentleman, siadając razem ze mną do dwukołowego powozu.

Po dobréj godzinie jazdy, stajemy przed schludnym domkiem mistress Mac-Gill. Pucołowata dziewczyna otwiera nam drzwi, ukazując na korytarzu w oryginale szanowną mistres z dwoma kotami na ramionach.

— Spodziewałam się ciebie sir i czekałam spokojnie.

— Pozwól mnie mówić—szepnął dżentleman.

— A ja przychodzę po specyalną informacyą—rzekł mój towarzysz.

— Proszę panów!—mówiła promieniejąca gospodyni, wprowadzając nas do pokoju.

— Dzielnica gdzie ja mieszkam—ciągnie dżentleman.

— Jak się nazywa?

— Hakne.

— Znam, znam! mów sir, co jest w twéj dzielnicy?

— Masy kotów.

— Głodnych? bez właścicieli? przytułku? opieki?

— Dzikich, złych, drapieżnych.

— Jak ich złapać? jak dostać?

— Mam sposób.

— Mów na Boga! mów tylko cicho! posądzam moję Peggy o stosunki z pastorem Plumle, o stosunki w podchwytywaniu wiadomości o kotach.

Dżentleman zbliża się do damy, aby jéj po cichu wyjawić swój sposób łapania dzikich kotów. Lecz puss, na ramieniu damy siedzący, uderza łapą po uchu dżentlemana. Obrażony oddaje raz—kot spada na ziemię, sroży się i syka.

Błyskawica gniewu w oczach mistress.

Tomy! to nie nasz poczciwy Trutle; daj pokój Tomy! Uspakajała swego faworyta dama.

— Mister Trutle bywa zatém bity i jest cierpliwym,—spytałem.

— Ile razy tylko zanadto się zbliża, Tomy go ostrzega, że niewolno;—odparła gospodyni spuszczając skromnie oczy.

— Chciałby więc bardzo się zbliżać? podchwycił dżentleman.

— Nie wiem.

— Tylko pussy stoją na straży?

Powtórne „Nie wiem“! wymówione było cichutko.

— Ale ja wiem—zawołał mój przyjaciel—i nie lubię kotów, i gdybym mógł tobym wszystkie potopił...

Spojrzenie przebaczenia ze strony mistres.

— Nie bądź-że tak okrutnym,—przerwała,—pewno miałeś tylko na myśli głodne i nie mające właścicieli.

— Wszystkich, wszystkich—mówił zapalając się dżentleman—topić—i topić. Ha! co mnie to kosztuje, że nie mam czasu.

— Ja cię wyręczę sir,—odkryj mi tylko swój sposób łapania dzikich!—zawołała z ogniem w oczach bohaterska Mac-Gill.

— Mam wybornie urządzone sidła, łapiące kota za łapkę, lub za ogon.

— Masz? pokaż! daj!

— Przyślę.

— Ja sama przyjadę.

— Dobrze, ale pod warunkiem.

— Jakim?

— Abyś i moim losem tak się zajęła łaskawie, jak tu obecnego mego młodego towarzysza rzekł z miną filuterną dżentleman.

Dlaczego-żeś odrazu tego nie powiedział? a toż masz gotowiuteńką, jakby umyślnie czekała na ciebie,—odparła z wymówką Mac-Gill.

Klasnęła w dłonie.

Na odgłos ten jakby na umówiony znak ukazuje się z drugiego pokoju najprzód długi, prosty nos, za nim śpiczasta twarz, rzadkie czarne włosy wygładzone, czarne oczy, szerokie usta, czarny frak, krótkie pantaliony, zapinające się u kolan na sprzączkę, czarne pończochy i grube trzewiki.

— Jaki numer matki?—mister Trutle—pyta pani domu.

Mister Trutle kłania się nam poważnie, staje nieruchomie obok kominka i wymawia automatycznie:—Matka 82 (*a*), córka 82 (*b*).

— Mam je! mam! woła mistress, wydobywając z paczki dwie sztuki fotografii.

— Oto dla ciebie sir, a to dla Dżentlemana.

Ja dostałem odfotografowaną ładną i sympatyczną twarzyczkę, a dżentleman—okazałéj postawy, dobréj tuszy, uśmiechniętą, przystojną mistres.

— Brunetka, lat 35 zaczął mister Trutle monotonnie jak pozytywka wygłaszać rysopis:—Czoło wypukłe, oczy ciemne, zęby zdrowe, od lat trzech wdowa—waga 138 funtów (1), sprawdzona przed czternastu dniami.

---

(1) Ważną rolę odgrywa waga w Anglii. Anglicy lubią się ważyć, skrupulatnie zapisując ilość funtów własnego ciężaru.

Skończył, zamilkł i stał jak posąg.

— Massyf kobiecina! szepcze uśmiechnięty dżentleman, wpatrując się w fotografią.

Pozytywka zaczyna.

— Łagodna, spokojna, nie nałogowa, można sprawdzić, jedno tylko dziecko, renty dożywotnéj ma tyleż co i córka.

Pan Trutle skończył, jeszcze raz otworzył szeroko usta, jak paszczę rekina i powoli je zamknął.

— Pokaż sir córkę!—zawołał dżentleman, wyciągając rękę po fotografią, którą trzymałem.

— Lat siedmnaście i pół, dwa razy młodsza od matki, ani na jeden dzień różnicy, a jaka będzie za lat ośmnaście, można się przekonać z fotografii matki—waga 96 funtów, reszta wiadoma.

Pozytywka zatrzymuje się, paszcza rekina otwiera się do uśmiechu i ciężko się zamyka.

Mistress wyszła, aby powrócić razem z pucołowatą Peggy, niosącą na tacy butelkę z kieliszkami.

— Brawo, brawo! matko Mac-Gill! nie ma businessu bez napitku! Jakie masz wino?

— Sherry, zwyczajne Sherry.

Mistress nalewa wina, a jéj przyjaciel oblizuje się łakomie.

Kosztujemy—dżentleman się krzywi, mistres przymruża oczy, a szanowny Trutle otwiera swoję bazię, wlewa wszystko od razu, łyka głośno, stawia próżny kieliszek na stole, wróciwszy na dawne miejsce stoi nieporuszony.

— Mój przyjacielu! dlaczego najprzód nie skosztujesz?—mówi słodko gospodyni domu do pana Trutle.

— Bo je znam—odparł krótko zapytany.

— Zgoda, zgoda! mój przyjacielu—zawołał dżentleman i wybiegł. Skinął na dorożkarza poszeptali coś z sobą; dżentleman dał mu swą kartę, dorożkarz siadł na kozioł i ruszył pędem.

— A zatém kochany panie Trutle, jesteś pomocnikiem szanownéj damy,—wznawia rozmowę wracający dżentleman.

— Doradcą prawnym—odpowiada sucho Trutle.

— I prześladowcą kocim,—dodaje mistres.

Mister Trutle nawpół otwiera paszczę do uśmiechu.

— Prześladowcą twojego serca pani, — podchwytuje dżentleman.

— W ogólności sir, w ogólności mi dokucza.

— Jakiż sir masz specyalny business?—zapytałem.

— Pomocnik Solicytora (rodzaj prawnego adwokata).

— Przyjemne zajęcie.

— O tak, ale już je postradał; małe nieporozumienia z władzą, intrygi, skargi, rozumiesz Sir...—tłómaczyła mistress.

— Rozumiem.

— Mister Trutle jest zbyt ścisłym i akuratnym, tacy ludzie nie popłacają—mówi dalej dama.

Dżentleman ogląda fotografie matki i córki.

— Znalazłeś sir przyrzeczone trzy powody do wynagrodzenia w ciekawym procesie z dorożkarzem—zwróciłem się do Trutla.

— Już za późno!—rzekł sucho.

— Wyobraź sobie sir! zawstydzony a mściwy sędzia odsyła mi papiery, pisząc że proces upada. Gdzie tu jest sprawiedliwość!—dodaje z mocą mistres Mac-Gill.

— Wrócił—przerwał Trutle.

— Kto?

— Dorożkarz.

Dżentleman wybiega, woła do pomocy Peggy aby zabrać z *caba* butelki i paczki,

W salonie sama gospodyni rozwija te ostatnie, a z nich występują: salami, szynka, sardynki, w butelkach zaś wyborne portwein. Peggy dostarcza talerzy, nożów i chleba; siadamy wszyscy wkoło stołu, pergaminowy Trutle między nami. Wesoły humor zaczyna się rozgaszczać wszyscy mają dobry apetyt—Trutle nieco się dławi, widocznie, z pośpiechu.

— Trutle! pamiętaj o drugich! mityguj się! Trutle! pamiętaj, że jesteś także dżentlemenem szepcze mistres Gill.

Trutle udaje, że nie słyszy.

— Numer krzesła w teatrze jest? zapytał dżentleman.

— Jest na dzisiejsze przedstawienie.

-- Czy będzie matka z córką?

— Przyjdą obie.

— No przyznaj się mamo Gill—zainterpelował dżentleman—mówiłaś coś więcéj o dzisiejszéj schadzce nad to, o czém pisałaś w liście?

Ponieważ zapytanie wypadło po dwóch kieliszkach portweinu, języczek mistres się rozwiązał, a serduszko pragnęło zwierzeń.

— Tak, troszkę, bardzo mało,—odrzekła skromnie.

— Słuchamy.

— Mówiłam do małéj: „Jeżeli po prawéj stronie zobaczysz dżentlemana, który ma pańską minę i będzie się do ciebie uśmiechał, nie odwracaj się od niego, bo...

— Bo?

— Bo to może twój przyszły mąż.

— A cóż na to miss—spytałem.

— Jak każda młoda gąska, zarumieniała się.

— A cóż na to mistres jéj matka? odezwał się dżentleman.

— Matka co innego;—matka powiedziała:

„A czy i o mnie pamiętasz, moja kochana Gill?"

— A więc i matka chce wyjść zamąż?

— Aż drży *dear Sir*, aż drży!

— Tak samo jak ona!—krzyknął Trutle, któremu na zielonkowatą twarz powystępowały czerwone plamy, a nos mocno się zarumienił.

— Będziesz ty cicho, Trutle.

Trutle się roześmiał, a dżentleman nalewając mu nowy kieliszek, dał mi znak nogą pod stołem.

— Sir nie częstuj go, nie wart twoich względów.

Trutle jeszcze się raz uśmiechnął, wlewając od razu wszystko wino w rekinową swą paszczę.

— Czy jesteś matko pewną, że to dom *respectable*?—pyta dżentleman.

— Przysięgnę jak za siebie! Skromność, nie wiele stosunków, przyzwoitość i rozum.

— Ha! ha! to mi rozum, aby Gill używać za pośredniczkę!—zawołał Trutle.

— Trutle milcz! milcz! nie wywołuj méj gwałtowności...

Dżentleman nalewa próżny kieliszek Trutla, a i ten zostaje natychmiast pochłonięty.

— Sir znasz moje warunki, zabiera głos Mac-Gill, 10% po skończeniu interesu; a wiedz sir, że ja się nie boję zdrady.

Trutle:—Ho! ho!

— Mówię nie boję się! bo Gill ma język, ma straszny język.

Trutle:—kiwając głową ironicznie—Ho—ho?!

— Jak Gill zacznie walczyć, to padnie albo zwycięży, podnosząc głos oświadcza dama z zapałem.

Dżentleman sięgnął do kieszeni i wyjął portmonetkę. Gill wlepiła w nią oczy, a zdawało się, że Trutle otrzeźwiał. Dżentleman wydobywa dwa funty i kładzie je na stole.

— Interes ja biorę na siebie, rzecze—proszę o nazwę teatru i numer krzesła.

— Opera Comique krzesło córki numer drugi w czartym rzędzie,—matki trzeci,—numer pierwszy zamówiony na moje imię Mac-Gill.

— Oto jest,—mówił dżentleman, wysuwając dwa funty, naprzód żądane trzydzieści szylingów, a do tego pięć szylingów za stracony twój czas mistres, i pięć szylingów za objaśnienia dla ciebie sir.

— Serdecznie dziękuję Sir, mocno obowiązana!—mówiła Gill zagarniając dwa funty.

— Za pozwoleniem!—zawołał Trutle, przykrywając jeden funt ręką. Na tym funcie cięży dla mnie pięć szylingów.

— Trutle nie bądź dzieckiem! ja ci nie zapieram; pozwól niech schowam razem.

— Przepraszam szanownych dżentlemenów! — rzekł Trutle uśmiechając się okropnie—nie lubię rachunków, zatém zmienię. Zabrał funt, a wyjmując 15 szylingów, dodał—oto reszta;—zaśmiał się i zatarł ręce.

Wychodzimy, Mac-Gill żegna nas pośpiesznie, a nawet gorączkowo; mister Trutle we drzwiach kłania się z fantazyą lekkomyślnego młodzieńca.

— Ledwośmy przestąpili próg domu, słyszymy głos misstres Gill.

— Peggy! kapelusz rozumiesz?—kapelusz natychmiast, a z tobą rozmówię się późniéj.

Zdaje się, że ostatnie wyrazy były wymierzone do towarzysza i doradcy prawnego.

— Nie tak źle, jak myślałem—odezwał się dżentleman, siadając obok mnie w *Cabie*.

— W jakim względzie?

— Albowiem Trutle, jak się zdaje, jest to milczący pijak, wypędzony z posady, a Gill pospolita faktorka.

Ruszamy—lecz w téj chwili otwierają się drzwi domu, pokazuje się mistres Gill, wdziewająca kapelusz, aby nas donośnym swym głosem zatrzymać.

— A sidła, sidła na pussy! zapomniałeś Sir.

— Przyślę—odpowiada tubalnie dżentleman.

— A wiedzcież o tém, że bezemnie nic nie zrobicie. Gill ma język!

— Wiemy—krzyknął z *Caba* towarzysz mój.

— Jaśmin, jaśmin! wołała jeszcze za nami dama.

— Czy wiesz, gdzie się kochana Gill tak spieszy?

— Domyślam się.

— A ja wiem z pewnością; biegnie do widzianych na fotografii dam, z wiadomością o naszéj wizycie—nagadać historyi i wyciągnie najmniéj funta...

— Decydujesz się Sir jechać do teatru? przerwałem.

— Inaczéj nie płaciłbym za tajemnicę, anibym nie poił szanownego Trutla.

— Mama zatém zrobiła wrażenie?

— Nie tyle, co córka na jegomości.

Wysiadamy z *Caba* na Picadilly.

— Zostawiam ci obie do wyboru,—przedłużam rozmowę.

Ledwo co wymówiłem te słowa, wychodzi z pasażu, i staje przed nami Dora. „Perły, jaśminy i maków korale!“ Uśmiecha się, zatrzymuje, witając mnie szczerze i serdecznie.

— List mój odebrałeś Sir?

— Wdzięczny jestem za pamięć—odparłem zdejmując kapelusz.

— A więc przyjdziesz? Lili i Lidya nie spóźnią się. Nie zatrzymuję dłużéj pana, widząc czekającego towarzysza.

Dora, lekko się uśmiecha, spoglądając w stronę dżentlemena. Dżentlemen zbliża się, zdejmując kapelusz z głębokim szacunkiem i zamaszystą gracyą.

— Mister*** który również miał zaszczyt poznać brata pani i pana Woodward.

— Tak, tak—mówi zakłopotany dżentleman,—pod Złołym Pawiem.

— I tylko dlatego nie był przedstawiony pani w pamiętnym dniu owym, że miał specyalną misyą.

— Obowiązki przedewszystkiém—mówi Dora, uśmiechając się czarownie do dżentlemana.

— Dżentleman—ciągnę daléj—jestto rycerz.

— Jak każdy prawy dżentleman—dodaje Dora.

— Specyalny rycerz bokser.

— Dżentleman przybrał odpowiednią postawę, usiłując powagą i marsem twarzy poświadczyć godność, tylko co wymienioną.

Dora śmieje się serdecznie.

— I propaguje emancypacyą w tym kierunku między damami dodałem.

— Bo dlaczegóżby pokrzywdzona nie miała sama stanąć w swéj obronie? woła patetycznie dżentleman.

— Tak śmiałe idee przerażają mnie;—odpowiada uśmiechnięta Dora, podając mi po przyjacielsku rękę, a główkę uchylając przed patetycznością dżentlemańską.

Dżentleman wywzajemnia się majestatycznym ukłonem, wraz z podniesieniem do góry kapelusza.

— Teraz pojmuję, dla czego odstępujesz mi matkę i córkę!—mówił ze smutkiem nowonabyty przyjaciel po odejściu Dory.

— Zdaje mi się, że obydwa nic nie pojmujemy; gdybyś był razem ze mną w domu Henryka, przekonałbyś się.

— Pójdę i wyboksuję tego bałwana, co mnie zmusił przyjść na sesyą. Prawda sir, że ja się zbyt prędko zapalam do wszystkiego.

— Do wszystkiego, co tylko dzielne i energiczne.

— I dużo na tém tracę.

— Naprzykład wizytę u pięknéj Dory.

— Piękna i skromna.

— Jutro zostaje pełnoletnią i ten dzień obchodzi uroczyście.

— Jesteś zaproszony?

— Będę z pewnością.

— Wpadam na świetny pomysł i mam nadzieję, że się tam zobaczymy.

— Radbym z całego serca.

— A tymczasem do widzenia przed teatrem o godzinie punkt siódméj.

(*C. d. n.*)

Sewer.

WPŁYWY TYTONIU NA ORGANIZM ZWIERZĘCY

ORAZ HIGIENA PALĄCYCH.

Palenie tytoniu jest obecnie do tego stopnia rozpowszechnione, iż stało się zwyczajem całéj niemal ludzkości; nie ma bowiem zakątka na kuli ziemskiéj, w którymby się nie kurzył dym cygara lub fajki. Zwyczaj ten przeszedł od mężczyzn do kobiét i zaczyna się rozpowszechniać nawet wśród dzieci; hołduje mu zarówno dziki jak i cywilizowany, zarówno pastuch jak salonowiec, zarówno żebrak jak i monarcha a to w téj mierze, iż śmiało powiedzieć by można, że wobec tytoniu wszyscy dziś ludzie są równi. Ktoby więc przeciw niemu występował z nową filipiką, ten traciłby czas i niedorzeczność popełnił; nierównie lepiéj więc będzie gdy fakt, jako nie dający się już zmienić, uznamy i jeżeli tak już być musi, że mamy się tytoniem zatruwać, to pomyślmy nad tém przynajmniéj, jak nam postępować należy, ażebyśmy się nim jak najmniéj zatruwać mogli.

Powodowany tą myślą, wprost przystępując do rzeczy, zamierzam skreślić pokrótce zasady higieny dla palacza tytoniu; lecz ponieważ radbym, ażeby obszerna publiczność czytać mnie zechciała i ponieważ nie mam prawa wymagać po niéj wiadomości specyalnych z dziedziny mojego przedmiotu, muszę się zastanowić najprzód w ogólności nad działaniem tytoniu na organizm zwierzęcy, a potém dopiéro wykazać, jakim to dzieje się sposobem, że gwałtowna w nim zawarta trucizna tak mało palaczom szkodzi, i z nią przez cały ciąg życia niemal napawać się mogą.

I Roślina tytoniowa i jéj uprawa.

Roślina tytoniowa (*Nicotiana tabacum*) należy do rodziny psiankowych (*Solaneae*) a zatém jest pokrewną kartoflom, pomimo całéj różnicy w ich charakterze. Jest ona jednoroczną, ma łodygę gałęzistą, walcowatą, dorastającą do wysokości $1\frac{1}{2}$ metra; kwiaty jéj są ró-

żowe, zielone lub niebieskawe, nasiennik woreczkowaty, jajowo kończasty z mnóstwém drobniuchnych nasionek. Wszystkie jéj części wydają zapach właściwy drażniący. Na wyroby tabaczne używa się około 40 jéj odmian, ale szlachetność zawartego w nich fabrycznego materyału nie tyle zależy od saméj odmiany, ile raczéj od natury gruntu, na którym się rozrasta, od klimatu pod którego wpływem dojrzewa. Zachodzi tu taki sam stosunek jak z winogradem. Przesadzony pierwotnie z Burgundyi do Węgier, wydaje wino zupełnie od burgundzkiego różne, a jedna i ta sama odmiana winnéj latorośli zwana np. *Risling* nad Renem, w każdéj miejscowości wydaje wino odmienne. Najszlachetniejsze tytonie rosną prawie wyłącznie w Ameryce, w swéj pierwotnéj ojczyznie i fabrykom europejskim jako pół produkt są dostarczane. Najwięcéj poszukiwane otrzymujemy z *Mariland*, *Wirginii*, *Hawanny*, *Antyllów* i *Brazylii*. Najdelikatniejsze dochodzą nas z okolic miasta *Warinas*, którego téż noszą nazwisko; że zaś najbardziéj ceniony *Warinas* skręcony w wianki i sznury, przychodzi w koszykach trzcinowych a więc od wyrazu hiszpańskiego *Canasta*, (koszyk) *Kanastrem* go nazywają.

Tytoń udaje się wszędzie aż po 50° szerokości geograficznéj północnéj, najlepiéj pomiędzy 15° a 35° w klimatach spokojnych i małozmiennych. Oprócz stosownego położenia gruntu na którym rośnie, wymaga niemal wyjątkowéj jego dobroci, nadzwyczaj bowiem łatwo go wyczerpuje. Według poszukiwania *Boussingault'a* na jednym hektarze wyrosło 31,111 roślin, a gdy je we wrześniu zebrano i wysuszono, waga ich wynosiła 12,980 kilogr. Analiza chemiczna okazała w téj ilości 4,501 kil. węgla 436 kilogr. azotu, 115,5 kil. kwasu fosfornego i 441,4 kil. potażu. Same liście z całéj téj ilości od łodyg odskubane i osobno przyrządzone, po wysuszeniu ważyły 2,986 kil. i zawierały 137 kil. azotu, 22,6 kwasu fosfornego 185 kil. potażu; a zatém w korzeniach i łodygach pozostało 299 kil. azotu, 92 kil. kwasu fosfornego i 356 potażu. Widzimy więc że grunt niesłychanie traci i, rzecz naturalna, że tylko przy bardzo obfitém i troskliwém umierzwianiu tytoń na jednén i tém saméni polu uprawiany być może. Uderzającą jest rzeczą, że uprawa w niektórych miejscach w Ameryce i Węgrzech, na jednych i tych samych polach, od niepamiętnych czasów bez nawozu się odbywa. Wszystko to jednak jest możebném tylko do czasu boć i w saméj Wirginii przy takim gospodarstwie musiano już w niektórych miejscach uprawy zaniechać, równie jak zaniechano i w innych miejscach uprawy *kawy* w skutek wyjałowienia. Warto nadmienić że i rodzaj nawozu ma także wpływ niemały na własność tytoniu—koński np. i owczy nawóz ma wydawać tytoń ciemniejszy, mocniejszy i ostrzejszy niżeli nawóz krowi.

Leander zauważył w Grecyi, że nawóz kozi i owczy wydaje tytoń cuchnący i gryzący, a nawóz krowi delikatny i przyjemny; nawóz zaś od trzody chlewnéj daje dymowi tytoniowemu smak i woń anyżu.

W Europie tytoń uprawia się we wszystkich niemal krajach, lecz niektóre tylko jego gatunki zyskały sobie rozgłos handlowy. Najwięcéj cenione są holenderskie a mianowicie Amarsfortskie, z Neukerlier i z Geldryi; tureckie zwłaszcza Bosma,—Brehga, Drama i Sułtania. Po nich dopiéro idą niemieckie a mianowicie: Westfalskie, Bawarskie, Węgierskie i Besarabskie. W średniéj Ameryce cała uprawa i zbiór tytoniu odbywa się w ciągu niespełna dwóch miesięcy. U nas siejba przypada w kwietniu i zbiór odbywa się w jesieni. Uprawa nie jest łatwą, wymaga bowiem rozsadzania, pielenia i kilkakrotnego obrywania liści, hoduje się zaś trzy mianowicie odmiany: wirgińską (*Nicotiana tabacum*), o liściach krótko ogonkowatych lamentowatych; Mariland (*N. Maerophylla*) o liściu szerokim zaokrąglonym i tak zwana odmiana wieśniacza (N. *rustica*) o liściu długo ogonkowym jajkowatym. Tytonie amerykańskie posiane u nas wyradzają się już w drugiéj generacyi a w trzeciéj nabierają w paleniu nieprzyjemnego smaku.

Liście rośliny odrywają się od dołu w miarę jak nadrastają i składają się jedne na drugich w stosy, po kilkadziesiąt sztuk zawierające. Stosy te potém płótném się okrywa zasłaniając je tak długo, dopóki nieowiędną i nie zagrzeją się. Owiędłe rozkłada się następnie i rozwiesza w wietrznych suszarniach na sznurach i troskliwie wysusza. Potém skrapia się wysuszone wodą słoną i w beczki pakuje ażeby się znowu zagrzały i taką operacyą kilka się razy powtarza, aż dopóki zagrzewać się nie przestaną. Rozgrzewanie się dochodzące zwykle do 35° *R.* jest skutkiem poczynającéj się właściwéj fermentacyi, przyczém rozkładają się i ciała białkowate w liściach świeżych zawarte i wytwarzają się nowe chemiczne kombinacye, jakoto: 1°) powstaje olejek lotny dający tytoniowi właściwy aromat; 2°) zatraca się w znacznéj części nikotyna; 3°) wytwarza się w liściu alkaliczność w skutku rozkładu kwasów roślinnych; 4) ze zmianą części azotowych wywiązuje się amoniak. Tytoń więc jakkolwiek zaczerpnięty z rośliny jest od niéj zupełnie różnym; jest produktem fermentacyjnym równie jak wino, kawa lub herbata, w których również przez właściwe dopiéro przygotowania rozwijają się wysoko przez nas cenione aromatyczne własności.

Jestto produkt sztuki osiągniętéj z surowego materyału rosnącego na polu, a jego zalety zależą tak dobrze od własności tego materyału jak i od sposobów fabrykowania.

W powyższy sposób przygotowany tabaczny półprodukt, leży nieraz przez lat kilka w beczkach stłoczony i wyrabia się dopiéro późniéj tytoń do palenia do żucia na tak zwane prymki. Ponieważ te ostatatnie prawie są u nas nieznane a zażywanie tabaki do tego stopnia wychodzi z użycia, że wyjątkowo już tylko się z niém spotykamy, a z drugiéj znów strony tytoń do palenia mianowicie w formie cygar i papierosów niesłychanie się wzmaga, o nim przeto wyłącznie mówić tu będziemy, poświęcając dwom innym formom używania tytoniu tylko niektóre wzmianki.

2. Skład chemiczny surowego materyału.

Zanim jednak daléj pójdziemy, potrzeba nam zaraz na wstępie zwrócić uwagę na chemiczne składniki liścia tytoniowego surowego i tylko przez wysuszenie wody pozbawionego, zanim się go podda właściwéj fermentacyi; są one następujące:

Części mineralne.

- Zasady: Potaż, Wapno, Magnezya, Tlenek żelaza i manganu, Ammoniak
- Kwasy mineralne: Saletrowy, Solny, Siarczany, Fosforny
- Inne części: Krzemionka

Części organiczne.

- Zasady: Nikotyna
- Kwasy organiczne: Jabłkowy czy téż tabaczny, Cytrynowy, Octowy, Szczawiowy, Pektinowy, Uliminowy
- Inne ciała: Nikocyanna, Żółta i zielona żywica, Wosk lub tłuszcz, Ciała azotowe nie dające się bliżéj oznaczyć, Włókno roślinne.

W znacznéj téj jak widzimy liczbie powyższych składników znajdujemy trzy tylko charakteryzujące tytoniową roślinę: *Nikocyaninę*, *Nikotynę* i *Kwas tabaczny*.

1) *Nikocyanina* czyli kamfora tabaczna, jest ciałem tłustém nadającém roślinie właściwy zapach oraz smak gorzko aromatyczny. Bliższy skład tego ciała nie jest jeszcze dostatecznie zbadany, zdaniem zaś fabrykantów, dany gatunek tytoniu surowego tém jest lepszy im więcéj się w nim tejże kamfory znajduje.

2) *Nikotyna* (C_{20}, H_{14}, A_2) jest ciałem zasadowém, bardzo jak widzimy w węgiel i wodor bogatym (beztlenowym). W stanie czy-

stym przedstawia się jako bezbarwny olej, na powietrzu brunatniejący, o zapachu tabacznym i smaku gryzącém, rozpuszczalny w wodzie, w wyskoku, w eterze i olejach tłustych. Ilość nikotyny jest bardzo różna w różnych gatunkach surowego tytoniu; i tak według *Schlösing'a*, francuzkie tytonie zawierają jéj 4—8% w liściach starannie wysuszonych, Alzackie 3,21 Virginia 6,87, Kentuky 6.09, Mariland 2,29, Hawanna 2; tytonie tureckie 2,53 i t. d. Nikotyna wrze w 250° ale i rozkłada się przytém. W 100° wydaje już gęstą parę, która nawet w temperaturze zwyczajnéj z niéj się wydobywa i uwidocznia za zbliżeniem laseczki szklanéj w kwasie solnym zamaczanéj. Para jest tak gryząca że się z trudnością oddycha w sali, gdzie się kilka zaledwie kropli płynu ulotniło. Nikotyna zalicza się do najgwałtowniejszych trucizn, a jéj odkrycie należy do rzędu dawniejszych już chemicznych zdobyczy. Wykazał ją *Vauquelin* w r. 1809 a więc w 6 lat tylko po odkryciu *morfiny*, owego pierwszego odkrytego alkaloidu w r. 1803.

Odtąd badało jéj własności kilku znakomitych chemików: *Paussalt*, *Reimann*, *Boutron*, *Barel*, a głównie *Schlösing* niegdyś dyrektor administracyi tabacznéj w Paryżu. Zwróciła na siebie mianowicie uwagę świata od czasu sławnego procesu w Bruxelli w r. 1851 przeciw hrabiemu *Bocarmé*, który ufając w to, że trujące własności nicotyny naówczas mało były znane, sam oddawał się długi czas pracowitym nad nią chemicznym studyom i naostatek, w celu zapewnienia sobie spadku po swoim szwagrze, wlał mu gwałtem w usta kilka kropli swego fabrykatu. Śmierć była natychmiastową, a gdy odkryto zbrodnię Dr. *Has* chemik, powołany do stwierdzenia otrucia, znalazł się w ogromnym kłopocie wobec zadania poraz pierwszy przedstawiającego się medycynie sądowéj. Zrazu sądził, że otrucie nastąpiło kwasem pruskim, późniéj dopiéro wpadł na ślad nikotyny, wynalazł sposób jéj wykrycia w ciele otrutego i dowód niezbity przedstawiony sądowi poprowadził winowajcę na szafot. Odtąd posypały się liczne nad nikotyną prace i wszystkie szczegóły jéj trującego działania, o którém zaraz obszerniéj mówić nam przyjdzie, dokładnemu zbadaniu uległy.

3) *Kwas tabaczny* (C_6, H_4, O_8) ma wielkie podobieństwo z kwasem jabłkowym i bardzo nawet być może że jest nim samym.

Tytoń jest bardzo bogaty w mineralne składniki, gdyż ilość ich co do wagi wynosi od 19 –27% zasuszonych liści, a to zależy od gatunku i miejscowości w której wzrosła roślina. *Merz* np. znajdował 23,33% popiołu po spaleniu liści z okolic Erlangen, a w stu częściach tego popiołu było 27 potażu, 39,53 wapna 2,76 sody, 9,61 magnezyi, 9,65 soli kuchennéj, 2,78 kwasu siarkowego, 4,51 krzemionki,

4,2o saletry. Z powodu owéj saletry zauważyć należy, że jéj ilość w tytoniu zawarta, bynajmniéj na jego palność nie wpływa. Kwas saletrzany bowiem w związku z alkalicznemi zasadami znajduje się według Schlösinga nagromadzony przeważnie w główném liścia żeberku; jest go tam w niektórych gatunkach od 0,15%—6,1% a w innych częściach liścia zaledwie 0,02%—2,0%; jest on tam głównie w połączeniu z sodą, że zaś w starannie fabrykowanych tytoniach żebra z liści są wyrzucane, a więc rzeczonéj soli mniéj się nierównie w produkcie znajdować musi.

Tytoń nie odskakuje co do składu swojego od innych roślin, z tym jednak wyjątkiem, że zawiera w sobie nikotynę, jak się zdaje połączoną z kwasami w organiczne związki, która jednak z pod ich wpływu łatwo oswobodzoną być może. Gdy się liść w wiązki złożony zagrzewa i fermentować zaczyna, to substancye białkowate rozkładają się zwolna i wytwarzają amoniak, ten znów nasyca kwasy a nikotyna będąc uwolniona, ulatnia się spółcześnie z nadmiarem amoniaku. Tym sposobem półprodukt tytoniu zawiera już znacznie mniéj nikotyny aniżeli tytoń surowy. Ta zaś jéj ilość, która jeszcze została, znajduje się w nim pod postacią octanu i zatraca się więcéj jeszcze podczas palenia jak to zobaczymy poniżéj.

Powracając teraz do dalszéj przeróbki tytoniu do palenia przeznaczonego, zauważyć nam wypada, że pod jéj wpływem ulega on stopniowo coraz większéj zmianie, raz przez dalszy ciąg sprawy fermentacyjnéj, a powtóre przez domieszki substancyj najróżnorodniejszych, przez które się coraz bardziéj od swych pierwotnych własności oddala.

Domieszki te zyskuje tytoń przez napawanie go różnego rodzaju sosami w celu nadania mu smaku i woni, oraz w celu ułatwienia w paleniu się liści. Owe sosy są po największéj części tajemnicami fabrycznemi i składają się wogóle z soli mineralnych a mianowicie soli kuchennéj, saletry, salmijaku, saletranu, ammonii, winianu potasu i t. d. oraz najrozmaitszych substancyj roślinnych razem z powyższemi wygotowanych na pewien rodzaj polewki.

Używane bywają w tym celu wytłoczyny z winogron, wino, wódka, maliny, figi, cukier, miód, melas, jałowiec, obierzyny z jabłek, kawa, herbata, cynamon, gwoździki, wanilia, kaskarylla, bobkowe liście, drzewo aloesowe, a nawet w ostatnich czasach bardzo weszła w użycie uryna i kwas benzoesowy jako surogat nikotyny w podlejszych rodzajach tytoniu (Rudolf Wagner). Niektórzy używają jeszcze żywic jako to: mastyksu, bursztynu lub storakasu a chodzi tu głównie o to, ażeby rozliczne te przyprawy we właściwym z sobą powiązać stosunku, bo temu właśnie fabryka swoje powodzenie zaw-

dzięcza. Taką więc zupą nasyca się liście, w których się poprzednio poroddzielało grubsze żeberka; składa się owe liście na stosy poddając nowemu rozgrzewaniu, a nakoniec za pomocą właściwych mechanicznych przyrządów kraje się tytoń lub zwija w sznurki, z których palacz każdą razą, musi sobie sam potrzebną mu ilość uskubać. Zanim to jednak nastąpi, rozpościerają zazwyczaj otrzymany fabrykat w cienkich warstwach na gorących blachach, ażeby należycie wysechł i pozbył się nadmiaru różnych dodanych wonnych ingredyencyj, mających się skombinować i złożyć we właściwą całość.

3. Używanie tytoniu.

Tytoń do palenia przeznaczony, używa się w dwóch formach: krajany do palenia w fajce, lub też skręcony w cygaro.

Wyraz hiszpański *Cygaro* znaczy rurkę skręconą z papieru. Rzeczywiście też cygaro jest rurką zawierającą wałeczek wzdłuż ułożony z krajanego tytoniu, który się liściem tytoniowym mokrym owija i takowy w obu końcach przykręca. Lecz jak wszędzie tak i tu wkrada się oszukaństwo i w środku cygara mieszczą się nieraz różne do tytoniu przymieszki, jako to: kapuściane, burakowe lub wierzbowe cienko pokrajane liście. Dr. Sneider utrzymuje, że w saméj Turyngii rok rocznie używają 2,340,000 funtów boćwiny do fabrykacyi cygar. W Magdeburgu do tejże fabrykacyi cygar używają oprócz liści burakowych—cykoryi, a nawet naci kartoflanéj, a w wielu fabrykach w południowych Niemczech do cygar wcale nawet nie wchodzi tytoń, ale kapusta i inne owocowe liście sztucznie pozbawione naprzód właściwéj woni, i moczone przez długi czas następnie w wyciągu z tytoniu i w końcu suszone.

Wyroby turyngskie używające wielkiego kredytu w południowych Niemczech są właśnie takim preparatem, a oszustwa takie do tego stopnia się rozwielmożniły, że nawet mowa była niedawno w państwie niemieckiém, o nałożeniu podatku na przemysł dostarczający różnego surogatufabrykom tabacznym. Ponieważ niektóre rośliny jak np. *Calendula odorata*, *Melilotus oficinalis*, *Anthoxantum odoratum*, zawierają w sobie pierwiastek zwany: *Kumarynem* a ten jest bardzo do nikotyny zbliżony, zdarza się więc nieraz, że ich liście bywają także do tytoniu przymieszywane, co mianowicie zarzucają węgierskim produktom.

W Hawanie zaczynają wchodzić w użycie cygara, w których zamiast liści znajduje się cienki pokrajany papier, zupą napojony i wysuszony starannie. Co one są warte, dotąd niewiadomo, ale to pewno, że nie są gorsze od buraczanych.

Papieros jest cygarem z papierową osłonką (*gilzą*) i ma tę niedobrą stronę, że przy paleniu go do dymu tytoniu, oraz rozlicznych w nim znajdujących się substancyj, dołącza się jeszcze dym z papieru mocno drażniący. Wprawdzie zwykłą bibułę zastąpiono cienkim papierem z kukurydzy, lub wprost z kukurydzowego liścia osłonką, lecz to nie wiele pomaga. Dym papierosowy zawsze jest gryżący, a mianowicie dla osób do niego nieprzyzwyczajonych i w oczach dotkliwie uczuwać się daje. Odeski fabrykant cygar Saduski na gilzy używał azbestu. Miały one tę korzyść, że z nich popiół zostawał, że ognia nie było widać ale za to palenie się samo było utrudnione, a stąd nierównie więcéj dystylacyjnych produktów przechodziło w ślinę. Nie wiem co się z tém niby ulepszeniem stało, ale to pewno, że dla zdrowia palaczy nie mogło być pożyteczném.

Obecna fabrykacya cygar znacznie ulepszoną została przez wytwarzanie gilz w kształcie munsztuka i zaopatrzenie go w bawełnę, przez którą dym przechodzi zanim się do ust dostanie.

Jeżeli po tém co powiedziano, zapytamy się teraz czém jest rzeczywiście tytoń, który palimy, to rzecz się bardzo rozjaśni, jeśli go na równi postawimy z winem. Liść zerwany, wysuszony da się porównać z sokiem wytłoczonym z winogron; następnie obadwa przechodzą przez fermentacyą, pod wpływem której zatracają się jedne i powstają nowe składniki. Tytoń więc równie jak wino jest produktem sztucznym, otrzymanym z surowego roślinnego materyału, a staje się nim więcéj jeszcze nierównie przez najróżnorodniejsze domieszki cechujące fabrykowanie. Fabrykacya stanowi osobną technikę w celu osiągnięcia z tytoniu sztucznego wyrobu, stosownie do gustu palących, lecz staje się także fałszerstwem przez domieszki liści kapuścianych, buraczanych i t. p. Tak samo jak sprzedają nam wina, które jagód nie widziały, sprzedają nam również tytoń, w którym surogat zupą jest tylko napojony i za tytoń uchodzi. Jeżeli porównanie z winem daléj jeszcze poprowadzimy to zobaczymy, że jak wino tak i tytoń z czasem uszlachetnia się przez odstanie się, bo naprzód coraz lepiéj wysycha, a powtóre proces fermentacyjny chociaż przy niskim stopniu zawilgocenia, odbywając się w nim ciągle i zwolna go zmienia. Wszakże wiadomo jak wielką do cygar odleżałych przywiązuje się wagę.

Dobry do palenia tytoń odznacza się jednostajną barwą, brunatną albo żółto-brunatną stosownie do swego rodzaju. *Portorico* i *Kamastry* są brunatne, *Mariland* jest żółtawy.

Barwa siarki jest bardzo podejrzaną, równie jak i czarna lub czerwona. Przy paleniu tytoń nie powinien trzeszczać, co zawsze od nadmiaru saletry, potażu lub soli kuchennéj zależy. Dobry tytoń nie

powinien sprawiać ani mdłości, ani rozdrażnienia, ani ciężaru w głowie; ma być przyjemnym w paleniu i trochę w smaku ostrawy, bez pozostawienia po sobie goryczy. Gatunki na języku gryżące, dławiące w gardle są nie dobre. Dym nie powinien być ani biały, ani czarny, ani czerwonawy, lecz blado-niebieski; w oczy gryźć nie powinien, ani téż rozdrażniać trawienia. Ważną bardzo własnością jest palność, która naturalnie będzie tém mniejszą im jest wilgotniejszy. Nie zależy ona, jak powyżéj już wspominaliśmy, od ilości zawartéj w liściu saletry, gdyż np. najsuchszy nawet *Kentuki* choć w saletrę bogaty pali się nie dobrze; kiedy przeciwnie daleko uboższym gatunkom *Jawy*, *Mariland*, *Brazylii*, *Węgier* i *Besarabii* zarzucić tego nie można. *Schössing* zauważał, że palność tytoniu w prostym stoi stosunku do ilości węglanu potażu, który w popiele odkrywamy, że dodatki soli organicznych potażowych ową palność zwiększają, a dodatki przeciwnie tych-że samych soli o zasadzie wapiennéj znacznie ją zmniejszają. Okoliczność ta usprawiedliwia się w ten sposób, że sole organiczne potażowe palące się, dają węgiel gębczasty, który łatwo dogorywa, gdy przeciwnie sole wapienne dają węgiel zbity i połyskujący.

4. Sposoby palenia.

Palenie tytoniu w jakibądź sposób dotąd obmyślone zostało, czy to w fajkach, czy w nargillach, czy w cygarach, czy w papierosach, odbywa się zawsze przy utrudnionėm przystępie powietrza, jest poniekąd podobne do kurzenia węgli i smoły wśród lasów naszych, w owych stosach sosnowych gałęzi ziemią pokrytych, skąpym tlejących się ogniem.

Jak tam drzewo tak tutaj tytoń tleje w zamkniętéj przestrzeni, a tlenie podsyca tylko słaby przewiew powietrza, które palący w siebie wciąga ustami. Nie ma tu płomienia jako objawu wysoko podniesionéj temperatury, ale za to przy mocném ogrzaniu powstaje mnóstwo produktów destylacyjnych, które w węglarstwie stanowią smołę, kreozot, ocet drzewny, terpentynę i t. d., a przy paleniu tytoniu ów gęsty sos tytoniowy, który w starych cybuchach lub odlewkach fajek niemieckich się nagromadza i który palacz, zanim się zgęstnie, pod postacią dymu i pary do ust przyjmuje. Cygaro przedstawia niezaprzeczenie najlepszy i najzdrowszy sposób palenia, byle tylko nie było otoczone ogniotrwałą powłoką. Tytoń się w nim żarzy i wśród otwartego ze wszech stron powietrza, przy dokładniejszym spaleniu, wydaje mniéj rzeczonych produktów a stąd pochodzi, że i smak jego jest łagodniejszym. Na dowód przytoczyć należy, że

cygaro pokrajane i wypalone w fajce, nie równie więcéj jest zawsze odurzającém, jak to dobrze każdemu palaczowi wiadomo. Nader ważnym jest przytém warunkiem, ażeby palić przez trąbkę i niedopalać cygara do końca, gdzie zawsze osadzają się w owym końcu sosy, które mięszają się ze śliną, a to tém więcéj jeżeli się koniec gryzie i wysysa, jak to wielu robić zwykło palaczów.

Papieros zbliża się do cygara, ale w nim do produktów destylacyjnych tytoniu, mieszają się produkta spaienizny papieru, a że te zawierają w sobie *kreozot*, którego nie wydaje tytoń, dym jest ostrzejszy i w oczy gryzie, chociaż tego w znacznéj części uniknąć można paląc za pośrednictwem długiéj trąbki utoczonéj z prostego lipowego drzewa, jakiéj używa się na wschodzie i takową jako nader tanią bardzo często zmienia.

W trzecim dopiero rzędzie idzie *fajka* ze szeroką a płytką stambułką, na długim cybuchu, jakiéj używali przed wprowadzeniem cygar nasi ojcowie. Dostęp powietrza do żarzącego się tytoniu jest tu wprawdzie trudniejszy, ale za to produkta dystylacyjne osadzają się w cybuchu, a dym przechodzi chłodny do ust przez bursztynową nasadkę. Fajka tak urządzona ma także tę dobrą stronę, że nie mogąc się z nią nosić, nie nadużywa się tytoniu, a palenie nie rozpoczyna się przy ranném otworzeniu oczów a nie kończy przy usypianiu wieczorném, jak to u dzisiejszych palaczy cygar nie raz dziać się zwykło.

Najgorszym ze wszystkich do palenia przyrządów jest fajka niemiecka z wydłużoną głową porcelanową i z odlewką, trzymana zazwyczaj między zębami, które od nieustannego kopcenia zwykle czernieją i dostają głębokich wrębów od gryzienia rogowego lub kościanego munsztuka. W takim przyrządzie wszystko jest jakby umyślnie obrachowane na to, ażeby jak najwięcéj niedopalanych produktów dystylacyjnych otrzymać i delektować się jak najdłużéj raz nałożoną fajką. Gdyby tam nie było odlewki, owego dla sosu umyślnego zbiornika, to palenie za pomocą takiego przyrządu, byłoby ohydne a co większa bardzo niebezpieczne dla zdrowia.

Holenderskie gliniane fajeczki mają te same przywary, ale te są tém przynajmniéj równoważone, iż fajeczki są bardzo kruche, że lada chwila się łamią, a zatem palacza do nieustannéj przymuszają zmiany, nadto·że maleńką ilość mieszczą w sobie tytoniu, że tym sposobem nieustanne kurzenie znacznie jest utrudnione i nakoniec, że sos wsiąka w glinę a zatém dym już nierównie czystszy do ust dochodzi.

Nargile używane na wschodzie mają bardzo wiele za sobą, chociaż dla europejskiego palacza przyzwyczajonego do gorącego dymu

zazwyczaj przyjemnemi nie są. Dym przechodzi w nich przez wodę za nim się do ust dostanie; chłodzi się, płócze i pozbawia wszystkiego niemal co w nim może być przykrego i niebezpiecznego. Ztąd pochodzi zapewnie, że kobiéty tureckie, pomimo że palenia w haremach nadużywają, nie wypuszczając prawie nigdy wciągu swego gnuśnego życia bursztynowego z ust munsztuka, ani nie są odrażającemi jak nasi europejscy zatwardziali palacze, ani nie podlegają tytoniowym chronicznym zatruciom, tak często u nas się trafiającym.

Jeden tylko przeciw nargilom i to wielki jest zarzut, że do zaciągania się nader łatwo prowadzą, wciąganie bowiem dymu samemi tylko ustami bez współudziału płuc jest sztuką, któréj nauczyć się potrzeba, a któréj ważność zupełnie niemal jest na wschodzie nie znana.

5. Dym tytoniowy.

Rozbiory chemiczne dymu tytoniowego wielokrotnie dokonywane, jakkolwiek niezupełnie zgadzają się pomiędzy sobą, wykazują jednak obecność nikotyny i nikocyaniny, tlenku węgla, węglo— i siarkowodoru, kwasu pruskiego (*Vogel*) oraz kwasów z szeregu tłuszczowych jakoto: octowego, mrówczanego (*Misserbacher*), masłowego i waleryanowego. Znajdowano również węglan, octan i chloran ammonu, oraz ciała zasadowe szeregu pyrydynowego jakoto: *pirydyna*, *pikolina*, *lutydyna*, *kollidyna* itd. Wszystkie te ciała mają mniéj więcéj własności trujące, w nader różnym stopniu, lecz do najniebezpieczniejszych należą następujące:

Na czele stoi powyżéj już wspomniana *nikotyna*, o którą głównie toczą się spory; jedni bowiem zaprzeczają jak najzupełniéj jéj przytomności w tytoniowym dymie (*Eulenberg* i *Vohl*), a drudzy twierdzą, że się w nim znajduje w nie małéj nawet ilości (*Herbel*, *Rabuteau*, *Ferrier*, *Melseus*). Zważywszy że ilości nikotyny bardzo są różne, w różnych gatunkach tytoniu, że nikotyna nie bardzo jest lotna, łatwo pojąć da się, że może być albo zupełnie spalona lub ulotniona, albo że znajdzie się w dymie tytoniowym w pewnéj jeszcze ilości. Zależéć to będzie od palności tytoniu, oraz od sposobu jego palenia. Palona w swobodnym przystępie powietrza, może być zniszczoną do szczętu, jeżeli zaś tytoń będzie mokry i palić się będzie w zaciśniętéj fajce, pewna jéj ilość może się w dymie i w sosie odnaleźć. Powiedzieliśmy już powyżéj, że nikotyna jest jedną z najniebezpieczniejszych trucizn. Nie przebacza ona żadnemu zwierzęciu, a najczulsze na nią są ptaki. Jedna np. jéj kropla wpuszczona w oko sokoła natychmiast go zabija. Zwierzęta o krwi zimnéj wytrzymują nikotynę nierównie dłużéj, a trzy jéj krople wystarczają zu-

pełnie ażeby jakby piorunem porazić psa największego wzrostu (*Orfilla*, *Van der Corput*).

Nikotyna wprowadzona do arteryi jaką bądź drogą, wpływa bezpośrednio na układ nerwowy iześrodkowywa swoje działanie prawie wyłącznie w sferze ruchoméj rdzenia pacierzowego, działanie zaś to jest zrazu silnie podrazniające a następnie przytłumiające i porażające.

Przy użyciu trucizny w znaczniejszéj stosunkowo ilości, występują niebawem gwałtowne skurczenia mięśni, niekiedy w kształcie drgawek, lecz najczęściéj w kształcie tetanicznych wyprężeń z drzeniem, dochodzących do kamiennéj niemal twardości. Po tém bardzo krótkim czasie występuje zwolnienie kurczów, a *następnie* zupełne porażenie, tak, że ciało nie zdolne do żadnego samodzielnego ruchu, które dopiéro co było twarde jak kamień, staje sie naraz tak wiotkie, iż zwierzęciem zatrutém można rzucać jak piłką. Zastanawiając się nad całym przebiegiem zatrucia, dostrzegamy w nim dwa wyraźne peryody, peryod kurczu i peryod porażenia. Oba zarówno zagrażają życiu, w obu bowiem ruchy oddechowe zarówno są utrudnione, tętno bić przestaje, a wtedy śmierć przez zadławienie jest nieuchronną. Oba te peryody stosownie do ilości użytéj trucizny w różnéj następują mierze, przy wielkich jéj dozach skurcze są silne, tak iz niekiedy widzimy jedno tylko mocne stężenie, po którém odrazu następuje zupełne porażenie ruchów. Przy mniejszych dozach skurcze są słabsze a porażenia bezpośrednio nadchodzą. Jeżeli zaś w mniejszych jeszcze, lecz często powtarzanych zażywa się dawkach to skurczów można nawet zupełnie uniknąć i porażenie osiągnąć odrazu.

Godném jest przytém uwagi, że tak skurcze jak i porażenia bezporównania odbijają się silniéj i wyraźniéj, w ruchach mimowolnych, aniżeli w bezpośrednio woli uległych. Mięśnie więc kiszek, pęcherza, naczyń krwistych, płuc itp. w których ruchy do skutku przychodzą za pomocą włókien mięsnych *gładkich*, ulegają łatwiéj i prędzéj wpływowi nikotyny aniżeli ruchy dowolne kończyn, głowy i tułówa, poruszane masami mięśni *prążkowatych*. Z tym wszystkiém jednak nikotyna na same mięśnie nie dzieła, gdyż pomimo ich sparaliżowania przy zatruciach, prądy elektryczne bezpośrednio do nich zastosowane, skurczenia w nich wywołują.

Nikotyna nie działa także bezpośrednio na krew, chociaż wskutek jéj krążenia trucizna się po całym ciele rozchodzi. Krew wprawdzie okazuje się zmieniona i ciemna, ale jeżeli będzie wystawiona na zetknięcie z powietrzem to odzyskuje zaraz swą prawidłową czerwoną barwę, co nam jasno dowodzi, że nie przez wpływ

zmieszanéj z nią trucizny, lecz tylko przez brak utlenienia przy upośledzonym oddechu, zmienioną została. Przy zatruciach cierpią prawie wyłącznie nerwy ruchowe. Galwanizowanie ich nie wywołuje już w mięśniach odpowiednich ruchów, lecz i to ich zachowanie się nie do nich się samych bezpośrednio odnosi, lecz do zaburzenia wywołanego w sferze rdzenia pacierzowego. Jeżeli bowiem przed zatruciem, który bądź z ruchowych nerwów przetniemy, a po zatruciu dopiéro, odcięty ów od rdzenia nerw galwanizujemy to osiągniemy skurczowe ruchy w częściach ciała odpowiednich rozgałęzieniu tego nerwu, pomimo, że reszta ciała na wpływy galwaniczne nic nie odpowiada. Nikotyna zatém, pomimo że z krwią krąży i w nerw przenika, nie działa jednak na niego, lecz działa na rdzeń, od którego ów nerw został odosobniony. W razach zatrucia łagodniejszego, gdy jego objawy mniéj występują tłumnie i więcéj zostawiają nam czasu na szczegółową obserwacyą, objawiają nam się w pierwszym okresie wymioty, kurczenie się spazmatyczne kiszek, wypróżnienia stolcowe, burczenia gazów, przyśpieszenie i nieregularność bicia serca, spazmatyczny odpływ moczu, niespokojna ruchliwość członków, oraz bladość całego ciała wskutku ściągnięcia się naczyń krwistych skóry.

W drugim okresie występuje zwolnienie i osłabienie tętna, owiśnięcie członków, pot zimny, oddech zwolniony i wzdychający i bezprzytomność.

U wielu osób zaczynających palić tytoń i zanim się do niego przyzwyczają przypadłości tego rodzaju występują zazwyczaj; obserwujemy je jednakże w wyższém nierównie spotęgowaniu w razach gdzie tytoń zdrożnie użytym został jako lekarstwo. Wszakże niedawno jeszcze używano liści tytoniowych w kształcie ciepłych okładów w celu ukojenia miejscowych bolów, opatrywano nimi rany i wrzody, obmywania ich odwarem służyły przeciwko niektórym wysypkom skórnym, nakadzania tytoniem polecano przeciwko dychawicy, a enemy z odwaru lub dymu tytoniowego w celu odprowadzenia zaciśniętych kiszek w przepaklinach dotąd jeszcze nie zupełnie wyszły z użycia. Niedziwota, że to wszystko wywoływało, przy nieostrożném lub przesadném użyciu, mnóstwo zajść niebezpiecznych a nawet niekiedy śmiertelnych.

Dzisiaj zatrucia tego rodzaju są coraz rzadsze ale za to mnożą się przypadki zatruć w fabrykach tabacznych, zatrucia powolnie i nieznacznie ustrój podkopujące, chociaż i na ostrych, gwałtowną śmiercią się nieraz kończących nic zbywa. I tak np. z liczby kilku robotników fabrycznych śpiących pewnéj nocy w magazynie suszonego tytoniu, dwóch zasnęło na wieki (*Fonsard*). Kontrabandzista przemy-

cający tytoń, napchawszy go sobie pod spodnie ubranie, zaledwie nie utracił życia (*Namais*). Pewna matka idąc za radą sąsiadki, chcąca dzieci wyleczyć z robaków dała im enemy z tytoniu i wszystkie pomarły (*Depieris*). Majtek na statku połknął usypiając prymkę, którą trzymał w ustach i już się nie obudził i t. d.

Kończąc z nikotyną, wypada nam zrobić nader jeszcze ważną wzmiankę, że wszelkie doświadczenia na zwierzętach robione, oraz postrzeżenia na ludziach, dowodzą nam jasno, że nikotyna należy do rzędu tych trucizn, których działanie na organizm słabnie przy dłuższym użyciu i z czasem staje się niewinnym przez przyzwyczajenie. I tak Traube dowiódł wyraźnie zastrzykując psom nikotynę, że ażeby jeden i ten sam wywołać nią skutek, w następnych doświadczeniach trzeba było używać coraz mocniejszych stosunkowo ilości niżeli w poprzednich; spostrzeżenia zaś codzienne na ludziach stwierdzają dowodnie, że tylko początkowe palenie, silną w organizmie palącego obudza reakcyą.

Drugie miejsce w rzędzie trucizn zawartych w dymie tytoniowym zajmują wyżéj wzmiankowane ciała zasadowe szeregu pirydynowego, *pyrydina*, *pikolina*; *ludytyna*, *kolidyna* i *parwolina*, nie dawno dopiero odkryte, lecz dotąd jeszcze nie dostatecznie zbadane. Działalność ich na organizm zwierzęcy chociaż widocznie od nikotyny różna, bardzo jest wszelako do niéj zbliżona, tak, iż we wszystkich razach, gdzie nikotyna została przez spalenie zniszczona i odnaleść w dymie się nie daje, produkta te w chwili palenia powstające aż nadto zastępują jéj miejsce.

Ponieważ *pikolina* nie tylko z tytoniu lecz i ze spalenia ciał innych powstaje, np. z kory wierzbowéj z *leontodon teraxacum*, z tyndery, a nawet otrzymać ją można przy suchéj dystylacyi kości lub torfu, jéj własności mogły być zatém w zupełném odosobnieniu badane, gdy żadne nie zachodziło podejrzenie, że nikotyną mogła być zanieczyszczoną. Otóż przekonano się, że w formie pary w wysokim stopniu podrażnia błony szluzowe, wywołuje łzawienie, mocne oczów zaczerwienienie, kaszel i łechtanie w gardle. Oddech, któremu przedewszystkiém szkodzi, nawet po zastrzykaniu podskórném pikoliny staje się krótkim, trudniejszym, przyspieszonym, nieregularnym a nieraz wskutek zupełnego jego porażenia, śmierć niespodzianie następuje. Serce z początku silnie podniecone, słabnie stopniowo i w końcu porażeniu ulega, chociaż zawsze późniéj niżeli oddychanie. Przed śmiercią zjawiają się drgawki i wyprężenia spazmatyczne, od początku zaś zaraz źrenica mocno bywa skurczoną.

Pirydyna, *kollidyna* i t. d. działają prawie tak samo, drażnią zrazu a potém porażają mięśnie dowolnego równie jak i mimowolnego

ruchu, zrządzają śmierć przez zadławienie, choć nie tak obcesowo jak nikotyna. Ponieważ zaś wszystkie te ciała posiadają różny stopień lotności przy swém rozgrzaniu, zależéć więc będzie od mniejszéj lub większéj suchości tytoniu lub od mniejszego lub większego przystępu powietrza w czasie palenia, które z nich znajdzie się w dymie i swój skutek przeważniéj wywrze. I tak przy paleniu z fajki wywiąże się przeważnie w dymie znaczna ilość wiele lotnéj pyrydyny, a przez palenie cygara przeważać będzie mniéj lotna kollidyna. Wszakże każdemu palaczowi wiadomo, że jeden i ten sam rodzaj tytoniu lub jedno i to samo cygaro, inaczéj smakuje oraz inaczéj mu służy, jeżeli jest suche albo wilgotne i że ten sam tytoń inaczéj także smakuje w papierosach a inaczéj w fajce; inaczéj z fajki zatkanéj i dobrego pozbawionéj ciągu, inaczéj ze stambułki a inaczéj znów z glinianéj holenderskiéj fajeczki.

W trzecim rzędzie szkodliwości zawartych w tytoniowym dymie mieszczą się gazy jakoto: *tlenek węgla*, *gaz błotny*, *kwas pruski*, *siarkowodór*, *kwas karbolowy*, *kreozot*, *ammoniak*, *węglan ammonowy*, pochodzące nietylko ze spalenia samego tytoniu ale i owych różnorodnych zapraw czyli sosów przy fabrykacyi używanych. Gazy te głównie działają na krew i obniżają jéj stopień utlenienia, najszkodliwszym zaś pomiędzy niemi tlenek węgla, wywiązujący się zawsze w znacznéj obfitości w akcie spalenia części roślinnych przy słabym ciągu powietrza. Gazy te nie tyle są niebezpieczne dla osób przyzwyczajonych do palenia samemi tylko ustami, lecz dla tych, które się zaciągają, są do tego stopnia szkodliwe, iż niektorzy badacze niemal wyłącznie przypisywali im wszelkie złe pochodzące z nadużywania tytoniu u niepoprawnych palaczy. Wciągając w siebie owe gazy, palący znajduje się w takim niemal położeniu, jakby przy wadliwie napalonym piecu w pokoju zaczadział. Jeżeli zaś takie chociaż bardzo przelotne tytoniowe zaczadzenie często się powtarza, to działając na krwi masę, musi sprowadzać zboczenia w całym organicznym ustroju.

Zbierając krótko co o dymie tytoniowym powiedzieliśmy wypadnie, że trzy rodzaje znajduje się w nim szkodliwych dla zdrowia naszego czynników: pary nikotyny i nikocyaniny, oleje pirydynowe i gazy ze spalenia, do których dołączyć jeszcze należy cząsteczki węgla, wapna, magnezyi, potażu, z prądem powietrza porwane i nadające barwę dymowi. Wszystkie te cząsteczki mieszają się ze śliną, dostają się przez połykanie do żołądka. W tych wprawdzie razach nie są one niebezpieczne, ale jeżeli przy zaciąganiu się dostaną się do ostatecznych rozgałęzień tchawicy, to osiadają na ich

ściankach, drażnią je i nieraz uporczywych katarów płucnych stają się powodem. Toż samo odbywa się i w jamie nosowéj u osób przywykłych przy paleniu do puszczania dymu nosem, chociaż na mniéj niebezpieczną skalę.

Trzy powyższe kategorye produktów dystylacyjnych bywają zmieszane z sobą w najrozmaitszych stosunkach. Zależéć to musi od jakości samych tytoniowych liści, od fabrycznego przysposobienia a zwłaszcza od sposobu spalenia. Każdy zatém dym tytoniowy może być innym, żaden jego chemiczny rozbiór nie może posiadać ogólnego znaczenia, a samo palenie może być albo niewinném albo szkodliwém wedle okoliczności.

Jest zwyczajem w ocenianiu szkodliwości tytoniu opierać się na postrzeżeniach zatruć nikotynowych i stąd *a priori* wyprowadzać wnioski. Przywyknienie to nie zmieniło się wcale od czasu jak odkryto oprócz *nikotyny* inne jeszcze w dymie tytoniowym szkodliwe dla zdrowia składniki. Zmieniono tylko system, badano wpływ na organizm każdego z nich z osobna i złożywszy sobie ogólny pogląd działania wszystkich pospołu, przychodzono do wniosków jak tytoń powinien wpływać na ustrój człowieka. Postępowanie takie jest błędném i prowadzi koniecznie na mylne drogi, pominąwszy bowiem dopiero co wspomnianą okoliczność, że analizy dymu dostarczają nam nader różnych danych; przyłącza się jeszcze i druga, a mianowicie, że z osiągnientych analitycznych wyników można bardzo rozmaite wyciągać wnioski. Ztąd poszły zapewne nader od siebie odskakujące o wpływie tytoniu mniemania; bo gdy jedni przy jego bezprzykładném rozpowszechnianiu z podziwienia przyjść do siebie nie mogą, że rodzaj ludzki dotąd się nie wytruł do szczętu, to drudzy znów niebezpieczeństwo grożące palaczowi uważają za mrzonkę, a samo palenie za nieco kosztowną wprawdzie, ale zresztą niewinną zabawkę.

Między obu temi krańcowemi zdaniami jak zwykle prawda się w środku znajduje, lecz żeby ją odkryć, potrzeba nam wziąść się zupełinaczéj do rzeczy. Należy obserwować bezpośrednie i pośrednie skutki samego palenia, przy najrozmaitszych warunkach osobistego usposobienia palących, a potem dopiero wyciągnąć *a posterori* wnioski o stopniu niebezpieczeństwa na jakie się oni narażają. To wszystko co dotąd powiedzieliśmy o szczegółowych własnościach pojedyńczych składników dymu, będziemy uważali za drogocenny wprawdzie naukowy materyał, lecz mający nam jedynie posłużyć do objaśniania sobie ciemnych punktów bezpośredniéj naszéj obserwacyi.

Postępując tym trybem zbadać nam naprzód wypadnie, w jaki sposób dym tytoniowy działa miejscowo, to jest jak działa na owe

części, z którem i bezpośrednio się styka, a potém jak działa ogólnie w granicach tolerancyi zdrowotnéj. W dalszym ciągu dopiero wypadnie nam się szczegółowo rozpatrzéć w jego wpływach na zdrowie, po za ową granicą t. j. gdy następuje zatrucie, czyli gdy oporność ustroju naszego na szkodliwe tytoniu wpływy już nie wystarcza, ażeby zdrowie mogło się przy swojéj prawidłowości utrzymać. Że zaś zatrucie tytoniowe może być albo raptowne albo powolne, przedstawi się nam więc dwojako: pod ostrą albo pod przewlekłą formą.

(D. n.). *Dr. Szokalski.*

Nowe opracowanie literatur słowiańskich.

„Historya literatur słowiańskich“ (Istorija sławiańskich literatur) pp. Pypina i Spasowicza.—Wydanie drugie. Tom II. Polacy, Czesi, Słowacy i Łużyczanie.—Petersburg 1881, str. 449—1129 i XIX.

Trudne-to zadanie przedstawić choć w krótkości całość literatur słowiańskich, zwłaszcza gdy zważymy, że dotąd u poszczególnych narodów tego szczepu wielu bardzo zasłużonych ludzi na polu literackiém i polityczném należycie nie oceniono; a chociaż podejmowano usilne prace celem rozjaśnienia dziejów i piśmiennictwa pojedyńczych plemion słowiańskich, daleko jeszcze do tego, coby nauka zdobyć pragnęła.

Nie będziemy tu wnikać w przyczyny, wpływające jako hamulec na całą tę robotę wielkiego szczepu, bo-byśmy zanadto od naszego tematu zboczyć musieli. Nie było téż zadaniem historyka literatur wkraczać w drobiazgi téj roboty, ale zaznaczyć tylko ogólnemi wyrazistemi rysami dotychczasowy ruch umysłowy narodów słowiańskich i stworzyć jednę ogólną, harmonijną całość z gruntownem wykazaniem, w jakim kierunku posuwała się lub wybitniejsze zajęła stanowisko każda narodowość po szczególe.

W pracy takiéj potrzebném, a może i konieczném jest przeprowadzenie tych ogólnych, porównawczych linij, któremi możnaby było oznaczyć wspólne cechy i losy literatur słowiańskich, któremi możnaby było wykreślić drogi, jakiemi duch tych ludów, z jednego wyszedłszy ogniska, pod wpływem walki życiowéj zmieniał się w miarę, jak się od pierwotnego źródła oddalał.

Takie ważne zadanie winienby spełnić każdy historyk literatury porównawczéj. Nie zapuszczać się mu w drobne szczegóły, ale panować nad niemi i wydobywać z nich na pewnych i gruntownych podstawach opartą a na wzór mozajki złożoną całość.

Nie rości sobie do tego pretensyi nowo wydana praca pp. Pypina i Spasowicza, p. t. „Historya literatur słowiańskich,“ bo chociaż autorowie pojmowali dobrze to zadanie, jednakże brak specyalnych opracowań zmusił ich do porzucenia pierwotnego zamiaru. Pomimo wielu przeciwności nie zniechęcili się oni do uskutecznienia raz podjętéj pracy, a idąc za przykładem zostawionym przez dawniejszych historyków, obrobili literaturę każdego plemienia zosobna.

W obec tego może się nasunąć pytanie: Jakie ma znaczenie nowowydana „historya literatur słowiańskich?“

Każdy z nas, o ile mi się zdaje, potrafi je rozwiązać i ocenić chęć poinformowania nie tylko już samych plemion słowiańskich, ale i ciekawego Zachodu, z niedowierzaniem patrzącego na cały ruch nmysłowy najmłodszych obywatelów Europy.

Najpierw interesa słowiańskie wymagały, aby ich literatura wyszła po za granice własnych krajów, tém więcéj, że w zachodniéj prasie niedorzeczne mniemania krążą o Słowianach; w szczególności zaś w prasie niemieckiéj, która—pomimo tego że nieustannie gani „literaturę barbarzyńską Słowian“, jednakże tłómacząc słowiańskich pisarzów, przywłaszcza ich dzieła jako własne. To téż w nowo wydanéj „historyi literatur słowiańskich“ przoduje ta myśl, aby przedstawić potęgę duchową każdego społeczeństwa słowiańskiego poszczególe tak, jaką ona była i jest w rzeczywistości. Cel ten w bardzo krótkim przeciągu czasu został osiągnięty choć w części; a za dowód niech wystarczy fakt, że nowo wydaną historyą literatur pp. Pypina i Spasowicza przetłómaczono na język niemiecki, a we Francyi i Anglii zapowiedziano jéj przekłady.

Powtóre trzeba było rozszerzyć znajomość literatur słowiańskich wśród samych Słowian, którzy wzajem o sobie wiedzą niewiele. I temu celowi stało się zadość. Czesi i Serbowie przekładają dzieło wspomniane na swój język.

Na tém polega ogólna doniosłość tego dzieła. Teraz możemy przejść z kolei do literatur pojedyńczych.

Pierwsze miejsce w tomie drugim zajmuje literatura polska opracowana przez p. Spasowicza.

Niezaprzeczenie cała historya literatur słowiańskich zyskała wiele na tém współpracownictwie, niezaprzeczenie zyskała na tém bardzo sama literatura polska, która pod piórem dzielnego krytyka i znawcy bardzo jasno i wyraziście się rysuje.

Nie powodował się tu p. Spasowicz żadnemi względami—owszem wytyka on wszystkie braki i niedobory polskiéj literatury, ale również podnosi jéj najświetniejsze chwile i mistrzowskie pióro

słynnych naszych wieszczów. Nie mamy dosyć miejsca, aby zatrzymać się nad drobnemi szczegółami téj pracy, zresztą przy tłómaczeniu polskiem, które obecnie się drukuje, nadarzy się lepsza ku temu sposobność. Dziś, gdy mowa jest o historyi literatur słowiańskich, wszystkim jednakowe prawo zostawimy i stosownie do opracowania odpowiednią złożymy relacyą.

Zacznijmy więc od formy zewnętrznéj.

Każda historya literatury, dla tém lepszego i gruntowniejszego jéj poznania dzieli się na okresy, które pozwalają lepiéj oznaczyć i opracować pewną chwilę literacką. Dotąd w literaturze polskiéj trzymano się, prawie bez uwzględnienia wymagań nauki, podziału, jaki w swéj historyi, napisanéj przed siedemdziesięciu blisko laty nakreślił Bentkowski. P. Spasowicz poszedł wogóle za tymże podziałem, chociaż w szczegółach zaprowadził cenne ulepszenia.

W literaturze polskiéj jedyny okres, który mógłby pozostać bez zmiany, gdyż piśmiennictwo nie jest w nim jeszcze rozwinięte, to okres „łaciński“ czyli, jak go nazwał p. S. „starożytny.“

W epoce „Złotego Wieku“ koniecznem jest już zaprowadzenie subtelniejszego podziału, gdyż inaczéj mnóstwo różnorodnych talentów nie da się należycie określić. Pomiędzy początkiem a końcem złotego wieku jakaż zachodzi różnica! W początku wzrasta literatura i bardzo szybko rozwija się aż do Kochanowskiego, potém słabnie i tylko jeden Skarga, jako geniusz świeci w grupie podrzędnych talentów pisarskich.

Jeszcze gruntowniejszych zmian potrzebuje następny okres. Od Bentkowskiego autorowie podręczników historyi literatury, nazywają okres od roku 1606 albo 1622 „makaronicznym“ a przecież w poezyi tego wieku nie ma wcale makaronizmów oprócz w paru satyrach Opalińskiego. Wprawdzie w prozie jest ich aż zanadto, lecz i tu znajdujemy autorów, jak np. Birkowskiego, Prażmowskiego, Młodzianowskiego u których wada ta zbyt silnie nie występuje, a znów inni jak np. Pasek pomimo makaronizmów, stylem swoim świetnie się odznaczyli i niejednego z pisarzów Zygmuntowskich pod tym względem przewyższyli. Otóż więc potrzeba wyróżnić takie talenty i ugrupować je tak, aby można łatwiéj objąć cały stan umysłowy tego okresu. I rzeczywiście jeżeli się wpatrzymy tu głębiéj, to niezawodnie rozróżnimy trzy wyraźne grupy, bardzo różniące się poczęści przewodnią myślą a poczęści stylem i formą. Do pierwszéj z nich można zaliczyć wyżéj wymienionych prozaików a z poetów umieścić takich jak Wacław Potocki, Morsztyni, Kochowski i inni. Druga grupa objęłaby wszystkie duchowne jezuickie panegiryki, odznaczające się przesadnym i napuszonym stylem. Trzecia zaś z Konarskim Wacła-

wem Rzewuskim, Jabłonowskim i Drużbacką na czele, mogłaby stanowić przedświt następnego okresu, a nawet do niego być włączoną. Co się tyczy określenia grup owych pod względem czasu, to nie można wymagać, aby pomiędzy niemi ustalić ścisłe chronologiczne granice. Jedna taka grupa poetów i pisarzy może się co do czasu rozwijać przy dwu następnych, albo przy połowie następnych, albo przez połowę poprzedniéj i połowę następnéj, stosownie do myśli zawartych w pozostałych piśmiennych zabytkach.

Rozumiał to dobrze p. S. i próbował już użycia grup podobnych, i tak, w okresie Poniatowskiego zaznaczył on literaturę sejmu czteroletniego i czas przejściowy po trzecim rozbiorze Polski, który trwa aż do roku 1822.

Przy okresie Mickiewicza, zaznaczonym przez autora od 1822 do 1863 r. rozróżnia i bardzo słusznie dwie grupy literackie: *emigracyjną i krajową*, a czas od roku 1848 do 1863 nosi osobną nazwę; „Ostatni odblask polskiego romantyzmu na własnéj ziemi."

Ten podział jest oryginalnym pomysłem p. Spasowicza, gdyż przed rokiem 1865 (kiedy po raz pierwszy pracę jego ogłoszono) nie znajdujemy go w żadnéj historyi literatury naszéj. Wprawdzie Bartoszewicz, opowiadając dzieje romantyzmu w Polsce, miał podobny podział na myśli, ale go konsekwentnie nie przeprowadził.

Tak więc p. S. choć w cząstce przyczynił się do określenia subtelniejszego podziału historyi literatury polskiéj. Wejrzyjmy teraz wewnątrz i rozpatrzmy się, jak są opracowane jéj dzieje.

Jak w ogóle historyi literatur słowiańskich p. Pypina tak i u p. Spasowicza bardzo szczupło traktowane są okresy starożytne, czyli łacińskie. Zaledwie autor wspomniał coś o początku roczników, potém nie wymieniając, jakie i gdzie istniały, odsyła wprost czytelnika do źródłowego opracowania p. Zeissberga. Za krótko téż traktował o Długoszu i Koperniku, jak również nie określił jasno stanowiska uniwersytetu krakowskiego i nie przedstawił nam jego znaczenia w narodzie, rozpoczynając dzieje akademii krakowskiéj dopiero od roku 1400. Warto było uwzględnić i *Studium generale*, które Kazimierz Wielki już w roku 1364-ym otworzył i zabezpieczył jego dochody na żupach wielickich.

Pominąwszy drobiazgowe szczegóły, zaznaczymy, że w historyi literatury polskiéj XVIII wieku pominiętą została jedna z wybitniejszych postaci. Mówię tu o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiéj. Wszakże nie powinno się jéj lekceważyć, raz jako pierwszéj u nas na polu literackiém przedstawicielki pracy kobiecéj na szerszą skalę, powtóre że tak znaczne zajęła stanowisko w XVIII stuleciu. Natomiast słuszne autorowi należy się uznanie za wprowadzenie do hi-

storyi literatury naszéj Marcina Matuszewicza jako wielce charakterystycznego pamiętnikarza.

Im więcéj posuwamy się ku bliższym nam czasom, tym samodzielniéj i staranniéj literaturę polską widzimy opracowaną. Okres Poniatowskiego posiada już postacie zupełnie wykończone. Do takich można zaliczyć Krasickiego. Bardzo dokładnie traktuje téż autor działalność i czasy komisyi edukacyjnéj i sejmu 4-letniego. Jedna postać została tylko nie uwydatnioną tak, jak na to zasługiwała. Jest nią Julian Ursyn Niemcewicz, człowiek niepospolitych zdolności i wszechstronnéj pracy, niestrudzony publicysta i wytrawny szermierz pióra. Zasurowo téż obszedł się może autor i z Kniaźninem mieszcząc go wpośród trzecio-rzędnych poetów... Jeżeli zarzucaliśmy autorowi niedokładne przedstawienie działalności w pierwszych wiekach uniwersytetu krakowskiego, to teraz z przyjemnością zaznaczyć możemy, że dokładniéj zajął się wyjaśnieniem znaczenia uniwersytetu, założonego w Wilnie. Rzeczywiście pod piórem p. Spasowicza w paru ogólnych rysach ożył on, a z nim, naczelni jego mistrze: Śniadeccy, Lelewel i wielu innych. W paru téż ogólnych rysach przedstawił usiłowania uniwersytetu warszawskiego. W szczególności zaś staranną i prawdziwą ocenę znalazł tu jeden z główniejszych profesorów téj szkoły—poeta Kazimierz Brodziński. P. S. podniósł jego wykłady o literaturze, wykazał sumienną pracę, któréj tak gorliwie oddawał się autor „Wiesława“—w przeciwstawieniu do współczesnego mu Osińskiego, który szczycił się w swoim czasie powszechną popularnością, pomimo że prace jego nie odznaczały się: ani znajomością rzeczy, ani gruntownemi studyami, gdyż Osiński był deklamatorem, przywiązującym więcéj wagi do swojéj wymowy, niż do głębszego pojęcia i obrobienia przedmiotu.

Zbliżamy się do czasów najnowszych. Połowę prawie swojéj książki poświęca p. S. okresowi Mickiewicza. Nie bez gruntownych samodzielnych studyów przedstawia nam i życiorysy i działalność trzech naszych wieszczów. Nie będę wspominał tutaj, jakim trudnościom podlega u nas obrobienie tego peryodu. Ogrom rozrzuconego materyału po różnych pismach, odnoszącego się do nienapisanych jeszcze monografij o Mickiewiczu i Krasińskim, nie jest dotąd zebrany i historyk musi dopiéro szukać go i z cząstek sklejać całość. Pomimo to p. Spasowicz wywiązał się bardzo szczęśliwie i trafnie z tego trudnego zadania. Jasno rozwinął on obraz pierwszych chwil twórczości Mickiewicza, uwzględnił młodzieńcze jego lata, przedstawił stosunek miłosny z Marylą—rozebrał krytycznie „Dziady“ i wy-

czerpnął choć w części to co dało się zużytkować w tak szczupłym podręczniku.

Toż samo i z Krasińskim. Mniéj popularny, a więc i mniéj krytycznie opracowany niż Mickiewicz, mógł tylko więcéj sprawiać trudności. Szczęśliwszy pod tym względem był Słowacki—opracowanie dokonane przez p. Małeckiego mogło wielce autorowi ułatwić podjętą pracę.

Kiedy mówimy już o tryadzie wielkich naszych poetów, a zatém o głównych przedstawicielach literatury emigracyjnéj, niech mi wolno będzie zaznaczyć jedno spostrzeżenie rzucone przez p. Spasowicza w przedmowie, a mające bezpośredni związek z całą tą literaturą. P. S. utrzymuje, jakoby poezya emigracyjna była główną przyczyną powstania roku 1863. Gdyby p. S. położył był główny nacisk na to, że wypadki roku 1863 miały wiele pozoru i formy romantycznéj, to nie miałbym nic przeciwko temu, ale żeby poezya miała wywołać powstanie narodu?.. Na to z pewnością potrzeba było o wiele silniejszych czynników niż poezyi, aby niemi popchnąć masy do tego ruchu.

Przy tryadzie naszych wieszczów nie zapomina autor o drugorzędnych talentach i niejednokrotnie zwraca swoję uwagę na tych poetów, wykazując, w jakim związku pozostawali z poprzednimi. Uwzględnia on poezye Zaleskiego, Goszczyńskiego, podnosząc je wysoko. Jakże w zestawieniu z nimi słabnie tu postać Stefana Garczyńskiego, autora „Dziejów Wacława.“ Garczyński po macoszemu a podobno niezasłużenie traktowany jest przez wielu nowszych krytyków, którzy mu zwykle zarzucają nieoryginalność, ba i jeszcze coś gorszego! P. S. robi spostrzeżenie w ślad za prof. Tarnowskim, że „Wacław“ powstał z kombinacyi „Ody do Młodości“ „Walenroda“, „Dziadów“ 3-éj części. Na to określenie zupełnie-bym się nie zgodził; Wacław jest prędzéj dzieckiem obcém, wyrosłém pod wpływem kombinacyi „Manfreda“ i „Fausta.“ Z pierwszego zapożyczył Garczyński wiele myśli, któremi tłómaczy przez przyrównanie do roślin swoję miłość ku siostrze—z drugiego formy, a nawet przekopiował dwie bajki. Pomimo to wiele w nim jest prawdziwie pięknych oryginalnych myśli, a chociaż młody Wacław jak Gustaw, jak Werther, jak Manfred, zawsze szalony, szalony—bo młody; niepewny siebie nie ma określonego charakteru, a błąkając się po świecie szuka prawdy, któréj znaleść nie może; to jednak mimo tych wszystkich usterek, ma zalety niepowszednie. Wreszcie na obronę poety winniśmy przytoczyć to jeszcze, że mamy tylko pierwszą część tego utworu. Możeby ten słaby Wacław przeszedłszy, jak Dante piekło, próbę życia, stał się dobrym i dzielnym wodzem lub uczonym człowie-

kiem. Prawda nie mamy końca—ale powinniśmy zwrócić uwagę na inne utwory młodego poety. Zostawił on „sonety wojenne,“ bardzo wzniosłe, bardzo harmonijne, które powinny wpłynąć na względniejszą ocenę wcześnie zmarłego pisarza.

Takiemu nastrojowi krytyki ośmieliłbym się zarzucić niewłaściwość poglądu na Pola i jego „gawędy.“ Prawda—Pol w świecie uczonym nie może się ubiegać z trzema naszemi wieszczami, nie może nawet równać się z niektórymi drugorzędnymi poetami, jak np. z Malczewskim; ale pomimo to Pol jest koniecznym w naszéj literaturze XIX wieku, zdobył on sobie to stanowisko na jakim stanął tak silnie Rej w XVI stuleciu. Są-to dwie postacie bardzo do siebie zbliżone. I pierwszy i drugi ma swoich osobnych „szlacheckich“ zwolenników, dla nich pisze i dla nich pozostaje jedynym nieoszacowanym poetą. Za czasów Pola wielu było jeszcze ludzi i na potém ich nie zbraknie, którym do serca nie będzie przemawiała filozoficzna poezya Krasińskiego, lub fantastyka Słowackiego i kiedy wykształcona na pensyi panienka powróciwszy do domu, będzie się napawała prześliczną, wzniosłą i idealną poezyą trzech naszych wieszczów;—starzy ze łzą w oku będą zawsze wczytywać się w „pieśń o ziemi naszéj“—a proste, fantazyjne lubo tylko fantazyą szlachecką zwroty, zrozumiałe i przystępne, niepotrzebujące natężenia umysłu, wywrą niezawodnie wrażenie na średnich umysłach podobne do tego, jakie wywierają najcelniejsze utwory europejskich poetów na młodéj poetycznie usposobionéj dziewczynie.

W literaturze wiele bardzo potrzeba uwzględniać, porównywać i badać, nie mierząc jedną miarą wszystkich zarówno kierunków, bo jeśli w XIX wieku weźmiemy np. do ręki jakąkolwiek ludową gazetkę a zechcemy na podstawie porównania z większemi pismami codziennemi z nią się rozprawić za jéj tendencyjnosc lub ciasny pogląd, nie uwzględniając, że ona była pisana dla nieoświeconych prawie czytelników: to popadniemy w ten sam błąd, jakiego się dopuszcza krytyka mierząc różnorodne talenta jedną miarą.

Jakkolwiek jednak będziemy się przypatrywali pracy p. Spasowicza, to zawsze, stosunkowo do obecnego stanu piśmiennictwa, książka jego będzie jednym z najlepszych jednotomowych podręczników, który będąc doprowadzony prawie do ostatnich czasów, pomieścił w swoich obrębach chociaż krótką wzmiankę o piśmiennictwie polskich Szlązaków, Mazurów i Kaszubów.

Z kolei wypada nam pomówić o Czechach. Pierwsi organizatorowie państwa słowiańskiego, pierwsi obrońcy i pierwsi męczennicy w walce z żywiołem germańskim, walce, którą wiedli w obronie własnych, a zatém w obronie słowiańskich interesów, byli-to mniéj

więcéj osiedli na dzisiejszém terytoryum Czech—Słowianie zachodni, formujący dawne państwa Samona i Wielkiéj Morawii, które wkrótce zlały się w jedno, mające za zadanie stawić opór groźnym przeciwnikom słowiańszczyzny.

Ta walka wielce wpłynęła na wyrobienie samodzielności narodowéj, ta walka wywołała czasy Husa, ta walka rozwinęła Czechów i wyrobiła w nich nie tylko stały, nieugięty charakter, ale oprócz tego rozwinęła ich tak świetnie, że dziś już nic nie jest w stanie zgnębić téj siły raz rozbudzonego ducha.

Już od samego początku, nawet w rzeczach duchownych nie obeszło się bez walki. Chrystyanizm wkroczył do Czech dwiema drogami: pierwsza była szerokim gościńcem wiodącym od strony Niemiec—druga wąską ścieżynką, prowadzącą z oddalonego Bizancyum. Tą drożynką właśnie rozeszły się między Czechami obrządki kościelne, odprawiane w języku słowiańskim. Nie długie jednak było ich powodzenie. Tu, również jak na Morawach, duchowieństwo niemiecko-łacińskie wcześnie je wyparło, a jedynemi ich śladami—pozostała pieśń duchowna: „o Hospodynie,“ kilka ustępów głagolickich i sławna Ewangelia Rheimska, którą odnoszą do téj epoki, kiedy żywioł słowiański istniał w kościele czeskim.

Wcześniéj jednakże od tych zabytków natrafiamy na inne, od których zwykli Czesi rozpoczynać historyą swojéj literatury. Mamy tu na myśli wszystkie nowo-odkryte przez czeskich uczonych rękopismy. Autor „historyi literatury czeskiéj“ p. Pypin bardzo obszernie traktuje kwestyę dawnych zabytków, swoim jednak zwyczajem, przedstawia on tylko sądy wszystkich uczonych czeskich i niemieckich, nie przechylając się stanowczo ani na jednę ani na drugą stronę.

Wiadomo, że wszystkie te rękopiśmienne zabytki od pewnego czasu uległy zakwestyonowaniu. „Sąd Libuszy“, epopeja z przedchrześciańskiego życia czeskiego, „Pieśń na Wyszehradzie“, „Królodworski rękopism“ „Pieśń miłosna króla Wacława I-go“ wreszcie „*Mater verborum*“ (słownik łacińsko-niemiecko-czeski) i „Disciplina et doctrina gymnasii Gorlicensis,“ kawałki tłómaczenia ewangelii:—oto szereg zabytków, które, jeśliby były rzeczywistemi, dałyby niezawodnie prawo Czechom i literaturze czeskiéj do osiągnięcia pierwszorzędnego stanowiska w początkowych dziejach literatur słowiańskich. Ale niestety, spory uczonych trwają jeszcze ciągle. Sami Czesi kwestyonują ich rzeczywistość, a chociaż niektórzy bronią dzielnie pomników piśmiennych swojéj przeszłości wobec napadów rozpoczętych przez obcych uczonych; jednakże nie są w stanie wszystkich

tych rękopismów od poczynionych zarzutów uwolnić. Najsławniejsi czescy filolodzy Dobrowski i Kopitar, jeszcze w roku 1824 stanowczo oświadczyli, że „Sąd Libuszy“ i wyjątki z „Disciplina“ są podrobione. Przy oponentach stanął dziś czeski uczony Aleksander Szembera.

Do pierwszych dwóch uznanych za podrobione dołączono potém „Pieśń na Wyszehradzie“ i „Pieśń miłosną króla Wacława“ pomimo silnéj obrony braci Ireczków, a w końcu roku 1877 kustosz czeskiego muzeum Patera wykazał i udowodnił podrobienia w „Mater verborum“ na podstawie zawartych tam wyrazów, z których tylko jedna trzecia część pochodziła z dawnych, inne zaś w późniejszych dodano czasach. Cały ten spór bardzo interesujący przedstawił p. Pypin w historyi literatury czeskiéj dosyć szczegółowo i z zachowaniem wielkiéj oględności.

Mniéj szczęśliwie, przy obszerném traktowaniu rzeczy, został przedstawiony ruch husycki w Czechach. Autor najpierw nie wykazał ani punktów wiklefowych ani stosunków i wpływu Wiklefa na Husa, a tém samém nie uwydatnił nam różnicy między temi dwoma nowatorami. Z pracy p. Pypina o czasach husyckich dowiadujemy się, że Hus wykładał Wiklefowe zasady, że je objaśniał, ale nie wiemy doprawdy, o co chodziło Wiklefowi, a tém samém i Husowi. Wprawdzie dowiadujemy się, że nie tylko sam Hus, ale już i jego poprzednicy: Tomasz ze Sztitna (ur. 1325, zm. 1400 r.) i Maciej z Janowa starali się o wydźwignięcie pierwiastku narodowego; ale cała ta walka, głównie religijna, zatarty ma charakter i rozpatrywana jest przeważnie z punktu widzenia narodowościowego.

Tak jednak nie było. Wystąpienie Husa wywołało walkę, która zawrzała srodze i niezawodnie zostawiła głębsze rysy nie tylko na czeskiém społeczeństwie. Owe tezy Wiklefa, w których występował przeciwko zwierzchnictwu papieża, przeciwko rozwiązłemu życiu duchowieństwa, ślubom klasztornym, bezżeństwu, transsubstancyacyi, spowiedzi, zakonom z jałmużny utrzymującym się i t. p. wykładane w Czechach nie były to kwestye narodowe, któreby mogły pozostać w obrębie kraju czeskiego. Ruch umysłowy husycki uważają zwykle historycy jako silny czynnik obudzenia drzemiących umysłów. Jeżeli Hus potrafił wpływem swoim ograniczyć prawa 5.000 obcych studentów, przy ówczesnych ich prerogatywach; tak, że zniechęceni musieli opuścić Pragę; to z pewnością prąd nowy musiał być bardzo silny. W pracy p. Pypina, pomimo iż wiernie i dość obszernie podane są fakty, obraz całego owego ruchu nie zostawia po sobie odpowiedniego wrażenia. Wreszcie nie wykazał autor wpływu husytyzmu na Polskę, a jednak był on znaczny.

Po upadku walki husyckiéj, słusznie p. P. zwraca uwagę na literaturę czeską „złotego wieku“ zaznaczając że ona twórczością poetycką wcale się nie odznaczyła.

Toż samo, a raczéj bez porównania gorzéj dzieje się w trzecim okresie. Upadek, do którego tak przyczyniła się przegrana białogórska, odbił się w całéj literaturze. Przedstawicielem jéj pierwszorzędnym jest niezmordowany Jan Komenski. Dopiéro po tym okresie ogólnego upadku, kiedy jeszcze większe plagi spłynęły na Czechy, ruch umysłowy ożywił się. Historya i inne nauki zaczęły się rozwijać szybko. Wielu bardzo zdolnych ludzi wzięło udział w walce o samodzielność czeską. Nauka i poezya odrodzona, wzrastając z niesłychaną szybkością i energią, przedstawiają zajmujący temat do studyów nad całą tą epoką odrodzenia narodowego. Bardzo starannie wykończony, chociaż nużący niejaką jednostajnością traktowania autorów, obraz tego odrodzenia, aż do najnowszych doprowadzony czasów, kończy dzieje literatury czeskiéj.

Praca p. Pypina o literaturze czeskiéj wywołała w Czechach oburzenie w pewnéj części prasy. Młoda prasa uznaje się za pokrzywdzoną a tém samém jest wielce oburzoną na swoich współzawodników pióra „wlastenców“ (1).

Jako gałąź plemienia czeskiego uważani są Słowacy, których język wiele ma podobieństwa z czeskim. Zamieszkują oni południowe stoki Karpat i otaczają z północo-zachodu węgierską monarchią. Jest-to lud bardzo pojętny i dzielny, czego dowodem może być, że wydał ze swego łona takich mężów jak Szafarzyk i Kollar. To téż od stu lat toczy się tam usilna walka o narodowy język; czy jednak Słowacy osiągną pożądany skutek, trudno dziś rozstrzygać, to pewna tylko, że założona „Matica“ szczyci się wielkiem powodzeniem i corocznie wychowuje zastęp młodych ludzi, dbałych o swą mowę.

Podobnymże ludem pod względem politycznego i geograficznego położenia są Serbo-łużyczanie, lud liczący dzisiaj ledwie 162.000

---

(1) Co się tyczy podziału na okresy, p. Pypin zachował oddawna przyjęte cztery okresy, a mianowicie: *pierwszy* do roku 1410, *drugi* do roku 1620, *trzeci* do 1774, i *czwarty* do naszych czasów. Niedawno temu Karol Tiftrunk, najnowszy historyk literatury czeskiéj, przy drugiém wydaniu jéj dziejów zredukował okresy do trzech: *pierwszy* trwający do roku 1410, *drugi* do połowy XVIII wieku, do czego spowodowało autora bogate rozwinięcie prozy ale zarazem upadek literatury poetyckiéj; i *trzeci* okres, obejmujący najnowszą literaturę. Czesi przyklasnęli temu podziałowi, ale na zapytanie—czy on jest dostatecznym, z pewnością przeczącą dałbym odpowiedź, gdyż taki fakt, jak wydalenie języka ze szkół i urzędów, jest faktem wielce doniosłego znaczenia i może stać się powodem do rozdzielania okresów—a im dokładniejsze zachowamy podziały, tém łatwiéj nam będzie określić daną epokę i uwydatnić w niéj myśl przewodnią piśmiennictwa.

główw. Jednakże z każdym rokiem rozwija się coraz bardziéj ich samodzielność narodowa za pośrednictwem „Maticy“ mającéj siedzibę swoja w Budyszynie.

Literatura obudwóch tych szczepów dość obszernie jest traktowaną w całości literatur słowiańskich.

Pozostaje nam teraz podać ogólny sąd o tym obszernym podręczniku. Postaramy się skreślić go w paru słowach: Jeżeli forma całego podręcznika nie jest jeszcze taką, jaką pragnie osiągnąć nauka, to przynajmniéj treść jest wynikiem długoletnich i mozolnych studyów, i stanowi wyborny materyał do dalszéj porównawczéj pracy. Widzą to autorowie rozumieją i oczekują z niecierpliwością téj chwili, kiedy z różnorodnych narodowych tkanin można będzie sporządzić szatę wzorzystą, czyli mówiąc bez przenośni, kiedy na podstawie monografij, można będzie ułożyć książkę, któraby była nietylko zbiorową historyą pojedyńczych literatur słowiańskich, ale także historyą powszechną literatury słowiańskiéj.

Przy końcu dzieła znajdujemy osobny rozdzial zatytułowany, „Odrodzenie“.

Nim jednak przystąpię do rozebrania ogólnego tego wyniku, powstałego z długoletnich studyów nad literaturą słowiańską, niech mi będzie wolno powiedziéć parę słów o autorach téj pracy.

P. Spasowicz jest to człowiek silnéj woli i gruntownéj nauki. W sądzie swoim jest on bezstronny, jak Czelakowski; w pojęciu rzeczy— daleko widzący i otwarty, jak Staszyc. Mieliśmy niejednokrotnie sposobność poznać go pod tym względem z pism jego i prelekcyj.

P. Pypin różni się wielce od p. Spasowicza sposobem pisania: więcéj jest oszczędny w swoich sądach, a mniéj żywy i barwny co do stylu, spokojnie i kategorycznie spisujący wyniki swoich wytrwałych a systematycznie prowadzonych studyów; pod względem tendencyi jest niewątpliwie do p. Spasowicza wielce zbliżony. W Wiestniku Ewropy“ z roku 1880 pomieścił on artykuł p. t. „Kwestya polska w literaturze rosyjskiéj“ a za bezstronne obrobienie przedmiotu gwałtownym sposobem został przez pewne organa prasy rosyjskiéj dotknięty—a jeszcze przy pierwszém wydaniu historyi literatur słowiańskich był obwołany za „*polonofila*“ przez niektórych swoich spółziomków. Aby nie narażać się ni swoim, ni cudzym, a jednakże dać ujście myślom swoim, zestawia on niedorzeczności skrajnych rosyjskich panslawistów, a skupiając tak cały szereg zdań sprzecznych poucza, jak nieoględne są wymagania tych wszystkich uczonych i niby-uczonych.

Między innemi przytacza on i ustępy z prac p. Łamanskiego, z których jeden i my, aby dać lepiéj poznać te skrajne dążności,

w przekładzie podajemy:—„Aby otrzymać wspólną polityczną siłę, Słowianom potrzebny jest wspólny polityczny i literacki język; aby odpierać cudze wpływy, potrzeba wpierw Słowianom potęgi duchowéj i moralnéj. Tę potęgę, która ma im dopomódz do utworzenia silnego narodu, może dać im tylko przyjęcie rosyjskiego języka, jako języka wykształconego i prawdziwie literackiego. Tylko tym sposobem mogą ani sobie zdobyć silny punkt oparcia, około którego mogą zebrać swoje rozerwane siły. Wprowadzenie rosyjskiego języka posunie naprzód i inne dążności zachodnich i północnych słowian, pogodzi walkę plemion i da sposób zwyciężenia obcych, silniejszych narodów. Przedewszystkiém mogliby przyjąć rosyjski język Serbowie i Bulgarzy, jako język naukowy, zachowując—przypuśćmy (!) swój w rządzie i sądownictwie, w literaturze poetycznéj i książkach ludowych, po nich i inni Słowianie. Rosyjski naród powinien pomódz w tém swoim „biednym i słabym współbraciom“, od których odróżnia się przeważną zewnętrzną potęgą i bogactwem duchowych sił.“

Takie nie uzasadnione, wbrew prawom natury, pojęcia, rozpowszechniają się u rosyjskich panslawistów! Ciasne więzy jednostronnych zapatrywań nie pozwalają im wniknąć w następstwa. Brak szerszego poglądu spycha ich w ciemną nizinę, z któréj prócz ścian okalających nic nie można widziéć!

Zaślepieni w swoich poglądach, nie patrzą zupełnie na dane historyczne fakty, nie umieją rozróżnić co jest możebném lub niemożebném, co jest prawdziwém lub nieprawdziwém. A przecież gdyby zastanowili się nad dziejami ogólnéj cywilizacyi, nie przyszliby zpewnością do takich wniosków.

Narzucić obcy język wykształconemu społeczeństwu, czyż to możebne?..

Wszakże Słowianie zachodni znajdowali się niejednokrotnie w bardzo przykrém położeniu. Czesi od najdawniejszych czasów musieli ciągle bezpośrednio walczyć z silniejszym daleko germańskim żywiołem. Na podobneż próby byli narażeni Serbo-łużyczanie, a nie na mniejsze Polska w podziałach po Krzywoustym, kiedy germanizm na dobre w niéj się zagospodarzył i bałkańscy Słowianie przed nawałą mongolską. Wszyscy jednak pomimo silnego parcia obcego żywiołu zachowali swój język i swoję kulturę w tych czasach, kiedy jeszcze ani poczucie narodowości, ani nauka, ani historya nie miały takiéj przeszłości jaką dziś posiadają.

Wprawdzie przyjęcie języka rosyjskiego to tylko życzliwa rada p. Łamańskiego i spółki, która ma na celu osłanianie słowiańszczyzny od podobnych nieprzyjemności — ale rada ta jest mrzon-

ką wykombinowaną w idealném pojęciu rzeczy u pana Łamanskiego. Wszakże Słowianie zachodni, tak zresztą jak inne narody Europy zachodniéj, mieli już raz u siebie zaprowadzoną silną cywilizacyą: była nią cywilizacya łacińska, tém groźniejsza, że długi czas jedyna, ogólno-europejska, która miała zupełne prawo, a nawet i warunki po temu, aby zdobyć sobie to, co dziś autor rosyjskiemu językowi przeznacza. A jednak cywilizacya ta, któréj tyle zawdzięczać można, gdyż wniosła oświatę i uporządkowała państwo, nie miała tyle siły, aby wyrugować daleko niżéj stojące w kulturze języki narodowe; i wtedy, kiedy zdawało się, że już do najświetniejszych doszła rezultatów, kiedy rozbudzony zapał do utworów klasycznych porywał ukształconych; wtedy właśnie języki narodowe zaczęły sobie wywalczać stanowisko obok języka przez tyle wieków w kościele i państwie panującego.

Cóż tego było przyczyną?

Toż właśnie ta narodowość, którą tak lekceważy p. Łamanski, zapominając, że ona jest tym czynnikiem, tą niezwalczoną nigdy potęgą...

Wszakże każdy trzeźwo myślący może łatwo zrozumiéć, że już nie będzie takich okoliczności, że już nie będzie tak silnego czynnika, działającego w myśl ogólnego zjednoczenia się narodów, jakim był kościół i jego cywilizacya tak rozpowszechniona i tak ogólna w wiekach średnich.

Ludzie wykształceni — zdaje się — nie mogą inaczéj sądzić jak na podstawie historycznych danych, gdyż idąc za wodzą fantazyi w swych rozumowaniach zabrną tak daleko, że potém trudno już do prawdy powrócić. To téż p. Pypin przeglądając dzieje powszechne—w szczególności zaś dzieje umysłowego stanu Słowiańszczyzny—zupełnie inaczéj zapatruje się na te sprawy. Widzi on niedorzeczność poglądów u skrajnych rosyjskich panslawistów i jako dowód żywotnéj duchownéj siły zachodnich Słowian dał swoim ziomkom, wraz z p. Spasowiczem, sumienną pracę.

Nie miota się on jednak, ale przeciwnie stara się o jasne przedstawienie rzeczy, a przepatrując i zestawiając rozmaite dążności panslawistów, przychodzi do pewnych wniosków i stawia odpowiednie zapytania.

Zapewne—mówi on—odpowiadając na wnioski p. Łamanskiego—przyswojenie jednego języka naukowego w Słowiańszczyźnie przyniosłoby korzyści, ale, jaka nadnaturalna siła byłaby w stanie zawładnąć tym narodowym pierwiastkiem i zmusić w szczególności Zachodnią Słowiańszczyznę do przyjęcia języka rosyjskiego (str. 1113).

Wszakże—mówi daléj p. Pypin, rozpatrując ogólne dzieje znaczniejszych języków—rosyjski język ogromne w ostatnich czasach zrobił postępy, ale czy może się równać z francuskim, niemieckim i angielskim? czy może jak one zająć pierwsze miejsce pomiędzy naukowemi europejskiemi językami? Zapewne, że może—ale mu jeszcze do tego daleko, gdyż, aby język rosyjski mógł być językiem europejskim, potrzeba najpierw, aby zasłużył to sobie naukowemi badaniami i oryginalną zupełnie literaturą, która przy dzisiejszych warunkach zawsze pozostanie pod wpływem literatury niemieckiéj, a tém samém przyjęcie rosyjskiego języka, przy jego nieoryginalności, przez Zachodnich Słowian staje się tém więcéj niemożebném. Albo téż rosyjska literatura powinna wznieść się do tego stopnia, na którym mogłaby swobodnie pracować dla dobra ogólnego i wtedy można będzie pomyśléć o naszéj popularności.“ „Nie widzieć tego—jest to dobrowolnie zamykać oczy na fakty rzeczywiste“ (str. 1116). „Dziś—mówi daléj p. Pypin—przy tych warunkach żadnéj podstawy do zdobycia tego berła niech nie rości sobie, gdyż niektóre ze słowiańskich języków dostatecznie mogą wystarczyć, jako języki wykształcone, do wypowiedzenia myśli np. czeski i polski: u Czechów w tak krótkim czasie wykształcił się, chociaż bardzo sztuczny, lecz wielce rozwinięty literacki język, którym oni tém więcéj się szczycą. O polskim nie ma co i mówić!“

Nawet sam pan Pypin, pomimo tego, że jest Rosyaninem, nie należy do téj partyi, co z każdego Słowianina pragnie zrobić Rosyanina, a z każdego słowiańskiego kraju—Rosyą. Pan Pypin rozumie to dobrze, że każda narodowość, każde społeczeństwo nie żyje dla tego, aby mówić jednym ogólnym urzędowym językiem, tylko aby żyć tam, dokąd wiedzie własna cywilizacya i dokąd wrodzone usposobienie dąży. Pan Pypin rozumie i to dobrze, że nie naród dla rządu, nauki i literatury jest stworzony, ale rząd, nauka i literatura dla narodu. Tak więc za odpowiedź skrajnym rosyjskim panslawistom niech starczy to, że dziś przeszedł już, o ile się zdaje, zarówno czas namiętnych walk religijnych, jak czas uprzedzeń narodowych. Dziś ludzkość do czego innego dąży. Umie ona oceniać naukę i duchowe jéj zasoby, a do rozgłosu uczonych nie potrzeba koniecznie Słowianom ogólnego literackiego języka. Nauka potrafi ocenić ich dążności i potrafi sobie przyswoić ich badania. Nam pozostaje dbać pierw o koszulę niż o sukmanę.

Zabierzmy się więc bez fanatycznych uroszczeń do rozpowszechnienia cywilizacyi wewnątrz, żeby przedstawiciele słowiańszczyzny nie byli ową bańką mydlaną, w któréj powierzchownie tylko odbijałaby się gra kolorów całego świata, lecz któréj by próżni wew-

nętrznéj niczém niepodobna było zapełnić. Jeżeli więc chcemy rozbudzić życie prawdziwie słowiańskie, dajmy równouprawnienie każdemu zosobna słowiańskiemu społeczeństwu, a wtedy panslawiści rosyjscy nie będą narzekać na brak znajomości Rosyi i jéj kultury u obcych Słowian, a obcy Słowianie będą wiedzieli, że ich „współbracia" prawdziwie interesują się nimi i prawdziwie pragną ogólnego dobra i rozwoju wszéj słowiańszczyzny. Jedynie ustrój federacyjny—polityka, jakiéj się chwyciła ostatnimi czasy Austrya, ten kraj złożony z mozajki, może zebrać słowiańszczyznę około jednego centrum.

Ale jakże jeszcze do tego daleko!... Dosyć będzie przytoczyć fakt taki, jak brak katedry literatury polskiéj w uniwersytecie warszawskim, jak wykluczenie języka narodowego zarówno z najniższych jak i z najwyższych szkół w królestwie...

Przedstawiliśmy tu dążności skrajnych żywiołów i staraliśmy się zaznaczyć, jakie stanowisko wobec téj rozdmuchanéj walki zajęli p. p. Pypin i Spasowicz w swojém dziele, w którém zestawiali różne zdania i różne historye słowiańskich literatur, jako dowód żywotności poszczególnych słowiańskich społeczeństw. Może choć w części rozjaśni ono zaślepione umysły, zwracając je na drogę bezstronnego sądu i głębszéj rozwagi nad faktami dziejowemi życia ludzkiego. W każdym razie dzieło to będzie pomnikiem pracy sumiennéj, a w gorszych chwilach może stać się przypomnieniem rozumnych rad i spostrzeżeń, które w niém są podane przez trzeźwych i bezstronnych myślicieli.

Wiktor Czajewski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

1. Przekłady obcych poetów. Warszawa r. 1878. 8-o 155 str. 2. Pieśni Petrarki, objaśnieniami i przypisami opatrzone przez Felicyana. Warszawa r. 1881. 8-o 298 str.

Kiedy przed dwoma z górą laty ukazała się w handlu księgarskim pierwsza z wymienionych dwóch książek, wziąwszy ją do ręki, mimowolnie zadałem sobie pytanie: jaki cel miał Felicyan ogłaszając dziełko tak różnorodnéj treści i kolorytu? Przekłady, jakakolwiek będzie ich wartość, nie mogą chyba liczyć na czytelników, jeżeli nie dają im pewnéj organicznéj całości. Tłómaczenia Odyńca mają odbyt nietylko dlatego, że według powszechnéj opinii są wzorowe, lecz jeszcze bardziéj dlatego, że podają w całości utwory obcych pisarzów. Mogą więc zaspokoić ciekawość, obudzić szerszy interes i w ten sposób popularyzują to, co w obcéj szacie pozostałoby dla większości czytelników „ziemią nieznaną.“

„Przekłady obcych poetów“ Felicyana nie posiadają téj cechy utylitarnéj. Na 155 stronicach znajduje tu czytelnik tłómaczenie z 14 poetów, począwszy od Hezyoda aż do Musseta i Bérangera; obok dydaktyki i epiki, lirykę i dramat, a większość w drobnych, oderwanych fragmentach. Urywki pojedyńczych scen z Szekspira, drobne wiersze kilku nowszych poetów, stanowią najmniéj ponętną część książki dla czytelnika. To co tłómacz w większych podał wyjątkach, wzięte z pisarzów dawniejszych lub starożytnych; to sfera zbyt oddalona, aby się nią ogół czytający mógł zaciekawić.

Z tych samych względów zbiorek powyższy niewiele zawiera wdzięcznego materyału i dla krytyka. Dlatego-to może książka przeszła prawie niepostrzeżenie, lubo znany powszechnie talent tłómacza złożył i tutaj dowody niezbite, że się do przekładów wybornie nadaje. Szczególniéj warto zaznaczyć pewną świeżość formy, w jaką przyoblekł przekłady ze starożytnych klasyków (Hezyoda, Horacyu-

sza, Wirgiliusza i Iuwenalisa). Dawniejsi tłómacze pedantycznie trzymali się w tym razie długich aleksandrynów z rymem nieprzeplatanym, co oczywiście musiało nużyć czytelnika wodnistą jednostajnością.

Siemieński w przekładzie Odysei postąpił sobie swobodniéj: obrał wiersz krótszy, i jeżeli tłómaczeniu jego można to i owo zarzucić, to z pewnością nikt źródła owych usterek nie będzie szukał w wierszu jedenasto-zgłoskowym.

Felicyan postąpił podobnież i nie powiem, żeby na tém przekład jego co stracił. Owszem, czytając czy to listy Horacyusza, czy satyry Juwenalisa, mimowoli zapomina się, że się ma do czynienia z dawnemi pisarzami, gdyż przemawiają tokiem mowy nie tylko starożytnéj, lecz i nowożytnéj zarazem, dzisiejszéj.

Niektóre prace mają przedewszystkiém tę zasługę, że są pierwszemi próbkami spolszczenia starożytnych klasyków. Hezyoda „Prace i dnie“ dotychczas—jeżeli się nie mylę—nie były tłómaczone wcale (Krasicki przekładał prozą); na czele „Przekładów“ spory z nich znajduje się wyjątek. Innych klasyków posiadamy po kilka nawet tłómaczeń, a co ważniejsza, całkowitych. Zasługa więc Felicyana jest tu znacznie mniejsza; z tém wszystkiém, pominąwszy już owę świeżość formy, przekład celuje przed innemi siłą, jędrnością i dosadnością wyrażeń, a cechy te, jak wiadomo, stanowią wybitne zalety klasyków. Listy Horacego, których znajduje się więcéj niż połowa, dwie satyry Juwenalisa—stawiam na pierwszém miejscu nie dlatego, żeby miały być lepiéj przełożone niż Georgiki Wirgiliusza, lecz dlatego, że tych podał tlómacz zaledwie pieśń I-szą i to z dosyć licznemi opuszczeniami.

Jakkolwiek tylko pobieżnie dotykam téj książki, zmierzając do rozbioru najnowszéj pracy tłómacza, nie mogę przecież pominąć milczeniem kilku innych drobniejszych przekładów, które tu znajduję, bo ze wszechmiar zasługują na wzmiankę. Mam tu na myśli dwa hymny religijne Jacopona da Todi (*Stabat mater*) i urywek z Boskiéj komedyi Dantego (Czyściec z pieśni XI), tłómaczony tercynami. Przekład ten uważam za nader szczęśliwy i wdzięczny, a nawet wolny od tych usterek, jakie spotykają się dosyć często w innych wyjątkach. Zarzut ten szczególniéj dotyka przekładu klasyków; tu wiele wyrazów wstawionych dla rymu niepotrzebnych, a co gorsza niezręcznych i niepoetycznych:

To czyż od wszelkich lichych trosk daleki
Nie lepszy dla mnie spokój *co się zowie* (Horac. List. VI)

lub: W skrzepłéj się toni pławić w mróz *okrutnie* (Hor. List. XV).

Podobne przysłówkowe wyrażenia zarywają nieco na rubaszność, zwłaszcza jeżeli się powtarzają często w stopniu najwyższym widocznie dla rymu:

Cóż rzec o takim, który siew odbywszy
Rozkrusza w sposób *jak najuporczywszy*
Zlepione ziemi grudki... (Wirg. Georg.);

podobnież: W Epirze
Źrebce się rodzą *jak najmocniéj* chyże (Wirg. Geor.).

Otóż nic podobnego niéma we wspomnianym fragmencie Boskiéj komedyi. Gdybym chciał z pedantyczną ścisłością oceniać wierność przekładu pod względem wyrażeń pojedyńczych—co w alegorycznym i paryfrastycznym utworze Dantego nie jest bez wielkiego znaczenia—zarzuciłbym tłómaczowi pewną dowolność w niektórych wierszach; usprawiedliwia go przecież nader trudna forma tercyny, do któréj język każdego tłómacza z trudnością nagiąć się potrafi. Licznych w téj mierze dowodów dostarczają tłómacze niemieccy; było ich wielu, a przecież dotychczas żaden nie zadowolnił krytyki wszechstronnie, lubo miał na usługi język bez porównania giętszy od naszego. Dowolność więc pewna jest tu nieunikniona i tam tylko podlega zarzutowi, gdzie zmienia lub zaciera myśl oryginału. Pod tym właśnie względem muszę zaznaczyć parę błędów, których można by nie zauważyć w pobieżném czytaniu; lecz gdyby czytelnik chciał oceniać każde wyrażenie, znalazłby się w kłopocie: jak wytłómaczyć obecność Salvani Provenzana w czyścu, skoro „ten czyn oczyścił w czyścu Provenzana?" Oryginał brzmi inaczéj: Questa opera li tolse quei confini (ten czyn usunął z przed niego owe zapory), to jest uwolnił go od przygotowania się w przedsionku do pokuty czyscowéj. Omowne zaś tłómaczenie:

Cavalcantemu tak wziął Guinicelli
Języka berło z rąk.

(zamiast: jeden Guido wydarł z rąk drugiemu) jest z gruntu błędne, bo w rzeczywistości było odwrotnie: Guido Cavalcanti, współczesny Dantemu poeta, prześcignął starszego Guidona Guinicelli.

Pominąłbym te kilka drobiazgów, gdybym miał za zadanie mówić tylko o drobnych fragmentach tłómaczonych przez Felicyana. Lecz że uwagi, które mi ten ułamek nasunął, będę musiał zastosować i do innéj poważniejszéj pracy tegoż tłómacza, biorąc rzecz więc z ogólniejszego stanowiska, miałem prawo nieco się dłużéj nad podobną drobnostką zatrzymać. Otóż przechodząc do owéj pracy— a jest nią świeżo wydany przekład pieśni Petrarki, na samym po-

czątku zaznaczyć muszę jednę właściwość stylu p. Felicyana. Jest-to ów staropolski koloryt języka, który w wielu razach dziwny ma dla nas urok i powagę.

Nie zawsze przecież z jednakiém powodzeniem można się nim posługiwać. W rzeczach poważnych jest zupełnie na swojém miejscu; dlatego-to przekłady z poetów starożytnych i Dantego nic na takim stylu nie tracą; owszem, zyskują. Dawni wieszcze, przyodziani w staropolską szatę, nie pozbywają się fizyonomii starożytnéj, imponują sędziwą postawą. Inaczéj rzecz ma się, jak sądzę, z liryką, nie z ową liryką starożytną, co zawsze powściągała się refleksyą, lecz z liryką ludów nowożytnych. Mogła ona być również poważną, a mimo to zawierała w sobie coś lekkiego, a w najgorszym razie coś ruchliwszego i powiewnego. Téj właśnie powiewnéj ruchliwości uczucia, język staropolski wiernie oddać nie może: jest za ciężki, za sztywny trochę. Przynajmniéj tłómaczenie Felicyana w ogólności sprawia takie wrażenie. Nie tyle mu wszakże szkodzą przestarzałe wyrazy, ile zawiły szyk mowy, co dla dzisiejszego czytelnika znacznie utrudnia zrozumienie myśli. Liryka jako wyraz uczucia, powinna przemawiać wprost do uczucia czytelnika, nie wymagając po nim namysłu. Na podobnéj operacyi umysłowéj traci wiele sama świeżość i przejrzystość liryki. Przekład Felicyana ma właśnie tę niedogodność; że częstokroć rzecz zaciemnia. Któż naprzykład bez pewnego wysiłku zrozumie ten ustęp:

Ta (tj. Laura) znów z umysłu raz mi drzwi odchyli,
A ja—któż zechce wiarę dać téj rzadkiéj
Cnocie? mam jednak w niebie na to świadki—
Żem być swobodnym nie chciał ani chwili. (*son. 56*).

Lub ten drugi:

Jak ćma ku własnéj śmierci mknąc, w godzinie
W któréj ku świécy nęci tego śpiocha
Światłość, zabójcza zwykle dlań macocha,
Bez niczyjego żalu w wieczność spłynie;
Tak ja, w tych oczu patrząc blask jedynie,
W których się na śmierć dusza moja kocha,
Działam jak własny wróg, bo istność płocha
Od tego, czego żąda, marnie ginie. (*son. 110*).

Gdzieindziéj znowu:

Więc uciec z pola, jak ten, ma nadzieję,
Którego jeśli boleść nie zabiła,
Już mu nie zada śmierci żadna siła. (*son. 119*).

Albo: Więc choć zaszczytem płonnym pewnie będzie
Twa we mnie ufność (w czém być możesz w błędzie,
Gdyż człowiek rzadko zdrowy wzrok posiada),
Jak najżarliwiéj, z czystych cnót pobudki,
Ku niebu dążyć—oto moja rąda. (*son. 206*).

Te i tym podobne zawiłości, których mógłbym przytoczyć bardzo wiele (szczególniéj w sonetach: 261, 262, 268, 306, 307, 311), niekiedy ciągną się od początku do końca (np. 49).

Nie będę twierdził, że jest to winą tłómacza; owszem usprawiedliwia go poniekąd ciemny, mglisty sposób wyrażania się samego oryginału. Tłómacz chciał tu zapewne być tylko wiernym oryginałowi i tok polskiéj mowy naginał do misternéj tkanki sonetów włoskich. Lecz w tém właśnie — według mego zdania—pobłądził nieco. Usprawiedliwiałoby go to zupełnie, gdyby pod innemi, bardziéj wewnętrznemi względami nie przekładał oryginału swobodniéj.

Tymczasem właśnie stało się przeciwnie. Zawiłość i mglistość pieśni Petrarki wypływa głównie z tego, że poeta osłania się tkanką alegoryi i szczególniejsze ma w niéj upodobanie.

Szczegóły życia, a ściśléj mówiąc, szczegóły swego stosunku do Laury (jeżeli on istniał kiedykolwiek?) zawsze omawia i zaciemnia. Właściwość-to wieku tj. ówczesnego smaku, któremu i Dante hołdował; a jak dla Petrarki jest-to zarazem cechą jego charakteru i stosunku do autora Boskiéj Komedyi. Tę więc alegoryczność jego pieśni należało jak najbardziéj szanować i jak najwierniéj oddawać. Tłómacz przecież pozwolił tu sobie daleko więcéj swobody niż w toku mowy. Najprzód tedy wiadomo powszechnie, że Petrarka unika w pieśniach imienia Laury; kilka zaledwie razy mówi o niéj wyraźnie; natomiast nazywa ją albo po prostu Donna, lub Madonna, albo co najwyżéj pozwala sobie dobierać takich wyrazów, których brzmienie zbliża się do jéj imienia. (*Lauro*—drzewo laurowe, *l'aura*—powietrze). Tłómacz jest daleko mniéj dyskretny; nie szanuje tajemnicy serdecznéj poety i nazywa Laurę po imieniu bez żadnego skrupułu.

Podobnież rozwiewa i wiele innych obsłonek alegorycznych, zacierając w ten sposób nader wymowną cechę liryki poetów Odrodzenia. Zadałem sobie nieco trudu, aby wykazać jak dalece pod tym względem tłómacz od ścisłości był daleki; w kilku przykładach postaram się zarzut ten unaocznić, trzymając się wydania i komentarzy *Biagioli* (Paryż. 1821).

Zacznę od pojedyńczych wyrażeń, które także w poezyach Petrarki ważną odgrywają rolę. Tak np. w kilku miejscach oryginału wyrażenia *quella sorda* (s. 29), *ch'a null' nom perdona* (s. 80) tłómacz demaskuje, używając wyrazu: śmierć; *fra la rugiada e l'gielo* (kanz. 25)—pogodny ranek; *signor nostro* (s. 146) — Amor; *un vivo fonte* s. 195)—niebiańska moc, i wiele innych. W przytoczonych tu przykładach usunięcie alegoryi nie jest wprawdzie zbyt znaczące; lecz (bywają wypadki, że podobne zaniedbanie zmienia sens, albo czyni

z alegoryi nic nieznaczące wyrażenie. Oto dla przykładu weźmy baladę 4-ą, gdzie zamiast wyrazów *selva* (las) i *a mezzo il giorno* (w południe) znajduję: *rozstaje* i *póki pora jeszcze.* Wyrazy powyższe są żywą reminiscencyą z Dantego i omawiają poetycznie to co tłómacz oddał wprawdzie zrozumialéj, lecz pospolicie i nie w duchu ówczesnéj poezyi. W baladzie zaś 7-éj wiersz:

Del mio cor, donna, *l'una e l' altra chiave*
Avete in mano

oddany został:

I serce moje trzymasz w twojéj dłoni.

Tu wyrażenie: *jeden klucz i drugi* (życia i śmierci) zostało opuszczone, na czém straciła nietylko dosadność frazeologiczna, lecz i wierność kolorytu, gdyż wyrażenie to jest upodobane przez Petrarkę.

W innych znów miejscach te same usterki utrudniają zrozumienie, lub, co najmniéj, rozcieńczają myśl oryginału: Pominięcie drobnego napozór szczegółu, lub mniéj dokładny przekład wyrażenia może już zaszkodzić. Oto np. w sonecie 3-m mała niedokładność zmieniła dosyć ważny szczegół spowiedzi sercowéj Petrarki w nic nie znaczący frazes. Poeta opowiada tu, jak głęboko rozmiłował się w Laurze, gdy ją pierwszy raz ujrzał w kościele. Było to w Wielki Piątek (r. 1327). Tymczasem z przekładu:

W ten dzień, któremu Bóg, promiennéj treści
Przez litość ujął, najniespodziewaniéj
Won dzień zostałem pojman.

trudno się domyśléć, że to jest dzień jakiś określony; niepodobna nawet zrozumiéć, dlaczego mu Bóg przez litość ujął promiennéj treści? Tymczasem jeżeli zajrzymy do pierwowzoru, to alegoryczna definicya Wielkiego Piątku jest dosyć wyraźna: Był to dzień, kiedy przez litość dla swojego stwórcy zbladły słońca promienie (1).

W sonecie znów 94 w tłómaczeniu znajduję:

Gdyby się tobie (skało Wokluzy), w Rzym zwracając oko,
Do *Awinionu* stać plecami chciało.

Wierniéj i trafniéj bez żadnego wysiłku mógł to samo oddać nie zmieniając Babilonu na Awignon, co ostatecznie znaczy jedno i to samo, lecz zaciera koloryt, a nawet misterną symetryczną budo-

(1) Era 'l giorno ch'al sol si scoloraro
Per la pietà del suo fattore i rai.

wę sonetu. Nie bez przyczyny nazwał tu Petrarka Avignon Babilonem; w innych pismach swoich ze względu na panujące w nim zepsucie często używa téj saméj przenośni. Tu zaś ma ona jeszcze głębsze artystyczne znaczenie, jak na to wskazuje wyrażenie *per natura schiva* (w przekładzie opuszczone). Przeciwstawienie ustronnych skał Wokluzy Babilonowi i to *per natura schiva*—przybiera etyczny charakter. Lubowanie się w alegoryach dochodzi u Petrarki do nużącéj przesady, to prawda, lecz jak-to zwykle bywa w podobnych razach, każde niemal słowo jest jakby odważone i stanowi część integralną całości. Pominięcie jednego takiego wyrażenia (niekiedy nawet wyrazu) w przekładzie, łatwo może myśl pierwowzoru zepsuć, chociaż pozornie, w ogólności wszystko wydaje się wiernem. Czytając początek kanzony 24-téj.

Raz, gdym stał w oknie méj samotni cichéj.
Takie mi dano dziwne widziéć rzeczy,
Jakich nie bywa wśród słonecznéj chwały.
Łania nadbiegła, wdziękiem swym przepychy
Wszelkiéj postaci przechodząca człeczéj...

możnaby twierdzić, że myśl oryginału oddana została wiernie. Bliżéj się przypatrzywszy łatwo się przekonać, że w szczegółach tak nie jest. Najprzód wiersz trzeci („jakich nie bywa wśród słonecznéj chwały“) nie oddaje tego, co mówi poeta, że samo ich (to jest: tylu nowych rzeczy) oglądanie zmęczyło go wielce; owa zaś łania (tj. Laura) jak brzmi oryginał—ukazała się z *prawéj strony*, jako anioł dobry, że tak powiem,—jako wielbicielka cnoty. Druga zwrotka téj saméj kanzony, która w inny tylko sposób opiewa alegorycznie życie i śmierć Laury, daje wyraźnie do zrozumienia, że Laurę sprzątnęła grasująca podówczas tak zwana Czarna śmierć, którą poeta wyobraża pod postacią nagłéj burzy, co zerwała się od wschodu, wskazując tém kierunek, w jakim posuwało się zniszczenie. W tłómaczeniu znajdujemy. „W tem znagła burza się zrywa,“—prosty, zwyczajny obraz nic więcéj!

Wykazując te i tym podobne usterki w przekładach Felicyana, nie chciałbym popaść w podejrzenie jakobym pedantycznie chciał mieć przekład dosłowny, a więc jednostronny, mechaniczny. Daleki jestem do tego! Chciałem tylko zaznaczyć, że od tak utalentowanego tłómacza, jak Felicyan, pragnąłbym mieć tłómaczenie o ile można doskonałe, wzorowe, co byłoby tém pożądańsze, że nieprędko bodaj doczekamy się drugiego. Duchem i formą śpiewak Laury jest tak daleki od dzisiejszych wyobrażeń estetycznych i potrzeb psychicznych, iż nie każdy poeta będzie w jego pieśniach smakował, ani się do przekładu całkowitego zabierze, zwłaszcza w obec niezmier-

nych trudności, z jakimi musiałby walczyć. Pomimo więc drobnych niedokładności, przekład Felicyana nabiera w naszéj literaturze wielkiéj wartości, najprzód jako całkowity. Czytelnik polski, który nie może lub nie zechce szperać w łamigłówkach oryginału, otrzymuje Petrarkę, przybranego w polską szatę przez znawcę i zdolnego wersyfikatora. Istotnie, jeżeli dzisiejszym poetom zarzucamy pospolitość rymów, to p. F. tą pospolitością nie grzeszy. Jego wersyfikacya razi natomiast innemi przywarami, które szczególniéj niemile brzmią w przekładzie wymuskanego i śpiewnego Petrarki. A najprzód szczególniejsze upodobanie w użyciu przysłówków, jak to zaznaczyłem już wyżéj; niekiedy owe zwroty przysłówkowe sprawiają bardzo nawet nieprzyjemne wrażenie, mają w sobie coś pospolitego, niepoetycznego.

Niechby, zawzięcie krwi niejednéj chciwa,
Ostatnim drgnąwszy ciosem już, cięciwa
Pierś mi rozdarła choćby *jak najwściekléj!* (*Son.* 29)

Mniéj przykro brzmi:

Wraz ją usłyszysz rozgłoszoną *świetnie* (*S.* 32)
Jestże stan szczęścia wielki tak *szalenie* (*kanz.* 11)
(Chwilę), gdym przez cię spłonął *najogniściéj* (*S.* 163)
Idę, w mych rymach biegły *najboleśniéj* (*S.* 263)

i wiele innych.

Gdzieindziéj znowu znać widoczne naciąganie rymu:

Bywa zuchwały zwierz *we wzroku względzie* (*S.* 17)
Na szczęście pocisk, co tak silnie *dziobie* (*S.* 141)

niekiedy nawet z pewnym gwałtem dla poprawnych form gramatycznych; np.

Krwi własnéj szczodry Bóg mię Mój *pochwyca* (*S.* 308),
Wzrok tylko mocno się *upracowywa* (*S.* 94).

Tłómacz, oczywiście, pomimo wielkich zdolności rymotwórczych, pomimo szczerego rozmiłowania się w przedmiocie, nie miał tyle już cierpliwości, aby wszystkie szczegóły opracować i wygładzić zupełnie. Snać doznawał w tém trudności nieprzezwyciężonéj, gdyż jak wiadomo—nad przekładem pracował lat wiele. Bardzo często uniknął podobnych usterek rymowych, które rażą ucho,—lecz i tu niezupełnie szczęśliwie, gdyż: albo wpada w prozaiczność, albo wsuwa wyrazy i całe zdania całkiem własne, lub też rozwlekle i przesadnie oddaje to, co oryginał wyraża krótko i z większą prostotą:

Jak może życie rządzić mojém ciałem,
Gdy oddalony duch się *w niém nie święci?* (*S.* 13).

Oryginał brzmi zwięźléj:

Come posson queste membra
Dello spirito lor viver lontane (1).

Proste i naturalne wyrażenie poety:

E, perchè naturalmente s'alta
Contra la morte ogni animal terreno

w przekładzie brzmi przesadnie:

I gdy się duch mój przeciw temu miota,
Jakbądź to droga do wiecznego święta (*S. 39*).

Pierwszy wiersz brzmi niewiernie; drugiego zaś nie usprawiedliwi żadna przekładnia, gdyż w całym sonecie napróżnoby go szukać.

Skądinąd znowu i to dodać winienem, że w wielu miejscach nietylko pojedyncze wiersze, ale całe nawet ustępy daleko trzymają się od oryginału. Znalazłem kilka sonetów przełożonych tak swobodnie, iż zaledwie poznać w nich oryginał (*sonet 152*, *155*, *156*, *69*).

Wszystkie te i tym podobne usterki i niedokładności sprawiają, że „Pieśni Petrarki" w przekładzie Felicyana nie mogą być uważane za arcydzieło tłómaczenia. Sam wreszcie styl tłómacza, jakkolwiek czysty, nie jest zbyt potoczysty, ani harmonijny. Posiada on wielką jędrność, lecz przez to samo jest zaostry jak na pieściwego śpiewaka miłości.

Nie wynika stąd przecież, aby owoc długoletniéj pracy nieposiadał znacznych zalet. Owszem; mógłbym wskazać bardzo wiele miejsc takich, którym nic prawie zarzucić nie można. Wszystkie wogóle sestyny udały się najlepiéj; swobodniejsza budowa wiersza pozwoliła tłómaczowi trzymać się bliżéj oryginału, bez owych forsownych naginań myśli do rymu, które szczególniéj w sonetach rażą najczęściéj, zapewne dla tego, że jest ich najwięcéj. Misterne kanzony jakkolwiek oczywiście nie wolne od zarzutów, mniéj w przekładzie straciły, niektóre nawet możnaby przytoczyć jako przykład nader szczęśliwego przezwyciężenia wszelkich trudności. Mam tu na myśli kanzonę 29 do Matki Boskiéj, gdzie mojém zdaniem, tłómacz z największemi łamał się trudnościami. Jest ona zbyt długa, abym tu ją w całości podawał; przytoczę jednak choć jednę zwrotkę dla przykładu:

Panienko święta, wszelkiéj pełna łaski!
Coś przez przedziwne Twéj pokory dzieło
W niebo jest wzięta i tam uwielbiana,—
Z Ciebie świętości źródło w świat spłynęło!

---

(1) Jak mogą te członki żyć zdala od swéj duszy.

Z Twojego łona słonecznemi blaski
W ten wiek pochmurny jasna dnieje zmiana!
W Tobie trzy słodkie w jedno zbiegły miana:
Dziewicy, Matki i Córy!
Tyś panią króla jest, który
Krwią swą wykupił ludzi z pęt Szatana,
Że im dziś szczęście i swoboda błoga.
O! w świętéj krwi owéj zdroje
Weź serce moje, Wybranico Boga!

I między sonetami mógłbym, oczywiście, wskazać wiele takich, które wiernie oddają myśli oryginału. Nie mogę jednak zbyt wiele zabierać miejsca na cytaty; poprzestaję więc na ogólném zaznaczeniu (46, 65, 104, 113, 121, 128, 131, 142 184 i wiele innych), dodając, że jeżeli większość sformułowanych powyżéj zarzutów szkodzi całości, to w pojedyńczych ustępach prawie wszędzie znalazłoby się coś godnego uznania.

Edward Grabowski.

Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich, dotyczących rzeczy polskich (do końca roku 1877) zestawił *Edward Jelinek.*—Kraków 1879, 8. str. 42.—Osobne odbicia z Rozpraw i Sprawozdań Akademii Nauk Wydziału Filologicznego tomu VII.

Znany literackim kołom i publiczności polskiéj, pragski współpracownik naszych pism i dzienników, w niniejszéj pracy po krótkim wstępie, poświęconym rysowi wzajemnych historycznych i literackich stosunków między Polakami i Czechami i wzmiance o kilku główniejszych uczonych czeskich, którzy w niedalekiéj nazbyt przeszłości zasłużyli się narodowi swemu pracą około odrodzenia się umysłowego w Czechach życia i którzy owe literackie stosunki z polskimi uczonymi podtrzymywali, podaje nam wykaz wszystkich prac, odnoszących się do Polski, jakie literatura czeska posiada, podzielony na trzy następujące grupy: w pierwszéj mianowicie wykaz dzieł i artykułów alfabetycznie ułożony według nazwisk ich autorów; w drugiéj artykuły bezimienne w alfabetycznym również porządku według najgłówniejszych mniéj więcéj w tytule wyrazów; w trzeciéj zaś wykaz rozmaitych kilkunastu druków z XVI i jeden z XVII stulecia.

Z radością witając niniejszą pracę, jako utwór czeskiego pisarza w języku polskim wydany i jako potrzebny i na czasie będący nabytek dla literatury naszéj, który nietylko tak Polakom jak i Czechom, na literackiém polu pracującym, ale i szerszéj publiczności czeskiéj dogodną będzie wskazówką do zasięgnięcia bliższych wiado-

mości o bratnim narodzie, i zupełne uznanie wypowiadając autorowi za wydanie jéj, nie możemy się powstrzymać od kilku uwag, tyczących się głównie sposobu, w jaki autor wywiązał się z podjętego zadania.

W pierwszéj grupie wykazu przy niektórych tytułach znajdujemy uwagę autora: „spis samostatny“, niewiadomo dla czego podaną w czeskim języku, gdy tytuł, przedmowa itd. są w polskim; ktoś nie dobrze znający język nawet przy pomocy słownika mylnie może tę uwagę zrozumiéć, mianowicie, że to jest „dzieło samodzielne“ (tj. nie plagiat, kompilacya lub coś podobnego), tymczasem zaś rozumiéć należy, że to jest „dzieło oddzielnie wydane“ (tj. nie odbitka lub przedruk); dodatek ten zresztą zdaje mi się zupełnie zbytecznie w wielu miejscach dodany, bo jeżeli podane są miejsce i rok wydania bez wzmianki o czasopiśmie, w którém by się znajdował dany utwór, to każdy będzie wiedział, że to musiało być dzieło osobno wydane; również terminy takie, jak „měsičnik,“ „časopis“, „tydennik“ albo nawiasowe uwagi autora: „narodopisny článek,“ „přehledy časowé“, „historycké pojednani“, „jazykozpytny článek“, „literarni rozbor spodobiznou básnika,“ „zpráva“, „cestopis“ itd. itd. również należało podać w polskim a nie w czeskim języku. Zauważyć się daje w téj grupie pewien brak konsekwentnego porządku w ułożeniu, tak np. na str. 17—18 pod nazwiskiem Jireček podana jest naprzód jedna praca Hermenegilda, następnie dwie prace Józefa, potém znowu dwie Hermenegilda a wreszcie jedna Józefa; dzieła jednego autora są bardzo często wymienione, nie tak jakby należało, w ścisłym chronologicznym następstwie ich wydania: np. prace Szafarzyka podane są w takim chronologicznym porządku a raczéj nieporządku: 1838, 1835, 1834, 1835, 1833, 1842, 1852, 1837. Przy niektórych ogólnych tytułach wypadało bliższe podać wiadomości o treści lub zawartości dzieł a specyalnie zaś wspomniéć o tém, co one zawierają odnoszącego się do Polski, bo np. co do Franciszka Dworskiego: „Některé zprávy starši k dějinam slovanskym“, z tytułu nie możemy się domyśléć, co ta zawiera, jest tam tymczasem do historyi polskiéj tylko jeden, jeżeli mię pamięć nie myli, dokument lub literacki zabytek, a mianowicie: „Zrcadlo královstvi polského“ (z r. 1557, przegląd kandydatów do tronu z wyliczeniem ich wad i zalet).

W drugiéj grupie również brak konsekwencyi spostrzedz można; że tak np. artykuł „Rozjimani o hudbě pro Slovany“ nalażało podać pod literą H. a nie S. artykuł „Bičovani čarodějnie v Polsku“ pod literą C, „*Svatba* w Polsku“ pod literą S itd.; takie artykuły jak np. „Zpominky na Wolyn, Polesi a Litwu“ powinny być także pod literami P. i L. nie tylko pod W. lub też zamiast tego odpowiednie

odnośniki; jest to zresztą brak prawie nie dający się uczuć z powodu niewielkiéj obszerności pracy.

Trzecia grupa, nie zbyt odpowiednio zatytułowana: „Piśmiennictwo dawniejsze“ (czemu np. nie „Druki z XVI wieku“ lub t. p.) nie zupełnie zdaje mi się na miejscu: mogłoby się bez niej obejść po włączeniu druków bezimiennych do drugiéj a tych, których autorowie są znani, do pierwszéj grupy. Jeżeli zaś autorowi podobał się taki podział—co chyba tylko przerwą między staro—a nowo-czeską literaturą objaśnić sobie możemy,—to 1) odpowiedniejszém byłoby ułożyć te druki w chronologicznym według wydań porządku, 2) co jest rzeczą bardzo ważną, nie przy dwóch tylko ale przy wszystkich podać źródło, z którego autor wyczerpał o nich wiadomość i 3) zanotować w których bibliotekach znaleźć by je mógł ten, ktoby chciał się z nimi poznajomić. Nie na miejscu również jest tu wiadomość o jednym tylko *rękopiśmiennym* zabytku Euzebiusza Osowskiego, gdyż nadto 1) autor nie podaje tytułu dosłownie ale tylko treść i to na podstawie niedokładnego źródła (Boczka, bez zatytułowania dzieła i stronnicy); dokładny długi tytuł zaczyna się od wyrazów: „Poznamenani cesty...“ i podany jest całkowicie w dziele Dudika „Mährens-Geschichtsquellen; 2) jeżeli autor miał zamiar włączyć do téj bibliografii i rękopiśmienne nie drukowane jeszcze zabytki, to trzeba było podać wiadomość i o innych, jak np. „Zadost krále franckého etc.“ (Karola IX do stanów polskich o koronę dla Henryka Walezyusza) polityczno-polemicznym utworze z początku 1573 przeciw francuzkiéj kandydaturze, znajdującym się w archiwum krajowém w Berlinie (1).

Na końcu „Bibliografii“ znajdujemy uwagę, że obejmuje ona, obok dzieł osobno wydanych, artykuły, rozsiane po czasopismach literackich i że „czasopismów (tak!) politycznych tym razem nie rozpatrywano“; tymczasem w spisie spotykamy wspomniane krytykę Baudouina de Courtenay o pracy Bělaka „Mluvnice polská s příklady“ i parę politycznéj treści artykułów Havlička, które były drukowane w gazetach „Posel Prahy“ i „Národni noviny.“

Co się wreszcie języka polskiego tyczé, to widzimy, że autor przyswoił go sobie bardzo dobrze i, o ile z poprzednich jego pism sądzić można, ciągłe w tym kierunku robi postępy; tu i owdzie jednak spotykają się jeszcze zdania lub wyrazy, niezgodnie z duchem i zasadami naszego języka lub niezręcznie użyte, jak np. na str. 5.

---

(1) Ten zabytek i dyaryusz Osowskiego po raz pierwszy wydane będą w drugiéj części moich „Źródeł czeskich do historyi Polski w latach 1572—1590“, które wkrótce w druku się ukażą.

„A im smutniéjszy obraz okazywało własne łono...“ str. 8: „gdyż w nich (tj. czasopismach) historya, polityka, literatura i życie towarzyskie Polski znalazło staranne, pilne od dobrych pisarzów opracowanie;“ str. 4 użyto wyrazu „obecność“ zamiast „teraźniejszość,“ str. 5, 6, 7 „zjawisko“ zamiast „objaw“ str. 7 „nabytkiem literatury“ zamiast „nabytkiem dla literatury,“ tamże: „ile na natchnionego piewcę“ zamiast „ale jako natchnionego piewcę“ i kilka innych mniéj ważnych.

Autor przygotowuje do niniejszéj bibliografii, jak nam wiadomo, dodatki, które zapewne obejmą dzieła i artykuły od roku 1878 wydane, jak również te, które tu opuszczone zostały (np. W. W. Tomka: „Snahy domu rakouského o nabyti koruny polské w XVI stoleti“). Oprócz tego życzymy, sobie, aby autor w owych dodatkach podał także spis czasopism, które wyczerpywał, wraz z zaznaczeniem miejsca i lat, w których wychodziły lub wychodzić zaczęły; albowiem tytuły czasopism nie zawsze należycie dokładnie są cytowone (np. „Památky“ zamiast „Archeologické památky“) i ponieważ np. pod cytowanym często tytułem „Květy“—trzy czasopisma wychodziły lub wychodzą w Czechach. W tych dodatkach powinny także znaleść miejsce i przekłady z polskiego języka na czeski (tutaj podano tylko dwa: historyi polskiéj L. Siemieńskiego przez Rittersberga i „Ustava a řád byvalé Polsky“ przekład z „Gwiazdki Cieszyńskiéj“), gdyż ważną rzeczą dla naszych historyków literatury będzie wiedziéć, co zostało na czeski przetłómaczone, a wykaz np. pojedyńczych utworów naszych poetów, w przekładach po czasopismach czeskich osobliwie z ostatnich lat dosyć gęsto rozsianych, nie będzie także bez znaczenia dla charakterystyki obecnego kierunku poezyi czeskiéj.

Teodor Wierzbowski.

— Podjęte przed kilku laty pod kierunkiem prof. Struwego a nakładem p. Lewentala zbiorowe wydanie **Dzieł Józefa Kremera** dobiegło właśnie końca. Całość składa się z tomów dwunastu. Dwa pierwsze mieszczą w sobie *Wykład systematyczny filozofii*; tom trzeci z kolei zawiera *Nowy wykład logiki* (po raz pierwszy z rękopismu wydany, a opatrzony 54-ma drzeworytami w tekscie); tom czwarty i piąty obejmują *Listy z Krakowa*; od tomu szóstego do jedenastego włącznie ciągnie się *Podróż do Włoch* (z licznemi drzeworytami); tom dwunasty wreszcie jest zbiorem *Pism pomniejszych* w liczbie dziewiętnastu. Zaznaczyć należy wielką staranność redakcyi; prof. Struwe nie żałował zachodu, ażeby zgromadzić wszystkie porozpraszane

po rozmaitych czasopismach i osobnych broszurach rozprawy Kremera, ażeby działalność jego jak najpełniéj przedstawić, pominął jedynie pierwszą pracę Kremera napisaną po polsku, a pomieszczoną przed laty czterdziestu kilku w „Kwartalniku naukowym“ p. n. „Rys filozoficzny umiejętności.“ Daléj pomieścił prof. Struve w przypiskach dużo uwag, uzupełniających albo prostujących faktyczne wiadomości w dziełach Kremera zawarte; a błędy niedokładności dawniejszych wydań sprostował. Wreszcie jako wstęp napisał obszerną (str. 175) rozprawę p. n. „Życie i prace Józefa Kremera,“ w któréj pozbierał wiadomości biograficzne i podał ocenę twórczości filozoficznéj Kremera na tle ogólném rozwoju filozofii w naszych czasach. Praca ta jak i całe wydawnictwo zasługuje na szczegółowsze rozpatrzenie, które téż podamy, ograniczając się tymczasem tą bibliograficzną wiadomością. Do powyższych pochwał dołączyć jednak musimy i naganę dotyczącą niedbale odbitych drzeworytów a raczéj cynkografij, które czasami wcale nie mogą dać wyobrażenia o tém, co miały ilustrować. Papier i korekta nie pozostawiają nic do życzenia.

— **Z dalekiego Wschodu.** *Wrażenia, obrazy, opisy z dobrowolnéj podróży po Syberyi przez Bronisława Rejchmana* (Warszawa, str. 287). Znane jest czytelnikom naszym pióro autora zarówno w zakresie studyów przyrodniczych jako téż belletrystycznych opisów wycieczek po kraju. Nie potrzebujemy więc tutaj podnosić żywego i obrazowego sposobu opowiadania, spostrzeżeń trafnych, okraszonych czasami prawdziwym humorem, wierności w notowaniu faktów. Te zalety znajdą i w książce „Z dalekiego Wschodu,“ która zwłaszcza w opisie saméj Syberyi, bogactw jéj naturalnych, usposobienia i charakteru mieszkańców zawiera rzeczy w wysokim stopniu interesujące. Autor nic nie podaje dla czczego popisu, dla zabłyśnięcia złudną oryginalnością, nic nie twierdzi napewno, czego dobrze nie sprawdził; stąd téż prostuje niejedno nieoględne i lekkomyślne mniemanie, rozpowszechnione przez mniéj sumiennych podróżopisarzów. Książka jego składa się z trzech części: pierwsza ma napis „Przez ćwierć kuli ziemskiéj“ i zawiera charakterystykę drogi z Warszawy do Irkucka, tudzież zarys samego Irkucka i jego mieszkańców; część druga „Za świętém morzem“ zawiera trzy obrazki zdjęte z natury i ludzi w Mongolii rosyjskiéj (*Podróż do Kiachty, Trzy dni w mieście chińskiem, Wśród Tajgi*); trzecia wreszcie „Złoto w Syberyi Wschodniéj“ opisuje powstawanie rozsypów złotodajnych, stawia horoskop przyrodniczy co do prawdopodobieństwa znalezienia złota, opowiada, jak się szuka złota, jak się kopalnie eksploatują, kreśli los robotników i obrazy życia towarzyskiego, wreszcie mówi o przyszłości kopalnictwa złota w Syberyi wschodniéj. Każdemu pragnącemu w sposób przyjemny zapoznać

się z naturą i obyczajami ludów zamieszkałych w Syberyi, możemy śmiało dziełko p. Rejchmana polecić.

= Bardzo tanie a dosyć starannie prowadzone wydawnictwo we Lwowie p. n. **Biblioteka Mrówki** prześcignęło w tych czasach *setną* cyfrę swoich miniaturowych tomików. Jak na 12 lat wydawnictwa (rozpoczętego w roku 1869) nie jest to zapewne zbyt wiele; ale kto zna nasze stosunki czytelnicze i wydawnicze, ten się nie będzie powoływał na rozwój np. „National-Bibliothek“ Reclama w Lipsku, która dawno już przeszła po za numer *tysiączny*; owszem, nie odmówi nawet uznania dla wytrwałości ze strony księgarzów (początkowo Gubrynowicza i Schmidta, obecnie A. D. Bartoszewicza i M. Biernackiego), którzy w sposób dla wszystkich niemal dostępny starają się rozpowszechnić celniejsze utwory naszych poetów i prozaików. Są to naturalnie przedruki; wybór ich niezawsze wprawdzie może zasłużyć na bezwzględną pochwałę, lecz bądź-co-bądź bezwarunkowa większość tomików zawiera, albo rzeczy warte jak najszerszego rozpowszechnienia, albo też rzadkie i oddawna już w handlu księgarskim nienapotykane. W tomiku 101-ym mieszczą się *Satyry obyczajowe* M. Rodocia (M. Biernackiego). Z wydrukowanych tu 28 utworów, sześciu tylko nie znajdujemy w warszawskiém wydaniu „Piosnek i Satyr M. Rodocia,“ któreśmy roku zeszłego w „Ateneum“ oceniali. Te sześć satyr mają następne nadpisy: *Najlepiéj nie myśléć o tém* (gdzie bardzo dowcipnie wyśmiane są projekta oszczędności wśród rodzin naszych), *Tak kolego*, *Boże jaka ona głupia*, *A co? nie mówiłem!... krowa! Czy to nie jest prosta droga? A idźże już raz, nudziarzu!* We wszystkich jest dużo werwy humorystycznéj i sporo zmysłu obserwacyjnego. Dalsze tomiki dotąd wyszłe zawierają niektóre gawędy Syrokomli *Janko Cmentarnik*, *Stare wrota*, tudzież znane czytelnikom „Ateneum“ studya p. Włodzimierza Spasowicza o *Władysławie Syrokomli* i *Wincentym Polu*.

= Piękną formą zewnętrzną, dobrym papierem i niezłym drukiem odbija od niestarannych zwykle warszawskich edycyj pierwszy drukowany dowód działalności zawiązanego we Lwowie „Koła literackiego,“ złożony w ofierze dotkniętym klęską pobratymcom. Jest-to Album **Dla Zagrzebia** (str. 156). Są-to króciutkie artykuliki napisane wyłącznie przez członków „Koła“ najrozmaitszéj treści i nastroju Trzydziestu dwu pisarzów uczestniczyło w téj składce literackiéj: każdy co miał, to ofiarował, byle prędko, trzymając się staréj zasady, że dwa razy daje i t. d. Nie wymagać więc od tych dorywczych prac jakichś zalet głębokiego przemyślenia albo wykończonego artyzmu; intencya przedewszystkiém zasługuje tu na serdeczne uznanie, bo miała na celu otarcie łez nieszczęśliwym. Nie

znaczy to jednak wcale, ażeby prace tu pomieszczone nie miały pewnego naukowego lub artystycznego znaczenia; są owszem rzeczy, na które warto zwrócić uwagę. Do takich należy notatka p. Antoniego Małeckiego: *Filomaci w Wilnie*, gdzie są zebrane szczegóły odnoszące się do pierwszego tak nazwanego towarzystwa studentów, które istniało w r. 1805 i 1806, a które trzeba odróżnić od późniejszych Filomatów z r. 1818—1820. Daléj z przyjemnością odczytać można legendę filozoficzną p. Juliana Ochorowicza p. n. *Istota bytu*, gdzie stary Indus przebiegłszy wszystkie kraje i poznawszy wszystkie systematy filozoficzne, o istocie bytu tyle się tylko dowiaduje, ile słyszał przed trzema tysiącami lat w swojéj ojczyznie. Następnie artykuły historyczne pp. Ksawerego Liskego (*Mikołaj z Popielowa*), Antoniego Prochazki (*Wyzwanie na pojedynek w XV wieku*), Klemensa Kanteckiego (*Pani starościna rawska*) przedstawiają szczegóły interesujące. Artykuły ekonomiczne pp. Józefa Kleczyńskiego i Leona Bilińskiego, pedagogiczny p. Sawczyńskiego, psychologiczny p. Kozłowskiego, przyrodniczy p. Radziszewskiego, filologiczny p. Ćwiklińskiego urozmaicają całość. Najmniéj udatną część stanowią humoreski, ale-bo trudno miéć humor, kiedy się pisze na korzyść tych, co nie mają dachu nad głową...

= *Prof. Stanisław Smolka.* **Testament Bolesława Krzywoustego** *osobne odbicie z Rozpraw Akad. Umiej. Wydział filozof. T. XIII. Kraków. 1880.* Inauguracyjna rozprawa p. Maksymiliana Kanteckiego „Das Testament des Bolesław Schiefmund“ wywołała żywą polemikę, w któréj brali udział pp. Kętrzyński, Małecki, Semkowicz, Lewicki. Najbardziéj jednak wynik badań p. Kanteckiego musiał obchodzić p. Smolkę, autora obszernego dzieła o Mieszku III. W istocie, już nie w formie recenzyi, ale w osobnéj pracy, w któréj cały materyał historyczny w tym przedmiocie wyczerpany został, odparł prof. Smolka główne twierdzenie p. Kanteckiego, iż Bolesław Krzywousty zaprowadził primogeniturę i okazał dowodnie, iż właściwą istotą postanowienia królewskiego było zaprowadzenie zasady senioratu, któren p. Kantecki uważał za istniejący w Polsce już znacznie przed Krzywoustym.

= *Dr. Anatol Lewicki.* **Obrazki z najdawniejszych dziejów Przemyśla.** *Przemyśl r. 1881.* Zaszczytnie znanym jest w literaturze historycznéj pan Lewicki autor wyczerpującéj rozprawy o Mieszku II, a który w ostatnich czasach przyczynił się artykułem drukowanym w Muzeum krakowskiém do wzbogacenia literatury o testamencie Bolesława Krzywoustego. Dotychczas jednak znaliśmy go tylko z jednéj strony, jako sumiennego krytyka i badacza najdawniejszych naszych dziejów, najświeższa jego praca innego jest za-

kroju. Obrazki z dziejów Przemyśla obejmujące czasy od r. 981 tj. od pierwszéj wzmianki o tém mieście u Nestora aż do r. 1387 są przystępném ogółowi przedstawieniem losów Przemyśla i ziemi Przemyskiéj, aż do ostatecznego połączenia w jednę całość z państwem Polskiém. Myliłby się jednak, ktoby sądząc z braku wszelkich przypisków i cytat uczonych mniemał, iż „Obrazki“ to tylko pobieżnie z drugiéj ręki pozbierane szczegóły. Autor dokładnie obeznany z polskiemi i ruskiemi źródłami umiał wybornie je zużytkować. O ile tylko się dało, przemawiają Nestor i Latopis Wołyński własnemi słowy, a kto czytał „Odrodzenie się Polski“ Szajnochy, mianowicie ustęp do lat 1280—1288 się odnoszący, wie ile z ruskich pomników historycznych da się wydobyć. Nie zaniechał téż p. Lewicki przy wybitniejszych postaciach dłużéj się zatrzymać, tak np. Daniło Romanowicz i syn jego Lew, jako-téż Włodzimierz Wasylkowicz książe Wołyński, osobistości niezmiernie zajmujące jasnemi barwami zostały nakreślone. Cieszyć się wypada, iż tak poważni pracownicy jak p. Lewicki starają się owoce swych studyów nietylko dla ciasnego kółka historyków ale i dla szerszéj publiczności przystępnemi czynić.

= *Arnold Busson.* **Der Krieg von 1278 und die Schlacht bei Dürnkrut** *odbitka* z *Archiv für Oesterreichische Geschichte B. LXII. 1 Hälfte. Wien 1880.* Dzieje Ottokara II były przedmiotem wielu opracowań. Całokształt ich najdokładniéj z dawniejszych historyków przedstawia Palacky, z nowszych Ottokar Lorenz i Beda Dudik. Najbardziéj jednak zajęcie wzbudzającą częścią tych dziejów był okres walki z Rudolfem I, który się téż doczekał kilku bardzo dokładnych monografij. Najdokładniejszą przecież jest niewątpliwie obecna praca prof. wiedeńskiego Uniwersytetu Arnolda Bussona, w któréj przedewszystkiém sam przebieg bitwy, z niesłychaną szczegółowością jest przedstawiony. Na 64 stronicach mieści się główny rys badań Bussona, w dziesięciu zaś ekskursach obejmujących 81 stron, pojedyńcze punkta sporne uwzględnienie znajdują. Dodać musimy, iż, jak się z przedmowy dowiadujemy, praca ta była pierwotnie wspólnie z uczniami podczas zimowego półrocza r. 1877/8 na seminaryum historyczném wiedeńskiem dokonana. Ostateczną redakcyą jednak przedmiotu zajął się sam prof. Busson.

= *Dr. Prel* w pracy swéj: **Die Planetenbewohner und die Nebularhypothese**. *Neue studien zur Entwicklungsgeschichte des Weltalls Leipzig 1880*, przedewszystkiém dochodzi do wniosku, iż życie w naszym planetarnym systemie jest czasowo i przestrzennie ograniczone, następnie dowodzi on, iż życie wszędzie polega na funkcyach wewnętrznych, które się przystosowały do zewnętrznych warunków;

Z pomiędzy niepoliczonych trabantów słońca jedynie cztéry małe planety można uważać jako ogniska życia. Mówiąc o fizycznéj naturze mieszkańców planet, autor zajmuje się rozmaitością w przystosowaniu: siła produkcyjna planet, oraz proporcye jéj organizmów zawisłe są od stopnia ostygnięcia, przyczém należy wziąć w rachubę czynniki astronomiczne: natężenie opromienienia, zależne od odległości słonecznej, położenie osi, mające związek z układem stref klimatycznych i siła ciężkości, na powierzchniach planet będąca, a zawisła od gęstości ich materyi oraz od ich wielkości. Z tych samych rodników będą się składały organizmy wszystkich planet, które się znajdują w tych samych stadyach ostygnięcia. Jak przyroda w biologii, tak człowiek w technice rozwiązuje zagadnienia. Wychodzi na jedno, czy przyroda działa na specyalne organa ludzkich organizmów, czy téż kształci rozwojowo zmysły i narząd poznania człowieka, uzdolniając go do wynalezienia narzędzi, przez które podwyższona zostaje dzielność naszych organów, zmysłów i poznania. Ciągłego stanu świadomości nie ma, ale istnieje ciągłe stawanie się świadomości. Świadomość jest skutkiem i polega na ciągłém wznawianiu skutku. Proces psychiczny, którego rezultatem jest wola, odbywa się za kulisami świadomości; siła woli jest tylko przeobrażoną siłą naturalną. Ale naturalne siły działają prawidłowo i ta prawidłowość nie może być zatracona przez przeobrażenie. Jest pewne, nieświadome naśladowanie form organicznych: młot jest to ręka z zaciśniętą pięścią, piły odpowiadają zębom, obcęgi szczękom itd. Człowiek w narzędziach swoich kopiuje własne organa wewnętrzne i to wtedy, gdy mu brakuje zupełnie wiedzy fizyologicznéj: oko jest nieświadomie użytym modelem wszelkich narzędzi optycznych, starszych, niż fizyologiczne poznanie oka. Klawiszowe instrumenta są odbiciem, w którém poznaliśmy ucho nasze. W lokomotywie, jak w ciele zwierzęcia, czynność polega na przyjmowaniu substancyi jako pożywienia, na procesie utleniania, wytwarzania ciepła, oraz na przemianie jego w ruch i pracę mechaniczną. I w dziełach sztuki można utrzymać prawidła dostrzeżone w organizmach: w prawie „złotego cięcia“ zawiera się naczelna zasada wszelkiego kształtu, domagającego się piękna oraz całości, a to zarówno w państwie przyrody jak sztuki. Jest to idealny pra-typ, normalna miara dla utworów przyrody. (Czy tu nie ma przesady?). Przyroda i umysł wystrzeliły z jednego źródła a zasada ukształtowania się obojga jest jedna i ta sama. Jeżelibyśmy, byli pewni, iż na jakiejś planecie są istoty wyższe niż człowiek, to moglibyśmy sobie utworzyć przybliżone pojęcie o ich władzach umysłowych, gdybyśmy wzięli pod rozwagę pewne ziemskie problemata rozwiązane organicznie, a przy naszych zdolnościach nierozwiązane

jeszcze technicznie, do takich należy np. latanie po powietrzu, co mogłoby być gdzieś na innéj planecie technicznie rozwiązane. Co jest logiczne, jest w rzeczywistości możliwe. W dalszym ciągu autor rozbiera kwestyą umysłowości mieszkańców, jacyby się mogli znajdować na planetach. Zmysły nasze są nieczułe na pewne wrażenia; niewszystko widzimy oraz słyszymy i czujemy, co się dzieje na ziemi. Normalna ludzka jednostka ma względną tylko wyższość nad ślepymi i głuchymi; dziedzina barw i dźwięków może mieć zupełnie inne rozmiary dla innych mieszkańców planet, którzy dajmy na to, organicznie mogliby wykonać to samo, co Helmholtz i König z pomocą aparatów. Każdy zmysł rozwija się z ogólnego czucia organizmów, tj. z początków rozróżniania korzystności i szkodliwości, czyli zadowolnienia i niezadowolnienia. Czuciowość zmysłu lokalizuje się coraz bardziéj i rozciąga do coraz słabszych stopni. Stosunki istnienia dają pochop do przystosowania się, a jeśli tego pochopu nie spotykamy na naszéj planecie, może on jednak mieć miejsce na innych planetach. Peryferyczne narządy naszych zmysłów, uderzane przez drgania materyi i eteru, przekazane zostają mózgowi i tam dopiéro w końcach nerwów zmysłowych powstają czucia specyficzne. A więc w ostatniéj instancyi spostrzeganie świata zewnętrznego jest czynnością umysłową. Mówiąc, że słońce grzeje i świeci, nie wypowiadamy nic o objekcie, ale twierdzimy o naszych stanach subjektywnych a właściwie mówiąc, o stosunku naszych centralnych narządów zmysłowych do drgań eteru, które same w sobie nie są ani ciepłem, ani światłem. W przyrodzie nie ma światła, barwy, ani dźwięku. Innego bytu nie znamy, tylko ten, który się zgadza z naszą czuciowością; nie wiemy, czém mogą być rzeczy—niezależnie od naszego uczuwania. Filozofia każdego wieku znała tę prawdę, która dziś brzmi: objektywnie dane są tylko *ilościowe* różnice prędkości drgań atomów powietrza i eteru; zmysły nasze odczuwają te różnice *jakościowo*, jako dźwięk, barwę, ciepło itd. To, co nazywamy rzeczywistością, jest jedynie sposobem oddziaływania naszych zmysłów na wrażenia zewnętrzne. Gdy w ciemni szybko poruszamy pręt z pałającym końcem, widzimy ognisty okrąg. Przy odpowiedniéj zaś zmianie naszéj organizacyi musiałoby i słońce wywrzéć na nas taki sam wpływ, gdyby nasza subjektywna miara czasu zmniejszoną została, tak żebyśmy zamiast otrzymywać 6—10 wrażeń na sekundę, otrzymywali jedno wrażenie na 48 godzin. Wtedy nie widzielibyśmy świecącego słońca, ale łuk, którýby się podług pór roku podnosił i obniżał. Możemy więc tylko wnioskować o modyfikacyach ludzkiego poznania, przypuszczając odmienne warunki bytu; następnie zaś tylko znane siły przyrody mogą być wzięte pod rozwagę, jako przyczyny roz-

woju. Mimo tego, pojęcia nasze o kosmicznych inteligencyach przybierają nieoczekiwane rozmiary.

= **J. H. Schürens Ansichten über Lehrer Bildung** przez *G. Spieker'a* (*Hannover 1880*). Pierwsze kartki książki zżytego z fachem swoim pedagoga poświęcone są zbadaniu należytemu kwestyi, co powinien umieć *preparant* mający wstąpić do stanu nauczycielskiego. Ale nie o samę wiedzę tu chodzi; duży nacisk postawiony został na cały rozwój moralny. Bez tego przygotowania, wszystko na nic, chroma potém seminarzysta, a co gorzéj, chroma nauczyciel ludowy. Nie wiemy czy słusznie, ubolewa Schüren, iż młodzież niemiecka dużo się włóczy, pije piwo, gra w karty i kręgle, próżnuje, czyta liche książki itd. to jednak pewna, iż podobne zajęcia nie mogą dawać kwalifikacyi wstąpienia do stanu nauczycielskiego. Ci, co mają wstąpić do seminaryum, powinni być umieszczeni w zakładzie na koszt państwa ufundowanym, a mającym na oku przyszły zawód młodzieży. (Zakład taki właśnie otwarty został w Hanowerskiém w Melle). Schüren zwraca najprzód uwagę na 4 ważne względy: 1) *Religia* nie pozorna i katechizmowa, ale taka, jaka przenika serce prostego i uczciwego wieśniaka, religia, która ogrzewa i skupia ognisko życia rodzinnego, która pracowite życie rolnika ocala przed robakiem materyalizmu. 2) *Praktyczność* jest warunkiem *sine qua non.* Niejeden zna rachunek różniczkowy i całkowy a nie umie jasno przedstawiać, iż $\frac{2}{3} \times \frac{3}{4} = \frac{1}{2}$; inny gada o prawach Keplera i paralaksie, a nie jest w stanie wytłómaczyć powstania czterech pór roku. 3) Nauczyciel ludowy *nie ma być wszechwiedzem*, ale *gruntownym* o tyle, aby sobie sam bez pomocy cudzéj dał radę chodzi tu o *samodzielność.* Nauka jego ma stanowić jasną całość, którą on jednak z uczuciem prawdziwego szczęścia umie sobie rozszerzać. 4) Niedawno minął czas, albo niezupełnie minął, iż nauczyciel ludowy był przedmiotem drwin; dziś trudno na to stanowisko się zgodzić; nauczyciel ludowy musi być człowiekiem *przyzwoitym*, *szlachetnym*, *godnym szacunku.* Pod temi tylko warunkami będzie on zdolny wychowywać młodzież. Jakże dalekimi od tego są urzędniczo wychowane, a raczéj tresowane typy! Przejdźmy do nauczania. *Religia* uczy się: a) słowem żywém b) przykładem w razie okoliczności c) przez śpiew. Jeśli chodzi o katechizm, ten powinien być zawsze w biblii odnaleziony przez seminarzystę.

Pedagogika wykłada się na 3-im kursie w seminaryum 2 godziny tygodniowo; podstawa przyjmuje się taka: ogólne poznanie człowieka fizycznego i umysłowego. Na 2-im kursie tyleż godzin poświęca się na obznajmienie serminarzystów z wpływami wychowują-

cemi człowieka oraz z historyą wychowania (naturalnie nie zbyt szczegółowo). Kurs 1-y ma 4 godziny pedagogiki i wykłada się: a) *ogólne szkolnictwo*; b) *specyalna metodyka*. *Język ojczysty* zajmuje 8 god. tygodniowo; z tego 2 godziny na czytanie łącznie ze śpiewem, 2 na gramatykę, reszta na praktyczne ćwiczenia stylowe oraz historyą literatury. Dobrze tu traktowane są informacye, dotyczące ćwiczeń stylowych, choć temata do nich niekoniecznie jasne; np. *krzyż i korona*. *Wykłady matematyki* dla seminarzystów dzielą się na: a) Arytmetykę, b) Geometryą. Pierwsza obejmuje zwykłe rachunki i rachunki na literach aż do równań stóp 1° z wielu niewiadom., potęgi, pierwiastki i objaśnienie użycia tablic logarytmowych. Geometrya kończy się na stereometryi. *W historyi* głównie uwzględnione są fakta kraju ojczystego. *Geografia* łączy się z *naukami przyrodniczemi*, tak że przez 4 półrocza wykładana bywa zimą geografia, latem botanika, mineralogia lub zoologia. I to na dwóch ostatnich kursach (II i I). Oprócz powyższych przedmiotów plan obejmuje: *kaligrafią*, *rysunki*, *muzykę* (na *skrzypcach*, na *organach* lub *fortepianie*), *śpiew*, *teoryą muzyki*, *gimnastykę*. Nakoniec idą przepisy, dotyczące życia w seminaryum. Schürenowi chodzi o to, czy *internat*, czy *eksternat*? Jest on pedagogiem bardzo ścisłym, rutynicznym rygorzystą, chce na wszystko patrzéć, więc wyrokuje, że *seminarzyści powinni mieszkać w konwikcie*. Mniéj pouczającemi są uwagi i praktyka egzaminowania. Tylko według ścisłego planu i pod czujném okiem Schürena prowadzone seminaryum mogłoby wypuszczać nauczycieli, pomyślnie wytrzymujących ostry egzamin. Jestem w wątpliwości zresztą, czy to dla całéj klasy seminarzystów stawia się 70 pytań z historyi, 40 z geografii, 10 z chemii, 13 z moralności, 40 z historyi kościoła, 40 z fizyki itd. Obok mnóstwa wypracowań piśmiennych, czy też ma temu podołać jeden seminarzysta, który nareście zostaje nauczycielem. W téj książce zajmująco jest przedstawiony dyalogowy sposób nauczania seminarzystów. Warto czytać, a niejeden oduczyłby się zadawać uczniom lekcye na pamięć z książki. Możnaby się nie zgadzać na niektóre zasady, ale trudno odmówić wartości ludziom, którzy najprzód dużo w pedagogice robili i robili dobrze, a potém dopiéro pisali projekta oraz krytykowali pracę innych. Ażeby inną drogą coś dobrego powstać mogło, na to doprawdy potrzeba cudu.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ciekawsze objawy publicystyki rosyjskiéj.—Jak Dawid kijowski gromił Goliata „Gołosa“.—List p. Szygaryna.—Artykuł w Nowostiach.—Odezwa hr. Skarbka.—Język polski w sądach pokoju.—Jakie pole działania może mieć bank hipoteczny; kredyt udzielony własności ziemskiéj jakie mieć musi granice?—Odczyty Pp. Morawskiego, Popiela, Wiśniowskiego, Rostafińskiego, Panny Jurkowskiéj, hr. Krasińskiego i p. Szczepaniaka.—Otwarcie wystawy w pałacu Brylowskim.—Wystawa przyrodniczo-lekarska w Krakowie.

Bajka o młynarzu, który z synem swym prowadząc osła na sprzedaż, w żaden sposób przechodniom dogodzić nie mógł, sprawdza się na nas co do słowa. Niektórych publicystów i uczonych rosyjskich nigdy nie potrafiliśmy zadowolnić i cokolwiek-byśmy robili, zawsze nas z ich strony surowa spotykała nagana. Jeśli milczemy, panowie ci utrzymują, że widocznie motamy sobie coś na wąsie i okropne rzeczy knujemy w głębi ducha, inaczéj bowiem, pewniebyśmy nie byli tak upartemi naśladowcami Solona. Czy mówić nam wolno—o to się nikt nie zapyta. Okoliczności, dajmy na to, pozwoliły nam kiedyś głos zabrać; aliści nieukontentowanie naszych antagonistów wcale przez to nie łagodnieje. „Patrzcie,—wołają jedni—oni śmią już się odzywać.“—„Ci wychowańcy jezuitów,—wykrzykują drudzy—co innego mówią a co innego myślą.“ „Dla czego gadacie półgębkiem? czemu otwarcie, dokładnie i jasno nie wypowiecie swych żądań, abyśmy raz się dowiedzieli przecię, o co wam idzie?“ zarzucają trzeci, nie kłopocąc się wcale o to, czy wyrażanie naszych potrzeb jest możliwém.

Znalazł się wreszcie „polski publicysta“, co w prostocie ducha uwierzył w szczerość tych pytań, spróbował dać na nie skromną odpowiedź i w gazecie „Gołos“ (N. 56 i nast.) skreślił program, jaki uważał za stosowny. Nie rozbroiło to jednak złego humoru tych, którzy uwzięli się szukać dziury na całém. *Hannibal ante portas* —

krzyknęli, a okrzyk musiał być dość głośnym, skoro zdołał obudzić drzemiący patryotyzm profesora P. w mieście K.

Dwa są w państwie rosyjskiem miasta uniwersyteckie, których nazwy zaczynają się od litery K., mianowicie Kazań i Kijów. Któreż z nich dwojga ma zaszczyt posiadania w swych murach nowego Scewoli, Kamilla, czy Fabiusza? Byłżeby to daleki Kazań, o którym gdyby nie milowa prawie odległość, rzecby można, że się w nurtach „matuchny-Wołgi“ przegląda? Nie zdaje się. Owa przed 300 jeszcze laty stolica tatarskiego carstwa zbyt jest pogrążoną w rozpamiętywaniu miłych wspomnień, jakie jéj po panu Skariatynie pozostały, zbyt zajęta obecnie swoją szkołą weterynaryi, aby głos „publicysty polskiego“ mógł ją dość żywo zainteresować i od własnych kłopotów oderwać. Więc to chyba w naddnieprzańskim grodzie Kija, Szczeka i Chorewa i siostry ich Łybedi, więc to w uniwersytecie św. Włodzimierza zasiadać musi ów profesor P., który do śmiertelnéj walki z Hannibalem, chcemy mówić—z publicystą „Gołosu“, wystąpił, i jeśli się da, na miałki proszek zetrzeć go postanowił. *Dulce ac decorum est pro patria mori.* Co prawda, walka nie zagrażała drogocennemu życiu szanownego profesora, *raison de plus*, aby do niéj wystąpić: o guza nawet obawiać się nie było potrzeby, a laury w nowożytnéj postaci, zdobiące pierś wojowników, azaliż mniéj czarującą od liścia bobkowego stanowią ponętę? Profesor P. zarzuca nam w jednéem miejscu chłód serca, stronienie od sympatycznych dla niego koncertów, niepodzielanie jego radości i smutków; mamy nadzieję, że ze słów powyższych przekona się teraz, jak niesłusznie nas obwiniał, gdy w najdelikatniejsze uczucia jego wchodzimy, najbardziéj skrytym aspiracyom jego ducha okazujemy współczucie z całego serca.

A teraz, muzo, wspieraj nas swém natchnieniem w trudnym zamiarze i dozwól godnie opiewać te tytaniczne zapasy ze zdrowym rozsądkiem.

„Nowoje Wremia,“ które się zawsze stara o skompletowanie swego bogatego muzeum różnych kurjozów, dając w feljetonie (N. 1829) gościnny przytułek. „Odpowiedzi“ na wspomniany artykuł „Gołosu,“ zaleca ją „szczególnéj uwadze wszystkich, interesujących się tą sprawą“ i oświadcza, że jest to praca „pewnego szanownego i utalentowanego profesora rosyjskiego, blisko obznajmionego z tak zwaną kwestyą polską,“ praca ważna w części swéj krytycznéj, a pod względem etnograficznym „decydująca.“ Po takiéj rekomendacyi, odczytaliśmy ową pracę „profesora znawcy“ naszego kraju z wielką uwagą, i przyznać musimy, żeśmy się w niéj z wielu rzeczami znanemi i nieznanemi spotkali. Do rzeczy znanych zaliczamy następującą tyradę: „Dosyć tego. Głupstwa można robić, ale się

ich nie powtarza.“ Chwali się to autorowi, że takie prawdy wygłasza, jaka szkoda jednak, że o nich w praktyce zapomina. Kiedy arcyliberalne zebranie różnych niemieckich doktorów filozofii, zwane sejmem frankfurckim, zamierzyło w r. 1848 rozkrajać księstwo poznańskie na dwie części: polską i niemiecką, wydzielając pierwszéj mały i zabawnie postrzępiony kawałek kraju,—ściągnęło na siebie szyderstwa całéj Europy, a faktów etnograficznych nie zdołało zmienić. Po sejmie frankfurckim zostało tylko śmieszne wspomnienie, księstwo zaś poznańskie, pomimo wszelkich wysileń rządu pruskiego, nie przestaje być krainą przeważnie polską. Głupstwo było próbowane, ale się nie udało; nie przeszkadza to wszakże szanownemu profesorowi, wbrew wypowiedzianéj przez siebie zasadzie, ogłoszać nową jego edycyę. Proponuje on cały kraj między Bugiem a Wisłą rozdzielić na dwie części, jakoby na podstawie etnograficznéj, i na tym podziale osnuwa dalej swoję polemikę z „Gołosem“, swoje projekta, pomysły i fantazye polityczne, dyplomatyczne i strategiczne.

„Powtarzać głupstw nie należy,“ powiedział słusznie profesor P.; ale pokusa silna, a szatan wiecznie czyha na człowieka. Więc gdy przyszło certować się z publicystą „Gołosu“, a własnego funduszu nie starczyło, profesor P. zaczął powtarzać za panią matką pacierz. Wszystko co dotycze etnografii, przepisuje on ze źródeł podejrzanéj wiary i tylko kilka drobniejszych niedorzeczności jest jego własnego utworu. Główną dlań powagą jest atlas p. Ritticha. Opuścimy więc na chwilę towarzystwo szanownego profesora, woląc rozprawiać się wprost z p. Rittichem, aniżeli z jego niedołężném echem.

Pan Rittich wydał w Petersburgu roku 1864 mapy dawnych gubernii Lubelskiéj i Augustowskiéj, wskazujące jakoby rozmieszczenie ludności pod względem religijnym i plemiennym, a do map dołączył tekst objaśniający. Pan Rittich kraju osobiście nie zna, podobnie jak nie zna go uczony profesor P. Pan Rittich wziął sobie spisy parafii różnych wyznań i każdą niekatolicką parafię wykazał na mapie nieproporcyonalnie wielkim plastrem jaskrawéj farby; 264 mahometan, których znalazł na Podlasiu, zaznaczył dwoma ponsowemi plamami, 7,604 protestantów uwydatnił siedmnastu plastrami niebieskiemi. Ludność wyznania mojżeszowego, jeśli potrącimy karczmarzy wiejskich, mieszka zwykle po miastach, i to, wraz z katolikami; p. Rittich zamalowuje jednak żółtą farbą spore smugi kraju, jakgdyby całe szeregi wsi były zasiedlone izraelitami. Taką kilkomilową Palestynę znajdujemy na mapie od Józefowa nad Wisłą aż za Chodel, drugą od Wąwolnicy aż do Łysobyków, trzecia zaczyna się od Lu-

blina a sięga po za Łęczną. Takich Palestyn naliczyć można na mapie kilkadziesiąt. Drobiazgową swą pracowitość p. Rittich posuwa tak daleko, że nawet dla 29 niemców w Grajewie znajduje miejsce na swéj mapie, któréj skala dosyć jest małą, gdy wiorst 20 na jednym calu angielskim mieści. Jakże mu wdzięczni jesteśmy, że przynajmniéj kataryniarzy wędrownych i cyganów opuścił. Postępując w takiż sposób względem prawosławnych, starowierców, ówczesnych unitów i starozakonnych, zdołał upstrzyć w najrozmaitsze barwy całą tę krainę. Pomimo jednak wszystkich wysiłków, p. Rittich nie mógł zataić i nie zataił prawdy w całości: i na jego nawet mapie widzimy, że wyznanie katolickie idzie bez przerwy jednym ciągiem od Wisły aż do Buga, którego dosięga pod Sterdynią, Drohiczynem, Sarnakami, Terespolem, Kodniem, Sławatyczami. Włodawą, Uhruskiem, Dorohuskiem, Horodłem, Hrubieszowem i Kryłowem; że obrządek wschodni rozsiany jest sporadycznie, niby oazy, tylko we wschodnim pasku kraju bliżéj Bugu. W dawnéj gubernii Augustowskiéj trudniéj było jeszcze zataić wyraźną przewagę religii katolickiéj; autor przeto atlasu starał się zwyciężyć tę przeszkodę, oznaczając dla religii mojżeszowéj jak największe smugi, a dla uwydatnienia 3829 starowierców, rozciągnął farbę zieloną na ogromnéj przestrzeni między Suwałkami, Kalwaryą i Sejnami.

Jakich się trzymał zasad autor przy kreśleniu map etnograficznych, dowiemy się przy poniższym rozbiorze tekstu objaśniającego.

W tekście tym oświadcza p. Rittich wyraźnie (str. 12), że dawne gubernie Lubelska i Augustowska (tj. dzisiejsza Lubelska, Siedlecka, Suwalska i część Łomżyńskiéj) „ze względu na przeważający procent wyznawanéj tam religii stanowią *bezzaprzeczenia* jedną całość“ z resztą guberni Królestwa. Pragnąc jednak przeczyć koniecznie temu, co nawet w jego oczach jest bezsprzecznem, cofa się w przeszłość daleką, by dowieść, że dawniéj inaczéj było. Któż o tém wątpi? Był czas kiedy tu oddawano cześć Perunowi i Swantewitowi: azaliż z tego wypływa dla nas obowiązek porzucenia chrześciaństwa i składania Perunowi ofiar?

Dla przekonania, że dawniéj inaczéj było, autor między innemi przytacza takie zabawne dowody, które o wartości całéj argumentacyi sądzić pozwolą. Najprzód, ze w Krakowie roku 1491 drukowano książki słowiańskie: dziś drukują je w Wiedniu i Pradze czeskiéj, a czy wolno na téj podstawie twierdzić, że arcyksięstwo austryackie i Czechy zamieszkane są przez Rosyan? Prawda! postępując krok w krok z cywilizacyą europejską, wcześnieśmy sobie przyswoili wynalazek druku, nie widzieliśmy w nim wymysłu czarta, a drukarzy

nie prześladowali na równi z heretykami; władze państwowe nie broniły u nas nikomu drukować takiemi czcionkami, jakie mu się lepiéj podobały, drukowano więc w Krakowie po łacinie, po niemiecku, po polsku i po słowiańsku;—fakt ten, wiadomy powszechnie, nikomu jednak dotąd nie nasuwał myśli, aby w Krakowie mieszkali w XV wieku Rosyanie.

Dwóch dalszych dowodów dostarczył autorowi atlasu p. Zubrzycki v. Zubricki: 1) że koło Opatowa w Sandomierskiem mieszkała ludność prawosławna, i 2) że do kościoła św. Ducha w Kazimierzu nad Wisłą jeden mieszczanin tamtejszy ofiarował w XV wieku ewangielią słowiańską. Pan Zubrzycki w tym razie zażartował z siebie i z łatwowiernych czytelników, gdyż w okolicy Opatowa nigdy prawosławie nie istniało,—i okazał nawet rzadką wstrzemięźliwość: wszakże wolno mu było powiedzieć, że prawosławni mieszkali koło Poznania i Gdańska, lub przytoczyć słowiańską ewangelię w Rheims, zwaną *Text du sacre*,—dla lepszego poparcia swéj parodoksalnéj tezy. Był przecież i taki uczony rosyjski, który poważnie twierdził, że Rosyanie zamieszkiwali w ziemi Lubuskiéj nad Odrą, koło dzisiejszego Frankfurtu, a to wspierając się na tym fakcie, że biskupi Lubuscy przybierali niekiedy tytuł biskupów Rusi *in partibus*. Nie dość natém; nawet w mieszkańcach wyspy Rugii chciano gwałtem dopatrzéć Rusinów z powodu tożsamości dwóch pierwszych liter. Panu Rittichowi i tych dwóch liter niepotrzeba. Nazwy miejscowości takie, jak Czerwonka, Korytnica, Mordy, Rogów, Sokołów itd. bez długich ceremonii uznał za rosyjskie, nie powiedziawszy, dla czego,—a wsi Piątnicy pod Łomżą, żeby łatwiéj mogła honoru tego dostąpić, przekręcił nazwę na *Piatnica.*

W taki sposób wszystkiego dowieść można, a całe rezonowanie p. Ritticha jest właśnie jedném pasmem takich błędów i naciągań, umyślnie czy nieumyślnie dobranych w wielkim komplecie. Dość będzie przytoczyć, że kapelusze słomiane, noszone przez wieśniaków w lecie, czapki okrągłe i rogate, obok innych podobnego znaczenia szczegółów, są brane na seryo za kryterium wyróżnień etnograficznych, bez względu na język, którego ludność wyłącznie używa. Dużo się przytém mówi o ucisku religijnym, jaki miał istniéć w dawnéj Polsce, chociaż nie musiało to być tak źle, skoro starowiercy opuszczali swą ojczyznę za czasów Aleksego Michałowicza, Piotra W. i Anny, a osiadali w ziemiach Rzeczypospolitéj i dobrze im się chyba działo, kiedy w ciągu lat tylu utrzymali się w okolicy Suwałk.

Przechodząc od plemienia ruskiego do polskiego, p. Rittich zmienia odrazu metodę postępowania. Tam zgarniał ile się dało najwięcéj do jednéj kupy, tu bawi się w dzielenie, w subtelne gatunkowanie.

Tam wysilał się na możliwe maximum, tu zaś minimum ludności pożądaném mu będzie. Tam zaliczył do parafij unickich osadę Mordy, przy któréj zamiast cyfry ludności dodał zagadkową uwagę, że parafia „spaliła się w 1773 roku,“ co chyba do kościoła, nie zaś do parafian stosować się może; tam Puławy zaliczył do parafij prawosławnych i stosownym kolorem zabarwia je na mapie, zapewne z powodu prawosławnéj kaplicy w instytucie, lubo ludność miejscowa wcale się z Rosyan nie składa. Tu zaś, to jest w plemieniu polskiem, wynajduje kilka oddzielnych narodowości, takiemi są: Lubliniacy, których zwie Lublanami, Mazury, Kurpiki i Polacy. Co większa sami Mazury dzielą się, według niego, na dwa różne narody: północni, w Sejnenskiem, chodzą w trzewikach drewnianych, południowi zaś noszą obówie skórzane. Dziwno nam tylko, że p. Rittich opuścił dwie inne gałęzie Mazurów, mianowicie tych, co chodzą boso, a łatwo ich w każdéj chałupie zobaczyć, i tych co się ślepo rodzą, o których nie jedną ciekawą powiastkę słyszéć można.

Drugą powagą, na którą się powołuje profesor P., jest dzieło historyczno-geograficzne p. Barsowa. Dzieło to nie wolne jest od błędów, mianowicie hipoteza o pierwotnem rozsiedleniu Dregowiczów nie wytrzyma krytyki. Twierdzimy nadto, że koryto Bystrzycy nie mogło stanowić granicy między Polską a Rusią, skoro klasztor Sieciechowski posiadał w XII i XIII wieku dobra, daleko na wschód od Wieprza leżące. Pomimo tego, w każdym razie jest-to praca naukowa, i ubliżylibyśmy p. Barsowowi, gdybyśmy czynili go odpowiedzialnym za niedorzeczne wnioski, jakie profesor P. na jego książce buduje. Z „niedrukowanéj na nieszczęście“ pracy p. Kosy, profesor P. przepisuje twierdzenie, iż rzeka Trzna (ma to być Krzna) od czasów najdawniejszych oddzielała także Polskę od Rusi. Krzna płynie pod Łukowem, Krzna płynie i niedaleko Brześcia: w którem-że miejscu była ona granicą? Czytamy daléj, że na północo-zachód od Krzny aż ku Wiśle kraj był zupełnie pusty, Polacy w nim mieszkać nie mogli z powodu najazdów Jaćwieży, a z tego wypływa niby milczący wniosek, że w tym kraju mieszkali, pomimo owych najazdów, Rusini. Rzecz szczególna prawdziwie, że najazdy nie przeszkodziły Rusinom mieszkać w okolicy dolnéj Krzny, która w bliższem z Jadzwingami zostawała sąsiedztwie.

Jeszcze ciekawszy jest następujący szczegół. Profesor P. wyczytał u p. Kostomarowa, że za czasów wojen Chmielnickiego niektóre zagony kozackie „gospodarowały“ (chyba nie wedle metody Thaera) w bliskości Wisły i Warszawy. Eureka! macie więc dowód, „że mieszkała tu ludność sprzyjająca kozakom, która ich ukrywała,

ostrzegała o niebezpieczeństwach, naprowadzała na dwory pańskie i kościoły, że jednem słowem, ludność ta była ruską.“ Pierwszy to raz podobno etnografia zdobyła się na tak szacowny i przekonywający dowód: rabunek ma być niewątpliwém znamieniem plemiennėm. Nie zazdrościmy go nikomu. Mniemamy wszelako, że najazd chwilowy, w kwestyi stałego zasiedlenia niczego stanowić nie może. Inaczéj twierdząc, wypadłoby, że skoro Aleksander macedoński sięgnął brzegów Indu i Jaxartu, to Grecy w tych krainach mieszkali, że w epoce wojen napoleońskich, Francuzi zamieszkiwali Moskwę, a kozacy Płatowa i huzary Blüchera byli plemionami osiedlonemi nad Sekwaną.

Te i tym podobne figle i koziołki miały doprowadzić profesora P. do upragnionego celu, do wykazania, że liczba ludności polskiéj jest bardzo mała, a Rusinów bardzo wiele. Krócéj może byłoby powiedziéć, że narodu polskiego wcale nie ma na świecie. Profesor P. jednak w swojéj szlachetności nie zaprzecza istnienia naszego, powtarza tylko starą piosenkę, którą przestali śpiewać nawet pierwotni jéj kompozytorowie, z powodu, że drapała słuch zbyt wielu fałszami, i utrzymuje, że różne niepolskie plemiona wynoszą „prawie“ $^1/_3$ część ogólnéj ludności kraju. Nieocenioną przysługę oddaje w tym razie ten skromny przysłówek „prawie,“ bo w rzeczy cyfr uwalnia zupełnie od ścisłości i z góry od wszelkich zarzutów broni. Próbowaliśmy na różne sposoby wyrachować ową $^1/_3$ część ludności: dla przypodobania się panu profesorowi, wszystkich nawet polaków-protestantów zaliczyliśmy do Niemców, ale nam zawsze pół miliona z górą brakowało do jego cyfry.

„Blisko obznajmiony z kwestyą polską“ badacz poświęca swą uwagę głównie wschodniéj strefie kraju naszego i znajduje, a raczéj wypisuje z atlasu Ritticha, że w teraźniejszych guberniach Lubelskiéj i Siedleckiéj istnieje jakoby taki skład etnograficzny: „plemię polskie 40,02, niemcy 0,75, żydzi 13,85, tatarzy 0,02, plemię ruskie 45,85.“ Dla uczoności p. Ritticha mamy, jak wiadomo, szacunek równie głęboki, jak dla „utalentowanego profesora,“ szacunek ten jednak nie upoważnia nas do odrzucania cyfr urzędowych. Otóż, według ostatnich obliczeń urzędowych wśród ludności gub. Lubelskiéj wynoszącéj 828,362, liczy się katolików rzymskich 520,538, obrządek zaś wschodni ma tylko 162,070 wyznawców (Gaz. Pol. 86 Nr. z r. b.), na pierwszych więc wypada 62,83%, a na drugich 19,56%. Dla gubernii Siedleckiéj, nie mając pod ręką cyfr późniejszych, przytaczamy je z roku 1870 podług kalendarza Suworyna, jako źródła, mogącego zjednać sobie zaufanie tak u redaktora gazety „Nowoje Wremia,“ jak i uczonego profesora rosyjskiego. Kalendarz ów podaje,

że z 504,606 mieszkańców przypadało na obrządek katolicki 311,983 czyli 61,82%, a na obrządek wschodni 109,136 czyli 21,62%. Mylą się podobnież i p. Rittich i uczony profesor, twierdząc, że w guberniach Łomżyńskiéj i Suwalskiéj mieszka z górą 30 tysięcy Rosyan; zajrzawszy do kalendarza Suworyna, dowiedzą się, że prawosławnych jest tam 12,710, a roskolników 4,790, co razem uczyni tylko 17,500.

Powiada profesor P., że w gub. Suwalskiéj ludność niemiecka szczelnie prawie wzdłuż Niemna od granicy pruskiéj ku wschodowi ciągnie się na wiorst 150. Pewien niemiec, nazwiskiem Richard Boeck, z polecenia królewsko-pruskiego biura statystycznego, sporządził bardzo drobiazgową mapę etnograficzną Prus i krain pogranicznych, na któréj starał się żywioł niemiecki uwydatnić jak najbardziéj, a jednak potrafił wykazać w gub. Suwalskiéj nad Niemnem tylko 3 wsie. Rittich dodaje do tego jeszcze 3 inne wsie niemieckie. Powinszować więc musimy profesorowi P. jego odwagi i okularów, które mu dozwoliły zobaczyć to czego nie ma. Mniéj nas już zadziwia ów pas 150 wiorstowy, bo chociaż między granicą pruską a gubernią Wileńską jest tylko 100 wiorst odległości, ale wiadomo, że niemiec chytra sztuka, przecież on małpę wymyślił, czemużby gubernii Suwalskiéj o 50 wiorst rozszerzyć nie potrafił?

Załatwiwszy się z etnografią, profesor P. roztrząsa następnie program publicysty „Gołosu.“ Żądanie tegoż, aby prasa polska postawioną była w tych samych warunkach prawnych, co i prasa rosyjska w stolicach, wydaje mu się „skromnie wyrażoném, lecz zbyt śmiało pomyślaném.“ Przeraża się na samą myśl swobodnéj prasy nietylko już w Warszawie, ale co gorsza „w Kielcach i w Łowiczu i w Rawie i we wszystkich miastach, miasteczkach i mieścinach Królestwa.“ Zgroza pomyśléć: gazeta w Kiernozi, dziennik w Pacanowie, kuryer w Osieku—jakież-to niebezpieczeństwo polityczne, zwłaszcza, że jak autor powiada, nie ma u nas dotąd biura, kierującego prasą osiecko-kiernosko-pacanowską, a ta prasa co do wpływu „silniejsza jest niemal od duchowieństwa.“ Okiem orlem, czy proroczem, autor przewiduje z góry jaki-to rewolucyjny program prasa ta rozwijać będzie. Gdybyż przynajmniéj nikt tych gazet nie czytał—niebezpieczeństwo byłoby mniejsze; ale proszę sobie wyobrazić co to będzie, gdy „dwieście gazet“ pacanowskich zacznie siać codzień pełnemi garściami ziarno przewrotnych doktryn, a polacy będą ją chciwie czytać, „bo czytanie gazet nadzwyczaj jest upowszechnione między polakami.“ Zaraz na prawo i na lewo pozawierają z sąsiadami przymierza, i hajże na Soplicę!

Po rozgromieniu w ten sposób „publicysty polskiego“ w części pierwszéj, profesor P. przechodzi w części drugiéj do skreślenia

swojego własnego programu, roztrząsa „kwestye państwowe najwyższego znaczenia,“ zakłada na zachodniéj stronie Bugu „nieprzystępną cytadelę“ i zajmuje w niéj „pozycyę wyczekującą.“ Wykazuje przytém, że największém niebezpieczeństwem grozi nam „ucisk ze strony przemysłu niemieckiego,“ „z radością“ obiecuje nam przymierze w walce z tym wrogiem, przyrzeka współdziałanie swe przy wysiedleniu polaków z Cesarstwa do Królestwa, co, jak zapewnia, podniesie u nas cenę pracy, wbrew twierdzeniu tych półgłówków ekonomistów, którzy z pomnożenia rąk, poszukujących pracy, wyprowadzają zniżkę wynagrodzenia dla robotnika. W dalszéj przyszłości profesor P. zgadza się i na autonomią lewego brzegu Wisły, ale to pod warunkiem, żebyśmy nie okazywali nieprzychylności programowi jego. W razie przeciwnym bowiem, szanowny profesor zajmuje twierdze nad Wisłą i drogi, wiążące między sobą te fortece. Nadto podejmuje on wielkie operacye finansowe, ponosi koszta na wzmocnienie jednéj narodowości, bierze w zastaw posiadłości drugiéj, likwiduje te należytości; projektuje wprowadzenie głosowania powszechnego, ale z tajemném balotowaniem koniecznie, kontroluje budżety „cukierni“ i „ogródków“ w Warszawie, lęka się o przyszłość tych instytucyj, z upadkiem ich bowiem nastąpiłby fatalny „krach, któryby na długo powstrzymał rozwój téj mieściny i całego kraju.“ A kraj ten, mianowicie po lewéj stronie Wisły—to prawdziwy eden rozkoszy i dobrobytu: i ileż to „dróg żelaznych i szosowych“ przecina go w różnych kierunkach! (my wiemy tylko o trzech liniach kolejowych i o szosach, na których ludzie i konie nogi łamią). Cały kraj pokryty jest siecią towarzystw, kompanii i spółek przemysłowych, ekonomicznych (?), agronomicznych (?), naukowych (?), literackich (?!?), artystycznych (?), filantropijnych *e tutti quanti.*“ Dodajmy „że w każdém (?) niemal miasteczku Królestwa znajduje się straż ogniowa ochotnicza,“ a dla zupełności uszczęśliwienia powszechnego, te „komendy pożarne noszą mundury jednostajne i kaski, i manewrują każdéj niedzieli wobec tłumów publiczności!“ *Ah! le beau pays de Cocagne!* Brakuje mu tylko projektowanego a nie zatwierdzonego towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia; zresztą — prawdziwy eden! Jakże ci polacy śmią mówić, że im w tym edenie na lewym brzegu Wisły za ciasno?

Tyle nam zajęło miejsca rozprawienie się z profesorem P., iż nie możemy dłużéj nad „wielką polityką“ rozszerzać się; a tu jeszcze wartoby coś powiedzieć o artykule w N-rze 93 „Nowosti,“ o liście otwartym p. Szygaryna, który w „Gazecie Polskiéj“ Nr. 91 czytaliśmy.

Pan Szygaryn znany nam jest jako autor pism politycznych, w których rzeczy nas dotyczące stara się bezstronnie i bez namiętności wyświetlać. Przymioty te zachowuje i we wspomnionym liście, który wyjaśnieniu swego nieporozumienia z „Przeglądem Tygodniowym“ poświęca. Trudniéj nam zdać sprawę z artykułu w „Nowostiach,“ traktującego o margrabi Wielopolskim i o liście jednego z członków deputacyi. Pierwszego z tych panów gazeta przyrównywa do hrabiego Chamborda i nie prorokuje mu powodzenia; drugiemu gazeta zarzuca, że dopuścił się błędu politycznego, przytaczając w liście przysłowie: *concordia res parvae cresunt etc.* Dlaczego by goła wzmianka o konkordyi miała być podobną do „zbytniego naciągania łuku“ i temiż samemi groziła niebezpieczeństwami — nie mogliśmy zrozumiéć wcale.

Wśród spraw miejscowych najwięcéj godzien jest zastanowienia list Józefa hr. Skarbka z Osięcin, w którym zwraca uwagę ludzi dobréj woli na dwa punkta prawne, będące w związku z autonomią gminną. Na mocy ukazu z dnia 22 grudnia r. 1879 gminy uzyskały prawo wybierania tak zwanych pełnomocników, którzy względem prostaczków wiejskich dobroczynną odgrywać mogą rolę, już wyjaśniając im obowiązujące przepisy, już-to kontrolując praktyczną działalność zarządu gminnego i szafunek pieniędzy publicznych, już znowu uczestnicząc w mianowaniu pisarza. Drugi punkt listu dotycze języka urzędowego w gminie. P. Skarbek opierając się na okólniku gubernatora warszawskiego z 16 lipca r. 1880 Nr. 75, wykazuje, że między prawem a istniejącą praktyką zachodzi pewien rozstrój, albowiem jak powiada pan gubernator: „postanowienia zebrań gminnych, rozkłady gminnych i gromadzkich powinności, jako téż inne akty piśmienne, tyczące się ogólnych spraw gminy, są sporządzane w języku rosyjskim, zamiast w polskim.“ Gubernator gani takie lekceważenie prawa. A więc, kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha.

Czytając list hr. Skarbka, pomyśleliśmy: jakby to było pięknie gdyby się znalazł ktoś taki, coby podobny okólnik wydał do sędziów gminnych, sędziów pokoju i sądów zjazdowych—i co ważniejsza, gdyby okólnik taki poskutkował. Dziwném to się może wydawać, że wzmocnienia siły prawa obowiązującego oczekujemy od okólników, a jednak powtarzamy: bez okólnika i bez czujnéj troskliwości samego społeczeństwa, nadużycie końca mieć nie będzie, bo oto znowu dowiadujemy się, że zjazd radomski sędziów pokoju odrzucił apelacyę p. Michaliny Leszczyńskiéj, z powodu, że skarga jéj napisana była po polsku. W senacie wyrok ten, jako sprzeczny z prawem został ska-

sowany; ale czyż to daje rękojmię, że inne sądy, a nawet ten sam zjazd radomski, ściśléj spełniać wolę prawodawcy zechcą w przyszłości? Tymczasem więc, tylko od własnéj gorliwości naszéj, poprawy obecnego stanu spodziewać się możemy.

Z kredytami na ulepszenia rolne źle się u nas dzieje, gdy niedawno jeszcze urzeczywistnienie ich zdawało się być bliskiém, obecnie znowu odłożoném zostało *ad calendas graecas.* Na Towarzystwo Kredytowe Ziemskie dzisiaj już liczyć nie można—usunęło się ono stanowczo od popierania téj kwestyi, podobno nie tylko dla braku odpowiednich funduszów, lecz i ze względu na stosunki prawne i ekonomiczne.

Dotychczasowa działalność Towarzystwa nacechowaną była zawsze niezmierną ostrożnością—to prawda, czy jednak w tym przypadku nie jest ona za daleko posuniętą. Sąd pozostawiamy czytelnikom, sami zaś wstrzymujemy się od wszelkich uwag zwłaszcza, że niemożemy łudzić się nadzieją, aby komentarze nasze mogły wpłynąć na zmianę uchwał Towarzystwa niepomyślnych pod tym względem dla rolników.

Uchwały te wszakże jakkolwiek odbierają na długo nadzieję pomocy ze strony Towarzystwa, nie decydują przecież ostatecznie czy ulepszenia rolne mają „być albo nie być.“ Nie będą dokonane z zasobów udzielonych przez Towarzystwo Kredytowe, to może dadzą się urzeczywistnić przy pomocy innéj instytucyi. Mamy na myśli Bank hipoteczny, o którym przed kilku laty dużo pisano w naszéj prasie—obecnie wznowił tę kwestyą p. Kirszrot w „Ekonomiście“ pod tytułem „Myśl Banku hipotecznego.“

Nie będziemy powtarzali za p. Kirszrotem rozmaitych projektów dotyczących téj instytucyi i losów jakim one uległy; ale, dopatrując w podniesieniu na nowo téj sprawy szczęśliwy prognostyk dla narodzin pożądanego banku, postaramy się oznaczyć pole jego działalności odnośnie do większéj własności ziemskiéj i wskazać, jak rozumiemy zakres téj działalności bez nadmiernego obciążenia długami. Naprzód kilka cyfr.

Użytki wielkiéj i małéj własności przyjęte do opodatkowania w roku bież. przez ministerium skarbu wynoszą w całém Królestwie 18.951.395 morgów. Z téj liczby na własność większą przypada 10.668.422 morgów, na własność pomiejską (należącą do teraźniejszych osad) 469.988 morgów i na własność mniejszą czyli włościańską 7.785 985 morg. Pierwsza ma zapłacić podatków gruntowych: głównego i dodatkowego rub. 2.586.764 czyli przecięciowo po kop. 24

z morga, druga 111.068 rub. przecięciowo 22 kop. z morga a trzecia rub. 2.149.782 po kop. 27¾ z morga.

Przeciętna wartość każdego morga tych gruntów obliczona na podstawie cen przyjętych w dotychczasowych przepisach Towarzystwa Kredytowego wynosi rub. 30 kop. 88 z doliczeniem już 25% na wartość budowli. Grunta więc należące do własności większéj przedstawią ogólną wartość rub. 329.440.871 a własności małéj i pomiejskiéj razem wziętych rub. 255.778.206 czyli że ogólny szacunek użytków w Królestwie równać się będzie rub. 585.219.077.

Wykazawszy w ten sposób ogół opodatkowanéj powierzchni kraju i jéj wartość, możemy, przy zastosowaniu do podatków gruntowych, opłacanych przez własność większą, używanéj dotąd przez Towarzystwo Kredytowe zasady mnożnika 56, otrzymać sumę jakiéj dosięgnąć może działalność Towarzystwa, polegająca jak dotąd na udzielaniu pożyczek prawie wyłącznie własności wielkiéj.

Iloczyn ten odnaleziony z pomnożenia wskazanych wyżéj rub. 2.586.764 przez 56 daje.	144.858.800 rub.
Że zaś ogólny szacunek własności większéj równa się podług naszych obliczeń	329.440.871 „
Przeto potrącając pierwszą sumę z ostatniéj, otrzymamy resztę szacunku własności większéj mogącą być podstawą kredytu po za Towarzystwem. Suma ta równać się będzie	184.582.071 „

Winniśmy jednak uprzedzić czytelników, że o ile podana przez nas rozległość gruntów, należących do większéj i małéj własności i sumy opłacanych przez nie podatków zdają się być dokładne, gdyż zaczerpnęliśmy je ze źródeł urzędowych, o tyle ustanowiona przez nas wartość tych gruntów, jakkolwiek może być bliską rzeczywistości, nie jest jednak ścisłą.

W każdym razie, wskazana przez nas wartość raczéj jest zmniejszona niż powiększona. Główna przyczyna niezgodności z istotnym stanem rzeczy polega najprzód na tém, żeśmy się opierali na niskich cenach, przyjętych w przepisach taksowych Towarzystwa, powtóre, że ceny gruntów, przyjęte do obliczenia wartości użytków całego kraju, stanowią przeciętne z cen ustanowionych dla wszystkich oddziałów taryfowych Towarzystwa, przez co zniknąć musiały różnice zachodzące między oddziałami co do ich powierzchni i co do stosunku, zachodzącego między rodzajami gruntów.

Nadto przy obliczaniu maximum, jakiego dosięgnąć mogą pożyczki Towarzystwa, pomnożyliśmy przez mnożnik 56 całą sumę opłacanych przez własność większą podatków gruntowych, gdy z ogólnéj liczby morgów, a więc i z sumy opłacanych przez nią po-

datków, wypadało strącić całą przestrzeń należącą do dóbr instytowych, i ordynackich, nie korzystających z kredytu Towarzystwa, oraz całą sumę opłacanych przez te grunta podatków. Nie mogliśmy uniknąć tego błędu dla braku odpowiednich danych, skutkiem czego zwiększoną została ogólna suma, mogąca być zakredytowaną przez Towarzystwo.

Zwiększenie to jednak wpływa niekorzystnie tylko na rezultat wykazujący część szacunku własności większéj, mającą być podstawą kredytu po za Towarzystwem Kredytowém, niewłaściwie ją bowiem obniża; nie mając wszakże żadnego kryterium do ujęcia, bodaj w przybliżone cyfry, niedokładności naszego rachunku, poprzestajemy na tém ogólnikowém jéj zaznaczeniu i wracamy do zajmującego nas przedmiotu.

Przytoczyliśmy powyższe szczegóły liczbowe dla lepszego uwydatnienia, że obok Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego może istniéć inna istytucya, udzielająca kredytu właścicielom dóbr ziemskich.

Obliczyliśmy wyżéj, że z ogólnego szacunku własności większéj część, mogąca być podstawą kredytu po za Towarzystwem, równać się może w zaokrągleniu 184 milionom rub., wszakże pożyczki projektowanego Banku hypotecznego nie dosięgłyby téj wysokości. Wedle streszczonéj przez p. Kirszrota ustawy, Bank ten udzielałby kredytu tak na pożyczki zwyczajne jak i specyalne (melioracyjne) ogółem do wysokości tylko $^3/_4$ części czystego szacunku dóbr. Stosując tę zasadę do ustanowionego przez nas ogólnego szacunku gruntów większéj własności, obdłużenie jéj w obu instytucyach kredytowych łącznie, niemogłoby przenosić. 247.080.654 rub.
że zaś pożyczki Towarzystwa Kredytowego mogą
z powyższéj sumy wyczerpać najwyżéj . . . . 144.858.800 „
pozostałoby przeto dla działalności Banku . . . 102.221.854 rub.

Przypuszczalna ta suma sama przez się przedstawia już rozległe pole działania, w istocie jednak może być jeszcze zwiększoną, chociażby dla tego, że gdy dotąd wierzytelności Towarzystwa nie przewyższyły 97 milionów rubli, to trudno przypuścić, aby w niedalekiéj przyszłości, miały one dosięgnąć obliczonéj przez nas maksimalnéj cyfry 144 mil. rub.

Gotowe więc jest i szerokie pole dla instytucyi kredytowéj, i rozumiemy, że tych którzyby mieli ją organizować, nie odstraszałaby konieczność ubezpieczenia wierzytelności bankowéj na drugim dopiéro numerze hipotecznym tj. po pożyczce Towarzystwa; ubieganie się bowiem kredytu prywatnego o taką lokatę, dostatecz-

nie wskazuje, że przy niskiéj taksie Towarzystwa, drugi ten numer przedstawia bezpieczeństwo zupełne, że zatém interes jest do zrobienia.

My jednak nie możemy patrzéć na własność większą ze stanowiska instytucyi kredytowéj a więc jako na pole spekulacyi. Gdy instytucya działająca na wielką skalę obojętném okiem spoglądać może na liczbę przypuszczalnych ofiar, nam chodzi o to żeby tych ofiar nie było.

Dla tego téż, gdy po wprowadzeniu w życie ostatnich uchwał Towarzystwa, podnoszących pożyczki do połowy szacunku dóbr wynalezionego z taksy (o czém pisaliśmy w poprzednim zeszycie), kredyt właścicieli większéj własności ziemskiéj zostanie zwiększony w porównaniu z dzisiejszym, pragnęlibyśmy żeby rola Banku hipotecznego, co do téj własności, polegała przedewszystkiém, jeżeli nie mamy powiedziéć, wyłącznie, na przyznawaniu kredytów melioracyjnych.

Zamykając w powyższych granicach działalność banku hipotecznego odnośnie do większéj własności ziemskiéj, nie chcemy twierdzić, że to jest wszystko, czego ona potrzebować może: zaspokoić przecież od razu wszelkich potrzeb niepodobna. Staje temu na przeszkodzie nie tylko brak odpowiednich źródeł, lecz i wzgląd na samę własność, która podług nas nie zdołałaby, na teraz przynajmniéj, udźwignąć większego ciężaru obdłużenia.

Przy mnogości potrzeb, wypada przedewszystkiém myśléć o zaspokojeniu najpilniejszych, że do takich należy właśnie sprawa ulepszenia warsztatu rolnego, tego nie potrzebujemy uzasadniać; wystarczy przypomnienie, że te same władze Towarzystwa Kredytowego, które na ostatnich obradach odroczyły sprawę ulepszeń, jeszcze w r. 1874 uznały i stwierdziły jéj konieczność, ciążącą nad całą masą użytków i przeszło trzema milionami morgów nieużytków.

Bez pomocy kredytu własność ziemska nie zdoła zaspokoić téj potrzeby, zwiększenie zaś pożyczek Towarzystwa do normy ustanowionéj na ostatnich obradach pozostanie prawie bez wpływu w tym kierunku, nieliczne bowiem jednostki są w tak szczęśliwych warunkach, iżby zwyżkę kredytu Towarzystwa mogły użyć na ulepszenia, większość rolników zdoła tylko uwolnić się od pilniejszych długów prywatnych i dla tego też rozczarowanie ziemian doznane ze strony Towarzystwa, powinno pobudzić do nowych starań ku zorganizowaniu, zapomnianego po części, banku hipotecznego, chociażby tylko dla przyznawania własności większéj kredytów melioracyjnych, gdyż one same przez się przedstawiają już obszerne pole dzia-

łania. Jeżeli operacye banku, w tym kierunku zwrócone obejmą $^1/_4$ część szacunku własności większéj, a wynaleziona przez nas wartość téj własności równała się 329 milionom rubli, to czwarta część téj sumy mająca reprezentować ogólną wysokość pożyczek na ulepszenia, pozwoli na posunięcie obrotów banku hipotecznego do bardzo poważnéj cyfry 82 milionów rubli.

Uprzedzając wszakże możliwe zarzuty, że domagając się dla własności większéj kredytów tylko melioracyjnych, nie uwzględniamy innych jéj potrzeb i żądań, winniśmy zaznaczyć, że czynimy to z całą świadomością, w przekonaniu, że większych ciężarów niepodobna na niéj oprzéć. Skoro pożyczki Towarzystwa mają według nowych zasad sięgać połowy szacunku dóbr ziemskich, a kredyty melioracyjne mogłyby zająć jedną czwartą część wartości tychże dóbr, to gdzież się mogą znaleść podstawy do dalszego kredytu?

Nam się zdaje, że dobra, obciążone długiem do $^3/_4$ części swéj wartości, więcéj już udźwignąć nie zdołają i wymagać nadto od właściciela będą nadzwyczajnéj skrzętności i zabiegliwości, zanim uda mu się przebyć peryod krytyczny i doczekać chwili, w któréj dokonane ulepszenia zwiększą dochody z majątku i ułatwią trudną w pierwszych latach spłatę rat pożyczkowych.

Oto powody dla których pragnęlibyśmy, aby działalność banku hipotecznego zamknęła się w sferze kredytu udzielanego wyłącznie na ulepszenia rolne.

Dodajmy na zakończenie, że gdy obecnie właściciele ziemscy częstokroć napotykają trudność w opłaceniu Towarzystwu rat pożyczkowych na termin przepisany (o czém świadczą ogłoszenia Dyrekcyj szczegółowych Towarzystwa), o ileż trudniéj będzie im nieść ciężar zwiększony przez zaciągnięcie w banku hypot. pożyczki melioracyjnéj, gdy oprócz dwu dotychczasowych rat, wypadnie pamiętać o opłacaniu trzech albo czterech. Ciężar rat i rygor egzekucyi ciągle przypominać będą właścicielowi, że jakkolwiek prawnie jest on właścicielem majątku, to wszakże przed samym sobą może się uważać tylko za dzierżawcę lub administratora własności należącéj de facto do instytucyi kredytowych i że potrzeba wielkiéj energii i nieustającéj pracy, dla wyzyskania korzyści długoletniego i amortyzującego się kredytu i dojścia do błogiego stanu posiadania, czującego się niezachwianém i swobodném w ruchach.

Odczyty na dochód Osad Rolnych doznawały w tym roku różnych przeszkód z zewnątrz, tak, że nie mogły regularnie po sobie na-

stępować jak w latach poprzednich. Nie wpływało to wszakże ujemnie na ilość słuchaczów, gdyż jeżeli nie sam temat prelekcyj, to kilka nowych na katedrze prelekcyjnej w Warszawie osobistości, pociągało ku sobie publiczność.

Do takich należał najprzód dr. Kazimierz Morawski, profesor filologii klasycznej w uniwersytecie jagiellońskim, który w lekkiej a często dowcipnej pogadance, zestawił wymowę starożytną klasyczną z nowożytną.

Nazwisko dra Morawskiego nie powinnoby być obce czytelnikom „Ateneum", przed dmoma bowiem laty pisano tu o nim z powodu jego rozprawki o satyryku rzymskim Lucyliuszu. Następnie dał on się poznać badaczom fachowym pracą gruntowną pomieszczoną w VII tomie „Rozpraw i sprawozdań" wydziału filologicznego Akademii Umiejętności p. n. „Studya nad historyą greckiej wymowy". Kilka myśli rzuconych mimochodem na wstępie do tej pracy, posłużyło drowi Morawskiemu do wysnucia wcale pięknej gawędy, w której nie chodziło mu bynajmniej ani o ścisłe wyznaczenie różnic zachodzących pomiędzy wymową Greków i Rzymian a wymową narodów nowożytnych, ani o dokładną charakterystykę obydwu, ale tylko o podzielenie się ze słuchaczami pewną liczbą spostrzeżeń nad najwybitniejszemi cechami, przedstawiającemi się zarówno w zewnętrznych warunkach, jak i w wewnętrznym usposobieniu mówców starożytnych i nowożytnych. Nie brakło tu naturalnie satyrycznych wycieczek przeciwko czasom naszym, ale te wycieczki robione były z tak dobrodusznym uśmiechem, że wykazując mniej silne strony naszego życia spółczesnego, do niego bynajmniej nie zrażały. Komicznie odmalował dzisiejszych mówców w salach zamkniętych, we fraku, popijających ocukrzoną wodę, nie umiejących poradzić sobie z rękami sięgających ciągle po zegarek, ażeby się dowiedzieć, jak długo jeszcze siebie i słuchaczów nudzić mają... A jak powabny kontrast w myśli naszej stanowią mówcy starożytni, przemawiający na otwartém powietrzu, w malowniczych a swobodnie spływających szatach, wobec ludu niezmiernie czułego na subtelności dźwiękowe i stylowe, zainteresowanego częstokroć nie samą sprawą, ale sposobem jej przedstawienia. Krótka ale dosadna charakterystyka Demostenesa i Cycerona, dała poznać dwa odmienne typy mówców klasycznych, występujących przed słuchaczami nie w ogólnikowo-panegirycznych zarysach, ale w żywej niemal postaci. W ogóle dr. Morawski należy do tej sfery filologów, która poprzestając na swojém specyalnym wykształceniu, dba o wszechstronny literacki polor, a zainteresowaniem się kwestyami bieżącemi i wykazywaniem analogii pomiędzy starożyt-

nością a naszą epoką pragnie ożywić studya swoje, które ogół przywykł za bardzo suche i nudne uważać.

Jakże smutnie wobec tej świeżej i pełnej życia pogawędki prezentowała się prelekcya p. Pawła Popiela, z powołania i studyów prawnika, profesora b. Szkoły Głównej. Niewątpliwie miło było i samemu profesorowi i byłym słuchaczom jego przypomnieć sobie czasy, kiedy w jednej z sal Kazimirowskiego pałacu się zbierali; ale tego miłego przypomnienia nie podsycił jak się zdaje odczyt o stosunku ducha klasycznego do literatur nowożytnych, gdyż w nim obok chaotyczności traktowania kwestyi rzeczywiście i ważnej i ciekawej, obok zbyt zaniedbanej formy wykładu, nie można się było doszukać myśli przewodniej, z którąby jako z pewną zdobyczą umysłową wyszli słuchacze z sali ratuszowej. P. Popiel jest wielbicielem literatury klasycznej, a dowód swego uwielbienia złożył w pracowitym przekładzie Iliady, ale z drugiej strony rozpatrując wpływ tej literatury na wytworzenie pseudoklasycyzmu francuzkiego, a ztąd i naszego, nie mógł mówić o bezwarunkowém jej dobroczynném dla rozwoju oświaty znaczeniu. Do mętnego pojęcia o doniosłości literatury klasycznej przyczyniła się nadto niechęć prelegenta do nowszej epoki dziejów, począwszy od brzasku humanistycznego. Humanizm nie doznaje łaski ze strony ludzi tego sposobu myślenia co p. Popiel; jemu przypisują w znacznej części te klęski, jakie „powaga" poniosła w czasach nowożytnych... A cóż wywołało humanizm jeżeli nie literatura klasyczna? Stąd czuć było, że p. Popiel znajduje się nieraz w kłopocie: chciałby utrzymać zdanie, że literatura klasyczna przedstawia wieczno-trwałe wzory piękna, chciałby zachęcić do jej studyowania; a tu tymczasem budzą się w nim samym skrupuły i wątpliwości, czy zachęcając do tych studyów, nie przyczyni się do odżywienia zgubnej „pychy rozumu", który pragnąłby wszelkie wędzidła przez różne powagi nakładane, potargać. Nie śmiemy twierdzić, jakoby sam prelegent nie był w duszy zdecydowany co do kwestyi powyższych, ale to zdaje nam się rzeczą niewątpliwą, iż w prelekcyi swojej nie potrafił należycie decyzyi swej uwydatnić, a przez to pozostawił w umysłach słuchaczów swoich wrażenie jakieś niepełne, ułamkowe, niejasne, które do wyrobienia przekonań mało przyczynić się mogło.

Nie zatrzymując się długo nad odczytem p. Sygurda Wiśniowskiego, który mówił o klimacie i mieszkańcach Kuby, gdyż temata opisowe nie nadają się do krótkiego streszczenia jako już i tak bardzo streszczone w jednogodzinnej prelekcyi; powiemy tylko, że prelegent umiał zająć słuchaczy, umiał ich uwagę utrzymać do końca, roztaczając barwne obrazy, przyrody i życia towarzyskiego na Kubie.

Z kolei znany a utalentowany botanik p. Rostafiński, zrobił niespodziankę Warszawianom, występując z dwoma odczytami o nowym zwrocie w poezyach Adama Asnyka. Nie myślimy wcale ograniczać prawa swobody każdej jednostki do wypowiadania tego, co poczytuje za prawdę, chociażby sfera tych poglądów nie wchodziła w zakres specyalnego przygotowania owej jednostki; co więcej jeżeli Goethe mógł z pożytkiem uprawiać nauki przyrodnicze i czynić istotne odkrycia; to nic w zasadzie nie przeszkadza, ażeby przyrodnik nie miał wypowiedzieć gienialnych pomysłów estetycznych. Niewłaściwém tedy wydaje nam się ubolewanie pism pewnych, które żałowały, że p. Rostafiński porzucił na chwilę błonia botaniki dla świetnych łąk poezyi... Idzie raczej o to, czy p. R. równie trafnie umie oznaczać estetyczne, jak morfologiczne cechy ziół i kwiatów.

Prelegent biorąc pochop z ukazania się trzeciego tomu poezyj Asnyka starał się wykazać, że w poezyach tych El...y jest przedstawicielem nowego prądu umysłowego, że wchłonął w siebie wszystkie zdobycze nauki dzisiejszej i poetyczny dał im wyraz. A zatem prawidłowość ścisła zarówno w sprawach fizycznych jak duchowych, wieczna przemiana kształtów, walka o byt w przeróżnych postaciach : oto zdaniem p. Rostafińskiego te ideje, które nauka dzisiejsza za prawdę uznaje i które Asnyk w utworach swoich w plastyczną szatę słowa przyobleka. Na dowód tego twierdzenia cytował prelegent bardzo dużo pojedynczych wyrażeń, całkowitych wierszy i kilkowierszowych strofek; istotnie wyrażenia te, wiersze i strofki rozpatrywane z osobna, mogą przekonać nawet najniewierniejszych Tomaszów, że Asnyk żyje w drugiej połowie XIX stulecia, że czyta rozprawki przyrodnicze i przysłuchuje się rozmowom i dyskusyom na temat zdobyczy wiedzy spółczesnej, że nie pozostaje obojętnym na ten ruch, jaki w koło niego się objawia, że odznaczając się nadzwyczajną wrażliwością na najsubtelniejsze nawet wrażenia z zewnątrz pochodzące, musi w pewien sposób je wypowiadać, że: wchłaniając wyziewy atmosfery otaczającej, musi analogicznie produkcye swoje zabarwiać. Nie znaczy to jeszcze wszelako, żeby Asnyk był apostołem nowych idei. Nie! Jest on nim i nie jest zarazem stosownie do tego, jakie w owej chwili, kiedy pisze piosnkę, przemaga wrażenie. Zbyt długo żył on i pisał pod silnym wpływem romantyzmu, zbyt zrósł się z ideałami przezeń głoszonemi i zbyt jest wrażliwym, ażeby mógł stanowczo zerwać z dawnemi przyzwyczajeniami i pójść nową drogą. Jest on, jeżeli się nie mylimy, wyobrazicielem jakiejś fazy przejściowej, która obfituje w liczne sprzeczności, ponieważ częścią tkwi w dawnych przywyknieniach, a częścią ku nowej jutrzni świata się wyrywa. Widać to zarówno w estetycznych przekona-

niach Asnyka, wypowiedzianych w wierszu poświęconém „Maciejowi Sieczce“, jak w społeczno-politycznych i filozoficznych. Jak w estetyce Asnyka poprzez wypieranie się romantycznej przesady i fantastyki przegląda naturalizm wielce neofityzmem tchnący; tak w filozoficznych i społeczno-politycznych poglądach po przez trzeźwość myśli, po przez łgnienie do nowych sfer myśli czuje się tęsknotę poety za dawnemi ideałami. A jeżelibyśmy chcieli odnaleść wyraz jego usposobienia, nie wdając się w subtelne odcienie, tobyśmy chyba nie bardzo pomylili się, wskazując je w wierszu: „Ciche wzgórze“.

Więc choć lat już przeszło tyle,
Myślą wracam w dawne chwile
Siąść pod krzyżem na mogile,
Chcę usłyszeć znów o zmroku
Pieśń nabożną tego ludu,
Co się modląc ze łzą w oku
Oczekuje zawsze cudu...

W pierwszej części drugiego odczytu, gdzie się p. R. zastanowił nad poczuciem przyrody w poezyach Asnyka, wiele było rzeczy trafnie zaobserwowanych i pięknie wypowiedzianych.

Ażeby już nie opuszczać pola literatury, pominiemy porządek chronologiczny i wspomnimy o dwu prelekcyach panny Stefanii Jurkowskiej z Płocka, z których dochód w połowie przeznaczony był na rzecz Osad Rolnych. Panna Jurkowska zachęcona powodzeniem odczytów swoich w Płocku, nie zważając na różnicę poziomu umysłowego słuchaczów, przybyła do Warszawy i odczytała dwie swoje prace; jednę: o literaturze narodów wschodnich, drugą: o pieśniach ludu. Obie grzeszyły jako prelekcye tem, że były nazbyt elementarne; odczytane przed uczennicami na pensyi w małej salce, mogły się wydać wcale nie źle, ale w wielkiej sali ratuszowej wobec publiczności, zresztą bardzo nielicznej, która przywykła słyszéć z katedry rzeczy mniej lub więcej samoistnie obrobione, raziły niedostrojeniem się do ogólnego tonu. Pomijamy błędy i omyłki popełnione przez prelegentkę, gdyż wykazywanie ich na nicby się nie przydało; zauważymy jedynie, że chcieć opowiedziéć w jednej godzinie o literaturze Chińczyków, Indusów, Hebrajczyków i t. d. jest to nie rozumieć celu odczytu, który przecież nie może polegać na wygłoszeniu kilku nazwisk i odczytaniu kilku wyjątków. Co do prelekcyi o pieśniach ludu, to była ona zbiorem cytat powiązanych frazesami, które nie mogły mieć nawet pretensyi do charakteryzowania tych utworów ludowych, które prelegentka odczytywała. W stylu znać było pewną staranność, a to świadczy na korzyść prelegentki,

która widocznie nie z lekceważenia ale z niedoświadczenia narażała publiczność na grzeczne nudy.

Przechodzimy do odczytów innej dziedziny.

W medycynie, a może i w całym obszarze nauk przyrodniczych, nie wiele znajdzie się spraw równie wdzięcznie nadających się na przedmiot do odczytu publicznego, jak rzecz o pasorzytach. Ogół oswoił się już z myślą, że drobniutkie te twory są sprawcami najgroźniejszych chorób, i radby zapewne bliżej poznać strasznych tych nieprzyjaciół rodu ludzkiego; dlatego to zapowiedziane o rzeczy tej odczyty dra Huberta Krasińskiego, wzbudziły żywsze zajęcie, aniżeli pospolicie dostaje się ono w udziale przedmiotom przyrodniczym.

Jeżeli jednak p. Kr. rzecz swą dobrze wybrał, nie możemy powiedzieć, aby równie dobrze z niej się wywiązał. Brakło tam poglądu ogólnego, był to zbiór szczegółów, ilustrowany znaczną liczbą rycin, rzucanych na zasłonę za pomocą latarni czarnoksięskiej; ryciny te jednak nie stanowiły pomocy w wykładzie, ale raczej wykład cały przedstawiał jakby krótki text, podobny do tego, jaki w atlasach służy do wyjaśnienia tablic, text pobieżny, niekiedy błędny, a zawsze niedostateczny. Słuchacz nie dowiedział się, na czem polega życie tych tworów zagadkowych, ani jakie stanowisko zajmują one w szeregu jestestw. Już to zoologa wcale czuć nie było w wykładzie p. Kr., ale i strona fizyologiczna nie lepiej była rozwiniętą, prelegent bowiem nie zastanawiał się nad zmianami wywoływanemi przez pasorzyty w organizmach, których kosztem żyją.

Prelekcya pierwsza poświęcona była pasorzytom roślinnym, jak np. zarazkowi kartoflanemu, oraz pasorzytom żyjącym na zwierzętach, a należącym do świata zwierzęcego, począwszy od tego owadu bezskrzydłego, który we włosach ludzkich przebywa; tu usłyszano dalej o świerzbowcu, o włośniku czyli trychinie i o tasiemcu. Pierwsza ta lekcya bardzo pobieżnie była traktowaną, nader mało dowiedziano się nawet o ciekawych wędrówkach tych ostatnich robaków pasorzytnych.

Lekcya druga, poświęcona grzybkom i bakteryom, obrobioną była lepiej, lubo i tu za główną wadę poczytać można to, że prelegent zgoła nie położył nacisku na różnicę między grzybkami zrządzającemi jedynie choroby skórne, a owemi istotnemi zarazkami chorobnemi, cholery i karbunkułu np. Widzieliśmy tu rysunki zarazku cholery, błonicy, karbunkułu, tyfusu powrotnego, ale za niewątpliwie dotąd znane, nauka uważa tylko dwa ostatnie, do których dodać jeszcze należy i zarazek cholery kurzej, odkryty niedawno przez

Pasteura; istoty wywołujące cholerę i błonicę, jeszcze na pewno uchwycone nie zostały. Rzecz jednak, jak się nam zdaje, polegała dla słuchaczy nie na tém, czy jeden taki mikrobion ma komórki więcej podłużne, a inny więcej okrągłe, ale czém on jest, jak żyje, na czém zabójczość jego polega, i niewątpliwie korzyść dla słuchaczy byłaby o wiele większa, gdyby p. Kr. dokładniéj opowiedział o badaniach Pasteura nad zarazkiem cholery kurzej, oraz o pracach Buchnera nad przeobrażeniem się bakteryi żyjącej w odwarach siana na dobrze znane bakterye karbunkułowe. Możliwość szczepienia tych chorób zaraźliwych, wskazana przez Pasteura, wymagała także bliższego objaśnienia. P. Kr. kilkakrotnie powtarzał, że pragnie być ściśle naukowym, zarazem popularnym, ale popularność właśnie wymaga, aby prelegent pamiętał zawsze, że przemawia do słuchacza obcego zgoła nauce, który ma nabrać ogólnego pojęcia o danym przedmiocie, wykład tém bardziej chybia celu, im mniej ogólnego daje pojęcia, im więcej roztapia się w szczegółach, które po umyśle słuchacza zaledwie się prześlizgują. Sprawozdawca może się myli, sądzi jednak, że nie wielu słuchaczy umiałoby powiedziéć, czego się istotnie z wykładu p. Kr. nauczyli.

O jednej jeszcze okoliczności wspomniéć nam wypada. Mówiąc o świerzbie, p. Kr. dodał, że dopiero jeden młody polak, który podówczas był studentem medycyny w Paryżu, wskazał uczonym, jak świerzbowca wykryć można. Nazwiska tego polaka p. Kr. nie wymienił, — w „Nauce o chorobach skórnych“ Neumanna, spolszczonej przez Stockmana, czytamy na str. 157: „Natura choroby została dokładnie wyjaśnioną w liście Buonomo do Redi, oraz w pracach późniejszych badaczy, jak Bourguignom, Hebra, Eichstedt, Gudden, Fürstenberg i innych wielu“. Żadnego nazwiska polskiego tu nie napotykamy; jeżeli przeto p. Krasińskiemu rzecz ta bliżej jest znaną, powinienby ją rozwinąć i wykazać nieznaną dotąd zasługę rodaka naszego.

Oprócz prelekcyj na dochód Osad Rolnych, wygłosił jeszcze dwa odczyty o trzęsieniu zagrzebskiém na dochód Zagrzebian pan Szczepaniak, świadek i sumienny badacz tego trzęsienia. P. Szczepaniak przebywa, jako inżynier, od lat kilkunastu w Chorwacyi i zajął się bardzo gorliwie zebraniem szczegółów, tyczących się ostatniego trzęsienia. Zebrał wykaz szkód zrządzonych tak w samém mieście, jak i w jego okolicach, zbadał kierunki wstrząśnień, oznaczył na obszernych kartach, jak daleko i jak silnie dawał się uczuć wpływ trzęsienia i zestawił natężenie trzęsień ze spółczesnym stanem barometru, termometru, wilgotności powietrza i biegiem księżyca. Ta ostat-

nia praca przedstawiona jest graficznie na bardzo znaczną skalę, tak, że samo spojrzenie na ten rysunek wskazuje, czy można dopatrzéć związku między natężeniem trzęsień a wspomnianemi wyżej czynnikami meteorologicznemi i astronomicznemi.

Ten to materyał przedstawił w odczytach swoich p. Szczepaniak publiczności warszawskiej. Na nieszczęście, nie zdał on sobie sprawy należycie z charakteru, jaki odczyt publiczny mieć winien i przez całą pierwszą lekcyę wyliczał jedynie szkody sprawione przez trzęsienie w Zagrzebiu, a przez większą część lekcyi drugiej szkody w jego okolicach. Nie jest to, rozumie się, wykaz statystyczny, bo rodzaj i siła uszkodzeń pozwalają ocenić punkt środkowy trzęsienia i cały jego przebieg, ale w każdym razie jest to tylko materyał, bardzo cenny dla geologów, ale nużący dla ogółu słuchaczy. Jeżeli odczyt p. Krasińskiego był jakby objaśnieniem do ilustracyj, to u p. Szczepaniaka było gorzej jeszcze, bo mieliśmy opis rycin, których nie widziano; fotografie bowiem gmachów, o których p. S. mówił, krążyły wprawdzie po sali, ale nikt nie miał ich pod ręką, w chwili, gdy prelegent o nich mówił, a rozwieszone mapy, lubo dosyć wielkie, mogły być jedynie z bliska rozpatrywane.

Wykład stał się więcej zajmującym dopiero w końcu drugiej lekcyi, gdy p. S. przeszedł do historyi hypotez, jakie o trzęsieniach ziemi w różnych czasach tworzono. Ustęp ten był przekładem pracy Lerscha, który przed kilku laty zebrał dzieje tych poglądów aż do ostatnich czasów; nakoniec mówił p. S. i o teoryach, które obecnie w nauce panują, ale krótkość pozostającego czasu zmusiła go do zbyt pobieżnego traktowania tej części, któraby dla słuchaczy najwięcej miała znaczenia, a odczyt zakończył p. S. słusznemi zapewne słowy Lerscha, że trzęsienie jest jeszcze dotąd „*magnum mysterium Dei*“.

P. Sz. udaje się do Wiednia, który obecnie dla geologii bardzo wybitne stanowi ognisko; nie wątpimy, że prace p. Sz. będą tam przez geologów z wielkiém zajęciem rozpatrywane, i posłużą jako bardzo ważny materyał do odszukania punktu środkowego i przyczyny trzęsienia zagrzebskiego, nad czém obecnie pracują głównie profesorowie Hoernes i Suess. Panu Szczepaniakowi należy się wdzięczność, że umyślnie zboczył do Warszawy, aby z mozolnemi swemi badaniami zapoznać rodaków; prawym niewątpliwie obywatelem jest, komu więcej idzie o uznanie swoich, niż obcych.

Co do materyalnego rezultatu odczytów, to wyniósł on rs. 286 kop. 72, z czego po strąceniu kosztów rs. 34 kop. 98, złożono rs. 251 kop. 74 na ręce konsulatu austryackiego w Warszawie dla przesłania ich do magistratu miasta Zagrzebia.

Dnia 26 kwietnia w pałacu Brylowskim otwartą została wystawa licznych, acz nie wszystkich, wyrobów przemysłu krajowego, przeznaczonych na niedoszłą w tym roku wystawę w Moskwie. Górne sale nie mogły pomieścić nadesłanych okazów, musiano zająć jeszcze kilka pokojów na dole. Wystawa to przemysłu nie tyle nawet krajowego, ile Warszawskiego, bo głównie reprezentowane są na niej fabryki z miasta i z najbliższych okolic, w porównaniu więc z wystawami powszechnemi jest ona miniaturą tylko, ale miniatura to ciekawa, zasługująca nietylko na obejrzenie, lecz i na pilne rozglądanie się w niej. Maszyny parowe, całe urządzenie tartaku, odlewy i wyroby z żelaza i stali, kamienie młyńskie, skóry, papier wszystkich gatunków, fajanse i porcelany, srebra nakładane, wyroby miedziane, naczynia z blachy, meble z drzewa i żelaza, tkaniny, wyroby wełniane fantazyjne, obuwie, kwiaty sztuczne, koronki i t. d., wszystko w malowniczych i gustownych grupach ułożone, nie pospolicie bawi oko, zaciekawia a zarazem i cieszy, że tyle już wcale pięknych i pożytecznych rzeczy u nas na miejscu się wyrabia. Nim potrafimy bliżej rozpatrzyć się w tem wszystkiem i cokolwiek obszerniej o tém pomówić, zaznaczamy to pierwsze wrażenie, które zapewne każdemu zwiedzającemu, równie jak nam, miłe wspomnienie zostawi. Wszak to znak widoczny, że przemysł krajowy dźwiga się; jeżeli wspomnimy, że kopalnie węgla w Dąbrowie mogą nie mało dostarczyć materyału palnego, z tém większą ciekawością przypatrywać się będziemy tym maszynom parowym, które węgiel na motora przerabiają, i niepłonna obudzi się w nas nadzieja, że przemysł nasz rodzimy, wszedłszy raz na drogę prawdziwego rozwoju, nie przestanie iść po niej coraz śmielszemi krokami, a z czasem, ubogiemu dotąd krajowi, potrafi wywalczyć lepsze stanowisko wśród produkcyi przemysłu europejskiego. Z katalogu dowiadujemy się, że nie jedna fabryka wyroby swoje w pewnej części zbywa za granicę, więc, w kilku gałęziach przynajmniej, możemy współzawodniczyć z wyrobami niemieckiemi. Próbki rzeczy wyrabianych w szkole technicznej kolei Warsz.-Wied., i roboty dzieci ze szkoły rzemieślniczej, pozwalają mieć nadzieję, że zakłady te coraz liczniejszych i to dzielnych pracowników dostarczać będą fabrykom krajowym, i że w niedalekiej może przyszłości nie będziemy już słyszeli skarg tak głośnych i tak częstych na nienormalne stosunki przemysłu naszego.

Otrzymaliśmy odezwę komitetu z Krakowa, który, jednocześnie ze zjazdem lekarzy i przyrodników polskich w r. b., zamierza urządzić tam wystawę przedmiotów, mających styczność ze sztuką lekarską i naukami przyrodniczemi, a to w celu przedstawienia naocznie ruchu naukowego: na polu badań i prac umiejętnych, środków po-

mocniczych w najnowszych czasach używanych, tudzież co, w gałęziach przemysłu najbliżej ich dotyczących, wyrabia się w kraju. Wszelkie zgłoszenia wystawców należy przysyłać najdalej do dnia 20 Czerwca pod adresem: „Muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie“; przesyłki zaś mają być nadsyłane nie później d. 10 Lipca, adresować je należy franco: „Do komitetu wystawy przyrodniczo lekarskiej w Sukiennicach w Krakowie“.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu kwietnia r. 1881.

---

1. **Historya polska** w opowiadaniu ludu p. *Szymona Matusiaka.* Kraków 1881. (str. 29.)
2. **Z dolnych Łużyc** — kilka zarysów i wspomnień napisał *A. J. Parczewski* (przedruk z Wędrowca str. 31). Warszawa 1881.
3. **Powiastki historyczne** dla młodzieży i ludu naszego napisał *Józef Grajnert* książeczka 3-a (Cena kop. 10.) Warszawa 1881.
4. **Sur un intégrateur**, instrument servant à l'intégration graphique p. *M. Br. Abdank Abakanowicz.*
5. **Izdania N. D. Szigarina.**— a) Zapadnaja biblioteka T. I. po rosyjsku i po polsku b) Zapadnorusiec T. I.—Kiów 1881.
6. **Kolenda dla Marylki** i zbiór wierszyków p. *A. Fiodorowiczową.* Warszawa. 1880.
7. **Rocznik zbiorowy** prac naukowych na rok 1880 r. Warszawa.
8. **Obrazki z najdawniejszych dziejów Przemyśla** p. Dr. *Antoniego Lewickiego.* Przemyśl. 1881.
9. **Zdrowie duszy** czyli pielęgnowanie sfery umysłowéj i moralnéj p. Prof. *Oesterlena.* Warszawa 1881. Nakład wydawnictwa S. Czarnowskiego i Spł. str. 27.
10. **Niewieście ideały poetów polskich.** Szkice biograficzno-literackie przez *Walerego Przyborowskiego.* Warszawa. Gebethner i Wolff 1881; str. 272.
11. **W sprawie pisowni polskiéj.** (Odbitka z Tygodnika Ilustrowanego.) Warszawa 1881, str. 31.
12. **Życie i prace Józefa Kremera** jako wstęp do jego dzieł. Skreślił *Henryk Struve.* Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1881 str. 175.
13. **Sprawozdanie** wydziału Czytelni Polskiej Akademików Górniczych w Leoben z czynności za rok 1879/80 we Lwowie nakładem Czytelni. 1881, str. 19.
14. **Dzieła Lucyana Siemieńskiego** Tom. III. Portrety literackie. Warszawa. Nakład i druk Józefa Ungra 1881, str. 309.
15. **Filipa Kallimacha** nieznanego poety wiersze na cześć Jana Długosza—do druku podał *Teodor Wierzbowski* Kraków. 1880.
16. **Warszawa i Warszawianie** nabludenia i zamietki *Wł. Michniewicz.* S. Petersburg 1881.

Дозв. Цензурою. Варшава, 19 Апрѣля 1881 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.